

Cienie przeszłości

Dailey Janet



calibre 0.9.43

Janet Dailey
Cienie przeszłości

Część pierwsza

Wiadomym jest, że indiański kraj na zachód od Arkansas współpracownicy pana Lincolna uważają za podatny grunt dla abolicjonistów, partii wolnościowych i północnej szarlatanerii. Mamy nadzieję” że w pańskich ludziach znajdziemy sprzymierzeńców gotowych opowiedzieć się za Południem.

Henry M. Rector, gubernator stanu Arkansas (z listu do Johna Rossa, wodza Czirokezów)
Springfield, Massachusetts Maj 1860

Przed dwupiętrowy murowany dom w eleganckiej willowej dzielnicy miasta zajechał powóz. Siedzący na koźle stangret w podeszłym wieku zeskoczył na ziemię ze zwinnością młodzieniaszka i otworzył drzwiczki przed bardzo urodziwą dziewiętnastoletnią panną, ubraną w wizytową suknię w dwóch odcieniach błękitu, które podkreślały złocistą barwę jej włosów i doskonale harmonizowały z kolorem oczu. Dziewczyna oparła się na wyciągniętej przez stangreta ręce i wysiadła z powozu, pospiesznie otwierając parasolkę, by skryć twarz przed promieniami popołudniowego słońca.

- Będę tu na panienkę czekał - powiedział stangret z lekkim ukłonem.

- Dziękuję - odpowiedziała Diana Parmelee z pełnym czaru uśmiechem. Następnie z wdziękiem weszła na ganek domu i zapukała do drzwi.

Po chwili stanęła w nich irlandzka gospodyni Fletcherów, Bridget O'Shaughnessy, w białoszarym czepku na głowie, który zlewał się z przyprószonymi siwizną włosami.

- Jak się masz, Bridie? - uśmiechnęła się do niej Diana. Kobieta popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- Święci pańscy, toż to Diana. Jakże wy wszyscy wydorosleliście. To dopiero dzień pełen niespodzianek. Czy kapitan jest z tobą?

Tu zerknęła jej przez ramię.

- Nie, ojciec jest na swoim posterunku w Saint Louis.

- Ale co ja najlepszego robię? Stoję tu i trajkoczę, zamiast wpuścić cię do środka. Proszę, proszę wejdz. - Diana złożyła parasolkę i przestąpiła próg domu. - Wiem, że powinnam zapytać o twoją matkę, ale jak o niej pomyślę, to ogarnia mnie gniew. Nie mnie ją sądzić, lecz nie mogę jej wybaczyć, że rozwiodła się z panem kapitanem, by poślubić tego bogacza Thomasa Austina. Dla takiego dżentelmena i oficera jak pan kapitan to musiało być okropne.

Diana roześmiała się promiennie.

- Nic się nie zmieniłaś, Bridie - oznajmiła, nie zrażona jej ostrą krytyką pod adresem matki.

Chociaż bolała nad tym, że rodzice się rozwiedli, doskonale zdawała sobie sprawę z istniejących między nimi różnic, które doprowadziły do rozpadu małżeństwa. Ojciec kochał żołnierskie życie i pogranicze, matka zaś tęskniła za lepszą egzystencją i stałym domem. Tom Austin mógł jej to zapewnić.

- Za to ty bardzo - oświadczyła gospodyni. - Wyrosłaś na piękną pannę. Pani Fletcher wyszła na spotkanie kółka bibliotecznego. Będzie niepokieszona, kiedy się dowie, że tu byłaś.

Diana doznała ukłucia zawodu. Bardzo lubiła panią Fletcher. Traktowała ją jak swoją powiernicę i przyjaciółkę.

- Miałam nadzieję, że ją zastanę. Mieszkam teraz u Wickhamów. Zostawię jej wiadomość...

- Nie możesz wyjść bez zobaczenia się z panem Fletcherem - zaprotestowała gospodyni. -

WygARBOWAŁBY MI SKÓRĘ, gdybym cię puściła. Chodź ze mną. Jest teraz w swoim gabinecie.

Ruszyła korytarzem do podwójnych drewnianych drzwi, po czym zapukała w nie i otworzyła.

- Proszę wybaczyć, ale ma pan jeszcze jednego gościa. Po tych słowach cofnęła i przepuściła

Dianę.

Kiedy piękna panna weszła do gabinetu, Payton Fletcher natychmiast ruszył jej na powitanie. Był to korpulentny sześćdziesięcioletni mężczyzna o pulchnych policzkach i wianuszkę siwych włosów.

- Diana, cóż za radosna niespodzianka. - Wyciągnął ku niej obie ręce. - Co robisz w Springfield?

- Spędzam lato w domu sędziego Wickhama i jego wnuczki Ann Elizabeth, bo matka wyjechała

do Europy na miesiąc miodowy. Oczywiście pierwszą moją myślą po przyjeździe tutaj było złożenie wizyty ulubionym rodzicom chrzestnym ojca.

- Jesteśmy jego jedynymi rodzicami chrzestnymi - sprostował Payton Fletcher, unosząc ze zdziwieniem brew.

- Naturalnie że tak - odparła Diana z żartobliwym błyskiem w oku i cmoknęła prawnika w policzek.

- Co takiego? No oczywiście żartujesz sobie ze mnie. Wy młodzi musicie wybaczyć staremu jego powolność.

Obejrzał się za siebie. W tym momencie Diana zdała sobie sprawę z obecności kogoś trzeciego w pokoju i przypomniały jej się słowa gospodyni: „Ma pan jeszcze jednego gościa”. Zanim zdążyła odwrócić głowę, Payton Fletcher zapytał:

- Zdaje się, że wy dwoje już się znacie?

- Rzeczywiście - rozległ się głęboki męski głos, który wywołał w Dianie dreszcz podniecenia.

Natychmiast go rozpoznała, choć był teraz o ton niższy. Starając się panować nad emocjami, odwróciła się wolno, czując, jak serce jej wali.

Przy oknie stał Lije Stuart - wysoki, mierzący ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, o czarnych włosach miękko układających się na czole. Ubrany był w szare spodnie i ciemny surdut, gładko opinający szerokie ramiona i szczupły umięśniony tors. Przystojna twarz nabrała głębszego wyrazu od ich ostatniego spotkania przed pięciu laty, co przydało jej jeszcze urody. Ze śniadą karnacją, świadczącą o czirokeskim pochodzeniu, kontrastowały intensywnie błękitne oczy.

Urodzona i wychowana w Fort Gibson na Terytorium Indiańskim Diana znała i podziwiała Lijego Stuarda od najmłodszych lat. Miała czternaście, kiedy wojsko zamknęło Fort Gibson i przeniosło jej ojca na placówkę na Wschodzie. Od tego czasu często zastanawiała się, czy kiedykolwiek zobaczy Lijego i czyjej stosunek do niego ulegnie zmianie.

Teraz nie miała co do tego wątpliwości, bo jego widok zaparł jej dech w piersi. Z wystudiowaną pozą przeszła przez pokój i wyciągnęła do Lijego dłoń obciążoną rękawiczką.

- Spotkanie z tobą to najwspanialsza niespodzianka - powiedziała, nie starając się nawet ukryć zachwyty w głosie i w uśmiechu.

- Miło mi cię znowu widzieć, Diano - odpowiedział z rezerwą wynikającą z dzielącej ich różnicy wieku.

Diana Palmeree nie była już jednak tą uroczą i niewinną dziewczynką, którą zapamiętał. Stała

przed nim młoda kobieta o zachwycającej urodzie, obiekt marzeń każdego mężczyzny. Zebrane z tyłu włosy spływały jej na ramiona gęstą złocistą kaskadą, a w oczach płonęła radość życia. Patrzyły teraz na niego z intensywnością, która rozpalała mu krew w żyłach.

Jak zawsze, kiedy był blisko niej, poczuł, że ogarnia go pożądanie i jak zwykle je stłumił. Ujął wyciągniętą dłoń. Delikatne, lecz silne palce zacisnęły się wokół jego ręki.

- Ostatni raz widziałam Lij ego na dorocznym majowym święcie w Czirokeskiej Żeńskiej Szkole w Tahlequah - wyjaśniła Diana Paytonowi Fletcherowi. - Kiedy wybrano królową piękności, na trawniku przed szkołą zagrała wojskowa orkiestra z fortu i wszyscy zaczęli tańczyć z wyjątkiem mnie. Matka mi nie pozwoliła. Powiedziała, że czternastoletnie dziewczynki są za młode na tańce. Byłam zrozpaczona, bo Lije obiecał, że ze mną zatańczy, i nie mogłam się już doczekać. - Rzuciła Lijemu żartobliwe i zarazem wyzywające spojrzenie. - Pamiętasz, co mi wówczas przyrzekłeś?

- Że zatańczę z tobą, kiedy będziesz starsza.

- Mam zamiar wyegzekwować od ciebie tę obietnicę, Lije.

- Muszę przyznać, że wcale mnie to nie dziwi - odparł z uśmiechem Lije, wyobrażając sobie, jak wirują po parkiecie, zapatrzeni w siebie. Ponownie wezbrało w nim pożądanie i ponownie je stłumił. - Diana zawsze była niezwykle zdecydowaną młodą damą. Nie spoczęła, póki nie dostała tego, czego chciała.

- Nigdy nie ukrywam swych pragnień - powiedziała, patrząc mu w oczy.

- Taniec to doprawdy błahostka - zauważył.

- Tak, lecz z takich błahostek często rodzą się wielkie sprawy, prawda, Paytonie? - zwróciła się ku starszemu panu.

- W rzeczy samej - przyznał. - Właśnie mówiłem Lijemu, że nauki, które zdobył w Harvardzie, to krok ku obiecującej karierze.

- Susannah pisała mi, że studiujesz prawo w Harvardzie - odparła Diana, mając na myśli swoją przyjaciółkę z dzieciństwa i zarazem dziewiętnastoletnią ciotkę Lijego. - Miałam nadzieję, że odwiedzisz nas tej wiosny w Bostonie.

- Twoja matka nie byłaby z tego zadowolona - odparł z krzywym uśmiechem, który wywołał dołeczki w policzkach.

- Nie powinno cię to powstrzymywać - rzuciła z kpiną w głosie, przyznając tym sposobem, że matka była jednak pewnym problemem. Lecz teraz oddzielał ją od nich ocean.

- Może i nie powinno - przyznał z lekkim wzruszeniem ramion. - Pięć lat to szmat czasu. Ludzie się zmieniają.

- Co do mnie to nie jestem już tą niezgrabną czternastolatka z piegami na twarzy.

- O ile sobie przypominam, te piegi miałaś tylko dlatego, że nie chciałaś wkładać kapelusza na przejażdżki z ojcem. I nigdy nie byłaś niezgrabna. Nawet jako dziecko jaśniałaś urodą, która łamała serca każdemu mężczyźnie.

- A teraz? - zapytała wstrzymując oddech. Omiótł ją wzrokiem, po czym spojrzał w oczy.

- A teraz, choć wydaje się to niemożliwe, jesteś jeszcze piękniejsza. Dostrzegła podziw w jego oczach. Jako dziewiętnastolatka potrafiła już rozpoznać, kiedy podoba się mężczyźnie. A Lijemu się podobała. Miała ochotę skakać z radości.

- To prawda - przyznał Payton Fletcher. - To najszczerza prawda. Powiniennem już wcześniej ci o tym powiedzieć. Will Gordon, dziadek Lijego, twierdzi, że kobiety należy komplementować przy każdej okazji. Dobrze, że jego wnuk o tym wie. - Spojrzał na Lijego. - Przekaż dziadkowi moje

najszczęśliwsze pozdrowienia.

- Dziękuję - odparł Lije.

- Will i ja chodziliśmy razem do szkoły - wyjaśnił Payton Fletcher Dianie.

- Tak, wiem.

Pogrążył się we wspomnieniach, nie zwracając uwagi, że dwoje młodych przygląda się sobie ukradkiem.

- Wiele wspólnie przeżyliśmy. Bywało, że Will wieczorami musiał mnie nieść do domu. - Zachichotał i pokręcił głową. - Gdyby nie on, wątpię, czy skończyłbym studia. To on był tym inteligentniejszym. Serce rośnie, kiedy widzę, że wnuk poszedł w ślady dziadka. - Skinął głową z aprobatą, po czym spojrzał na Dianę. - Lije jest zbyt skromny, by ci to powiedzieć, ale należą mu się gratulacje. Właśnie skończył Harvard z wyróżnieniem.

- To wspaniale! Gratuluję.

- Dziękuję - odparł Lije z lekkim skinieniem głowy.

- Co zamierzasz teraz robić?

- Wrócić do domu i z pożytkiem wykorzystać moją znajomość prawa. Wyjeżdżam pod koniec tygodnia.

- Tak szybko? - zapytała z żalem w głosie. - Chyba mógłbyś zostać jeszcze tydzień lub dwa.

- Nie było mnie w domu cztery lata.

- Cóż znaczą dwa tygodnie przy czterech latach? - W jej oczach błysnęło wyzwanie i... jeszcze coś. - Za dwa tygodnie sędzia Wickham wydaje swe doroczne letnie przyjęcie. Jeśli twoje słowo coś znaczy, to powinieneś na nie przyjść, by ze mną zatańczyć.

- Oto odpowiedź godna córki oficera, która wie, jak mężczyźni cenią sobie honor - zaśmiał się Payton Fletcher. - Nie masz wyboru, Lije, musisz zostać.

- Na to wygląda - przyznał, nie spuszczać z niej wzroku i czując, jak przepływa między nimi niewidzialny prąd. Nigdy nie potrafił jej niczego odmówić. Teraz, kiedy stała się kobietą, uznał to za wręcz niemożliwe. Co więcej, wcale nie chciał odmawiać.

Organizowane przez Dianę popołudniowe spotkania, wyprawy do sklepów, lunchy i herbatki pozwoliły jej zatrzymać Lijego przy sobie przez większą część dnia. Koniec pierwszego tygodnia, który minął stanowczo zbyt szybko, został uhonorowany zaproszeniem Fletcherów i Lijego na kolację do sędziego Wickhama.

Przyjęcie było sztywne i uroczyste i trwało prawie dwie godziny. Po kolacji podano kawę na tarasie. Diana i Lije przeszli na sam jego koniec, by stamtąd podziwiać porośniętą trawą staw i porozmawiać bez świadków. Piękna panna wciągnęła głęboko ciepłe wieczorne powietrze w płuca, rozkoszując się magią wieczoru i bliskością stojącego przy niej młodego człowieka.

- To było wspaniałe przyjęcie. Wszystko cudownie się ułożyło. - Zerknęła w stronę uczestników przyjęcia. - Zrobiłeś dobre wrażenie na gospodarzu.

- Kiedy otrząsnął się z szoku, jakim była dla niego wiadomość, że jestem Czirokezem - rzucił Lije z lekką przyganą w głosie. - Zapomniałaś mu o tym powiedzieć.

- Zrobiłam to celowo. - Spojrzała na niego błyszczącymi oczyma. - Nauczyłam się od ojca nie mówić zbyt wiele. Nie chciałam im niczego sugerować, a ewentualne zastrzeżenia przeciw tobie usłyszeć dopiero, kiedy cię poznają. Byłam pewna, że odkryją w tobie inteligentnego i czarującego człowieka, który zachowuje się, jak na dżentelmena przystało. Dzisiejszy wieczór dowiódł, że miałam rację. Sędzia Wickham był raczej zdumiony niż zszokowany tym, że jesteś Czirokezem. Myślę

nawet, że zyskałeś tym sobie jeszcze większy podziw. Ale widzę, że nie robi to na tobie wielkiego wrażenia.

- A powinno? - zapytał, wdychając zapach jej perfum, delikatny, kuszący i niebywale kobiecy.

- Tak, powinno. Sędzia Wickham jest niezwykle bogatym i wpływowym człowiekiem. Pamiętasz, jak przy kolacji rozmawialiśmy o twojej plantacji i pani Wickham zapytała, jak twoja matka daje sobie radę z tak wielkim domem? Odetchnęłam z ulgą, kiedy wyjaśniłeś, że podobnie jak ona ma do pomocy służących. Wickhamowie są zagorzałymi abolicjonistami i z przerażeniem przyjęliby wiadomość, że twoi rodzice trzymają niewolników.

- Wielu ludzi z Północy zareagowałoby podobnie. To temat, którego nauczyłem się unikać przez te cztery lata.

- Odpowiedź godna dyplomaty. - Uśmiechnęła się ciepło. - Wciąż myślę o naszym nieoczekiwanym spotkaniu - dodała po chwili milczenia. - To był doprawdy szczęśliwy traf, że akurat tego dnia złożyłam wizytę Paytonowi Fletcherowi. Gdybym zaczekała dzień lub dwa, wyjechałbyś i nigdy byśmy się nie spotkali. Żałowałabym tego.

- Naprawdę?

Blask płonący w jej błękitnych oczach wystarczył za całą odpowiedź.

Ulegając czarowi chwili, Lije chwycił Dianę za ręce i przyciągnął ku sobie. Od tak dawna pragnął ją pocałować.

Zanim zdążyła pomyśleć, przywarł do niej gorącymi wargami, które rozpały jej krew w żyłach. Było w nim tyle żaru i zaborczości, że nie miała siły się sprzeciwić. Objęła dłońmi jego twarz.

To, co odczuwała, nie było rozpalającym się wolno ogniem, lecz pożądaniem, namiętym i gorącym, jakby już byli kochankami. Intymność tej chwili zamiast przestraszyć ją, utwierdziła tylko w przekonaniu, że jej serce od dawna należy do Lijego.

Przywarł do niej całym ciałem, rozkoszując się ciepłem, jakim emanowała jej skóra i miękkością warg. Poczul, że rozpala się w nim żądza tak gwałtowna jak wiatr w dolinach.

Nie był w stanie o niczym myśleć z wyjątkiem tej dziewczyny. Wiedział, że Diana ma w sobie moc, wywołującą w mężczyźnie pragnienie, tęsknotę i ból, która może pozbawić go sił. A on nie mógł sobie na to pozwolić. Miał ważniejsze sprawy na głowie i obowiązki do spełnienia.

Odsunął się, choć z całego serca pragnął pozostać na zawsze w jej ramionach.

Powieki Diany wolno się uniosły. Spojrzała mu w oczy i dostrzegła w nich tęsknotę, ostrożność i uczucie, które do głębi ją poruszyło.

- Od tak dawna chciałam, żebyś to zrobił - szepnęła. Wciągnął głęboko powietrze w płuca i wypuścił je wolno.

- Powinniśmy dołączyć do pozostałych gości.

W tej chwili nie ufał sobie na tyle, by móc z nią pozostać sam na sam.

- Dlaczego?

Ironiczne błyski w jej oczach potwierdziły, że zna odpowiedź.

- Nie powinienem tego robić.

- Dlaczego?

- Bo to daje nadzieję na coś więcej, a ja wkrótce wyjeżdżam.

- Przynajmniej nie w przyszłym tygodniu. Najpierw musisz ze mną zatańczyć. Już zapomniałeś?

Nie czekając na odpowiedź, wsunęła mu rękę pod ramię i poprowadziła ku gościom.

Rzędy rozwieszonych na sznurach kolorowych lampionów oświetlały taras, wypełniony

wirującymi w takt walca parami. Z ustawionego na trawniku namiotu dochodziły śmiech, brzęk szkła i odgłosy rozmów. Jednak dla Lijego liczyła się tylko kobieta, którą trzymał w ramionach, ubrana w białą suknię przybraną błękitnymi niezapominajkami. Oczy dziewczyny jaśniały szczęściem.

- Wiesz, że to mój ojciec uczył twoją matkę tańczyć walca? - zapytała lekkim tonem, starając się nie zwracać uwagi na panujące między nimi napięcie.

- Tak, słyszałem już tę historię. Zatrzymała wzrok na jego ustach.

- Pamiętam, jak ojciec mi o tym opowiadał. Była w tym jakaś magia. Wtedy właśnie pomyślałam, czy i my odczuwamy coś podobnego. - Spojrzała mu w oczy. - To coś więcej niż magia, Lije. - Powiodła spojrzeniem po tłumie gości. - Wszyscy to widzą. Dlatego na nas patrzą.

Lije podążył za jej wzrokiem i dostrzegł utkwione w nim oczy licznych przedstawicielek płci pięknej, śledzące go znad wachlarzy, oraz niechętnie spojrzenia niektórych panów. Często spotykał się z podobnymi reakcjami.

- Patrzą, bo są zgorzeleni, że tańczysz z Czirokezem, zamiast wybrać bardziej odpowiedniego partnera - odpowiedział.

Zaśmiała się lekko.

- Znam ich lepiej niż ty. Większość tylko udaje, że jest zgorzeleną, kryjąc w ten sposób zazdrość lub zranioną dumę. Dotyczy to zwłaszcza kobiet. Patrzą na ciebie i marzą o tym, by znaleźć się na moim miejscu, lecz zbyt się obawiają tego, co powiedzą inni.

- A ty nie? Uśmiechnęła się szeroko.

- Komuś, kto wychował się na pograniczu, więcej się wybaczają i patrzy przez palce, kiedy pozwala sobie na coś, co zwykle uważa się za niewłaściwe. Czasami to się przydaje.

- Tak jak teraz?

- Właśnie - odparła nie przestając się uśmiechać. - Podejrzewam, że połowa z tych kobiet tylko czeka, byś porwał mnie na ręce i zaniósł gdzieś w ustronne miejsce. - Spojrzała mu z powagą w oczy. - Mam uczucie, że byliby rozczarowani, gdybyś tego nie zrobił.

- Nie możemy do tego dopuścić, prawda?

Zacisnął palce na jej obciążonej rękawiczką dłoni. Ogarnęła go fala gorąca.

- Nie, nie możemy - odparła schrypniętym z emocji głosem.

Orkiestra zakończyła walca grzmiącym finałem. Lije skłonił się Dianie, po czym wziął ją za rękę i wyprowadził z oświetlonego tarasu. Przez nikogo nie zauważeni wymknęli się do ogrodu.

Lije pociągnął śmiejącą się Dianę w cień altanki obrośniętej kapryfolium. Kiedy ich oczy się spotkały, uśmiech zamarł jej na ustach. W jego spojrzeniu płonęła tak gorąca namiętność, że z wrażenia zaschło jej w gardle. Lije pochylił się i dotknął wargami jej ust. Zaraz jednak z tłumionym jękiem przyciągnął Dianę do siebie i pocałował mocno i zachłannie. Jej wargi były niczym jedwab, miękkie i uległe. Pożądanie, które przez cały wieczór go nie opuszczało, zapłonęło teraz w nim niczym oślepiający płomień. Uległ jego sile, czerpiąc rozkosz z namiętnego pocałunku, lecz wkrótce poczuł, że to mu nie wystarcza. Domyślił się, iż Diana również doświadcza czegoś podobnego, bo zadrżała gwałtownie. Starając się zapanować nad szalejącym w nim ogniem, zaczął pieścić jej policzki i płatek ucha.

- Lije - wyszeptała miękko. - Nawet nie wiesz, jak bardzo tego pragnęłam.

- Nie bardziej niż ja. - Dotknął wargami niebieskiej pulsującej żyły na jej szyi.

- Nie rozumiesz. - Odchyliła głowę i spojrzała mu w oczy z mieszaniną tęsknoty i pożądania. - Od dziecka cię uwielbiałam. Kiedy rząd zamknął Fort Gibson i musieliśmy wyjechać, myślałam, że serce

mi pęknie. - Przerwała i uśmiechnęła się, przesuując palcami wzdłuż linii jego szczęki. - To brzmi niemądrze, prawda? Cóż dziewczynka mogła wiedzieć o miłości? Wciąż to sobie powtarzałam. Nigdy jednak nie przestałam mieć nadziei, że któregoś dnia się spotkamy. Obawiałam się tylko, iż kiedy to nastąpi, ty będziesz żonaty. Na szczęście nie jesteś. - Wsunęła mu palce we włosy i przyciągnęła ku sobie. - Pocałuj mnie.

Uległ jej namiętnej prośbie, zatracając się w pocałunku. Jej wargi były cudownie miękkie i gorące. Wszystko inne przestało dla niego istnieć. Ponura przeszłość i niepewna przyszłość odeszły gdzieś daleko. Wiedział, że nie wolno mu zapominać o czekających go obowiązkach, lecz z Diany emanowała sama słodycz, moc i namiętność. Jej zapach sprawiał, że kręciło mu się w głowie.

- Kocham, cię, Diano. - Zapragnął nagle zatrzymać ją przy sobie do końca życia.

- I ja cię kocham - odparła drżącym głosem, po czym zaśmiała się cichutko i oparła mu głowę na piersi. - Kto by pomyślał, że wszystko się tak wspaniale ułoży.

- Diano, wkrótce wyjeżdżam... - zaczął mówić pośpiesznie.

- Nie - przerwała i spojrzała mu w oczy z ufnością. - Nie pozwolę ci odjechać.

- Nie mogę zostać... - rzucił z żalem.

- Naturalnie że możesz. Słyszałam, jak sędzia Wickham mówił, że senator Frederick szuka bystrego młodego człowieka do pracy w jego biurze w Bostonie. Sędzia Wickham cię lubi. Przekonam go, by dał ci swoją rekomendację. To dla nas idealne rozwiązanie: oboje bylibyśmy w Bostonie.

- Nie, Diano. - Chwycił ją za ramiona, spojrzał w oczy i powtórzył: - Wracam do domu.

- Naturalnie, że chcesz pojechać do domu zobaczyć się z rodzicami - odparła po chwili wahania.

- Rozumiem to. Ale potem wrócisz i...

- Nie.

- Nie? - Zesztywniała. - Dlaczego? Po co miałbyś tam zostawać? Tu jest o wiele więcej możliwości, zarówno jeśli chodzi o stanowiska, jak i o karierę.

- Muszę i chcę wrócić do domu.

Nie wiedział, jak ująć w słowa trawiący go od czterech lat niepokój, strach, który nigdy go nie opuszczał, powracające obrazy z przeszłości, które sprawiały, że pragnienie powrotu do domu stało się koniecznością. Jedź ze mną, Diano.

- Jechać z tobą? - powtórzyła zaskoczona.

- Chcę, byś została moją żoną.

- Tak po prostu? Chyba nie mówisz poważnie.

- Najpoważniej.

W jego oczach pojawił się chłód. Nie miał zamiaru zabierać jej z sobą. Nieopatrzne słowa po prostu wymknęły mu się z ust. Ale wydawały się zupełnie na miejscu.

- Za wcześnie na rozmowy o małżeństwie. Przecież wiesz, że moja matka nigdy by się na to nie zgodziła, gdybym tak nagle wyjechała na Zachód.

- Dlatego że jestem Czirokezem?

- Dlatego że jesteś Stuartem. Nigdy nie kryła się ze swymi uczuciami w stosunku do twojej rodziny.

- To prawda.

- Rozumiesz więc, że to w tej chwili niemożliwe. Za jakiś czas...

- Rano wyjeżdżam.

- To nierozsądne, Lije - rzuciła gniewnie. - W ogóle mnie nie słuchasz. Było tak cudownie. Dlaczego musiałeś wszystko zepsuć?

- Trzeba było słuchać matki, kiedy cię ostrzegała, żebyś trzymała się z dala ode mnie - odparował, skrywając urazę pod gniewem.

- Może i powinnam - rzuciła porywczo.

Spoglądał na nią przez chwilę, po czym odwrócił się i zniknął w mroku. Odprowadziła go wzrokiem, kipiąc z wściekłości. Zaraz jednak oczy wypełniły się łzami. Urażona duma nie pozwoliła jej pobiec za ukochanym. On wróci, pocieszała się w duchu. Na pewno wróci.

Terytorium Indiańskie lipiec 1860

Lije puścił galopem gniadego rumaka. Przez cztery lata spędzone na Wschodzie rzadko miał okazję, by pojeździć konno. Przyjemnie było czuć znowu konia pod sobą, wsłuchiwać się w tętent kopyt uderzających o gliniastą ziemię, świst powietrza w uszach, a przed oczami mieć wstęgę drogi.

Zjeżdżony trakt wił się teraz wśród gęstego lasu, porośniętego dębami, śliwami daktylowymi, orzechami i cedrami, których gałęzie tworzyły nad głową zielone sklepienie. Pomimo panującego upału powietrze było tu chłodniejsze. Z gęstych zarośli dochodziły najróżniejsze odgłosy żyjących tam stworzeń. Krajobraz urzekał swoją dzikością.

Lije rozpoznawał znajome widoki, dźwięki, zapachy. Po czterech latach nieobecności obawiał się, że będzie czuł się tu obco. Tymczasem miał wrażenie, jakby nigdy stąd nie wyjeżdżał.

Ta myśl wywołała uśmiech na jego wargach. Obejrzał się na jadącego z tyłu czarnego służącego imieniem Ike. Stąd już niedaleko do Oak Hill.

- Tylko kawałek - skinął głową Ike, zrównując się z nim koniem.

Od chwili, kiedy Lije wysiadł z parowca, zamienili ze sobą zaledwie kilka słów. Ike wiedział, że panicz Lije nie należy do ludzi, którzy lubią dźwięk swego głosu. Przedkłada czyny nad słowa i więcej myśli, niż mówi. Skorzystał więc z nadarzającej się okazji i wiedziony ciekawością zapytał:

- Jak tam jest na Północy?

- Podobnie jak tu. Dużo drzew, góry i farmy. Zimy są dłuższe i ostrzejsze, miasta większe. Jest więcej domów i ludzi. - Spojrzał spod oka na Ike'a. - Znacznie więcej ludzi.

Ike kiwnął głową. Te informacje pokrywały się z tym, co już wiedział.

- Matka opowiadała mi, że nigdy jeszcze nie widziała tylu ludzi w jednym miejscu, jak wówczas, kiedy pojechała na Północ z pańskimi rodzicami. Pan Blade pozwolił moim rodzicom przejść się po mieście, kiedy byli w Filadelfii. Był pan może w Filadelfii?

- Tylko przejazdem.

- Więc nie widział pan dzwonu - stwierdził z żalem Ike, wspominając opowieść matki, którą kazał sobie ciągle powtarzać. - Ludzie nazywają go Dzwonem Wolności. Jest na nim napis: „Głoszę wolność dla całej ziemi i wszystkich jej mieszkańców”. To z Biblii. - Zawahał się, po czym zadał to najważniejsze dla niego pytanie: - Czy widział pan wolnych Czarnych na Północy?

- Niewielu. - Lije spojrzał spod zmrużonych powiek na Murzyna, z którym bawił się jako dziecko. Wolność. Wolni Czarni. Te słowa i tęsknota w głosie Ike'a ostrzegły go, że służący myśli o wolności.

- Uważaj, co mówisz, Ike - powiedział. - Czasy są niespokojne. Ktoś mógłby usłyszeć, że mówisz o wolności i nabrać podejrzeń. Mógłby to jeszcze wykorzystać przeciw tobie.

Ike spojrzał przed siebie. W oczach błysnęła uraza. Najwyraźniej syn Deuteronomy Jonesa nie był równie wierny rodzinie Stuartów jak jego ojciec.

- Nic takiego nie myślałem - mruknął.

- Może i nie, ale uważaj.

Wyjechali z cienia w pełne słońce. Lije dostrzegł drogę, prowadzącą do plantacji dziadka i popędził konia. Ike znowu znalazł się z tyłu za nim.

Do plantacji Oak Hill wiódł półkilometrowy podjazd, którego brzegi porastało kapryfolium. Na jego końcu wznosił się dwór zbudowany na niewielkim wzgórzu, ocieniony wysokimi dębami, z frontem ozdobionym kolumnami. Budowla emanowała dostojeństwem i elegancją, podobnie jak jej właściciel. Według słów matki Lijego przypominała dawny dom Gordonów w Georgii. Tam właśnie urodził się Lije. Nie pamiętał jednak nic z tych czasów. Był maleńki, kiedy żołnierze bagnietami wypędzili rodzinę z domu.

Lije nie zdążył jeszcze zsiąść z konia, gdy drzwi frontowe się otworzyły i stanął w nich smukły Murzyn ubrany w czarny surdut, czarne spodnie i białą koszulę ze sztywnym kołnierzykiem. Serdeczny uśmiech rozjaśnił jego łagodne oczy.

- Panicz Lije! Wiedziałem, że to pan, jak tylko zobaczyłem pana na podjeździe. Nikt tak nie siedzi na koniu, z wyjątkiem może pańskiego ojca.

- Witaj, Shadrach.

Lije uśmiechnął się do Murzyna, który od urodzenia należał do Willa Gordona. Przywędrował tu jako chłopiec wraz z całą rodziną po wygnaniu Czirokezów z ich terytorium na Wschodzie. Siostra Shadracha, Phoebe, została podarowana matce Lijego w prezencie ślubnym. Ike był jej synem.

- Nic się nie zmieniłeś.

Czas obszedł się z Shadrachem łaskawie. Lije wiedział jednak, że zbliża się już do czterdziestki.

- A panicz się zmienił. Ten college zrobił z panicza prawdziwego mężczyznę. Ike, odprowadź konia panicza Lijego do stajni - zwrócił się do swego kuzyna.

Lije oddał mu wodze i ruszył do drzwi. Shadrach natychmiast je przed nim otworzył.

- Pani Eliza jest w salonie - dodał jeszcze.

Lije wszedł do środka i spostrzegł idącą ku niemu drugą żonę dziadka.

- Shadrach, zdaje się, że słyszałam... - Zatrzymała się gwałtownie i uniosła dłoń do gardła. - Lije - wyszeptała zaskoczona.

- Witaj, Elizo.

Podeszła do niego i ujęła za rękę.

- Proszę, proszę, widzę, że wyrosłeś na przystojnego młodzieńca. Jak podróż?

- Długa i nudna.

- To dobrze - odparła tak dobrze mu znanym energicznym głosem. - Nie słyszałam powozu. Jak się tu znalazłeś? - Spojrzała na drzwi. - Gdzie dziadek i rodzice?

- Pojechałem przodem. Wkrótce tu będą.

- Wspaniale. Chodźmy więc pogawędzić do salonu. - Wsunęła mu rękę pod ramię i poprowadziła ku zakończonym lukowato drzwiom. - Susannah jeszcze się przebiera na górze - poinformowała go, mając na myśli swoją córkę - ale są już Kipp i Alex.

Lije w jednej chwili zeszytniał i zerknął ku salonowi.

Eliza wyczuwając to, ostrzegawczo zacisnęła dłoń na jego ramieniu.

- To rodzinna uroczystość, Lije - powiedziała z naciskiem. - Wszelkie niesnaski między twoim ojcem i Kippem należą już do przeszłości.

Nie wolno dopuścić, by kładły się cieniem na teraźniejszości. Nie zapominaj, że Kipp jest

jedynym bratem twojej matki. Najwyższy czas wybaczyć to, czego nie można zapomnieć.

- Widzę, że wciąż usiłujesz grać rolę rozjemcy - stwierdził z krzywym uśmiechem.

- Ktoś musi. Niewiele było w przeszłości na tyle ważnych okazji, by zebrać całą rodzinę.

Lije domyślił się, że przez całą rodzinę Eliza rozumie jego ojca i Kippa. Zazwyczaj któregoś z nich brakowało. Kiedy zdarzało się, że obaj byli obecni, atmosfera stawała się napięta.

- I uznałaś, że mój powrót jest właśnie jedną z nich - stwierdził Lije.

- To chyba oczywiste. Wchodzimy? - zapytała i nie czekając na jego zgodę, ruszyła w stronę salonu. Lije jednak pozostał w miejscu. O co chodzi? - rzuciła mu zdziwione spojrzenie.

- Nie masz zamiaru zrobić mi wykładu o niewinności Aleksa? - zapytał, mrużąc oczy.

Od dnia urodzin kuzyna, to znaczy od siedemnastu lat, Eliza robiła wszystko, by konflikt między Kippem i ojcem Lijego, Blade'em, nie przeszedł na ich synów. Lije jako starszy stał się głównym obiektem jej wysiłków.

Dostrzegła błysk rozbawienia w jego oczach i zacisnęła gniewnie wargi.

- Żartujesz sobie ze mnie.

- Wyglądasz wspaniale - odpowiedział. - Oburzenie przydaje ci blasku. Rozpala płomień w oczach i zabarwia policzki.

- Cóż to za bzdury! - rzuciła ostrym tonem, ale w głębi duszy uradował ją ten komplement. Z uśmiechem błakającym się na wargach wprowadziła Lijego do salonu. - Kipp, zobacz, kto przyjechał - rzuciła z lekkim tonem.

Stojący przy oknie mężczyzna odwrócił się i Lije spojrzał w twarz wuja, wieloletniego wroga ojca. Pasemka siwizny rozjaśniały mu skronie, kontrastując z czernią włosów. Większość ludzi uznałaby, że przydają mu one powagi, ale Lijemu te białe smugi przywodziły na myśl diabelskie rogi.

Ich widok wywołał w nim lawinę obrazów z przeszłości: Podjazdem nadjeżdża powozik. Siedzi w nim dziadek, Shawano Stuart. Długie siwe włosy opadają mu na kołnierz kurtki. Nagle spomiędzy drzew wyskakują zamaskowani mężczyźni, chwytają starca i ściągają na ziemię. Ukochany dziadek znika z oczu pod lawiną błyskających w słońcu noży. Kiedy zobaczył go ponownie, leżał już bez życia twarzą do ziemi.

Lije był świadkiem tych zdarzeń, gdy miał niecałe trzy lata. Nigdy nie zapomniał sceny śmierci, jak również towarzyszącego jej uczucia strachu i bezsilności. Nie zapomniał też, że Kipp Gordon był jednym z zamaskowanych mężczyzn.

Ludzie różnie komentowali ten czyn. Ojciec Lijego uznał go za morderstwo, a Tempie, jego matka, za usankcjonowany wyrok, choć wykonany w sposób haniebny.

W 1835 roku, kiedy Lijego nie było jeszcze na świecie, Shawano Stuart podpisał traktat, który przekazywał rządowi Stanów Zjednoczonych ziemie Czirokezów na Wschodzie. Wszyscy sygnatariusze tej umowy, w tym również Blade, wiedzieli, że jest ona nielegalna. Została bowiem podpisana bez zgody narodu i łamała prawo krwi, za co groziła kara śmierci. W ten desperacki sposób pragnęli jednak zmusić przywódców narodu do podjęcia negocjacji z rządem federalnym i przerwać szykanowanie i poniżanie Czirokezów przez władze Georgii.

Za swój czyn Shawano i kilku innych sygnatariuszy zapłacili życiem. Ojcu Lijego udało się uciec i pozostać w ukryciu aż do ogłoszenia amnestii.

Minęły lata, lecz pamięć o tamtych wydarzeniach pozostała. Dowodem na to była cisza, jaka zapanowała w salonie po wejściu Lijego i Elizy.

- Lije pojechał przodem - poinformowała Kippa Eliza, przerywając kłopotliwe milczenie. - Twój

ojciec i reszta wkrótce tu będą.

Kipp skinął głową i zmierzył Lijego chłodnym spojrzeniem. Nie było w nim cienia serdeczności.

- Stałeś się bardzo podobny do ojca - oznajmił, co nie zabrzmiało jak komplement. - Dziwi mnie, że zdołałeś ukończyć college. Sądziłem, że porzucisz go po pierwszym roku, tak jak twój ojciec.

- Najwidoczniej wytrzymałość odziedziczyłem po matce - odparł Lije i odwrócił się w stronę Aleksa.

Siedemnastoletni Alex Gordon obserwował tę wymianę zdań z ironicznym uśmiechem na twarzy. Miał takie same jak ojciec czarne włosy, wydatne kości policzkowe, prosty nos i czarne oczy. Tak jak Kipp był wysoki i szczupły.

- Miło cię znów widzieć, Alex.

- Witaj, Lije.

Uśmiechnął się szeroko, ukazując wdzięczne dołeczki w policzkach. Takim właśnie zapamiętał go Lije: pełnego uroku, nieco lekkomyślnego i zarazem przebiegłego młodzieńca.

- Myślałem, że już nie przyjedziesz, że parowiec osiadł gdzieś na mieliźnie - rzucił lekko.

Lije pokręcił głową.

- Woda była wysoka i płynęło się gładko.

- Takie już moje szczęście - stwierdził Alex z udanym smutkiem. - Miałem nadzieję, że dostanie mi się twój udział w przyjęciu, które zgotowała babcia Eliza.

- Jak znam Elizę, to jedzenia starczy dla wszystkich - stwierdził Lije. - Stół pewnie aż ugina się pod ciężarem potraw.

- Boi okazja jest nie byle jaka. Jeśli już o tym mowa... - Eliza wysunęła dłoń spod ramienia Lijego i odwróciła się w stronę drzwi. - Shadrach!

Czarny służący pojawił się w ciągu kilku sekund.

- Słucham, proszę pani.

- Podaj napoje. Lijemu na pewno zaschło w gardle po tej jeździe.

- Tak, proszę pani. - Skłonił się i wyszedł.

Jego kroki zagłuszył odgłos biegnących przez hol innych stóp. Po chwili w drzwiach salonu stanęła młoda panna ubrana w jedwabną suknię ozdobioną koronką. Burzę bursztynowych loków przytrzymały wstążki zawiązane na czubku głowy. Na widok Lijego jej szeroką twarz o grubych rysach rozjaśnił uśmiech.

- Lije! - wykrzyknęła radośnie. - Byłam pewna, że to ty.

- Susannah.

- Tak się cieszę, że już jesteś. - Rzuciła mu się na szyję. - Tęskniłam za tobą. Zresztą wszyscy tęskniliśmy.

- Ja też za tobą tęskniłem. - Chwycił ją za ramiona i odsunął od siebie. - Niech no ci się przyjrzę.

- Choć była jego ciotką, zawsze traktował ją jak młodszą siostrę. Stała przed nim wysoka dziewczyna, mierząca sobie ponad sto siedemdziesiąt centymetrów. Piwne oczy upstrzone były złotymi plamkami, przywodzącymi na myśl oczy kota. - Gdzie się podziała ta wysoka koścista dziewczynka z patykowatymi rękami i nogami? - Pokręcił głową z niedowierzaniem. - Wyrosłaś na piękną pannę. Pewnie nie możesz się opędzić od konkurentów.

- Cóż ty za bzdury opowiadasz? - rzuciła ze śmiechem Susannah. - Żaden mężczyzna nie będzie zalecał się do kobiety, która wygląda niczym dąb. A jeśli już, to na pewno będzie mu chodziło o ojca, nie o mnie.

Lije chciał zaprotestować, widział jednak, że zaraz usłyszałby, iż mówi tak przez zwykłą uprzejmość. Susannah nigdy nie była zadowolona ze swego wyglądu. Uważała, że jest zbyt wysoka i zbyt chuda, włosy zbyt jej się kręca, twarz zaś ma grube rysy. Było w niej jednak coś, co przyciągało uwagę, zwłaszcza teraz, kiedy dorosła i znikła dawna dziewczęca kanciastość.

- Nie doceniasz siebie, cioteczko - rzucił żartobliwie.

- Jeśli jeszcze raz tak mnie nazwiesz, dostaniesz po buzi. Zmarszczyła groźnie brwi, lecz oczy płonęły wesołością.

- Pamiętasz, jak podbiłaś Lijemu oko? - zapytała Eliza.

- A jakże - odparła. - Wtedy to po raz ostatni nazwałeś mnie cioteczką.

- Chciałaś trafić w usta i chybiłaś - rzucił ze śmiechem.

- Tylko dlatego, że zrobiłaś unik.

- Przez całe tygodnie miałem czarną obwódkę wokół oka.

- Zasłużyłeś sobie na to. Jestem za młoda, by być twoją ciotką.

- Ale fakt pozostaje faktem.

- Niech sobie będzie faktem, lecz dość tego - oświadczyła Susannah tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Jak sobie życzysz. - Skłonił się żartobliwie, unosząc w górę brew. W tej chwili do salonu wszedł Shadrach, niosąc na srebrnej tacy szklanki z lemoniadą. Lije wziął z niej dwie i podał jedną kuzynce.

- Mmm, wspaniała - wymruczała, delektując się chłodnym napojem.

Shadrach podszedł następnie do Elizy, a potem do Kippa.

- Lemoniady, proszę pana?

- Lemoniady? - Spojrzał pogardliwie na szklankę. - Nie macie w domu nic mocniejszego?

- Jeśli pan woli, mogę przynieść kawy - odpowiedział Shadrach z szacunkiem.

- Lemoniada lub kawa, tylko taki masz wybór, Kipp - odezwał się Lije. - Chyba nie spodziewałaś się dostać w tym domu coś mocniejszego?

Eliza działała w Towarzystwie Abstynentów zwalczającym handlarzy whisky. Osiągnęło ono sukces, kiedy zamknięto Fort Gibson.

- To co robiliśmy, było ze wszech miar słuszne. Żałuję tylko, że zamknięto fort. - Otworzyła wachlarz i zaczęła się nim wachlować. - Brak mi tych wszystkich przyjęć i tańców. Wiem też, że dziewczętom brakuje towarzystwa młodych oficerów. Muszę jednak przyznać, że wcale nie tęsknię za nadętą żoną kapitana Parmelee. - Ruchy wachlarza stały się szybsze. - Bardzo lubiłam i szanowałam Jeda, ale ta jego żona... Kiedy przypomnę sobie, jak zabroniła córce bawić się z tobą i Lije, bo nie chciała, by jej dziecko zadawało się z Indianami, krew zaczyna mi się burzyć w żyłach.

- Kapitan Parmelee złożył potem przeprosiny - dodała Susannah.

- Tak - przytaknęła Eliza. - Biedny Jed. Był taki zdenerwowany i skonfundowany. Podejrzewam, że wiele razy przyszło mu żałować, iż ożenił się z tą podłą kobietą. Zadziwiające, że Diana wyrosła na uroczą dziewczynę. Na pewno zawdzięcza to ojcu.

Susannah spojrzał na Lijego, ciekawa, jak zareaguje na ten komplement. Ostatni list od Diany pełen był Lijego. Domyśliła się więc, że musieli zapalać do siebie afektem. Toteż zdziwiła się, widząc twardy wyraz jego twarzy. Od chwili kiedy rozmowa zesłała na rodzinę Parmelee, stał się dziwnie milczący.

- Diana pisała, że często się ze sobą spotykaliście - powiedziała.

- Doprawdy?

Uniósł szklankę do ust i jednym haustem wypił jej zawartość. Susannah zdążyła jednak dostrzec chłód w jego oczach.

- Jak ona się miewa?

- Stała się prawdziwą pięknoscią - rzucił z krzywym uśmiechem. Coś musiało między nimi zajść, pomyślała Susannah. Ale co to mogło być? Już miała go o to zapytać, lecz powstrzymała się. Lije najwyraźniej nie miał ochoty o tym mówić. Później znajdzie okazję, by porozmawiać z nim na osobności i wypyta go o wszystko.

- Boże, jak gorąco - powiedziała Eliza podchodząc do okna. - Gdzież się podział wiatr? - Wyjrzała przez okno, jakby spodziewała się go tam znaleźć i znieruchomiała. - Ktoś do nas jedzie. Zdaje się, że to Nathan. - Nagle wstąpił w nią nowy duch. - Shadrach, idź po lemoniadę dla wielbnego Cole'a - poleciła - a ja tymczasem pójdę go przywitać.

- Ilu jeszcze gości Eliza zaprosiła na obiad? - mruknął z niechęcią Kipp, kiedy wyszła z pokoju. - Zdaje się, że miała to być rodzinna uroczystość.

- Wielbny Cole jest uważany za członka rodziny - przypomniała mu Susannah. - Uczestniczył w niemal wszystkich ważnych wydarzeniach. Przecież dawał ślub moim rodzicom, a także Tempie i Blade'owi.

Nie powiedziała, że pastor Cole dawał również ślub Kippowi i niecały rok później odmawiał modlitwę nad grobem jego młodej żony, która umarła, wydając na świat ich syna Aleksa. Lije był zbyt mały, by to pamiętać, lecz słyszał, że Kipp był w tym małżeństwie szczęśliwy. Po śmierci żony stał się zgorzkniałym samotnikiem.

Alex uniósł szklankę do ust i uśmiechnął się złośliwie do Susannah.

- Rozumiem z tego, że wielbny Cole weźmie również udział w twoim pożegnalnym przyjęciu.

- Jakim pożegnalnym przyjęciu? - Lije spojrzał na nią zaskoczony. - Dokąd się wybierasz?

- Matka nic ci nie powiedziała?

- O czym?

- Na jesieni rozpoczynam naukę w Mount Holyoke. Rodzice mają zamiar odwiedzić mnie do South Hadley. Wyjeżdżamy w sierpniu.

- Ja wróciłem, a ty wyjeżdżasz.

- Tak. - W jej oczach pojawił się smutek. - Chciałabym...

Nie dokończyła, bo w tym momencie do salonu weszła Eliza z pastorem Nathanem Cole'em. Był to wysoki chudy mężczyzna o kościstej twarzy, zapadniętych policzkach, łagodnych oczach i nieśmiałym uśmiechu.

- Witaj w domu, Elijah - powiedział cicho, jak zwykle zwracając się do niego pełnym imieniem.

- Dobrze, że znów jesteś wśród nas. Brakowało nam ciebie.

- Dziękuję, pastorze. Ja również cieszę się, że wróciłem, chociaż właśnie się dowiedziałem, że Susannah nas opuszcza.

Twarz pastora się rozjaśniła.

- A więc przyjęli cię do Mount Holyoke - zwrócił się do Susannah.

- Tak. Wyjeżdżamy w sierpniu.

- Will i ja ją odwiedzimy - wyjaśniła Eliza. - Będę w South Hadley po raz pierwszy od czasu, kiedy stamtąd wyjechałam, by uczyć dzieci czirokeskiej rodziny Gordonów. Ile to już lat minęło, Nathanie? Dwadzieścia pięć?

- Prawie trzydzieści.

- Chyba tak. Miałam wówczas dwadzieścia lat i uważałam, że moim przeznaczeniem jest nauczanie. Nawet nie przypuszczałam, jaki czeka mnie los.

- Tak powinno być. - Poklepał ją po ręku. - Możemy tylko pokładać nadzieję w Bogu, że Susannah spędzi tam pożytecznie i przyjemnie czas.

- Jak zawsze masz rację. Miło będzie pokazać Susannah miejsca mojego dzieciństwa, zobaczyć, jakie zaszły tam zmiany. Will chce spędzić trochę czasu z Paytonem Fletcherem. Zatrzymamy się u niego, kiedy Susannah zainstaluje się już w Mount Holyoke. - Uśmiechnęła się do córki. - Na pewno ci się tam spodoba.

- Czy ty też chodziłaś do tej szkoły, babciu? - zapytał Alex.

- Nie. Żeńska szkoła otworzyła swe podwoje dopiero cztery lub pięć lat po moim wyjeździe z South Hadley. To było, zdaje się, pod koniec lat trzydziestych. Ale moja matka w niej uczyła. Gdyby nie odeszła przed trzema laty, zobaczyłaby swoją wnuczkę. - Wszyscy widzieli, że Eliza bolała nad tym, iż nie widziała matki przed śmiercią. - Teraz jej wnuczka będzie chodzić tymi samymi korytarzami co ona. Bardzo się z tego cieszę, chociaż obawiam się, że wybierając tę szkołę Susannah nie myślała o babce. Jej ukochana nauczycielka z Czirokeskiej Żeńskiej Szkoły skończyła Mount Holyoke i Susannah postanowiła pójść w jej ślady.

- A może zrobiłam to z obu powodów - powiedziała Susannah.

- Bardzo taktowna odpowiedź - stwierdził z uznaniem wielebny Cole. - Tę umiejętność odziedziczyłaś chyba po ojcu, bo takt nigdy nie był mocną stroną twojej matki.

- Jak możesz tak mówić? - zaprotestowała Eliza.

- Przecież to prawda - odparł bez cienia krytycyzmu.

- Być może - przyznała i zrećźnie zmieniła temat. - Cieszymy się, że wróciłeś, Lije, szkoda jednak, że twoja nauka nie trwała rok dłużej, bo byłbyś dla Susannah wsparciem w czasie pierwszego roku z dala od domu. Człaby się pewniej. Może jednak w przyszłym roku dołączy do niej Alex. Kipp chce, by studiował na Harvardzie. Najpierw jednak musi poprawić swoje oceny.

- Babciu, proszę. - Alex skrzywił się z niechęcią. Wcale nie miał ochoty wysłuchiwać kolejnego kazania na swój temat. - Nie każdy podziela twoje zamiłowanie do książek i nauki.

- Alexandrze Gordon, wykształcenie to ważna rzecz i... Uniósł w górę rękę.

- Daruj sobie, babciu. Słyszałem to już wiele razy. Są jeszcze inne sprawy w życiu prócz wykształcenia.

- Nie, jeśli chcesz być kimś. Spójrz na Lijego. On...

- Nie jestem Lije i nigdy nim nie będę! - wybuchnął, lecz zaraz się opamiętał i uśmiechnął łagodnie. - Wybacz, babciu, ale to prawda.

- Naturalnie że tak. Nawet przez myśl mi nie przeszło, byś był taki jak on. Nie zmienia to jednak faktu, że wykształcenie jest ważne.

- Może ja nie chcę jechać na Wschód. Może chcę tu zostać. Pastor Cole pokiwał znacząco głową.

- Myślę, że młody człowiek upodobał sobie kogoś.

Alex już chciał zaprzeczyć, lecz zmienił zdanie i uśmiechnął się szeroko.

- Można tak powiedzieć.

- Kim ona jest? - zapytała Susannah. - To ktoś, kogo znam?

- Widziałaś ją.

- Jak ona wygląda? Nie trzymaj nas w niepewności, Alex.

- Niech no pomyślę. - Udał, że się zastanawia. - Ma największe i najpiękniejsze oczy na świecie, czarne, lśniące niczym rozgwieżdżone niebo włosy. Jest młoda, trochę dzika i uparta, ale...

Tu nie wytrzymał i prychnął śmiechem.

- To Spadaj ąca Gwiazda - domyśliła się Susannah. - Twój a nowa klacz.

Roześmiał się i uchylił, bo zamachnęła się na niego ręką.

- Jest wspaniała, Lije. - W głosie Aleksa brzmiała duma. - Szybka jak błyskawica. Mam nadzieję, że zdążę ją przygotować do jesiennego wyścigu. Na pewno go wygra. Będzie najszybszym czirokeskim koniem, a może nawet w całym stanie. Jeździłem na niej dzisiaj. Po obiedzie ci ją pokażę.

- Chętnie zobaczę.

- Wyścigi - rzuciła Eliza z wymówką w głosie. - To nie jest odpowiednie zajęcie, Alex.

- Ale daje wiele przyjemności.

- Jesteś niepoprawny - stwierdziła, lecz w jej głosie nie było niechęci.

Lije domyślił się, co pociąga Aleksa w tym sporcie. Wyścigi wymagały szybkości, odwagi i szczęścia. Nieodłączny dreszczyk przygody i niebezpieczeństwa odpowiadały niespokojnej naturze kuzyna. Im wyższa stawka, tym lepiej.

- Nie chcesz chyba, żebym był inny, prawda, babciu? - zapytał z czarującym uśmiechem.

- Nie posuwałabym się tak daleko - odparła, po czym urwała, bo w tej chwili postyszała jakiś ruch w holu. - Czyżby to był Will? Nie słyszałam, żeby powóz zjechał.

Wysunęła rękę spod ramienia pastora i odwróciła się w stronę drzwi.

W tym momencie rozległ się odgłos biegnących stóp i do salonu wpadła Sorrel, ośmioletnia siostra Lijego. Eliza, jak zawsze na jej widok, doznała szoku, patrząc na ognistoczerwone włosy dziewczynki. Przypomnił się jej portret pierwszego Williama Alexandra Gordona, który wisiał nad kominkiem w Gordon Glen w Georgii. Mężczyzna miał taki sam kolor włosów.

- Jesteśmy, babciu. Alex! - wykrzyknęła Sorrel na widok kuzyna. - Nie wiedziałam, że też będziesz.

- Nie sądziłaś chyba, że przepuszcze okazję, by zobaczyć się z moją śliczną małą Sorrel - rzucił żartobliwie i pogładził ją po głowie.

- Gdybym wiedziała, że będziesz, kazałabym Pompey jechać szybciej. Okropnie długo jedzie się powozem z przystani do Oak Hill. Prosiłam Lijego, żeby ze mną jechał, ale nie chciał. - Rzuciła bratu pełne rozczarowania i niechęci spojrzenie. - Tak ładnie go prosiłam.

- Cóż z niego za niewdzięcznik - powiedział Alex, patrząc na Lijego z rozbawieniem.

- Ty byś ze mną pojechał, gdybym poprosiła, prawda?

- Nigdy nie odrzuciłbym zaproszenia tak pięknej panny.

- Wiedziałaś - rozpromieniła się.

- Masz nową sukienkę - zauważył.

- Tak. Podoba ci się?

Obróciła się, wprawiając w ruch kraciaste falbanki i odsłaniając koronkowy rąbek halki.

- Bardzo. W tej sukience wydajesz się najładniejszą ze wszystkich dziewczynek - odpowiedział.

W tym momencie w drzwiach salonu pojawiła się matka Lijego w suto marszczonej szafirowoniebieskiej sukni.

- Wolałabym, żebyś nie napychał jej głowy komplementami, Alex. Już i tak jest dość zarozumiała. Jednak spojrzenie, jakim obrzuciła córkę, pełne było matczynej miłości.

W wieku czterdziestu sześciu lat Tempie Stuart stała się dojrzałą piękną. Chociaż dawno już straciła talię osy, nadal była szczupła. Skóra zachowała gładkość, z wyjątkiem przydających uroku zmarszczek, podkreślających głębię niebywale czarnych błyszczących oczu.

Jej mąż, Blade Stuart, nie spuszczał czujnego wzroku ze stojącego w drugim końcu pokoju Kippa. Była w tym mężczyźnie jakaś surowość, która przydawała cynizmu kpiącemu niegdyś uśmiechowi. Czarne włosy miał poprzetykane srebrnymi nitkami, widocznymi jedynie przy odpowiednim świetle.

Obok niego pojawił się dziadek Lij ego, Will Gordon. Nadal trzymał się prosto, choć wiek zaokrąglił nieco szerokie ramiona. Skończył już sześćdziesiąt lat. Rude włosy zmieniły kolor na popielaty, co tylko przydało mu powagi.

Po krótkim wahaniu Tempie podeszła przywitać się z bratem.

- Dobrze wyglądasz, Kipp.

Do Kippa ledwie dotarły jej słowa, bo nie spuszczał wzroku z Blade'a. Lij ego zaskoczyła wrogość malująca się w spojrzeniu wuja. Po czterech latach nieobecności zapomniał już, jak głęboka jest nienawiść Kippa do ojca. Zdawała się napływać falami, aż w końcu wypełniła cały salon. Zapragnął nagle stanąć przy boku ojca, by chronić go przed Kippem, tak jak to czynił od chwili, kiedy poznał uczucia wuja.

Zanim jednak zdążył zrobić krok, Will Gordon już stał między dwoma mężczyznami.

- A, lemoniada - powiedział, kiedy Shadrach wniósł tacę z napojami. - Właśnie tego nam trzeba po takiej podróży. Twoja szklanka jest prawie pusta, Kipp. Napijesz się jeszcze?

Kipp pokręcił głową.

- Nie, to mi wystarczy.

Blade ze szklanką w ręku odszedł w drugi koniec pokoju. Pozostali zaczęli rozmawiać, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z napięcia panującego w salonie. Za to Lije je wyczuł. Dostrzegł również, że obaj panowie nigdy nie odwracają się do siebie plecami.

- Już zapomniałem, jak to jest między moim ojcem a Kippem. Obiad dobiegł końca i wszyscy prócz Elizy, Tempie i pastora poszli do stajni obejrzeć czarną źrebicę Aleksa. Kiedy Sorrel ujrzała długonogą klacz o lśniącej sierści, zaczęła prosić, by Alex wziął ją na siodło. Uległ jej prośbom i wspólnie ruszyli na przejażdżkę po okolicy. Pozostali widzowie wolno poszli w stronę domu.

Will Gordon szedł między Kippem i Blade'em, a za nimi Lije, dotrzymując towarzystwa Susannah. Nie spuszczał przy tym wzroku z obu mężczyzn, nie mogąc oprzeć się wewnętrznemu głosowi, który kazał mu trzymać się blisko ojca. Szli, nie spiesząc się ze względu na panujący upał. Siedzący na dębie ptak przedrzeźniacz wyśpiewywał jedną ze swych arii.

- Gdyby nie ojciec, wątpię, czy zgodziliby się oddychać tym samym powietrzem albo siedzieć przy jednym stole - zauważyła Susannah.

- To prawda - przyznał Lije.

Tylko głęboki szacunek, jakim ojciec i wuj darzyli Willa Gordona, trzymał ich na wodzy. A pan tego domu zdecydowany był odrzucić błędy przeszłości i na nowo zjednoczyć rodzinę.

- Teraz jest lepiej - zauważyła Susannah. - Pamiętasz, jak po raz pierwszy zebraliśmy się razem? To było pięć lat temu na Boże Narodzenie.

- Krążyli wokół siebie jak dwa najeżone warczące psy.

- Pamiętasz, jak usiedliśmy do obiadu i pastor Cole odmówił modlitwę?

- I przypomniał nam, że Jezus przykazał miłować swych wrogów - dokończył Lije.

- Myślałam, że Kipp poderwie się z krzesła.

- Albo wskocz na stół.

- Mama twierdzi, że Kipp nadal sądzi, iż twój ojciec tylko czeka na okazję, by pomścić śmierć Shawano - powiedziała Susannah ze smutkiem.

- Kipp wciąż go prowokuje. Szuka tylko wymówki, by go zabić. W jego oczach ojciec na zawsze pozostanie zdrajcą, który zasługuje na śmierć.

- Kipp jest moim bratem i zawsze będę go kochać. - Właściwie to był jej przyrodnim bratem, lecz nie miało to dla niej różnicy. - Niestety zaślepią go nienawiść. Żal mi tylko Aleksa. - Uśmiechnęła się blade. - Ależ z nas ponura para. Taki piękny dzień, wróciłeś nareszcie do domu, powinniśmy się radować.

- Powinniśmy.

- Jakie masz plany na przyszłość? Zamierzasz otworzyć biuro adwokackie w Tahlequah?

- Chyba nie. - Przyglądał się, jak przeświecające przez konary dębów słoneczne promienie tworzą na ziemi cętkowany wzór. - Nie pociąga mnie myśl o siedzeniu za biurkiem w otoczeniu książek i papierów. Mam ich dość na jakiś czas.

- Zawsze możesz pomagać ojcu w interesach.

Blade prowadził rozległe i różnorodne interesy. Prócz rodzinnej plantacji miał dwie kamienice w Tahlequah, trzy parowce i kilka kutrów rybackich. Był również właścicielem stada bydła w Outlet i prowadził młyn.

- Postanowiłem poprosić dziadka, by pomógł mi dostać się do milicji.

- Lije Stuart strażnikiem pokoju - powiedziała wolno, jakby starała się go wyobrazić w tej roli. - Pasujesz do tego stanowiska. Znasz się na prawie i jesteś uczciwym człowiekiem. Tak, myślę, że się nadajesz.

- Może i tak. Podejrzewam jednak, że moi i twoi rodzice woleliby, bym zajął się adwokaturą i został dżentelmenem z zieloną teczką - powiedział, rozmyślnie używając tego staromodnego określenia. - Na szczęście nie muszę jeszcze podejmować decyzji w tej sprawie.

Idący przed nimi Kipp, Will Gordon i Blade mijali różaną pergolę. Po drewnianym okratowaniu pięły się pnącza obsypane czerwonymi kwiatami, napełniając powietrze słodkim zapachem i tworząc szkarłatny tunel.

- Spójrz na te róże. Są teraz w pełni rozkwitu - powiedziała Susannah. - Jak pięknie musi być teraz u naszego wodza Rossa w Park Hill. Cały podjazd, długi na dwa kilometry, ma obsadzony różami.

Zatrzymała się przy pergoli, podziwiając piękne kwiaty. Na jednym z nich przysiadł olbrzymi żółtoczarny trzmiel. Nóżki i skrzydełka miał obsypane złocistym pyłkiem. Susannah przesunęła palcem po aksamitnym płątku róży. Następnie pochyliła się i wciągnęła w nozdrza słodki zapach. Promień słońca przeniknął przez gałęzie dębu i rozświetlił jej brązowe loki. Wyglądała uroczo na tle świetlnej smugi i kobierca z róż. Wysoka i smukła miała w sobie wiele gracji i wdzięku.

Susannah była dziewczyną o niezwyklej uczciwości i prostolinijności, zarówno w uczuciach, jak i zachowaniu, co nieczęsto spotyka się u kobiet. Nigdy nie stanie się jedną z tych czarujących piękności, których prowokacyjny wygląd znaczy dla mężczyzn więcej niż słowa. Susannah nic nie wiedziała o kobiecych sztuczkach. Zalotne spojrzenia i olśniewające uśmiechy były obce jej naturze.

- Ten ogród zawsze przypomina mi Dianę. Tak często biegałyśmy po nim jako dzieci - rzuciła obojętnym tonem, lecz uważnie obserwowała reakcję Lijego.

Zesztywniał. Spojrzała na niego z nagłym zainteresowaniem. O co chodzi, Lije? Co zaszło między

tobą a Dianą?

- Nic.

Pokręciła głową niedowierzająco.

- Coś musiało zajść. W ostatnim liście pisała, że bardzo się do siebie zbliżyliście. Tymczasem wystarczy, abym wymieniła jej imię, a twoje oczy zaczynają dziwnie błyszczeć.

- Zdaje ci się.

Zrobił ruch, jakby chciał odejść, zastąpiła mu więc drogę.

- Nie zaprzeczaj, Lije, zbyt dobrze cię znam. - W odpowiedzi zaklął cicho pod nosem. -

Spędziliście z Dianą wiele czasu.

- To prawda, ale teraz ja jestem tu, a ona tam.

- Ale dlaczego? Powiedz.

- Bo tam chce być.

Pokręciła głową na tak enigmatyczną odpowiedź.

- Musieliście się pokłócić. O co poszło? Ojej matkę?

- Cokolwiek zaszło między mną i Dianą należy do przeszłości. Nie chcę o tym mówić - powiedział twardo. - Najwyższy czas wrócić do domu, bo inni zaczną się zastanawiać, gdzie się podziewamy.

Susannah zawahała się, po czym zdecydowała, że nie będzie dłużej ciągnąć tego tematu. Najwyraźniej Lije nie chciał się jej zwierzyć, co oznaczało, że będzie musiała dowiedzieć się wszystkiego od Diany, kiedy już znajdzie się na Wschodzie.

Ruszyła w stronę domu. Żadne z nich nie zauważyło idącej za nimi pary, nie usłyszało też dziewczęcego wołania.

- Lije, zaczekaj! Zaczekaj na nas! - krzyknęła Sorrel i rzuciła się do biegu.

Brat jednak nie obejrzał się za siebie. Zatrzymała się zmartwiona, po czym odwróciła się w stronę nadchodzącego Aleksa.

- Chyba mnie nie słyszał.

- Chyba nie.

- Nie pojechaliśmy daleko. Mógł poczekać i razem wrócilibyśmy do domu.

- Wygląda na to, że nie chciał czekać.

- Chyba tak - przyznała Sorrel markotniejąc.

- Rozchmurz się, moja mała Sorrel. - Uśmiechnął się do niej z wyrachowanym błyskiem w oku. -

Twój brat nie chciał na ciebie poczekać, ale ja zawsze będę na miejscu.

Dziecięca twarzyczka Sorrel natychmiast się rozjaśniła.

Lije postanowił zaczekać tydzień z poinformowaniem rodziców o swoim zamiarze wstąpienia do czirokeskiej milicji. Uznał, że zrobi to podczas śniadania. Nie pomylił się co do ich reakcji.

- Do milicji? - Widelec uderzył o talerz Tempie. - Chyba nie mówisz poważnie?

- Jak najpoważniej.

Spokojnie odkroił kawałek omleta, którego zapach zmieszał się z zapachem pieczonego bekonu i kawy.

- A ja myślałam... - Spojrzała na siedzącego u szczytu stołu męża, który przyglądał się synowi spod zmrużonych powiek. - Sądziłeś z ojcem, że zechcesz otworzyć biuro adwokackie.

- Już zorganizowałem nawet miejsce w jednej z moich kamienic w Tahlequah - powiedział Blade. - Samo centrum i doskonale nadaje się na twoje potrzeby.

Lije pokręcił głową.

- Ostatnie cztery lata spędziłem wśród ścian, książek, papierów i ludzi. Potrzebne mi teraz zajęcia wymagające fizycznego wysiłku i otwartej przestrzeni.

- Skoro tak, to możesz zająć się prowadzeniem plantacji - zaproponowała Tempie. - Jest przy niej mnóstwo pracy, w dodatku odciążylbyś trochę ojca.

- Twój zarządca, Asa Danvers, doskonale sobie z tym radzi. Mnie pozostałoby tylko nadzorowanie zarządcy.

- W takim razie zajmij się młynem lub bydłem w Outlet - Tempie powoli traciła cierpliwość.

- To po co w takim razie studiowałem przez cztery lata?

- A parowce? Dlaczego... - Urwała, zdając sobie sprawę, że do tego zajęcia również nie jest potrzebne wykształcenie.

- Dobrze to przemyślałeś, prawda? - zapytał Blade. W odpowiedzi Tempie rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- A więc zgadzasz się na to? Jak możesz? - wybuchnęła. - Jaka przyszłość czeka go w milicji?

- Nie powiedziałem, że chcę w niej być do końca życia - zauważył Lije.

- W takim razie po co chcesz do niej wstąpić?

- Bo mam odpowiednie predyspozycje i kwalifikacje.

- Ale dlaczego? Czemu chcesz spędzać czas na tropieniu handlarzy whisky, złodziei i morderców, tłumieniu bijatyk czy zajmowaniu się pijakami.

- Lepiej więc ignorować fakt, że w naszym narodzie istnieją takie elementy?

- Nie, ale dlaczego to ty masz im stawiać czoło?

Odsunęła krzesło i cisnęła serwetkę na stół. Nigdy dotąd matka się na niego nie gniewała. Ten wątpliwy honor rezerwowała zazwyczaj dla ojca. Sorrel w milczeniu obserwowała rozgrywającą się scenę, przenosząc spojrzenie z jednej osoby na drugą.

- Czemu innym tego nie zostawisz?

- Czemu? - powtórzył Lije z wyzwaniem w głosie. - Bo to niewłaściwe zrzucać tę pracę na kogoś innego. Czy tego właśnie chcesz? Może takie panuje powszechne mniemanie, lecz nie znaczy, że jest słuszne.

- Milicja nie cieszy się najlepszą reputacją - upierała się przy swoim, rozmyślnie ignorując jego argumenty. - Niektórzy jej przedstawiciele zachowują się niczym straż obywatelska i wykorzystują swoją pozycję do załatwiania własnych porachunków.

- To jeszcze jeden powód, by do niej wstąpić i nie dopuścić, by tacy ludzie skorumpowali całą organizację i udowodnić ludziom, że prawo jest równe dla wszystkich.

- To bardzo szlachetny zamiar - rzuciła szyderczo - lecz bardzo naiwny. Korupcji nie da się całkowicie wyplenić. Zawsze będzie istnieć.

- Nie znaczy to, że nie należy jej zwalczać.

- Pokonał cię, Tempie - powiedział cicho Blade, uśmiechając się nieznacznie. - Przyznaj się.

Odwróciła się ku niemu zaciskając dłonie w pięści.

- Jak możesz trzymać jego stronę?

- Bo jego argumenty brzmią rozsądnie.

- Rozsądnie? - wykrzyknęła z wściekłością. - Czy i o jego bezpieczeństwo mam się teraz obawiać?

Nie czekając na odpowiedź, wyszła z pokoju z wysoko uniesioną głową. Lije zdążył jednak

dostrzec łzy błyszczące w jej oczach. Zaklął pod nosem i zerwał się z krzesła, bo nagle zrozumiał powody jej niechęci.

- Powiniennem się domyślić - mruknął, pocierając dłonią kark. - Nie przypuszczałem...

- Ani ja. - Blade również wstał i spojrzał na syna. - Czy nadal obstajesz przy swoim postanowieniu?

Lije zawahał się, po czym skinął głową.

- Tak. - Westchnął i dodał: - Pójdę z nią porozmawiać.

- Nie. - Blade uniósł w górę rękę. - Pozwól, że ja z nią pomówię. W końcu to ode mnie wszystko się zaczęło - dodał ze smutnym uśmiechem i wyszedł.

Lije odprowadził go wzrokiem, po czym odwrócił się do stołu i napotkał oskarżycielski wzrok Sorrel.

- Mama miała łzy w oczach, kiedy wychodziła.

- Wiem.

Usiadł i podniósł z podłogi serwetkę. Leżący na talerzu omlet zdążył już wystygnąć i wyglądał nieapetycznie. Lije rozłożył serwetkę na kolanach i wziął do ręki widelec.

- Dlaczego zmusiłeś mamę do płaczu? - zapytała Sorrel.

- Nie miałem takiej intencji.

- Wcale nie jesteś miły. - Zsunęła się z krzesła i spojrzała na niego. Broda jej się trzęsła, a oczy ciskały błyskawice. - Żałuję, że wróciłeś. Chciałabym, żeby to Alex był moim bratem, a nie ty.

Wybiegła z pokoju. Lije siedział chwilę nieruchomo, po czym odsunął talerz, usiadł bokiem na krześle i zarzucił ramię na oparcie. Nieumyślnie zranił matkę i siostrę. Wiedział jednak, że odczuwany teraz żal przerodziłby się w rozpacz, gdyby nienawiść między rodzinami rozgorzała na nowo. Jeśli to nastąpi, pierwszy musi się o tym dowiedzieć i działać zgodnie z prawem. Nie będzie po raz drugi stał bezczynnie. Dlatego właśnie postanowił wstąpić do milicji. Nie mógł jednak powiedzieć tego rodzicom.

Blade znalazł Tempie w salonie. Chodziła nerwowo tam i z powrotem, dając upust gniewowi. Spojrzała na męża pałającym wzrokiem.

- Mężczyźni. - Chwyciła poduszkę z sofy i ścisnęła ją w dłoniach. - Żaden z was nie dba o to, że przysparza innym zmartwień.

- Nie bądź niemądra.

Odwróciła się, podeszła do kominka i utkwiała wzrok w ozdobnym mosiężnym ekranie.

- Dlaczego Lije, mając do wyboru tyle możliwości, musiał wybrać właśnie tę?

- Bo uważa, że jest dla niego najlepsza - odpowiedział Blade podchodząc do niej.

- To niesprawiedliwe - rzuciła napiętym głosem.

- Wiem.

Przesunął dłońmi wzdłuż linii jej ramion. Zesztywniała, po czym rozluźniła się i westchnęła głęboko.

- Kiedy powracam myślami do tych czasów, kiedy opowiedziałeś się za traktatem przesiedleńczym, przypominam sobie, jak bardzo się bałam, kiedy widziałam tych ludzi, którzy bez przerwy obserwowali nasz dom, gróźb rzucanych pod twoim adresem, zasadzki, w czasie której cię zraniono. A potem kiedy się tu osiedliliśmy, Shawano i inni zostali zamordowani, znowu musiałeś się ukrywać. Nigdy nie zapomnę, co wtedy przeżywałam. - Umilkła i odwróciła się do niego twarzą. Oczy miała suche, lecz przepelnione bólem. - Serce ścisnęło mi się za każdym razem, kiedy

widziałam jeźdźca na koniu, przekonana, że przywozi mi wiadomość, że zostałeś ranny lub zginąłeś. Przez wiele lat bałam się, kiedy wyjeżdżałeś z domu. Nawet teraz czuję strach, gdy cię nie ma, a ktoś nadjeżdża. Przed kilkoma minutami nasz syn oświadczył, że chce wstąpić do milicji i chwycić przestępców, którzy mogą działać w desperacji i nie cofnąć się przed niczym.

- Wiem, Tempie. - Przesunął pieszczotliwie palcami po jej twarzy.

- Naprawdę? - Chwyliła jego dłoń i przytuliła do niej policzek. - Gorsze od utracenia ciebie byłaby tylko utrata naszego syna. Nie wiem, czy bym to zniosła.

- Byłoby to bardzo bolesne - przyznał Blade. - Ale jesteś przecież taka silna, Tempie. Zniosłabyś to, bo byś musiała. Tak jak my wszyscy.

Spojrzała mu w oczy z nagłą determinacją.

- Mógłbyś z nim porozmawiać, przekonać go...

- Nawet nie będę próbował. Lije musi podążać własną drogą. Jak możesz oczekiwać po nim, by wybrał łatwe i bezpieczne życie? Przecież jest naszym synem.

- Nie chcę, żeby Lije przeżywał to samo co my. Chcę, aby było mu lepiej.

- Nie nam o tym decydować.

- Dlaczego musisz być taki rozsądny?

Odwróciła się i skrzyżowała ręce na piersi. Zachichotał, czym ponownie ją rozgniewał.

- Cieszę się, że cię rozbawiłam.

- Przypominam sobie, jak Lije stawiał czoło naszemu gniewowi: nawet się nie skrzywił. Myślę, że poradzi sobie również z gotowym na wszystko przestępcą.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego. Spoważniał.

- Przypuszczam, że Lije wkrótce pojedzie do Oak Hill prosić twojego ojca o pomoc w przyjęciu go do milicji. Wie, że się gniewasz i wie dlaczego. Mimo to pojedzie. Możesz nie dać mu swojej zgody, lecz nie pozwól, by wyjechał, mając w pamięci ostre słowa, jakie padły między wami. Będiesz tego żałować i on również.

Z tymi słowami odwrócił się z zamiarem wyjścia z salonu. Zobaczył stojącego w drzwiach Lijego. Zerknął na Tempie, po czym skierował się do drzwi, kiwnąwszy synowi głową. Tempie odwróciła się, sądząc, że została sama.

- Poleciałem, by Ike osiodłał mi konia - odezwał się Lije. Uniosła dumnie głowę, lecz zaraz ją spuściła z wyrazem rezygnacji na twarzy.

- Chciałabym cię przekonać do zmiany decyzji, ale jesteś taki sam jak twój ojciec.

- Doskonale - uśmiechnął się Lije. - Rozumiem więc, że uzyskałem przebaczenie.

- Jesteś bardzo pewny siebie - powiedziała, łagodniejąc wbrew sobie.

- Tak.

- Nie mam wyboru. - Przyglądała mu się przez chwilę. - Dawno temu przekonałam się, że Stuartami nie można kierować.

- Przecież nie chciałabyś, żebyśmy byli inni.

- Może i nie. Ale jesteś moim synem, Lije. Nie możesz ode mnie oczekiwać, bym zaakceptowała twoją decyzję.

- Rozumiem to. - Cień żalu przemknął mu przez twarz. - Przekażę dziadkowi twoje pozdrowienia.

Odwrócił się i wyszedł z salonu. Odgłos jego kroków odbił się echem w panującej wokół ciszy. Usłyszała, jak otwierają się i zamykają drzwi frontowe. Zapragnęła nagle przywołać syna do siebie, lecz przecież jako dorosłemu mężczyźnie nie mogła mu niczego kazać.

Tak trudno było zachować neutralność w obliczu nienawiści, która niegdyś podzieliła jej rodzinę. Skąd teraz ma znaleźć siły, by stawić czoło nowemu, dotyczącemu jej bezpośrednio, doświadczeniu?

W połowie lipca Lije został przyjęty do milicji. Otrzymał stopień porucznika i czterech ludzi do pomocy. Miał patrolować własny okręg. Pierwszy miesiąc upłynął mu na uczeniu się przepisów, poznawaniu terenu i zajmowaniu się drobnymi wykroczeniami.

Trzy dni przed wyjazdem dziadków i Susannah na Wschód mieszkający na peryferiach jego dystryktu Czirokez przyłapał złodzieja na kradzieży koni. Wybuchła strzelanina. Właściciel upadł śmiertelnie ranny, a złodziej uciekł.

Lije, w towarzystwie jednego ze swych ludzi, Sama Blackburna, przybył na miejsce na krótko przed śmiercią poszkodowanego. Jego żona opisała mu trójkę skradzionych koni. Jeden był brązowobiałej maści i miał szklane oko, drugim była klacz z białą strzałką na czole, a trzeci gniadym wałachem z czterema białymi skarpetkami i gwiazdą na czole. Żaden nie został oznakowany, lecz jeden z nich miał wyszczerbioną podkowę na tylnym kopycie, która zostawiała na ziemi charakterystyczny ślad. Podążyli więc tropem złodzieja. Jechali za nim przez dwa dni. Wieczorem drugiego dnia Lije spostrzegł trzy konie stojące w samym środku łąki. Wyglądało to na pułapkę.

Lije ostrożnie objechał łąkę z jednej strony, a jego towarzysz z drugiej. W pewnym momencie Lije dostrzegł ślady końskich kopyt w miejscu, w którym ścigany zjechał z łąki na drogę. Podążył tym tropem, by się upewnić, czy złodziej nie zawrócił po swoich śladach, po czym wrócił do skradzionych koni. Pod uzdą jednego z nich tkwiła kartka.

To som konie, które ukradłem. Nie chciałem nikogo zaszczelić. Bronilem siem. Kiedy wypalił do mnie z tego karabinu i podziurawił mu kapelusz, wściekłem siem. Nigdy jeszcze nie szczelałem w gniewie do człowieka. Nigdy więcej tego nie zrobiem. Mam nadzieję, że on żyje.

- Spójrz na to. - Lije pokręcił głową zdumiony i podał kartkę Samowi. - Ten dureń nawet się podpisał. „D. Russell”.

Sam pokiwał głową.

- Pewnie sobie wykombinował, że jeśli zwróci konie i obieca, że nie będzie już do nikogo strzelał, zrezygnujemy z pościgu.

- To źle sobie wykombinował. - Lije powiódł wzrokiem po wznoszących się przed nimi wzgórzach. - Nie może być dalej jak godzinę lub dwie przed nami. Ruszajmy tym śladem. Mam przecucie, że po dwóch nocach obozowania bez ogniska dziś wieczór je rozpali. Jeśli uda nam się podjechać wystarczająco blisko, zobaczymy jego blask.

Dwie godziny później zauważyli nikłe światło połyskujące między drzewami. Zsiedli z koni i ruszyli dalej pieszo. Wkrótce natknęli się na konia szczypiącego trawę przy strumieniu. Boki miał wciąż mokre od potu.

Ognisko było małe, dobrze ukryte wśród drzew. Podkradli się bezszelestnie bliżej i zatrzymali w cieniu rzucanym przez ognisko. Siedział przy nim mężczyzna z głową opartą na rękach. Wyglądał na zmęczonego i zrezygnowanego.

Lije dał znak Samowi, by go osłaniał i wszedł cicho w obręb światła z gotowym do strzału rewolwerem.

- Czy pan Russell?

Mężczyzna uniósł głowę zaskoczony.

- Tak. - Spojrzał podejrzliwie na Lijego, którego częściowo skrywał cień. - Kim pan jest?

- Nazywam się Stuart i jestem z czirokeskiej milicji.

- Niech cię diabli! - zaklął bandzior i sięgnął po broń.

Lije, nie zastanawiając się, wystrzelił z rewolweru. Kula trafiła mężczyznę w ramię. Przewrócił się, lecz miał jeszcze dość siły, by wyciągnąć rękę po broń. Lije dopadł jej pierwszy i kopnięciem usunął ją z zasięgu ręki złodzieja. Ten padł na ziemię, jęcząc z bólu. Sam Blackburn wyszedł z ukrycia i podniósł rewolwer z ziemi.

Lije stał nad złodziejem z wycelowaną w niego bronią.

- Zdaje się, że miałeś już nie strzelać w gniewie do człowieka.

- To nie był, cholera, gniew. - Złodziej przycisnął dłoń do krwawiącego ramienia. - To był czysty strach. Domyśliłem się, że chcesz mnie pan złapać i powiesić. Nie uśmiecha mi się perspektywa spotkania ze Stwórcą, kiedy będę dyndał na linie.

- W takim razie nie trzeba było strzelać do człowieka i kraść koni. Tym razem Sam Blackburn wziął złodzieja na muszkę, a Lije zajął się opatrzaniem jego rany.

- Wielu rzeczy nie powinienem robić - stwierdził, po czym wciągnął gwałtownie powietrze i skrzywił się z bólu, kiedy Lije badał mu ramię. - Zgruchotane, co? - zapytał przez zaciśnięte zęby.

- Na to wygląda - stwierdził Lije. - Kula odbiła się od kości i wyszła wyżej.

Zabandażował starannie chore ramię.

Następnego dnia o świcie cała trójka była już w drodze. Złodziej jechał na koniu przywiązany do siodła, a skradzione konie biegły z tyłu za nimi. Lije wybrał drogę biegnącą obok nowej osady Keetoowah powstałej w miejscu dawnego Fortu Gibson. Jeżeli dopisze mu szczęście, zdąży przed odpłynięciem parowca, którym dziadkowie i Susannah mieli podróżować do Massachusetts.

W południe ich oczom ukazały się zabudowania starego fortu. Jednocześnie znad przystani dobiegł schrypnięty głos gwizdka parowego, wzywający wszystkich na pokład i ogłaszający, że statek przygotowuje się do odpłynięcia. Lije zawołał do Sama, żeby został z więźniem i ukłął konia ostrogą. Wielki gniady rumak pomknął niczym błyskawica.

Kiedy wjechali na wzgórze, skąd teren opadał w dół ku przystani, Lije zobaczył, że trap wciąż jest spuszczone. Nieco dalej przy nabrzeżu stał powóz, a przy nim matka i Sorrel. Lije ruszył w dół zbocza, torując sobie drogę wśród gromady widzów.

Do trapu podeszli marynarze, by wciągnąć go na pokład. Już chciał przekląć swoje szczęście, kiedy dostrzegł kobietę w ciemnoszarym podróżnym kostiumie, która coś powiedziała do jednego z nich.

Zatrzymał konia tuż przy trapie i za chwilę zbiegła po nim Susannah.

- Zdążyłeś.

Chwyciła konia za uzdę, gdy Lije zeskakiwał na ziemię.

- Nie sądziłaś chyba, że przepuszczę okazję pożegnania się z moją ulubioną cioteczką - zażartował, uspokajając rozgrzanego po biegu konia.

- Jestem za młoda, by być twoją ciotką - powtórzyła swoją starą replikę, lecz tym razem jej wzrok złagodniał. - Ale smutno by mi było, gdybyś mnie tak nie nazwał.

- Wiem - odparł z uśmiechem, po czym spojrzał na statek. - A gdzie dziadek i Eliza?

- Na drugim pokładzie. - Wskazała na nich ręką. - Szkoda, że ich nie widziałeś - dodała. - Zachowują się jak para wyjeżdżająca na spóźniony miesiąc miodowy. Wzruszający widok.

- Nie mogli się już doczekać na tę podróż.

- Tak - przyznała i uśmiechnęła się radośnie. - Nikt nie przypuszczał, że zdążysz na czas. Tempie mówiła, że ścigasza jakiegoś mordercę. Aleja wiedziałam, że przyjedziesz.

- O mały włos, a bym nie zdążył.

- To prawda.

W tym momencie podszedł do nich kapitan i spojrzał na Susannah z wyrazem niecierpliwości na twarzy.

- Bardzo przepraszam, panienko, ale już odpływamy. Jeśli chce się panienka z nami zabrać, to proponuję wejść na pokład.

- Oczywiście, już idę. - Spojrzała z żalem na Lijego. - Czas na mnie. Masz do mnie pisać, Lije.

- Będę - przyrzekł. Zawahała się, po czym zapytała:

- Czy chciałbyś może przekazać coś Dianie? Wyraz jego oczu natychmiast stwardniał.

- Daj spokój, Susannah. To już skończone.

Zdążyła jednak dostrzec błysk bólu, którego nie udało mu się ukryć w porę.

- Mam nadzieję, że nie. - Z natury nieskora do okazywania uczuć cmoknęła go w policzek. - Uważaj na siebie - szepnęła, po czym uniosła suknię i wbiegła po trapie na pokład.

Lije patrzył za nią przez chwilę, potem wskoczył na siodło. Pomachał ostatni raz Susannah i dziadkom, następnie zawrócił konia i ruszył w stronę powozu.

- Spóźniłeś się - oświadczyła Sorrel, gniewnie unosząc brodę. - Za chwilę już by odpłynęli.

- Rzeczywiście, zdążyłem w ostatniej chwili. Zsiadł z konia. Cicho brzęknęły ostrogi.

- Wszystko w porządku?

Tempie obrzuciła go zatroskanym spojrzeniem. Tuż za nią stał Kipp z Alekssem, lecz nigdzie nie było ojca.

- Tak.

Uspokojona, krytycznym wzrokiem popatrzyła na przepocone, pokryte warstwą kurzu ubranie.

- Wyglądasz teraz jak jeden z naszych robotników po całym dniu pracy w polu.

Przytknęła do nosa pachnącą chusteczkę.

- Raczej po trzech dniach pracy. - Klepnął się po spodniach, wznosząc przy tym małe obłoczki kurzu. - Zaradzić temu może tylko kąpiel i czyste ubranie. To będą moje pierwsze czynności po powrocie do domu dziś wieczorem. Ojca z wami nie ma?

- Musiał pojechać w interesach do Fort Smith. Tam też złapie statek.

- Co się stało z tym koniokradaem, którego ścigałeś? - zapytał Kipp z zaczepką w głosie. - Udało mu się uciec?

- Złapaliśmy go wczoraj wieczorem.

Słyszając za sobą odgłos kopyt na twardej ziemi, odwrócił się i zobaczył podjeżdżającego Sama Blackburna, prowadzącego za sobą więźnia i skradzione konie. Skinął w milczeniu głową najpierw Lijemu potem pozostałym.

- Wieziemy go właśnie do okręgowego sądu. Kipp utkwiał wzrok w więźniu.

- Słyszałem, że człowiek, którego postrzelił, umarł.

- Tak.

W tym momencie Lije dostrzegł błysk metalu w klapie surduta. Była to mała broszka w kształcie dwóch skrzyżowanych ostrzy. Przypomniawszy sobie, że ktoś mu o niej mówił. Tylko nie mógł sobie przypomnieć kiedy i kto, ani co miała ona oznaczać. Alex miał w klapie identyczny znak.

- Co się z nim stanie? - zapytała Sorrel, szeroko otwierając oczy.

- Pozostanie pod strażą aż do rozprawy, która odbędzie się prawdopodobnie jutro lub pojutrze.

Czirokeska konstytucja gwarantowała każdemu obywatelowi szybki i sprawiedliwy proces.

- Czy go powieszają? - zapytała z mieszaniną ciekawości i lęku. Lije zawahał się, pragnąc oszczędzić siostrze okrutnej rzeczywistości. Alex jednak nie miał takich skrupułów.

- Jeśli zostanie skazany, możliwe, że powieszają go jeszcze tego samego dnia - oświadczył.

- Czy to prawda? - Spojrzała na Lijego i instynktownie przysunęła się bliżej matki.

- Najpierw muszą go uznać winnym kradzieży i morderstwa. Lecz zazwyczaj proces nie trwa długo, a wyrok wykonywano równie szybko.

Piskliwy głos gwizdka odwrócił od więźnia uwagę wszystkich i skierował ją na parowiec, który właśnie odbijał od nabrzeża. Kilkanaście rąk uniosło się w górę w geście pożegnania.

Odprawdzający zaczęli się rozchodzić. Kipp i Alex pożegnali się jako pierwsi i zostawili Lijego z matką i siostrą.

- Zobaczymy się więc dziś wieczorem? - zapytała Tempie, kiedy Lije odprowadził ją do powozu. Kiwnął głową.

- Niech czeka na mnie kąpiel i gorący posiłek.

- Dopilnuję tego.

- Nie możesz wrócić z nami do domu? - zapytała z żalem Sorrel.

- Musi jeszcze odprowadzić więźnia - przyszła mu z pomocą Tempie. Uśmiechnęła się do Lijego i dała znak czarnemu służącemu do odjazdu.

Stangret strzelił z bata i konie ruszyły. Lije odsunął się na bok, zaczekał, aż powóz go minie i wskoczył na konia.

- Gotowi? - zapytał.

Sam Blackburn skinął głową, a więzień rzucił mu pełne bólu i rozpaczony spojrzenie. Lije wziął wodze jego konia i ruszyli. Przez jakiś czas jechali w milczeniu.

- Sam, czy mówi ci coś znak skrzyżowanych ze sobą ostrzy, noszony w klapie surduta? - zapytał Lije.

Sam zerknął na niego spod oka.

- To znak Stowarzyszenia Keetoowah - odparł po chwili namysłu.

- Keetoowah? - zdziwił się Lije.

- To tajne stowarzyszenie. Jego członkowie są przeważnie Czirokezami, ale przewodzi im misjonarz Evan Jones.

- Ten abolicjonista - przypomniał sobie Lije. Teraz już wiedział, że tym znakiem pieczętuje się grupa przeciwna niewolnictwu. Znaczyło to, że powstały na Północy ruch dążący do zniesienia niewolnictwa dotarł i tu. Jego zwolennicy potrafili być niezwykle zajadli. Lecz nie to go w tej chwili dręczyło. - Nie pojmuję, dlaczego mój wuj wstąpił do tego stowarzyszenia. Nic go nie obchodzą Murzyni. Sam nawet jest właścicielem kilku niewolników.

- Ich celem jest również zachowanie w narodzie tradycji.

W kulturze Czirokezów zachowało się wiele tradycji narodowych, ale Lijemu przychodziła na myśl tylko jedna, którą Kipp pragnąłby kultywować - prawo krwi skazujące na śmierć każdego Czirokeza, który oddałby ziemie należące do plemienia, tak jak uczynił to przed laty jego ojciec. Alex oczywiście podzielał poglądy ojca.

- Nienawiść to wstrętne uczucie, Sam. Zaczyna się niepozornie, od niechęci, którą się pielęgnuje i karmi gorzkimi myślami. Jeśli jej nie zniszczyć, zapuści korzenie i zacznie rosnać. Im dłużej się ją pielęgnuje, tym staje się silniejsza, aż w końcu zaślepia człowieka tak, że nie widzi, nie słyszy i nie czuje nic z wyjątkiem nienawiści.

Sam mruknął coś pod nosem.

- Podobno Stand Watie namawiał pańskiego ojca, by przyłączył się do Rycerzy Złotego Kręgu - powiedział z pozoru obojętnym tonem.

Była to jeszcze jedna tajna organizacja, która rzekomo opowiadała się za niewolnictwem. Stand Watie był bratem nieżyjącego Eliasa Boudinota, jednego z sygnatariuszy nieszczęsnego traktatu, podobnie jak ojciec Lijego. I tak jak Shawano Stuart zginął z rąk zamachowców.

Lije poczuł zimny dreszcz przebiegający mu po plecach. Naród Czirokezów, tak jak cała Ameryka, zaczynał dzielić się na obozy opowiadające się za lub przeciw zniesieniu niewolnictwa. Odbywało to się jednak zgodnie ze starymi podziałami, które przed laty spowodowały wyłom w narodzie Czirokezów i oddzieliły majora Ridge'a i zwolenników nieszczęsnego traktatu od reszty plemienia opowiadającej się po stronie naczelnego wodza Johna Rossa. Nigdy nie uznał on traktatu, nawet wówczas, kiedy jego lud siłą zmuszono do przeniesienia się na Zachód.

Czarne chmury gromadziły się na niebie. W oddali słyhać było stłumiony odgłos grzmotu. Nadciągała burza. Lije nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Springfield, Massachusetts Pierwszy tydzień września 1860

Jony w posiadłości Wickhamów wciąż pozostawały zielone, lecz w powietrzu wyczuwało się już lekki powiew jesieni. Kiedy powóz wjechał na długi podjazd, Susannah z niecierpliwością wyczekiwała chwili spotkania z Dianą Parmelee.

Znały się od bardzo dawna. Susannah uważała Dianę za swoją najlepszą przyjaciółkę. I nadal nią była, choć nie widziały się pięć lat.

Uśmiechnęła się, wspominając tę dziewczynkę z Fortu Gibson. Śliczna Diana, ze złocistymi włosami, błękitnymi oczami i drobną uroczą twarzyczką, miała wszystko, czego Susannah brakowało. Mimo to uwielbiała Dianę i obie korzystały z każdej sposobności, by być razem... Aż do owego incydentu przed sklepem.

Ta scena stanęła teraz w jej pamięci jak żywa. Pomimo upływu lat wciąż na nowo ją zaskakiwała...

Do jej uszu dobiegł melodyjny dziewczęcy śmiech. Uniosła wzrok znad rozłożonych na ziemi kulek i zobaczyła swoją dziewięcioletnią przyjaciółkę Dianę idącą z ojcem w stronę sklepu. Radość zapłonęła w jej sercu.

Od chwili, kiedy dowiedziała się, że jadą do Fort Gibson, miała nadzieję, iż spotka tam Dianę Parmelee. Było to bardzo prawdopodobne, bo sklep znajdował się niedaleko kwatery oficerskich, gdzie mieszkała Diana. Kiedy było ładnie, Diana zwykle bawiła się przed domem. Susannah klepnęła Lijego w ramię. Zobacz. Tam idzie Diana.

- Wiem - odparł, nawet nie podnosząc głowy. Trzymał w palcach kulkę, celując w kulkę Susannah.

- Jak to możliwe? Nawet nie spojrzalesz w tamtą stronę.

- Zobaczyłem ją, jak wychodziła z za rogu z kapitanem Parmelee. Zawsze widzę wszystko wcześniej od ciebie.

Pchnął kulkę i wybił nią kulkę Susannah poza obręb pola.

- Czemu mi nie powiedziałeś? Wzruszył ramionami.

- To była twoja najlepsza zielona kulka. Teraz jest moja.

Susannah nie zwróciła uwagi na błysk triumfu w jego oczach. Utrata ulubionej kulki była niczym wobec pojawienia się Diany. Wstała z ziemi i pomachała do przyjaciółki. Diana dała jej znak i

powiedziała coś do ojca. Uśmiechnął się i skinął głową, puszczać jednocześnie jej rękę. Dziewczynka ruszyła biegiem w ich stronę.

Na jej widok Susannah doznała lekkiego ukłucia zazdrości. Diana wyglądała, jakby była wycięta z żurnala. Miała na sobie jasnofioletową sukienkę ozdobioną purpurowymi kokardami. Słomkowy kapelusz na głowie zdobiły fioletowe i purpurowe wstążki. Żłociste loczki otaczały twarzyczkę, która zawsze przypominała Susannah chińską lalkę z dużymi błękitnymi oczyma, długimi rzęsami, szczupłą brodą i kształtnymi usteczkami. Wiedziała, że nie wytrzyma z nią porównania, bo sukienka wisiała na niej niczym worek, włosy wyglądały, jakby potargał je wiatr, a ręce i nogi miała kościste i chude. Jak zwykle na widok ślicznej Diany uniosła podbródek nieco wyżej.

- Susannah, nie wiedziałam, że tu dziś będziesz. - Radość brzmiąca w głosie Diany sprawiła, że Susannah poczuła się ważna. - Długo już jesteś?

- Niedługo - zapewniła ją Susannah. Zauważyła, że Lije stoi teraz obok niej.

Diana rzuciła mu powłóczyście spojrzenie spod rzęs i uśmiechnęła się nieznacznie.

- Nic mi nie powiesz, Lije?

- Jak się masz? - zapytał, przyglądając jej się z uwagą.

- Dziękuję, dobrze. - Obdarzyła go szerokim uśmiechem. - Gdybym wiedziała, że tu będziecie, poszłabym z mamą do sklepu. Przechodziliście może obok naszych kwater? A ja byłam z tatusiem na spacerze.

Odwróciła się z uśmiechem do ojca, który właśnie do nich podszedł.

- Jak się macie, dzieci? - Kapitan Parmelee powitał ich kiwnięciem głowy.

Susannah wyprostowała się, bezwiednie naśladowując jego wojskową postawę.

- Dzień dobry, panie kapitanie - powiedziała oficjalnym tonem, uśmiechając się przy tym wesoło.

Znała kapitana Parmelee od urodzenia. On zaś znał jej rodzinę od czasów, kiedy Gordonowie mieszkali jeszcze w Georgii. W domu często o nim opowiadano. Najbardziej lubiła opowieść o tym, jak poznał jej przyrodnią siostrę Tempie i uczył ją tańczyć walca. Scena ta z czasem nabrała w jej wyobraźni romantycznego charakteru, kiedy Susannah podsłuchiwała, jak jej matka Eliza mówiła, że kapitan Parmelee nadal jest zakochany w Tempie, choć ożenił się z kimś innym.

- W co się bawicie, dzieci? - zapytał.

- Gramy w kulki - odpowiedziała prędko Susannah, widząc, że Lije zaciska zęby. Bardzo nie lubił, kiedy nazywano go dzieckiem. Uważał, że jako dwunastolatek jest na to za poważny.

- Kto wygrywa? - zainteresowała się Diana.

- Lije jak zawsze.

- Bo Lije jest starszy - pocieszył ją kapitan Parmelee, po czym spojrzał na chłopca. - Czy twoja matka też tu jest?

- Jest z Elizą w sklepie.

- Ach tak. - Odwrócił się i spojrzał w tamtą stronę.

- Grasz w kulki? - zapytała Susannah Diany.

- Niezbyt dobrze.

- Mogę cię nauczyć - zaofiarował się Lije.

- Chcesz z nami zagrać? Diana spojrzała na ojca pytająco.

- Mogę, tatusiu?

- Jak mógłbym ci odmówić, kiedy patrzysz na mnie tymi wielkimi niebieskimi oczami? - odparł żartobliwie, na co Diana zachichotała radośnie. - Pobaw się z Lije i Susannah, a ja tymczasem wejdę

do środka i zobaczę, czy mama zrobiła już zakupy.

- Mam nadzieję, że nie. A jeśli tak, to może znajdziesz jej coś ciekawego do pokazania.

Roześmiał się i pokręcił głową z udaną konsternacją.

- Zobaczę, co się da zrobić.

- Dziękuję, tatusiu. Bardzo dziękuję - powiedziała, dumna z odniesionego zwycięstwa.

- Tylko nie zabrudź tej ślicznej sukienki, bo twoja mama zmyje mi głowę.

- Będę uważać, tatusiu - obiecała.

- Bawcie się dobrze, dzieci - powiedział i ruszył do sklepu. Susannah poważnie potraktowała jego ostrzeżenie.

- Jeśli wsuniesz sukienkę między kolana, to przy kucaniu jej nie pobrudzisz - powiedziała i pokazała Dianie, jak należy to zrobić.

Diana poszła za jej radą i wkrótce cała trójka pochylała głowy nad leżącymi na ziemi kulkami.

- Znasz zasady? - zapytał Lije.

- Nie wszystkie - odpowiedziała Diana.

Ku zaskoczeniu Susannah Lije nie okazał rozdrażnienia i cierpliwie wyjaśnił reguły gry.

- Trzeba wybić kulką kulkę przeciwnika poza pole.

- Ale ja nie mam kulek.

- Mogę dać ci jedną - zaproponował Lije.

- Dasz mi tę niebieską? Jest taka ładna. - Diana wskazała najładniejszą kulkę Lijego.

- Jasne - odparł bez wahania.

Susannah spojrzała na niego zdumiona, lecz zaraz pomyślała, że on na pewno ją sobie odbierze.

Idąc za jego przykładem, również dała Dianie jedną ze swych kulek. Chwilę później Diana patrzyła zdumiona, jak Lije chowa do kieszeni czerwoną kulkę Susannah, którą zręcznie wypchnął poza pole.

- Możesz zabrać kulkę, jeśli wyrzucisz ją poza pole? Ale to znaczy, że stracę tę niebieską. Grasz lepiej ode mnie. Nie będę miała szans.

- Mogę strzelać lewą ręką zamiast prawą. Lewą nie idzie mi tak dobrze.

- To będzie sprawiedliwie - przyznała Susannah.

Lije i lewą ręką potrafił dobrze sobie radzić, lecz za drugim razem chybił. Teraz przyszła kolej na Susannah, która nie chcąc robić przykrości Dianie, nie próbowała zbić niebieskiej kulki. Dwa razy strzeliła, lecz nie trafiła.

- Teraz ty - zwróciła się do Diany.

Diana wzięła kulkę w palce, lecz nie pchnęła jej jak należy i kulka wypadła jej z ręki.

- To był próbny strzał - powiedział szybko Lije. - Dopiero się uczysz, możesz więc jeszcze dwa razy spróbować. Tylko musisz uderzyć kciukiem, o tak. - Jeszcze raz pokazał, jak powinna to zrobić. Diana spróbowała go naśladować, lecz bez powodzenia. Za drugim razem rezultat był taki sam. - Daj, pokażę ci.

Podszedł do niej, ułożył palce dłoni we właściwej pozycji i kazał spróbować bez kulki. W końcu pozwolił jej zrobić to z kulką. Wyszło trochę lepiej.

- Spróbuj jeszcze raz - powiedział. - Teraz trzymaj kulkę, a ja strzelę. Musisz poczuć, jak mój kciuk przesuwa się po twoim palcu.

Przysunął się do Diany, uklął na kolano i objął ją ramieniem. Potem ujął jej dłoń i ustawił w odpowiedniej pozycji. Następnie pochylał się tak, że policzkiem prawie dotykał jej policzka.

- Będziemy celować do tej żółtej kulki.

Coś jakby dźwięk czy ruch odciągnęło uwagę Susannah od kucającej na ziemi pary. Uniosła wzrok i zamarła na widok patrzącej na nich z nienawiścią żony kapitana Parmelee.

- Cecyljo! - rozległ się głos kapitana. Stał przed sklepem z pakunkami w rękach i wyrazem przerażenia i konsternacji w oczach. Jego żona w jednej chwili znalazła się tuż przy nich.

- Ty ohydny brudasie! Jak śmiesz dotykać mojej córki?! - krzyknęła, złapała Lijego jak w szpony, oderwała od zaskoczonej Diany i pchnęła na ziemię. W następnej chwili przyciągnęła do siebie córkę i rzuciła Lijemu nienawistne spojrzenie. - Nie waż się nigdy więcej dotykać jej swymi brudnymi łapskami, słyszysz?

- Ależ mamusi - zaprotestowała Diana bliska łez. - Lije i Susannah są moimi przyjaciółmi. Graliśmy...

- Zamilcz! - Potrząsnęła nią tak mocno, że dziewczynka umilkła przestraszona. - To brudne indiańskie dzieci. Nigdy więcej nie wolno ci się z nimi bawić. Nigdy.

- Cecyljo! - Jed Parmelee stanął tuż przy niej. - Na litość boską, co ty wyprawiasz? To jest syn Tempie i...

- Myślisz, że nie wiem, kim on jest? - cisnęła mu w twarz. - Myślisz, że nie wiem, że to potomek tej nędznej, obmierzłej suki? Nie pozwolę, by ta brudna indiańska hołota zbliżała się do mojej córki. Słyszysz? Nie pozwolę!

Odwróciła się i odeszła, ciągnąc za sobą Dianę.

Susannah zapamiętała łzy spływające po policzkach przyjaciółki i wyraz przerażenia malujący się na jej twarzy. Przypomniała sobie, jaka była zrozpaczona na myśl o tym, że nigdy już nie zobaczy ukochanej przyjaciółki. Jednak niecały miesiąc później Diana z ojcem przyjechali konno do Oak Hill.

Jed Parmelee postarał się, żeby ich wizyta wyglądała na zupełnie przypadkową, oświadczając, że wybrali się z Dianą na popołudniową przejażdżkę i postanowili odwiedzić Gordonów. Dzień był ciepły, napoje podano więc w ogrodzie, przy różanej pergoli. Wszyscy, z wyjątkiem Susannah, zachowywali się, jakby nic nie zaszło. Ona zaś była pełna rezerwy, niepewna, jak postąpi przyjaciółka.

Diana podeszła do niej i poprosiła grzecznie o pokazanie jej ogrodu. Kiedy zostały same, Diana spojrzała na Susannah z powagą.

- Obiecałam mamie, że nie będę się bawić z tobą i Lije - oznajmiła. - Odtąd możemy rozmawiać, spacerować lub śpiewać piosenki, ale nie wolno nam się bawić.

Susannah zmarszczyła brwi.

- Ale czy to nie będzie zabawa?

- Nie. Tatuś powiedział, że czasami dobrze jest ściśle wypełniać rozkazy. A zabawa oznacza gry, takie jak kulki, lalki, skakankę czy zabawę w chowanego. Tatuś powiedział, że zachowałabym się niegrzecznie, gdybym z tobą nie rozmawiała. A mama nie chciałaby, żebym zachowywała się niegrzecznie - tłumaczyła Diana z konspiracyjnym uśmiechem.

- Nadal więc będziemy przyjaciółkami? - zapytała Susannah, nie mogąc jeszcze w to uwierzyć.

- Oczywiście - odparła z uśmiechem Diana. - Mama zabroniła mi tylko bawić się z wami. Nie mówiła, że nie możemy się przyjaźnić.

Spoglądając na to z perspektywy lat, Susannah doszła do wniosku, że przy pomocy ojca Diana doskonale sobie poradziła z zakazem matki i uratowała ich przyjaźń. Była jej za to wdzięczna.

Powóz zatrzymał się właśnie przed domem Wickhamów. Stangret zeskoczył z kozła i pomógł jej wysiąść. Susannah podziękowała i podeszła do frontowych drzwi. Spojrzała na dzwonek i poczuła

przyływ paniki. Nie widziały się z Dianą pięć lat. Co prawda korespondowały ze sobą, lecz czym innym jest spotkanie twarzą z twarzą. Ludzie się zmieniają, a wraz z nimi przyjaźnie. Może ich również się zmieniła.

Tylko w jeden sposób można to sprawdzić. Energicznie przekreśliła dzwonek. Drzwi otworzył lokaj w liberii i zmierzył ją podejrzliwym spojrzeniem.

- Czym mogę panience służyć? - zapytał niepewnie.

- Jestem Susannah Gordon. Panna Parmelee mnie oczekuje - oznajmiła z godnością.

- Tak, oczywiście. - Otworzył szerzej drzwi. - Proszę wejść, panno Gordon. Powiem, że panienska przyszła.

- Nie trzeba, Billings - rozległ się głos Diany.

Susannah uniosła wzrok i zobaczyła, jak dawna przyjaciółka zbiega po szerokich schodach. Niebieskozielona jedwabna suknia falowała z szumem.

- Zobaczyłam powóz i wiedziałam, że to musisz być ty, Susannah. - Przecięła marmurową podłogę holu i chwyciła Susannah za rękę. - Całe lata minęły od naszego ostatniego spotkania. Niech no ci się przyjrzę: jakaś ty wysoka i urocza.

Susannah roześmiała się z ulgą. A więc nic się nie zmieniła, pozostała tą ciepłą uroczą dziewczyną, jaką niegdyś była.

- Wysoka to najodpowiedniejsze określenie.

- Urocza również, choć podejrzewam, że jesteś jedynym łabędziem, który nie przestanie uważać siebie za kaczkę - stwierdziła Diana, po czym odwróciła się do lokaja. - Billings, proszę wziąć od panny Gordon pelerynę i budkę i poprosić panią Kincannon o przygotowanie herbaty.

- Czy mam ją podać w pokoju panienki?

- Na Boga nie - zaśmiała się Diana. Był to ten sam melodyjny śmiech, który Susannah pamiętała z dzieciństwa. - W moim pokoju stoją kufry. Trudno byłoby się tam pomieścić. Wypijemy herbatę w salonie.

- Dobrze, panienko.

Skinął głową, wziął od Susannah pelerynę i budkę i odszedł.

- Salon jest tam.

Diana wzięła przyjaciółkę za rękę i poprowadziła za sobą, tak jak robiła to, kiedy były dziewczynkami.

- Dlaczego masz w pokoju kufry? Wybierasz się dokądś? - zapytała Susannah, nie mogąc powstrzymać ciekawości.

- Wyjeżdżam jutro do Bostonu. Matka i pan Austin wracają pod koniec tygodnia z podróży poślubnej. Jadę więc dopilnować, by wszystko było gotowe na ich przyjazd.

Wprowadziła Susannah do obszernego salonu, w którym królowały głębokie fotele z wysokimi oparciami i szerokimi poręczami i niskie miękkie foteliki z podnóżkami. Wskazała przyjaciółce jeden z nich, a sama usiadła na drugim.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że dziś przyszedłaś. Bałam się, że możemy się minąć. Powiedz, jak rodzice, Tempie i Blade? Czy Sorrel wciąż ma takie wspaniałe rude włosy?

Gawędziły przez jakiś czas o rodzinie i wspólnych znajomych, przekazując jedna przez drugą ostatnie nowiny. Diana najmniejszym nawet słowem nie zdradziła się, że cierpi z powodu Lijego. Śmiała się i plotkowała, jakby nigdy nic. Susannah gotowa była w to uwierzyć, gdyby nie fakt, że ani razu nie wymieniła imienia Lijego.

- Co zamierzasz zrobić po powrocie do Bostonu? - zapytała Susannah.

- Nie mam żadnych konkretnych planów, lecz przypuszczam, że mama nie pozwoli mi się nudzić, bo będzie szukać odpowiedniej dla mnie partii - odparła z typową dla siebie beztroską. - Uważa, że nadszedł czas, bym wyszła za mąż.

Susannah natychmiast skorzystała z okazji.

- Coś mi mówi, że Lije nie byłby z tego zadowolony. Uśmiech zniknął z twarzy Diany.

- Nie sądziłam, że Lije w ogóle o mnie myśli - powiedziała, wstając z krzesła i podchodząc do okna.

- Jemu wciąż na tobie zależy, Diano.

Przyjaciółka obróciła się ku niej z błyskiem nadziei w oczach.

- Czy prosił, abys mi to powiedziała?

- Nie.

- Mogłam się domyślić.

Odwróciła się do okna. Zgarbiła się lekko, chociaż głowę wciąż trzymała dumnie uniesioną.

- Co między wami zaszło, Diano?

- Nie chcę o tym mówić.

- To samo powiedział Lije. Dlaczego? O co wam poszło?

- To nie ma znaczenia.

- Dla mnie ma - upierała się przy swoim Susannah. - Martwię się o was. Twój ostatni list był taki radosny. Chciałabym wam pomóc, jeśli zdołam. Czy poszło o twoją matkę?

- Nie bezpośrednio - wyjaśniła Diana niechętnie. - Widzisz - dodała z nagłą energią - senator Frederick potrzebował kogoś do swojego biura w Bostonie. To była dla Lijego nadzwyczajna okazja. Mogłam przekonać sędziego Wickhama, by go zarekomendował. Ale Lije nie chciał nawet o tym myśleć.

- Chciałaś, żeby Lije zamieszkał na Wschodzie? - zapytała Susannah, pragnąc się upewnić, czy dobrze zrozumiała.

- Tak. Tu jest tyle możliwości. Sędzia Wickham mógłby go zaprotegować różnym wpływowym osobom. Gdyby Lije zdobył dobrą posadę, mama nie mogłaby mu nic zarzucić. Ale on wszystko to odrzucił. Oświadczył, że wraca do domu i koniec. Zachował się nierozsądnie, absolutnie, kompletnie nierozsądnie.

- Jeśli mam być szczerą, Diano, to trudno mi sobie wyobrazić, żeby Lije zgodził się zamieszkać na Wschodzie.

- Mogłam się spodziewać, że staniesz po jego stronie - oświadczyła sztywno.

- To nie o to chodzi - zaprotestowała Susannah. - Po prostu znam Lijego i wiem, przez co przeszedł i przez co przeszła jego rodzina. On czuje się opiekunem swego ojca, Diano. Tak było zawsze i przypuszczam, że tak pozostanie. - Ona również wstała z miejsca. - Jako malutki chłopczyk Lije był świadkiem śmierci dziadka, który zginął z rąk zamaskowanych mężczyzn. Uwielbiał go, dlatego bardzo bolał nad tym, że nie mógł przyjść mu z pomocą. Był wówczas zbyt mały, ale nigdy tego nie zapomniał.

- To było straszne, rozumiem, ale przecież zdarzyło się dawno temu - upierała się Diana.

- Lecz wpłynęło na jego decyzję.

- W takim razie powinien zrozumieć, że moja rodzina też jest dla mnie ważna - oświadczyła Diana. - Moja matka ma wiele wad, ale jest przecież moją matką i kocham ją.

- I tak powinno być. Lecz nie sądzę, choć bardzo bym chciała, by kiedykolwiek zaakceptowała Lijego, bez względu na to, jak wielki odniósłby sukces.

- Nie pojmuję, czemu w ogóle rozmawiamy na ten temat - rzuciła niecierpliwie Diana, lecz nie zaprzeczyła temu, co powiedziała Susannah. - Lije dał wyraźnie do zrozumienia, że nie dba o moje uczucia. Czemu więc ja miałabym dbać o jego?

- Chyba nie mówisz poważnie.

- Jak najpoważniej - oświadczyła stanowczo.

Susannah próbowała ją przekonywać, lecz Diana pozostała nieugięta. Nie chcąc popsuć ich wzajemnych stosunków, zmieniła więc temat.

W głębi duszy miała nadzieję, że będzie mogła napisać Lijemu coś pocieszającego, co pozwoli mu mieć nadzieję. Kiedy jednak dowiedziała się, co ich poróżniło, nie potrafiła znaleźć na to żadnej rady. Nie chcąc go martwić, postanowiła, że nie wspomni w liście o spotkaniu z Dianą.

Obozowisko przy Trakcie Tekszańskim 15 listopada 1860

Opadający zmierzch ubarwił niebo karmazynowymi i fioletowymi smugami, które powoli stawały się purpurowe. Cienie wydłużały się i gęstniały. Szept wiatru niósł ze sobą chłód zbliżającej się zimy i wprawiał w drżenie nieliczne już o tej porze roku liście.

Wysoko w górze zamigotała pierwsza gwiazda. Trzaskające wesoło płomienie niewielkiego ogniska rozpraszały mrok. Ze stojącego na rozżarzonych kamieniach blaszanego kubka unosiły się wstążki aromatycznej pary, wypełniając powietrze zapachem kawy.

Lije odstawił kubek na płaski kamień i oparł się o siodło. Ciepły płaszcz miał szczelnie zapięty aż pod szyję, a ręce w grubych rękawiczkach. Było tak zimno, że przy oddechu tworzyły się małe obłoczki pary.

Wyciągnął z torby przy siodle kawałek wołowiny i zaczął go żuć. Wokół panowała cisza, przerywana jedynie trzaskiem ognia i szuraniem końskich kopyt. Lije utkwił wzrok w gromadzących się cieniach. Szum wiatru przywiódł mu na myśl szelest jedwabiu, tańczące płomienie ogniska - złote błyski we włosach pewnej dziewczyny, a ciepło płynące od ognia - jej gorący oddech.

Zacisnął zęby i sięgnął do kieszeni płaszcza. Wyjął z niej ostatni list od Susannah i przysunął bliżej światła, by móc odczytać słowa skreślone ręką kuzynki.

Kochany Elijahu, Z wielką radością przeczytałam twój list z dziesiątego października, powiadamiający o szczęśliwym powrocie moich rodziców. Był dla mnie wielką pociechą, bowiem list od matki otrzymałam dopiero trzy dni później.

Spadł już pierwszy śnieg. Tak jak mówiłeś, zima przychodzi tu wcześniej. Przyznam się, że czasami tęskno mi za domem i jesienią, która często przeciąga się aż do grudnia. Mimo to jest mi tu dobrze...

Przebiegł wzrokiem akapity zawierające informacje na temat nauczycielek i nowych znajomości i zatrzymał się nad istotnym dla siebie fragmentem.

Wahałam się, czy Ci o tym napisać, lecz może dobrze, byś o tym wiedział. Ostatni weekend spędziłam w Springfield u Paytona Fletchera. Spotkałam tam jego wnuka, Franka Austina Fletchera, którego zdaje się znasz z Harvardu. Niedawno był on w interesach w Bostonie. Kiedy dowiedział się, że znamy rodzinę Parmelee i że spotykałeś się z Dianą Parmelee w czasie swojego tu pobytu, uznał, że pewnie zainteresuje mnie wiadomość, że Diana stała się, cytuję, „bostońską piękną”. Wedle jego słów lista jej wielbicieli rośnie z każdym dniem i krążą wokół niej niczym pszczoły wokół słoika z miodem. Wygląda jednak na to, że na jednego z nich się zdecydowała.

Frank „miał zaszczyt” - znowu jego słowa - siedzieć obok Diany na przyjęciu. Podobno dopytywała się o ciebie i była zawiedziona, że się o nią nie dowiadywałaś. Później tego wieczoru goście wzniesli toast szampanem, by uczcić ogłoszenie zaręczyn Diany z Johnem Albertem Richardsem. Frank powiedział, że jej matka wprost nie posiadała się z radości. Podobno pan Richards uważany jest przez damy za przystojnego dżentelmena. W dodatku pochodzi z niezwykle majątnej rodziny. Frank twierdzi, że musisz znać pana Richardsa.

Energicznie złożył list i wsunął go z powrotem do kieszeni. Doskonale pamiętał tego człowieka z Harvardu. John Richards był aroganckim snobem. Kiedy dowiedział się, że Lije pochodzi z Zachodu i jest Czirokezem, zaczął odnosić się do niego z pogardą. Matka Diany z pewnością świetnie się dogada ze swoim przyszłym zięciem.

Koń Lijego nagle parsknął głośno, wychwytyjąc w ciemności jakiś podejrzany dźwięk czy zapach. Lije poderwał się na nogi i zwinnie jak kot wszedł w cień. Posuwał się ostrożnie, trzymając w pogotowiu rewolwer, ku miejscu, gdzie stał przywiązany wierzchowiec.

Gniady wałach uniósł łeb i strzygł uszami, spoglądając z uwagą w jakiś punkt w ciemnościach po przeciwnej stronie. Lije chwycił konia tuż przy uździe. Coś musiało go zaniepokoić. Wyczuwał to po zachowaniu zwierzęcia i rozdętych chrapach, którymi starał się wyczuć tajemniczy obiekt.

- Spokojnie, Jubal - rzucił ściszym głosem Lije. - Co tam wyczułeś, hę?

Mógł to być skunks, kojot polujący na zdobycz lub też jakiś jeździec. Chwilę później posłyszał ciche stąpanie konia. Jego gniadosz wciągnął powietrze, by zarzeć na powitanie. Lije natychmiast zatkał mu nos.

Kroki zatrzymały się i Lije posłyszał jakby skrzyp skóry.

- Hej tam, w obozie! - rozległ się głos w ciemności. - Idę do was.

- Chodź, tylko powoli - odpowiedział.

Ponownie skrzypnęła skóra i dało się słyszeć miarowe stąpanie konia. Z ciemności wyłoniło się coś dużego, co w miarę zbliżania się do światła przybrało kształt konia i jeźdźca. Nieznaj omy zatrzymał się i oparł ręce na łęku. Naciągnięty na czoło kapelusz krył w cieniu górną połowę twarzy. Policzki miał ciemne od zarostu.

- Zapach pańskiej kawy drażni mi nozdrza już od kilometra - odezwał się mężczyzna, przeciągając zgłoski z charakterystycznym teksańskim akcentem. - Pomyślałem, że może pozwoli mi pan spędzić tu noc. Mam już dość towarzystwa mojego konia. Nie słucha tego, co mówię i zbyt dużo gada.

Koń obrócił się w miejscu i światło ogniska wydobyło z mroku wypalony znak na zadzie.

- Pański koń ma znak z Rocking Lazy L w Teksasie - powiedział ukryty w cieniu Lije.

- I lepiej żeby miał. Właśnie tam jadę. Nazywam się Lassiter. Ransom Lassiter.

- Dlaczego właśnie wtedy?

- Pędziłem stado bydła na Północ, a teraz wracam do domu - wyjaśnił. - Zadaje pan strasznie

dużo pytań. Byłoby mi łatwiej na nie odpowiadać, gdybym mógł pana widzieć. Pan wie, kim jestem, ja o panu nic.

- Słuszna uwaga. - Lije wyszedł z cienia, trzymając przy boku rewolwer z lufą skierowaną do dołu. - Nazywam się Lije Stuart. Jestem z czirokeskiej milicji.

- Nie dziwię się, że traktuje pan podejrzliwie obcych.

- Czujność popłaca.

Przyjrzał się uważnie obcemu i dostrzegł grubą warstwę kurzu na ubraniu. Kurz, ostrogi przy butach, kapelusz z szerokim rondem i skórzane ochraniacze wskazywały na to, że mężczyzna jest teksańskim poganiaczem bydła. Nie dostrzegł w nim jednak nic podejrzanego. Wyglądał na równego mu wiekiem, miał gęste brązowe włosy i pociągłą twarz o ostrych rysach. W szarych oczach błyszczała wesołość, a na wargach błędził lekki uśmiech.

- Może pan zsiąść i ogrzać się przy ogniu.

- Wielkie dzięki. - Ransom Lassiter zeskoczył z siodła. - Gdyby miał pan trochę kawy, dam w zamian puszkę brzoskwiń. Moja zginęła w rzece podczas przeprawy, gdy koń zobaczył węża i stanowczo zaprotestował przeciw jego towarzystwu.

- Mądre zwierzę - stwierdził Lije, uśmiechając się nieznacznie. - Proszę mi rzucić swój kubek, to zagotuję panu trochę kawy.

Ransom Lassiter wyciągnął z torby przy siodle wyszczerbiony kubek, po czym zajął się rozkulbaczaniem konia. Kilka chwil później wrócił do ogniska, niosąc siodło, uprzęż i strzelbę.

- Prowadził pan stado do Kansas City czy do Westport? Miasta te były głównymi punktami spędu bydła z Teksasu.

- Zamierzaliśmy dotrzeć do Kansas City - wyjaśnił Rans Lassiter, kładąc siodło i derkę na ziemi.

- Lecz na granicy stanu napotkaliśmy grupę uzbrojonych farmerów. Nie mieliśmy w stadzie ani jednej chorej sztuki, ale oni nie pozwolili nam przejść. Powiedzieli, że stracili już dość bydła przez teksańską zarazę i nie mają zamiaru stracić kolejnych sztuk. Więc zawróciliśmy na wschód i popędziliśmy krowy do Saint Louis. - Wyciągnął z worka puszkę brzoskwiń, podał ją Lijemu, po czym zdjął z ognia kubek z parującą kawą. - Słyszałem, że Lincoln wygrał wybory.

- Tak.

Miało to miejsce przed tygodniem.

- Więc teraz się zacznie - stwierdził z westchnieniem Lassiter i zsunął kapelusz na tył głowy. Jego szare oczy błyszczały w świetle ogniska niczym roztopiony ołów. Usiadł na ziemi, oparł się o siodło i wyciągnął w przód długie nogi w zakurzonych, podrapanych ochraniaczach. - Południowe stany zaczęły się odłączać.

- Nie ma takiej potrzeby. - Lije wbił nóż w puszkę z brzoskwiniami. - Prezydent nie ma ani takiej władzy, ani środków, które pozwoliłyby na zniesienie niewolnictwa. I on o tym wie. Poza tym partia Lincolnna jest w mniejszości, zarówno w Izbie Reprezentantów, jak i w Senacie. Południowe stany muszą tylko zewrzeć szeregi. Lassiter uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Wygląda na to, że nie rozumie pan tych dżentelmenów z Południa. Zapowiedzieli, że jeśli Lincoln zostanie wybrany, wystąpią z Unii. To sprawa honoru. Powiedzieli, że to zrobią, więc nie pozostaje im nic innego.

- Może górę wezmą rozsądek i rozwaga. Lije wbił nóż w brzoskwinię.

Lassiter zachichotał.

- Gdy w grę wchodzi rozsądek i honor, Południowiec zawsze wybierze honor.

- Możliwe.

Lije przypomniał sobie artykuł o tym, że delegaci z Karoliny Południowej mają się w tym tygodniu spotkać celem przedyskutowania secesji. To właśnie przedstawiciele tego stanu wypowiedzieli posłuszeństwo Andrew Jacksonowi przed trzydziestu laty, kiedy Czirokezi walczyli z Georgią o utrzymanie swych ziem. Potem Georgia zagroziła, że przyłączy się do Karoliny Południowej. Jackson nie mógł pozwolić na wystąpienie dwóch stanów z Unii. Wysłał więc do Charlestonu okręty wojenne, by dowieść swej władzy, a Georgię ugłaskał, odmawiając Czirokezom pomocy. Teraz jednak to nie Jackson zasiadał w fotelu prezydenckim. Może konfrontacja była nieunikniona.

- Mój ojciec twierdzi, że żaden prezydent nie zdecydowałby się na podjęcie zbrojnej akcji, gdyby jakiś stan postanowił się odłączyć - powiedział. - Według niego można to załatwić na drodze dyplomatycznej.

- Może i tak. - Rans dmuchnął w parujący płyn. - Wielu Czirokezów ma służących Murzynów. Po czyżej więc stronie opowiadają się pańscy ludzie?

- Nasz wódz naczelny, John Ross, uważa, że to nie nasza sprawa, lecz białych. Opowiada się za neutralnością. Według niego jesteśmy zbyt oddaleni od źródła konfliktu, by dotarł aż na daleki zachód. Któregoś dnia podsłuchałem, jak jeden z naszych kucharzy mówił do Ike'a, że chmury, które zbierają się nad Północą i Południem są zbyt ciężkie, by dotrzeć aż tu - dodał z uśmiechem.

- Kto to jest Ike?

- Jeden z naszych czarnych służących. Razem się wychowywaliśmy.

W tym momencie Lije przypomniał sobie ich rozmowę pierwszego dnia po jego powrocie ze Wschodu i tęsknotę brzmiącą w głosie Murzyna, kiedy zaczęli mówić o wolności. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że Ike chciałby być wolny. Bardzo go to zaniepokoiło. Byli przecież kolegami. Czy w takim wypadku mógł na nim polegać? - zastanawiał się w myślach. Poczł się tak, jakby nagle coś stracił.

- Terytorium Indiańskie znajduje się w samym środku konfliktu - powiedział Rans. - Na południu macie Teksas, a na wschodzie Arkansas. Oba te stany zamierzają stanąć po stronie Południa. Na północy leży Kansas i graniczy także kawałkiem z Missouri. Ci z kolei są sprzymierzeńcami Unii. Nie pojmuję, jak w takiej sytuacji moglibyście zachować neutralność. Wasze tereny to świetny szlak dla dostaw i któraś ze stron z pewnością zechce przejąć nad nim kontrolę. Założę się, że żaden Teksanńczyk nie pozwoli, by przeszedł tędy jakiś oddział Unii. Nie, plemiona indiańskie będą musiały opowiedzieć się po którejś ze stron albo znajdą się w krzyżowym ogniu walk.

- Mówi pan tak, jakby wojna już się zaczęła. - Lije wyjął następny kawałek brzoskwini z puszki.

- Wkrótce się zacznie.

- Może. Mój dziadek mówi, że innym państwom, takim na przykład jak Szwajcaria, udało się zachować neutralność, gdy wokół nich szalała wojna.

Rans Lassiter skrzyżował nogi przed sobą i oparł łokcie na kolanach.

- Wciąż pan mówi o tym, co sądzi pański ojciec, wódz i dziadek, ale nie przedstawił pan jeszcze własnej opinii na ten temat. Ciekaw jestem, co pan o tym sądzi.

- Sądzę, że... jeśli wybuchnie wojna, stany południowe przegrają. Lassiter zeszywniał i spojrzał na niego z urazą.

- Jest pan cholernie pewny swego.

- Pytał pan, więc powiedziałem.

- Skąd pan wie, jak się to skończy?

- Południe nie ma środków na prowadzenie wojny. Północ może wystawić więcej żołnierzy, więcej karabinów, więcej armat. Zostaniecie bez środków i ludzi. Okręty wojenne Unii odetną wasze porty od dostaw.

- Musiał pan chyba sporo o tym myśleć.

- Ostatnie cztery lata spędziłem na Wschodzie w Harvardzie. Secesja i wojna były głównymi tematami rozmów. Jeśli przeanalizuje pan sytuację na chłodno, sam się pan przekona, że Południe nie ma szans na zwycięstwo.

- Może - odparł z uśmiechem Rans - ale zapomniał pan, że Dawid pokonał Goliata jednym celnym ciosem. Może wojna nie będzie trwała na tyle długo, by doszły do głosu wszystkie te problemy.

- Sądzę, że będzie.

Rans pokręcił przecząco głową.

- Na Południu panuje opinia, że Jankesi nie umieją walczyć. Mały chłopiec potrafiłby pokonać ich dziesięciu.

- I pan w to wierzy?

- O ile mnie pamięć nie myli, to ci jankescy chłopcy pokonali dwa razy Brytyjczyków. - Rans rzucił Lijemu spojrzenie spod oka. W szarych oczach mignął błysk wesołości. - Oczywiście mieli po swojej stronie kilku Wirgińczyków. Jednym z nich był George Washington. Południe umie wychowywać wielkich przywódców.

Lije zachichotał. Zaczynał mu się podobać ten Teksańczyk.

- A pan co o tym myśli, Lassiter? Teksańczyk natychmiast spoważniał.

- Tak jak pan uważam, że stany południowe staną przed trudnym zadaniem. Ale jestem Teksańczykiem. Jeśli Teksas pójdzie na wojnę, pójdę razem z nim. - Spojrzał na Lijego z wyrazem powagi i zamyślenia. - A pan co zrobi?

- To samo. Jeśli naród Czirokezów i moja rodzina pójdą na wojnę, ja również.

Wiedział jednak, że nie będzie to proste. W plemienu istniał już jeden zadawniony podział: na zwolenników Rossa i majora Ridge'a. Uniósł do ust puszkę i wypił płyn, który wydał mu się nagle gorzki.

Rans Lassiter dopił kawę.

- Świetna kawa - stwierdził, po czym odchylił się na siodło i nakrył twarz kapeluszem. Lije zrobił to samo. Zapanowała cisza, przerywana jedynie dźwiękami nocy i trzaskiem dopalającego się ognia. - Ciekawe, czy kiedy wrócę do domu, Teksas będzie jeszcze w Unii - odezwał się Rans głosem stłumionym przez kapelusz.

Był. Ale już dwudziestego grudnia 1860 roku Karolina Południowa wystąpiła z Unii. W przeciągu czterdziestu dni przyłączyły się do niej Missisipi, Floryda, Alabama, Georgia i Luizjana. Te sześć stanów spotkało się pierwszego lutego 1861 roku na wspólnym kongresie i ogłosiło powstanie Skonfederowanych Stanów Ameryki i wybrało na prezydenta Jeffersona Davisa. Teksas przyłączył się do nowej Konfederacji Południa szesnastego marca. Tego samego dnia gubernator Sam Houston odmówił złożenia przysięgi na wierność Konfederacji, bowiem pogwałciłaby ona przysięgę złożoną Stanom Zjednoczonym. Usunięto go ze stanowiska.

Czternastego kwietnia konfederaci zaatakowali garnizon Unii w Fort Sumter broniący dostępu do Charlestonu w Karolinie Południowej. Dwa dni później fort padł. Piętnastego kwietnia prezydent

Lincoln zwołał siedemdziesiąt pięć tysięcy ochotników, by stłumić rebelię. Z Unii wystąpiły Wirginia, Arkansas i Tennessee.

Wojna była tuż - tuż.

Oak MI Lipiec 1861

Lillu Gordonie, cóż ty najlepszego robisz? - Eliza spojrzała na męża z wyrazem osłupienia na twarzy.

Udał, że nie słyszy i nadal wypychał korek z butelki, który po chwili wystrzelił z impetem, uderzając o sufit. Alex natychmiast podstawiał kieliszek, by napełnić go pianistą ciecżą. Stójący obok Shadrach czekał z kolejnymi kieliszkami na tacy.

- Przecież to jest szampan - rzuciła gniewnym tonem Eliza.

- W istocie. - Will mrugnął porozumiewawczo do Aleksa i wlał musujący płyn do następnego kieliszka.

- Wiesz dobrze, że nie toleruję alkoholu w tym domu.

- Dzisiaj zrobimy wyjątek - rzucił Will gładko i podał kieliszek Kippowi.

- Najwyższy czas, aby w tym domu było coś mocniejszego niż herbata i lemoniada - burknął Kipp, na co Eliza odpowiedziała mu groźnym spojrzeniem.

- To wyjątkowa okazja - dodał Will.

- Doskonale wiem, że dziś są twoje urodziny - powiedziała Eliza.

- Sześćdziesiąte szóste - uściślił Will, spoglądając na nią jednocześnie z miłością i rozbawieniem. - Chyba można z tego powodu przymknąć oko na zasady. Pozwolisz sobie nalać? - zapytał z szelmowskim spojrzeniem.

Zawahala się.

- Oj, babciu. Przecież pijesz wino w czasie komunii - odezwał się Alex.

- To co innego.

- Nawet jeśli, to jeden kieliszek szampana nie narazi cię na wieczne potępienie. Poza tym nie możesz odmówić wypicia toastu za zdrowie dziadka.

- Alex, to nie fair - zaprotestowała.

- Oczywiście, że nie - odparł z uśmiechem.

- No więc jak? - zapytał Will, trzymając w rękach pusty kieliszek i butelkę szampana.

- Ale tylko kropelkę - ustąpiła z westchnieniem. - Nie więcej. Pilnowała, by Will nalał do kieliszka niewiele ponad łyk. Udała, że nie dostrzega uśmiechu, z jakim podał jej szampana.

- Za twoje zdrowie, ojciec. Obyś żył jeszcze długie lata - wznosił toast Kipp.

- Sto lat! - dodał Alex, unosząc w górę kieliszek. Eliza ociągała się z toastem.

- Myślałam, że poczekamy na Tempie i Blade'a.

- Wzniesiemy jeszcze jeden toast, kiedy się tu zjawią - powiedział Alex i pociągnął solidny łyk musującego płynu.

- Nie ja - odparła i przytknęła kieliszek do ust.

Zamierzała jedynie umoczyć usta, ale przez zbytnią ostrożność wciągnęła powietrze i zakrztusiła się. Will zaczął ją miłosiernie klepać po plecach, z trudem powstrzymując wybuch śmiechu.

- To wcale nie jest śmieszne - rzuciła gniewnie, kiedy już doszła do siebie.

- Oczywiście, że nie - przytaknął z wesołymi błyskami w oczach. - Jednak następnym razem proponuję, żebyś wypiała szampana, zamiast go wdychać.

- Nie będzie następnego razu - oznajmiła, odstawiając kieliszek na tacę.

- Pamiętasz tę uroczystą kolację w forcie przed kilku laty? - zapytał Will. - Kiedy nie odpowiedziała, zwrócił się do Kippa. - Jeden z oficerów wlał po kryjomu do ponczu prawie całą butelkę whisky. Eliza stwierdziła wówczas, że to wyjątkowy poncz i bez przerwy sobie dolewała.

- Chciałam tylko sprawdzić, jakie zawiera składniki.

- Szkoda, że nie widzieliście wyrazu jej twarzy, kiedy powiedziałem, że zawiera whisky - rzucił ze śmiechem.

Eliza chciała się rozgniewać, lecz wbrew sobie wybuchnęła śmiechem.

- Upiłaś się, babciu? - zapytał Alex.

- Ależ skąd - odpowiedziała, starając się zapanować nad wesołością.

- Tylko że następnego dnia rano czuła się okropnie - dodał Will. Eliza znowu wbrew sobie wybuchnęła śmiechem.

- To rzeczywiście było ciekawe doświadczenie - przyznała, po czym westchnęła ze smutkiem. - Wspaniałe były te przyjęcia w Fort Gibson.

- Po ataku konfederatów na Fort Sumter jeszcze zaczniemy żałować, że nie ma tam wojska - zauważył Kipp.

- Ta wojna nas nie dotyczy - rzucił szorstko Will.

Wojna. Północ. Południe. Ostatnio tylko o tym się mówiło. W pamięci miała jeszcze zapowiedzi Georgii o wystąpieniu z Unii i całe to straszne zamieszanie sprzed trzydziestu lat, które doprowadziło do przesiedlenia Czirokezów. Brała wówczas udział w politycznych dyskusjach, zażarcie broniąc swoich argumentów. Teraz jednak nie widziała w nich nic ekscytującego.

Wspomnienie obozów, do których zostali spędzeni, długiej wędrówki i pierwszych lat okupionych krwią i trudem, póki Oak Hill nie przekształciło się w kwitnącą plantację, było wciąż żywe. Wojna zawsze niesie ze sobą ból i cierpienie, wielkie straty i biedę, choroby i śmierć. Bez względu na to czy walka odbywa się przy użyciu broni, czy za pośrednictwem prawników i sądów, ludzie jednakowo na tym cierpią. Może to i tchórzostwo z jej strony, ale nie miała ochoty dyskutować na ten temat.

- Czy mówiłam ci, Alex, że dostaliśmy w tym tygodniu list od Susannah? - zwróciła się do niego z pytaniem. - Dopytuje się o ciebie. Chciałaby wiedzieć, kiedy wybierasz się do Harvardu.

- Jeszcze nie zdecydowałem, czy pojedę.

- Nigdy nie byłeś na Wschodzie. Podróż tam to wspaniała przygoda. Nigdy nie zapomnę mojej pierwszej jazdy pociągiem, kiedy podróżowaliśmy z Susannah na Wschód.

- Nic się nie stanie, jeśli zaczekam z tym jeszcze rok. Przecież Wschód nie zniknie. Harvard też nie. Poza tym nie wiem, czy tam właśnie chcę iść. - Zanim Eliza zdążyła odpowiedzieć, Alex zwrócił się do Willa. - W zeszłym tygodniu ścigałem się na mojej kłaczce. Przegoniła wszystkie konie. Jest najszybsza w okolicy. Przy niej twój Grzmot to licha chabeta.

- I ogier Blade'a również - dodał Kipp z drwiącym skrzywieniem ust.

- Może po obiedzie urządzilibyśmy wyścig? - zapytał Alex, ignorując uwagę ojca. - Spadająca Gwiazda przeciw twojemu Grzmotowi.

- Jesteś bardzo pewny siebie - stwierdził Will.

- Jestem.

O co się założymy?

- Will! - zaprotestowała Eliza.

- Nie obawiaj się, babciu, nawet tobie spodoba się moja propozycja - odparł z uśmiechem Alex.

- Jeśli moja klacz przegra, na jesieni idę do college'u.

- A jeśli wygra? - zapytał Will.

Alex zawahał się, po czym uśmiechnął szeroko, ukazując dołeczki w policzkach.

- Zawsze bardzo podobał mi się ten rewolwer, który dostałeś w zeszłym roku.

Will uniósł lekko brwi, lecz po krótkim wahaniu skinął głową.

- Dobrze. Jeśli twoja klacz wygra, dostaniesz go.

- Mężczyźni - prychnęła Eliza. - Nawet gdybym dożyła stu lat, to i tak nie zdołałabym pojąć waszej fascynacji bronią i szybkimi końmi. - Wiedziała jednak, że ten sprzeciw bierze się z tych nie kończących się dyskusji na temat grożącej krajowi wojnie domowej.

W drzwiach stanął Shadrach.

- Pani Tempie i pan Blade przyjechali - poinformował. Nie zdążył jeszcze wyjść, kiedy do pokoju wbiegła Sorrel.

- Zapomniałeś o mnie, Shadrach. Ja też tu jestem.

- Proszę wybaczyć, panienko. - Shadrach skłonił się uprzejmie. - Panna Sorrel - zaanonsował z wesołym błyskiem w oczach.

Pojawiła się Tempie z mężem. Blade natychmiast poszukał wzrokiem Kippa.

Nie czekając na rodziców, Sorrel podbiegła do dziadka.

- Zrobiłam ci prezent, dziadku - oznajmiła z kokieteryjnym uśmiechem. Wyglądała niczym mała księżniczka w sukience z białej organdy ozdobionej niebieskimi różyczkami i jedwabnymi wstążkami. - Ale mamusia powiedziała, że mogę ci go dać dopiero po obiedzie.

- Skoro mama tak powiedziała, nie pozostaje mi nic innego, jak poczekać - odparł Will z uśmiechem.

- Chcesz wiedzieć, co to jest?

- Sorrel - uciszyła ją Tempie. Will wybuchnął śmiechem.

- Cokolwiek to jest - powiedział - na pewno mi się spodoba, bo zrobiłaś to specjalnie dla mnie.

- Słyszałaś, mamusiu? - zapytała z dumą i zachwytem Sorrel.

- Słyszałam - odparła i pogładziła córkę po włosach. Poprawiła też machinalnie niebieską wstążkę zdobiącą płomiennorude loki.

- A gdzie Lije? - Eliza zmarszczyła brwi. - Chyba nie został gdzieś wezwany?

- Tu jestem, Elizo - rozległ się głos Lijego od strony drzwi. Will sięgnął po butelkę szampana.

- W takim razie poprosimy Shadracha, żeby przyniósł kieliszki... Shadrach przewidział taką konieczność i właśnie wszedł do salonu z dodatkowymi trzema kieliszkami na tacy.

- Szampan? - zdziwiła się Tempie i spojrzała zaskoczona na Elizę.

- No właśnie, szampan w tym domu. - Eliza energicznymi machnięciami wachlarza okazała swoją dezaprobatę. - Mój mąż twierdzi, że to wyjątkowa okazja. Jest dziś po prostu niemożliwy. Ktoś mógłby pomyśleć, że kończy nie sześćdziesiąt sześć, lecz szesnaście lat.

Blade rzucił Willowi porozumiewawcze spojrzenie.

- Eliza obawia się, by ten wybuch młodości nie skończył się przed wieczorem.

Will prychnął tłumionym śmiechem, a inni pospuszczali wzrok, starając się ukryć rozbawienie. Eliza spłonęła rumieńcem.

- Takich rzeczy nie mówi się w towarzystwie.

Zaczęła się energicznie wachlować, by ochłodzić rozpalone policzki, choć uwaga Blade'a wywołała w niej dreszcz rozkoszy. Will to dostrzegł i roześmiał się głośno.

- Zachowuj się, jak należy, Willu Gordonie - skarciła go ostro.

- Jak sobie rzyczysz - mruknął, spuszczać głowę z udaną pokorą, po czym zajął się rozlewaniem szampana do kieliszków.

- Wszystkiego najlepszego, Will - powiedział Blade, wznosząc w górę kieliszek.

- A gdzie mój kieliszek? - zapytała Sorrel. - Ja też chcę sz-szam-pana.

- Nie ma mowy - zaprotestowała Eliza.

- Ale ja nigdy nie piłam szampana.

Widząc, że babci nie da się przekonać, Sorrel zwróciła się do dziadka.

- Dasz mi spróbować, dziadku? Powiedziałeś, że to wyjątkowa okazja. Will spojrzał na Elizę i pokręcił przecząco głową.

- Chyba nie.

Odwróciła się i podeszła do Lijego, obdarzając go najśłodszym z uśmiechów.

- Dasz mi spróbować, Lije? Uśmiechnął się lekko i pokręcił głową.

- Babcia ma rację, Sorrel. Jesteś jeszcze za młoda na szampana. Będziesz musiała poczekać, aż dorośniesz.

- To niesprawiedliwie. - Skrzyżowała ręce na piersiach i wydeła gniewnie wargi. - Chciałam tylko spróbować.

- Innym razem.

Zanim Sorrel zdążyła coś powiedzieć, Blade wznosił kieliszek w toaście. Lije poszedł za jego przykładem i przełknął łyk szampana. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch i zauważył, że Alex kiwa palcem na Sorrel. Kiedy podeszła do niego, szepnął jej coś do ucha. W jej oczach błysnął triumf, natychmiast jednak spoważniała i rozejrzała się ukradkiem po salonie.

- Jak tam twój nowy parowiec? - zapytał Will Blade'a. Tymczasem Alex i Sorrel podeszli do okna.

Doskonale odparł Blade. Alex stanął tak, by zasłonić Sorrel przed wzrokiem dorosłych.

- Dopłynąłem nim tylko do Little Rock - mówił Blade - ale i tak był szybszy od „Nancy May” o trzy godziny.

W tym momencie Alex coś podał Sorrel. Lije nie dostrzegł co, lecz domyślił się, że kieliszek z szampanem. Mignął mu przez chwilę, kiedy Sorrel uniosła go do ust. Po chwili oddała go Aleksowi. Chłopak zaśmiał się cicho.

- Dzięki takiemu wynikowi zyskasz więcej klientów - zauważył Will.

- Czy w Little Rock spotkałeś się z gubernatorem i synem Boudinota? - zapytał Kipp z wyzwaniem w głosie. - Wszyscy wiedzą, że chcą nas wciągnąć w sojusz z nową Konfederacją.

- Rozmawiałem z gubernatorem... przez chwilę - przyznał chłodno Blade.

Eliza z głośnym trzaskiem zamknęła wachlarz.

- Czy musimy rozmawiać dziś o takich sprawach?

- O jakich sprawach? - zapytał Alex, podchodząc do nich.

- Nie będziemy o nich dyskutować - odparła z mocą.

- Podobno wkrótce wyjeżdżasz do college'u, Alex - odezwał się Lije.

- To okaże się dziś po południu - odparł, rzucając Willowi znaczące spojrzenie.

- Usiądziesz obok mnie przy stole, Alex? - zapytała Sorrel.

- Nie mógłbym usiąść obok nikogo innego - zapewnił ją.

Godzinę później Shadrach wszedł do kuchni i wręczył jednej ze służących tacę ze srebrną

zastawą do kawy.

- Przeszli do salonu. Idźcie z Sally do jadalni posprzątać ze stołu.

Dopilnował, by wykonały polecenie, po czym wyciągnął z kieszeni chustkę i otarł nią pot z czoła i szyi. Korzystając z chwili przerwy, zdjął surdut i powiesił go na kołku obok podobnego czarnego surduta. Nieco wyżej na półce leżał cylinder i para białych rękawiczek. Były to części liberii Ike'a, który pełnił u Stuartów obowiązki stangreta. Shadrach spojrział z uśmiechem na siedzącego przy stole siostrzeńca. Widok syna Phoebe napawał go dumą.

Ike był inteligentnym przystojnym mężczyzną. Wysoki wzrost odziedziczył po dziadku, swoim imienniku, był jednak od niego szczuplejszy. Nie miał tak potężnych jak on mięśni, których dziadek dorobił się pracując jako kowal w kuźni. Karnację też miał jaśniejszą, za to taką samą wydatną szczękę i kości policzkowe oraz długi prosty nos.

Shadrach podszedł do stołu i z wielkiego dzbanka nalał sobie kawy.

- Gdzie twój ojciec, Ike?

Zdziwiło go, że nie siedzi w kuchni razem z synem.

- Pewnie na zewnątrz - odparł młody człowiek, w jednej ręce trzymając widelec, a w drugiej kawałek chleba. - Trzyma wartę. Wiesz, jaki jest pan Blade, kiedy tylko ten brat pani Tempie znajdzie się w pobliżu - rzucił od niechcienia, nie unosząc nawet wzroku znad talerza.

To było do Ike'a niepodobne. Shadrach usiadł na długiej ławie na wprost siostrzeńca i dmuchając na kawę, przyglądał mu się w milczeniu. Sądząc po zawartości talerza, Ike prawie nie tknął jedzenia.

- Wygląda na to, że straciłeś apetyt.

Ike rzucił mu szybkie spojrzenie, po czym znowu spuścił wzrok na talerz.

- Straszny dziś upał.

- Chyba raczej coś cię trapi. Nie chcesz mi o tym opowiedzieć? Shadrach spokojnie pił kawę i czekał. Zauważył, że Ike jest niespokojny i spięty.

W końcu Ike pochylił się w przód i sprawdził, czy nikt ze służby nie podsłuchuje.

- Czy nigdy nie chciałeś być wolnym człowiekiem, wujku? - zapytał stłumionym, pełnym napięcia głosem.

Shadrach zeszywniał. Spodziewał się, że chłopak zwierzy mu się z sercowych kłopotów lub powie coś na temat nowego zarządcy w Grand View.

- Chyba nie myślisz o ucieczce, Ike?

Uraza i rozczarowanie błysnęły w oczach młodego człowieka. Cisnął widelec i chleb na talerz i wstał od stołu.

- Powiniennem być się domyślić, że jesteś taki sam jak oni - mruknął i ruszył w stronę drzwi.

Zaskoczony jego reakcją, Shadrach niechętnie podążył za nim na zewnątrz. Ike stał pod niskim dachem kuchni, opierając ręce na biodrach i wpatrując się w niebo.

- Odejdź. Zostaw mnie - rzucił gniewnie na widok wuja. Shadrach zawahał się, po czym podszedł do niego.

- Zaskoczyło mnie twoje pytanie, Ike.

- Czyżby? - rzucił z goryczą.

- Chcesz usłyszeć moją odpowiedź?

- A po co? Wiem, jaki szacunek żywisz do swojej pani. Słyszałem już setki razy, jak to pani Eliza uczyła ciebie i moją matkę, jak zostawiała ci książki i zadania, kiedy twoja matka zabroniła ci

chodzić do szkoły. Jesteś jej wierny tak samo jak mój ojciec panu Blade'owi.

- Wierność nie ma nic wspólnego z niewolnictwem. To coś, co sam ofiarowujesz, bo ktoś jest tego wart. Nie robisz tego ze strachu przed batem. Gdybym był wolny, traktowałbym panią Elizę z równym jak teraz szacunkiem. Każdy niewolnik marzy o wolności, Ike. Ale można ją otrzymać tylko dwoma sposobami: zarabiając pieniądze, by ją sobie kupić albo służyć swemu panu tak, by wynagrodził cię za to wolnością. Ucieczka nie da ci wolności. Do końca życia żyłbyś w strachu, że cię złapią.

Ike spuścił głowę.

- A co z tą wojną, o której wszyscy mówią, wujku? Myślisz, że oni naprawdę wyślą wojsko na Południe, by uwolnić wszystkich niewolników?

- Tak mówią i myślę, że to możliwe.

Jednak w jego głosie zabrzmiała niepewność, jakby się obawiał, czy może w to wierzyć. Gdzieś w pobliżu odezwał się skowronek. Ike ogarnął wzrokiem dwór, otaczające go sady, widoczne w oddali kwatery niewolników i pola z łąkami pszenicy i kukurydzy. Wyobraził sobie, jakby to było, gdyby był wolny. Dotąd nie znał innego życia. Co rano budził go dźwięk rogu, wzywający niewolników do pracy. Każdego dnia robił to, co mu kazano. Nigdy nie miał nic własnego, nawet ubrań.

- Co byś robił, gdybyś był wolny, wujku? - zapytał.

- Uczyłbym - padła szybka i zdecydowana odpowiedź.

Ike spojrzał zdziwiony na tego szczupłego, drobnego mężczyznę. Był taki niepozorny. Siłaczem też nikt by go nie nazwał. Miał bystry umysł, to prawda, znał mnóstwo opowieści i dużo wiedział, ale żeby był silny i zdecydowany? Jakoś to do niego nie pasowało. Tymczasem marzenia ujawniły drżącą w nim wewnętrzną moc.

- Zbudowałbym szkołę i uczyłbym tyle dzieci, ile by się w niej pomieściło. Uwolniłbym je z niewiedzy, która czyni człowieka niewolnikiem.

Ike nic na to nie odpowiedział. Pozwolił, by ciche, lecz niezwykle wymowne słowa wuja wybrzmiały do końca. Marzenia. Człowiek ma prawo mieć coś więcej niż marzenia, pomyślał.

Lije stał wraz z innymi na ocienionej werandzie, służącej za trybunę widzom obserwującym wyścig. Jego trasa biegła wąskim podjazdem, następnie drogą między polami, gdzie szerokim łukiem zawracała znowu ku podjazdowi i kończyła się przy żelaznym słupku służącym za linię mety.

- Widzisz ich? Widzisz? - Sorrel podskakiwała w górę, usiłując dostrzec sylwetki biegnących koni.

- Jeszcze nie - powiedział Lije, nie spuszczając oka z drogi między polami. - Teraz pewnie robią nawrót i za chwilę ich zobaczymy.

Nie mogąc się już doczekać, zbiegła po stopniach werandy na podjazd.

- Sorrel, natychmiast wracaj! - zawołała za nią Tempie.

- Zaraz, mamusiu - odkrzyknęła, lecz nadal wpatrywała się w drogę. Kiedy zaniepokojona Tempie ruszyła w jej stronę, Sorrel odwróciła się podekscytowana i z okrzykiem „Jadą! Jadą!” wbiegła z powrotem na werandę.

Lije usłyszał najpierw tętent kopyt, a potem zobaczył dwóch nisko pochylonych jeźdźców, pędzących w stronę dworu. Prowadziła czarna klacz o lśniącej sierści, biegnąc lekko jakby bez wysiłku. Lecz tuż za nią sunął gniady koń Willa. Teraz właśnie przyspieszył.

- Zaraz ją dogoni - mruknął Will.

- No, koniku, szybciej - szepnęła Eliza podekscytowana, zapominając, że jeszcze tak niedawno była przeciwna wyścigowi.

- Spadająca Gwiazdo! Spadająca Gwiazdo! - krzyczała Sorrel.

- Czemu ją wstrzymujesz? - mruczał gniewnie stojący z boku Alex pod adresem dżokeja. - Pozwól jej biec.

Kiedy oba konie dzielił od mety niewielki odcinek, czarna klacz wydłużyła krok i wystrzeliła w przód niczym strzała. Grzmot próbował dotrzymać jej kroku, lecz zabrakło mu sił. Klacz minęła linię mety, wyprzedzając go o pół długości.

Rozległy się śmiechy i gratulacje i wszyscy zaczęli schodzić z werandy, czekając na powrót koni. Lije jako jedyny dostrzegł nadjeżdżającą drogą jednokonną bryczkę. Była jeszcze zbyt daleko, by mógł rozpoznać jej pasażerów. Za to deresz ze strzałką wydał mu się znajomy.

Zbiegł po stopniach z werandy i podszedł do ojca prawie równocześnie z Deu, służącym Blade'a.

- Ktoś tu jedzie, proszę pana.

Blade spojrzał na podjazd.

- Jeśli mnie wzrok nie myli, to koń i bryczka pochodzą ze stajni Johnsona - powiedział Lije.

- Chyba masz rację. - Nie spuszczając wzroku z pojazdu, Blade wyjął z kieszeni cygaro i zapalił je.

Nadjechały konie, skupiając na sobie uwagę całego towarzystwa.

- Widzisz, kto w niej jedzie? - zapytał Lije.

- Jeszcze nie.

- Wydaje mi się, że dwoje ludzi - powiedział Deu.

Kiedy bryczka podjechała bliżej, przypuszczenia Deu się potwierdziły. Dach pojazdu nie pozwalał rozpoznać twarzy pasażerów, lecz można było zauważyć, że siedzą w nim mężczyzna i kobieta w sukni koloru lawendy. Głośne uderzenia kopyt i skrzypienie kół bryczki przyciągnęły uwagę reszty towarzystwa.

- Mamy gości, Elizo - powiedział Will.

- Któż to może być? - zdziwiła się.

Wszyscy z zaciekawieniem obserwowali nadjeżdżający podjazd. Blade instynktownie zerknął przez ramię, by sprawdzić, gdzie jest Kipp. Stał na uboczu, trzymając za uzdę klacz syna i machinalnie gładził japo pysku.

Kiedy bryczka stanęła przed domem, podbiegł do niej stajenny i złapał konia za uzdę. Wysiadł z niej wysoki mężczyzna ze złocistą brodą poprzetykaną srebrnymi pasemkami. Lije spojrzał na drugiego pasażera i poczuł skurcz żołądka.

- Przecież to Jed Parmelee - mruknęła zaskoczona Eliza. Tymczasem Jed obszedł bryczkę i podał rękę pasażerce.

- Kim jest ta druga osoba?

Lije domyślił się tego jeszcze zanim pojawiła się szczupła dłoń w rękawiczce, a spod lawendowej sukni wysunęła zgrabna stopka. Siłą woli opanował wezbrane w nim nagle uczucia. Tymczasem Diana Parmelee wysiadła z bryczki i otworzyła obszytą koronką parasolkę w tym samym kolorze co suknia. Jej wzrok natychmiast odnalazł go wśród zebranych. Spojrzały na niego prześliczne błękitne oczy, których wspomnienie prześladowało go od wyjazdu z Massachusetts. Uśmiechnęła się ciepło. Lije starał się zachować obojętność, lecz widok Diany wstrząsnął nim do głębi. Duma nie pozwoliła mu dołączyć do innych, którzy podeszli, by powitać niespodziewanych

gości.

- Jed Parmelee, cóż za wspaniała niespodzianka. Z trudem rozpoznałam cię w tym cywilnym ubraniu - powiedziała Eliza, po czym odwróciła się do jego córki. - Czy to naprawdę ty, Diano? Wyrosłaś na uroczą młodą damę. Ojciec musi być z ciebie bardzo dumny.

- Mam taką nadzieję, pani Gordon.

- Eliza. Nalegam, byś mówiła mi po imieniu.

Nastąpiły kolejne powitania, na które Lije nie zwracał uwagi, dopóki Will nie zadał pytania, które i jego nurtowało.

- Co cię sprowadza w te strony, Jed?

- Chęć odwiedzenia starych przyjaciół - odparł.

- Oczywiście, jeśli jesteśmy tu mile widziani - dodała Diana, patrząc znacząco na Lijego.

- Jak możesz w to wątpić?! - wykrzyknęła Eliza. - Zawsze jesteście mile widziani w Oak Hill.

Chyba wiesz o tym.

- Nie byłam tego pewna. Lije nie odezwał się dotąd ani słowem. Rzuciła mu wyzywające spojrzenie.

Wszyscy oczywiście spojrzeli w jego stronę. Dostrzegł błysk zrozumienia we wzroku ojca, lecz zignorował go. Wezbrała w nim fala sprzecznych ze sobą uczuć: pożądanie mieszało się z nienawiścią i miłością do tej dziewczyny, która tak bardzo go zraniła. Nie chciał, żeby tu przyjeżdżała i kazała mu przeżywać wszystko od nowa.

- Żaden gość nie odejdzie z kwitkiem od domu Czirokeza - powiedział głosem wyzbytym z wszelkich emocji.

Coś mignęło w jej oczach. To z pewnością gniew, pomyślał, bo przecież nie ból. Zaraz jednak spuściła wzrok, a kiedy ponownie go podniosła, nie mógł już nic z niego wyczytać.

- Będę o tym pamiętać.

Jakaś nuta w głosie Diany powiedziała mu, że podsunął jej coś, co będzie mogła wykorzystać.

- Zamierzaliśmy właśnie pokrzepić się zimnymi napojami. Przyłączycie się do nas? - zapytała Eliza.

- Z przyjemnością - odpowiedział Jed Parmelee z ukłonem.

Przez jedną krótką chwilę Lije miał ochotę uciec od całego towarzystwa. Byłoby to jednak tchórzostwem z jego strony, cichym przyznaniem się, że ona wciąż ma nad nim władzę. Nie wolno mu do tego dopuścić.

Kiedy towarzystwo ruszyło ku ocienionej werandzie na tyłach domu, Lije pozostał nieco w tyle. Trzymał się na uboczu i pił miętową lemoniadę, nie czując wcale jej smaku. Rzadko patrzył na Dianę, lecz wyczuwał najmniejszy jej ruch i oddech.

Znajdowała się w centrum zainteresowania. Jej ciepły uśmiech oczarował wszystkich od Sorrel po Willa Gordona. Wcale go to nie dziwiło.

- Susannah pisała, że mieszkasz teraz w Bostonie razem z matką - powiedziała Tempie.

- Tak - odparła. Siedziała na ozdobnym metalowym krześle, emanując urodą i kobiecością. - Ale z powodu tych pogłosek o wojnie i powszechnej mobilizacji uznałam, że powinnam zobaczyć się z ojcem.

- Bardzo słusznie - pochwalił ją Will Gordon.

- Szkoda, że nie ma tu Susannah - powiedziała Eliza. - Na pewno ucieszyłaby ją twój a wizyta.

- Jak ona się miewa?

- W zeszłym tygodniu dostałam od niej list - odparła Eliza i zaczęła opowiadać szczegółowo o tym, co zdarzyło się w życiu jej córki.

- Brakuje mi naszych wspólnych spacerów. - Diana z wdziękiem wstała z krzesła. - Nawet nie wyobrażacie sobie, ile razy pragnęłam tu wrócić, zobaczyć te okolice i was wszystkich. Tu się przecież urodziłam i tu dorastałam. Teraz jednak wydaje mi się, jakby nie było mnie tu dłużej niż sześć lat.

Powiedziała to z taką szczerością, że Lije spojrzał na nią zaskoczony.

Wszystkich ogarnęło nagle uczucie nostalgii i zamyślenia.

- Kiedyś czasy były prostsze - przerwała ogólne milczenie Eliza.

- To prawda - przyznał Will.

Tymczasem Diana podeszła do Lijego i odwróciła się do zebranych.

- Czy wybaczyście mi, jeśli porwę Lijego? Chciałabym, aby pokazał mi miejsca naszych wspólnych zabaw.

- Naturalnie, idźcie. - Eliza skinęła ręką przyzwalająco. Nikomu nie przyszło do głowy, że Lije mógłby mieć coś przeciwko temu. Za to Diana doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Wiedziała również, że nie może jej odmówić. Nic nie powiedział, kiedy podeszła i wsunęła mu rękę pod ramię. Zadrżał pod wpływem jej dotyku, lecz natychmiast się opanował.

- Idziemy? - Rzuciła mu tak dobrze znane spojrzenie, które jednocześnie wabiło i odpychało.

Gestem ręki dał do zrozumienia, by sama obrała kierunek. Obróciła się więc lekko i podążyła w stronę różanej pergoli. Lije nawet nie próbował przerwać milczenia, pozwalając, by rosło wraz z napięciem.

- Ta pergola była moim ulubionym miejscem - odezwała się w końcu Diana. Puściła jego ramię i pochyliła się, by przyjrzeć przekwitającej róży. - Szkoda, że jest ich teraz tak niewiele.

- Po co przyjechałaś, Diano? - zapytał obojętnym głosem. Przechyliła głowę na bok i obserwowała go przez chwilę. Zmienił się przez ten rok. Z oczu zniknął promienny blask. Miały teraz chłodny i nieprzenikniony wyraz. Twarz nabrała jakiejś szorstkości i twardych linii. Po raz pierwszy w życiu zwątpiła w swą umiejętność panowania nad sytuacją. Była to jednak tylko chwilowa słabość.

- Po co? - powtórzyła, opierając parasol na ramieniu. - By prosić cię o wybaczenie.

- Jakoś trudno mi sobie ciebie wyobrazić w tej roli - rzucił z ironią.

- Przyznaję, że niewielkie mam w tym doświadczenie.

- Czego ty ode mnie chcesz, Diano? W jaką nową grę mnie wciągasz?

- To nie jest żadna gra - zaprotestowała z powagą w głosie, lecz Lije nawet tego nie zauważył.

- Wracaj do domu, Diano. Wracaj do swego narzeczonego i wspaniałych przyjaciół.

- A więc wiesz o moich zaręczynach - stwierdziła z zadowoleniem i spojrzała mu w oczy. -

Byłam zła na ciebie, Lije. Przyjęłam oświadczyzny Johna, żeby zrobić ci na złość. Miałam cichą nadzieję, że, gdy się o tym dowiesz, przyjedziesz i uratujesz mnie. Nie zrobiłeś tego, musiałam więc sama się ratować. - Uśmiechnęła się na wspomnienie tej chwili. - Żałuj, że nie widziałeś twarzy pana Johna Alberta Richardsa, kiedy mu powiedziałam, że nigdy nie poślubię takiego grubiańskiego snoba jak on.

- Czy rzeczywiście tak było, czy też to on ci odmówił?

W oczach błysnęła jej uraza. Spuściła głowę, lecz po chwili odzyskała panowanie nad sobą.

- Mam wiele wad, lecz kłamstwo do nich nie należy. Dostrzegł w jej spojrzeniu dumę i

determinację i poczuł, że serce zaczyna mu mięknąć. Natychmiast odwrócił wzrok. Już raz zrobiła z niego głupca. Nie pozwoli, by się to powtórzyło.

- Masz mnóstwo innych adoratorów, Diano. Na pewno któryś z nich cię pocieszy.

Z tymi słowy ruszył przed siebie, nie mogąc dłużej ustać w miejscu. Nie pozostała w tyle.

- Obawiam się, że wszyscy poszli na wojnę - rzuciła bez troski. - Jak widzisz, zostałam więc sama.

- To twój problem.

- Zrobiłeś się wyjątkowo nieznośny, Lije - rzuciła z irytacją w głosie.

Zatrzymał się i spojrział na nią.

- A czego po mnie oczekiwałaś? Myślałaś, że powitam cię z otwartymi ramionami? - zapytał z szyderstwem w głosie. - A może sądziłaś, że porwę cię w ramiona i wyznam, że wciąż cię Kocham?

- To byłoby miłe - powiedziała z żartobliwym błyskiem w oczach.

- Tym razem to ty wyszłaś na idiotkę - stwierdził i zobaczył, że blask w jej oczach przygasł.

Bardzo dobrze, pomyślał mściwie. - Nie możesz mieć wszystkiego, Diano.

- Nawet jeśli pragnę ciebie? - zapytała cicho. Zaciśnął zęby.

- Czy twoja matka wie, że tu jesteś? - zapytał ignorując jej uwagę.

- Tak. - Lecz ta prosta odpowiedź była niczym w porównaniu z pełnymi złości i jadu słowami, które padły między nią a matką i zdaniami przesyconymi nienawiścią. Długo będzie je pamiętać. Wszystko to pominęła milczeniem, starając się nic po sobie nie pokazać. - Powiedziała, że jeśli tu przyjadę, mogę więcej się nie pokazywać. Przeszanę być jej córką.

Uniósł w górę brew.

- Mam w to uwierzyć? Uśmiechnęła się z goryczą.

- Zapewniam cię, że nie żartowała.

Lekki wiatr przywiał kobiecie śmiech. Diana odwróciła się w stronę, gdzie siedział ojciec, bez trudu rozpoznając go wśród grona innych osób. Patrzył na Tempie Stuart z nie skrywanym zachwytem na twarzy.

- Tak naprawdę to nie ty byłeś przedmiotem nienawiści mojej matki - stwierdziła po chwili. - Ty i wszyscy, którzy mają w żyłach indiańską krew, jedynie utożsamiacie z nienawidzoną przez nią osobą. A jest nią twoja matka. Wiedziała, że ojciec kocha się w Tempie. Kochał ją jeszcze zanim się z matką pobrali. Traktowała Tempie jako rywalkę. Nie miało dla niej znaczenia, że twoja matka widziała w ojcu jedynie przyjaciela. Zzerała ją zazdrość, która w końcu zmieniła się w nienawiść. Myślałam, że kiedy wyjdzie za pana Austina, wreszcie to się skończy. Myliłam się. Wątpię, czy kiedykolwiek to nastąpi.

Uniosła wzrok i zobaczyła, że Lije patrzy na nią podejrzliwie.

- Daruj sobie te kobiece sztuczki, Diano. Nie dam się na nie nabrać.

- Dlaczego nie dasz mi szansy na dojście z tobą do porozumienia?

- Nie sądzisz, że jest na to za późno? Minał już ponad rok. A może już zapomniałaś?

- Nie, nie zapomniałam - odparowała. - Nie tylko ty masz swoją dumę, Lije.

- Dumę? Czy właśnie o nią chodzi? Zresztą może i tak. To właśnie duma nie pozwoliła ci przyjąć oświadczeń Czirokeza.

- Nieprawda.

- Nie?

- Nie! - Urwała, zdając sobie sprawę, że gniewem nic tu nie zdołała. Westchnęła i spuściła

głowę. - Znowu się kłócimy, tak jak tamtej nocy. A zaczęło się zupełnie inaczej. - Oczy zajaśniały jej blaskiem. - Pamiętasz, jak czekaliśmy na dogodną chwilę, by wymknąć się niepostrzeżenie? Jak śmialiśmy się, biegnąc ścieżką do ogrodu? Tam porwałeś mnie w ramiona. Pamiętasz Lije?

Pamiętam.

Spojrzał jej w oczy i zdał sobie sprawę, że znowu jej pragnie. Kształtne usta kusiły, by ich dotknąć. Wściekły na siebie porwał Dianę w ramiona i przywarł do warg dziewczyny z brutalną siłą, pragnąc w ten sposób ukarać ją za ból, jaki mu sprawiła.

Jej wargi były cudownie miękkie i gorące. Ku swemu zaskoczeniu poczuł, że pocałunek zmienia się nagle w czułą i delikatną pieszczotę. Pożądanie, które, jak sądził, dawno w sobie stłumił, wybuchło teraz ze zdwojoną siłą. Kiedy Diana zadrżała w jego ramionach, oprzytomniał. Przecież ona chce go uwieść. Chociaż krew nadal się w nim burzyła, opuścił ręce i odsunął się od dziewczyny.

- A więc nadal mnie pragniesz - wyszeptała z ulgą.

Bardziej jednak niż te słowa rozżłościł go wyraz triumfu w jej oczach.

- Tamtej nocy też cię pragnąłem - odparł chłodnym, beznamiętnym głosem. - Kiedy jednak poprosiłem, byś została moją żoną, odwróciłaś się ode mnie i oznajmiłaś, że traktuję wszystko zbyt serio.

- Przyznaję, że zachowałam się egoistycznie.

Przysunęła się do niego, znów spokojna i pewna siebie. Jego słowa były chłodne, lecz on sam nie. Udowodnił to pocałunkiem. Musiała jedynie pokonać jego dumę, co nie będzie łatwe. Skoro jednak ona przełknęła własną, to on również może.

- Chciałam, byśmy byli razem, jednocześnie nie raniąc tym mojej matki - mówiła dalej, przesuając ręką wzdłuż klapy jego surduta. - Uważałam, że mi się to uda, jeśli zostaniesz na Wschodzie i zrobisz karierę. Lecz ty nagle oświadczyłeś, żeja się waham, bo jesteś z pochodzenia Czirokezem. Byłeś tak pewny swych racji, że w ogóle nie chciałeś mnie słuchać.

Przytrzymał jej dłoń, lecz nie odepchnął. Jego wzrok przesunął się wolno po jej twarzy.

- Czy naprawdę sądzisz, iż uwierzę, że to był jedyny powód twojej odmowy?

- Nie odmówiłam ci, Lije.

- Czyżby? - rzucił drwiąco. - W takim razie może mi wyjaśnisz, dlaczego czekałaś aż rok, by przedstawić mi tak interesującą konkluzję?

- Nie tylko ty jeden cierpisz z powodu urażonej dumy. W końcu to ja zostałam niesłusznie oskarżona i to ty powinieneś mnie przeprosić. Nie próbowałeś się ze mną skontaktować. Wyjechałeś bez pożegnania... - Coś nagle ścisnęło ją w gardle i nie pozwoliło dalej mówić. Uciekła spojrzeniem w bok, nie chcąc, by zobaczył, jak głęboko jest poruszona. W końcu opanowała się i dodała pozornie lekkim tonem: - To nie było zbyt zachęcające.

- Mówisz o tym tak lekko.

- Lekko? - W jej oczach błysnął gniew. - Myślisz, że łatwo mi było zrobić pierwszy krok?

Widziałam, z jakim potępieniem na mnie patrzyłeś.

Spojrzał na nią spod zmrużonych powiek.

- Nie wiem już, w co mam wierzyć.

- Posłuchaj, Lije - powiedziała z rozdrażnieniem. - Moja matka zamknęła przede mną drzwi.

Przejechałam pół kontynentu, by wyjaśnić sprawy między nami i powiedzieć ci, że wciąż cię kocham. Jeśli nadal chcesz się ze mną ożenić, zgadzam się. Co jeszcze mam zrobić, byś mi uwierzył?

- Nie wiem. - Zaciśnął palce na jej dłoni. Na jej twarzy pojawił się wyraz determinacji.

- Ojciec zamierza tu pozostać jakiś tydzień. Jeśli z nim wyjadę, więcej tu nie wrócę. Kiedy zdecydujesz się podjąć jakąś decyzję, będziesz musiał do mnie przyjechać. Drugi raz się nie upokorzę. Ani przed tobą, ani przed żadnym innym mężczyzną.

- Wcale cię o to nie proszę.

Ból mignął w jej oczach. Wyrwała dłoń z jego uścisku.

- Czas, byśmy dołączyli do innych - rzuciła porywczo.

- Zgadzam się.

Tym razem nie wsunęła mu ręki pod ramię. Wrócili osobno, świadomi istniejącego między nimi napięcia i ostrych słów wypowiedzianych przed rokiem.

Na ich widok Jed Parmelee wstał z ogrodowej ławki.

- Krótco trwał wasz spacer - zauważył.

Diana usiadła na ofiarowanym przez ojca miejscu, poprawiając fałdy sukni.

Krótko. Lije stanął obok matki. Podniosła na niego wzrok.

- Właśnie zaproponowałam Jedowi, żeby zamieszkali z Dianą w Grand View na czas swego pobytu. Nie sądzisz, że to wspaniały pomysł?

- Goście są zawsze mile widziani w Grand View - odparł.

- Nie chcielibyśmy się narzucać - odparł Jed.

- Nie będziecie - zapewniła go Tempie pospiesznie.

- Diana mówiła, że zamierza pan spędzić tu tydzień - zwrócił się do Jeda Lije.

Jed zawahał się i rzucił ukradkowe spojrzenie Willowi.

- Tak, koło tygodnia.

Z jego zachowania Lije domyślił się, że jego przyjazd tu nie jest przypadkowy.

- Ciekaw jestem, kapitanie, gdzie się podział pański mundur.

- Chwilowo leży w kufrze.

- Skoro wkrótce mają się rozpocząć działania wojenne, czyż to nie dziwne, że w takim czasie wysyła się oficera na urlop?

Jed spojrzał na Lijego z szacunkiem i podziwem.

- Byłoby dziwne, gdybym rzeczywiście był na urlopie.

- Ale pan nie jest?

- Nie. Zostałem tu przysłany. Oczywiście nieoficjalnie - dodał, po czym przeniósł wzrok na Willa. - Wiemy, że Konfederacja prowadzi rozmowy z pięcioma cywilizowanymi plemionami, starając się przekonać do przejścia na stronę Południa. Polecono mi ustalić, jakie jest stanowisko Czirokezów w tej sprawie.

Zapadła cisza. Blade strząsnął popiół z cygara na trawnik, udając, że nie dostrzega pałającego wzroku Kippa. Jed jednak pragnął najbardziej usłyszeć opinię Willa Gordona.

- Nasz naród podpisał traktat z waszym rządem. - Will starannie dobierał słowa. - I zamierzamy go przestrzegać. John Ross przy wielu okazjach powtarzał, że chce, aby Czirokezi pozostali neutralni.

Blade prychnął pogardliwie.

- Ten człowiek jest jak chorągiewka na wietrze. Czekaj, z której strony wiatr powieje.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - zapytał ostro Jed.

- On chce powiedzieć - wszedł Blade'owi w słowo Kipp - że Pike obiecał Standowi Watie stanowisko oficera w armii konfederatów i zaproponował wyposażenie w broń i amunicję pułku,

który Watie zamierza sformować. Blade pewnie dlatego tak szybko wrócił ze swojej ostatniej podróży.

Blade zignorował jego zaczepkę.

- Neutralność jest niemożliwa, kapitanie. Dobrze pan o ty wie, inaczej by pan tu nie przyjeżdżał. Diana zmarszczyła brwi, a w oczach błysnął strach.

- Dlaczego jest niemożliwa?

- Ponieważ od północy graniczą z nami Kansas i Missouri - wyjaśnił Lije. - A od południa i wschodu Arkansas i Teksas, które wystąpiły z Unii. Czoktawowie, Czikasawa i Krikowie już wyrazili gotowość przyłączenia się do Południa. Czirokezi wkrótce staną się wyspą w środku konfederackiego morza.

- A wy z którą stroną sympatyzujecie? - chciał wiedzieć Jed.

- Zanim na to odpowiem, pozwoli pan zadać sobie jedno pytanie? - zwrócił się do niego Blade.

- Proszę - skinął głową Jed.

- Traktat z waszym rządem gwarantuje nam ochronę. Gdzie w takim razie jest wasze wojsko? Teksas ma w swoich rękach wszystkie wojskowe placówki na tym terenie z wyjątkiem Fort Gibson, który nadal kontrolują Czirokezi. Jak macie zamiar nas obronić, kiedy wtargną tu zbuntowane oddziały?

Tego właśnie pytania Jed się obawiał.

- W tej chwili nie jesteśmy w stanie. Mamy za mało ludzi. Ale to się zmieni.

- Innymi słowy wasz rząd zostawia nas na pastwę losu.

- To nieprawda.

Jednak wniosek narzucał się sam i Jed doskonale o tym wiedział.

- Musi pan wziąć pod uwagę jeszcze jedną sprawę, kapitanie - ciągnął Blade. - Nasz naród od dawna wykorzystywał niewolników do pracy. A celem waszej wojny jest zniesienie niewolnictwa.

- Naszym celem jest utrzymanie Unii. Prezydent nie ma takiej władzy, by znieść niewolnictwo, ani nie zamierza tego robić, jak to ciągle powtarza. - Ten argument przestał mieć wartość, kiedy południowe stany ogłosiły secesję. Jed spróbował więc innej taktyki. - Nie wierzę, by Czirokezi opowiedzieliby się za Południem. Czyżby pan zapomniał, jak was traktowano w Georgii?

- Nie zapomniałem - odpowiedział Blade. - Pamiętam również wydarzenia, które do tego doprowadziły, a także oświadczenie prezydenta Jacksona, że jego celem jest przesiedlenie wszystkich Czirokezów na Zachód. Echo tych słów pobrzmiewa w wypowiedziach obecnych władz, znalazło się w nich bowiem takie zdanie: „Terytorium Indiańskie na południe od Kansas musi być opuszczone przez Indian”. - Tu zrobił efektowną pauzę. - Oczekuje się od nas, byśmy przestrzegali warunków traktatu, tymczasem wam wolno je lekceważyć. Retoryka nie robi już na nas wrażenia. Liczą się tylko czyny.

- Czyny - prychnął Kipp. - Pewnie masz na myśli próbę wywieszenia przez Watiego flagi konfederatów na placu w Tahlequah? On uzurpuje sobie prawo do stanowiska Rossa.

- Ross jest starym człowiekiem - warknął Blade, po raz pierwszy ujawniając kipiący w nim gniew. - Nigdy nie był przywódcą, tylko popy chadłem, jak liść niesiony przez wiatr.

- Proszę zrozumieć, kapitanie - wtrącił pospiesznie Will. - Czirokezi pragną jedynie pokoju. Nie chcemy być wciągnięci w waszą wojnę.

- Taki właśnie wieje teraz wiatr - skomentował ironicznie Blade. Jed wiedział, że w jego stwierdzeniu jest sporo prawdy. W czasie lat spędzonych w Fort Gibson nauczył się jednej rzeczy o

Rossie. Tak jak Lincoln robił wszystko, by nie dopuścić do rozpadu Unii, tak Ross z równą determinacją starał się utrzymać jedność w narodzie Czirokezów.

- A jeśli wiatr zmieni kierunek? - zapytał, wiedząc, jaka będzie odpowiedź.

- Wówczas Ross zmieni swoje stanowisko.

- Niech pan go nie słucha, kapitanie!

Kipp zerwał się ze swego miejsca z dłońmi zaciśniętymi w pięści. Napięcie stało się niemal wyczuwalne. Lije w jednej chwili już był przy nim, gotów interweniować, jeśli trzeba.

Kipp jednak go nie widział. Był ślepy i głuchy na wszystko z wyjątkiem człowieka, którego z całej duszy nienawidził.

- On twierdzi, że Ross jest kurkiem na wietrze, ale to on zwraca się w stronę, skąd wieje wiatr. Zobowiązaliśmy się przestrzegać warunki traktatu, który on i jemu podobni nam narzucili.

Tymczasem co on robi? Próbuje się z niego wycofać.

- Rząd federalny już się z niego wycofał - oświadczył Blade. - Przecież kapitan Parmelee sam przyznał, że nie możemy liczyć na wojsko. Administracja Lincolnna oświadczyła, że chce, by wszyscy Indianie wynieśli się z tego terytorium. Nie otrzymaliśmy tych ziem na własność. Jesteśmy tu jedynie tolerowani. Tymczasem konfederaci obiecują nam prawo do tych terenów, reprezentację w Kongresie i ochronę wojska. Ich żołnierze już tu są, gotowi nas bronić.

- Bronić, czy może zrzucić Rossa ze stanowiska i na jego miejsce mianować Watiego? - zapytał Kipp z twarzą wykrzywioną z wściekłości.

Lije nie spuszczał wzroku z jego rąk, które nagle znalazły się blisko wybrzuszenia w surducie.

- Jeśli to zrobią, nareszcie będziemy mieli prawdziwego przywódcę.

- Chciałeś powiedzieć zdrajcę - odparował z wściekłością Kipp.

- Dość tego, Kipp - polecił Will cicho, lecz zdecydowanie. Kipp rzucił mu gniewne spojrzenie.

- On chce, żeby Parmelee uznał nas za naród zdrajców. Tymczasem mamy ich tylko kilku.

Podpisaliśmy traktat i będziemy go przestrzegać. Nie będziemy się sprzedawać!

- Oskarżasz mnie o zdradę? - wybuchnął Blade. - Skoro tak, to czemu tego nie powiesz? A może nie potrafisz bez czarnej chustki zasłaniającej twarz?

Przed wielu laty, jako członek grupy egzekucyjnej, Kipp uczestniczył w wykonaniu wyroku śmierci na ojcu Blade'a. Twarze egzekutorów przesłaniały wówczas czarne chustki. Teraz zmełł w ustach przekleństwo i sięgnął dłonią do boku.

Lije był od niego szybszy. Złapał go za rękę i unieruchomił w żelaznym uścisku.

- Nie rób tego, Kipp - rzucił ostrzegawczo.

Jego błyskawiczna reakcja zaskoczyła Kippa. Zaraz jednak wykrzywił się pogardliwie i napiął mięśnie ręki.

- Nie chciałbym oskarżać rodzzonego wuja o napaść - dodał Lije. Kipp!

Eliza poderwała się z krzesła, chwytając ręką za gardło. W oczach Tempie błysnął strach.

Nagle Lije poczuł lufę rewolweru na swoich plecach. Zesztywniał, jakby krew przestała mu krążyć w żyłach.

- Puść go, kuzynie - rzucił ściszym głosem Alex. Lije przeklął siebie w duchu za brak ostrożności. - Powiedziałem, puść ramię ojca - powtórzył, wbijając mu lufę w plecy.

- Alex, nie - rozległ się głos Diany. Lije wolno i niechętnie rozluźnił uścisk.

- Dobra robota, synu - odezwał się Kipp, rozcierając bolące ramię.

- Lepiej przysuń się bliżej mnie - polecił Alex ojcu.

- Nie trzeba było się wtrącać, Alex - rzucił chmurnie Lije.
- Nie wtrącałem się, dopóki ty tego nie zrobiłeś. Will Gordon postąpił krok w przód.
- Natychmiast oddaj rewolwer, Alex. Nie będę tolerował tego rodzaju zachowania w moim domu.

- Im to powiedz - rzucił wyzywająco Alex i cofnął się.

Lije obejrzał się przez ramię, po czym odwrócił się wolno, nie spuszczać wzroku z rewolweru w dłoni Aleksa.

- Nie sądziłem, że twój rewolwer okaże się taki przydatny, dziadku - stwierdził Alex.

- Gdybym wiedział, że się nim posłużysz, nigdy nie zgodziłbym się na ten zakład. A teraz go odłóż.

Will Gordon stał teraz na wprost syna i wnuka. Lije przesunął się nieco, by mieć ich obu na oku, lecz nie odezwał się słowem, nie chcąc prowokować Aleksa, któremu najwyraźniej bardzo odpowiadała ta sytuacja.

- Lepiej będę go miał przy sobie, dziadku, kiedy będziemy z ojcem opuszczać to wspaniałe zgromadzenie - odparł, nie przestając się uśmiechać. - Idziemy, ojczy?

- Tak. Nie mam zamiaru dłużej pozostawać w towarzystwie zdrajców. Rzucił wściekle spojrzenie Blade'owi, po czym odwrócił się i ruszył w kierunku stajni.

Alex cofnął się kilka kroków, powoli opuścił rewolwer, następnie odwrócił się i poszedł za ojcem.

Przez chwilę nikt nie ruszał się z miejsc. Sorrel jako pierwsza przerwała zakłętą krąg.

- Alex, zaczekaj! - krzyknęła i rzuciła się w ślad za nim. Lije w porę ją przytrzymał. - Puść mnie! Nie chcę, żeby Alex odszedł.

- Tak będzie lepiej, Sorrel - powiedział Lije, uniemożliwiając jej próbę ucieczki. - Zobaczysz się z nim innym razem.

- Ale ja chcę teraz! - wybuchnęła. - Obiecał, że pohości mnie na huśtawce.

- Ja cię pohoścę.

- Nie, nie pohościsz. Będiesz albo zmęczony, albo zajęty. Jesteś taki jak tatuś. Nigdy nie ma cię w domu, a kiedy jesteś, nie masz dla mnie czasu. - Broda i dolna warga zaczęły jej drżeć. Pociągnęła nosem połykając napływające łzy. - Tylko Alex się ze mną bawi. Tylko on mnie lubi.

- To nieprawda. - Przykucnął przed nią.

- Właśnie że tak! - Rozplakała się na dobre. - To przez ciebie Alex sobie poszedł. Dlaczego musiałeś skrzywdzić wuja Kippa? - Odwróciła się w stronę ojca. - Dlaczego musiałeś się z nim kłócić? Nienawidzę cię! Nienawidzę was obu!

Wyrwała się i pobiegła do domu. Tempie spojrzała na syna pełnymi żalu oczyma.

- Ona tak nie myśli - powiedziała, po czym rzuciła przeproszające spojrzenie mężowi i poszła za Sorrel.

W pełnej napięcia ciszy, jaka zapadła po jej odejściu, Lije posłyszał cichy szelest spódnic. Obejrzał się zobaczył stojącą za nim Dianę. W jej oczach nie było już strachu, lecz troska. Uniosła rękę, jakby chciała go dotknąć, lecz zaraz ją cofnęła.

- Wszystko w porządku?

- Tak.

Od strony stajni dobiegł tętent kopyt. Lije śledził galopujących Kippa i Aleksa, póki nie zniknęli z pola widzenia.

- Te stare urazy. - Diana pokręciła głową z wyrazem smutku i zakłopotania na twarzy. - Kiedy przed sześciu laty wyjeżdżaliśmy z Fort Gibson, panował spokój.

- Raczej rozejm - sprostował Lije. - Konflikt między Północą i Południem ponownie stworzył atmosferę nieufności i obudził dawną nienawiść. A przedstawiciele obu stron wykorzystują ją do własnych celów.

- To moja wina - odezwał się Jed Parmelee. - Przepraszam. Will zaprzeczył ruchem głowy.

- To godny pożałowania incydent, lecz nie ty jesteś jego przyczyną. Wszyscy żyją w napięciu. Niewiele trzeba, by eksplodowało.

- Może i tak - powiedział bez przekonania Jed. - Jednak w tych okolicznościach będę musiał zrezygnować z zaproszenia do Grand View. Moja misja jest delikatnej natury. Mogłaby zostać wystawiona na niebezpieczeństwo, gdyby uznano, że stanąłem po którejś ze stron w waszych lokalnych konfliktach. Będzie lepiej, jeśli pozostanę w Tahlequah. Diany naturalnie to nie dotyczy.

- Chętnie zostanę w Grand View - zwróciła się do Blade'a. - Pod warunkiem, że moja obecność nie sprawi państwu kłopotu.

- To dla nas żaden kłopot - odpowiedział i spojrzał znacząco na Lijego. - Ale nie mogę mówić za syna.

Zaśmiała się dźwięcznie.

- Postaram się sprawić pańskiemu synowi mnóstwo kłopotów.

- Możesz nie mieć po temu okazji - odparł Lije. - Praca w czirokeskiej milicji zajmuje mi wiele czasu.

- W czirokeskiej milicji? - powtórzyła zdziwiona. - A więc to miałeś na myśli, kiedy powiedziałaś wujowi, że nie chcesz oskarżyć go o napaść. Miałaś, zdaje się, otworzyć biuro adwokackie.

- Rzeczywiście - przyznał Lije. - Doszedłem jednak do wniosku, że bardziej się przydam jako rozjemca. - Umilkł i popatrzył w ślad za Kippem i Alekssem. - Tymczasem dzisiaj rozszerzyłem tylko konflikt - dodał.

- To było nieuniknione - powiedział Blade. - Nie widziałeś twarzy Aleksa, kiedy przystawił ci rewolwer do pleców. Niezwykłą przyjemność sprawiło mu poczucie władzy, jaką daje broń.

- Nie powinienem był przystać na ten zakład - mruknął Will.

- To tylko odwlekłoby tę chwilę - stwierdził Blade. - Ona i tak by nadeszła. Wszyscy zdawaliśmy sobie z tego sprawę.

Lije w duchu przyznał ojcu rację. Wydarzenia następowały po sobie zbyt szybko. Nie sposób było utrzymać nad nimi kontroli, nie tylko we wszystkich stanach, lecz również wśród Czirokezów. Ciekawe, czy Diana zdaje sobie z tego sprawę, pomyślał.

Pod koniec tygodnia telegrafy przekazały wiadomość o zwycięstwie konfederatów nad rzeką Buli Run w okolicy Manassas w Wirginii. Chociaż bitwa ta nie należała do znaczących, to zmniejszyła drastycznie szansę Unii na uzyskanie poparcia Czirokezów i potwierdziła opinię Południowców, że Północ nie potrafi walczyć.

Coś podobnego powiedział Blade przy kolacji tego wieczoru. Był to jeden z nielicznych posiłków, w którym uczestniczył Lije. Diana uznała za konieczne zaprotestować.

- Jedna bitwa to jeszcze nie wojna, panie Stuart - oświadczyła lekkim tonem z uroczym uśmiechem.

- Ale może przesądzić o jej losach - odpowiedział.

- Zapewne, lecz nie w tym rzecz - oznajmiła pewnym siebie tonem, kiedy czarna służąca wniosła deser. - Jak pan zapewne wie, grono naszych oficerów znacznie się uszczupliło, bo większość przeszła do armii Konfederacji. Potrzebujemy czasu, by zebrać nowych.

- I liczyacie, że konfederaci to zrozumieją?

Uśmiechnęła się, nie mając mu za złe tej złośliwości. Przeciwnie, wydawało się, że lubi słowne potyczki.

- Proszę nie lekceważyć woli walki armii Północy, panie Stuart.

- Nie lekceważę, ale też i nie przeceniam.

- Bardzo słusznie - przyznała i zagłębiła łyżeczkę w delikatnym kremie z bitej śmietany, jajek i lodów. Po chwili aż westchnęła z zadowolenia.

- Wyborny deser, pani Stuart.

- Dziękuję, zro...

- Mama kazała Essie Lou zrobić go dla mnie - weszła jej w słowo Sorrel. - To mój ulubiony krem.

- Moja matka też go bardzo lubiła - powiedziała Diana. - Kiedy mieszkaliśmy w Fort Gibson, zawsze podawała go podczas przyjęć. - Umilkła i zamyśliła się. - To dziwne, jakie rzeczy pozostają człowiekowi w pamięci. To była ostatnia zima przed naszym wyjazdem z fortu. Przez kilka dni stacjonował wówczas pułk kawalerii. Zmierzali zdaje się do jakiegoś garnizonu w Teksasie i zatrzymali się u nas na odpoczynek. Jego dowódcą był pułkownik Albert Johnson, ten sam, który jest teraz generałem w armii Konfederacji. Jego zastępcą był pułkownik Robert E. Lee. Dowiedziałam się od ojca, że w kwietniu tego roku pułkownikowi Lee zaproponowano dowództwo w nowej armii Unii, lecz odmówił i później wstąpił do armii Południa. Jest teraz dowódcą wojsk w Wirginii. Zapamiętałam go jako szlachetnego i uprzejmego człowieka. Było w nim jakieś dostojeństwo, którego nie można było nie podziwiać. - Uśmiechnęła się. - Był tam jeszcze jeden oficer. Nazywał się Stuart. J.E.B. Stuart. Niezwykle szarmancki i pełen wigoru kawaler. Moja matka była nim oczarowana. A jak wicie trudno ją oczarować - dodała ze śmiechem.

Wszyscy przy stole się roześmiali, najgłośniej zaś Sorrel, która pragnęła, by traktowano ją na równi z dorosłymi, choć nie zrozumiała uwagi Diany. Lije uśmiechnął się z przymusem. Gdy mowa była o Cecilii Parmelee, tracił poczucie humoru.

- Tylu oficerów, których poznałam w forcie, przeszło na stronę buntowników - powiedziała Diana. - Lee, Longstreet, porucznik Hood z Teksasu, kapitan Kirby-Smith.

- Skoro mowa o buntownikach, to słyszałem, że Stand Watie zbiera oddział - zwrócił się Lije do ojca. - Podobno zaoferował swoje usługi konfederatom, mimo że John Ross zabronił Czirokezom uczestniczenia w działaniach wojennych w obrębie naszych granic. Czy to prawda?

- Tak. - Blade starannie unikał gniewnego wzroku Tempie. - Założyli sztab w pobliżu starego Fortu Wayne.

- Ale takie postępowanie podważa stanowisko Rossa o pozostaniu neutralnym - powiedziała Diana z lekką wymówką w głosie.

- Neutralność wkrótce nie będzie możliwa - odpowiedział Blade. - Jeśli wojna dotrze na daleki zachód, Czirokezi znajdą się w ogniu walki.

- Czy musimy rozmawiać o wojnie? - zapytała Tempie z irytacją w głosie. - Jest tyle innych tematów.

- Masz rację, wybacz - powiedział Blade, uśmiechając się kpiąco. - Ale ten brzydki zwyczaj

dyskusowania o polityce przejąłem od ciebie. - Nie mogąc zaprzeczyć, rzuciła mu gniewne spojrzenie. Uśmiechnął się jeszcze szerzej i zwrócił się z wyjaśnieniem do Diany. - Możesz mi wierzyć lub nie, ale zanim poznałem swoją żonę, w ogóle nie interesowałem się polityką. A teraz ona nie chce o niej słyszeć. Podejrzewam, że to dlatego, iż rzadko się ze sobą zgadzamy, co staje się niekiedy bardzo niewygodne.

- Ale nie nużące - odparła z uśmiechem.

- To prawda - przyznał.

Kiedy spojrział na Tempie, dostrzegł na jej twarzy lekki uśmiech i wiedział, że mu wybaczyła.

- Sorrel, czy mówiłaś już ojcu o niespodziance, którą przygotowałaś dla niego po kolacji? -

zapytała Tempie.

Sorrel pochyliła się w przód, zachwycona, że wszyscy na nią patrzą.

- Nauczyłam się dwóch nowych utworów i chciałam ci je zagrać dziś wieczorem.

- Bardzo pięknie je grasz - pospieszyła z pochwałą Diana. - Słyszałam, jak ćwiczyłaś.

Blade zmarszczył brwi i wyjął zegarek z kieszeni kamizelki.

- Kazałem Danversowi przyjść tu o wpół do ósmej - powiedział, mając na myśli zarządcę

plantacji. - Przesłał mi wiadomość, że chce się ze mną widzieć.

- Nigdy nie masz dla mnie czasu. - Sorrel gwałtownie opadła na oparcie krzesła.

- Na pewno ta sprawa z panem Danversem jest bardzo ważna, lecz nie ma się czym denerwować,

Sorrel - powiedziała Diana. - Twoja mama może poprosić, by kawę podano nam w pokoju muzycznym. Tym sposobem będziesz mogła nam zagrać, a twój ojciec będzie mógł spotkać się z panem Danversem.

- Możemy, mamusiu? - zapytała Sorrel z nadzieją w głosie.

- Naturalnie. - Tempie niezzwłocznie wydała polecenie służącej. Blade spojrział na Dianę z mieszaniną wdzięczności i niechętnego podziwu. Nie sądził, że polubi piękną córkę Jeda Parmelee, tymczasem Diana mile go zaskoczyła. Natura obdarzyła ją nie tylko urodą, lecz także inteligencją i sprytem. Zrozumiał, dlaczego tak pociąga Lijego, choć podczas kolacji zamienił z nią zaledwie kilka słów. Zresztą w ogóle rzadko z nią przebywał.

W pokoju muzycznym płonęły świece, rozjaśniając swym blaskiem każdy zakamarek. Lije stał za fotelem matki i obserwował siedzącą przy pianinie siostrę. Głowę miała spuszczoną i niezwykle skupienie w oczach.

Nie pozwolił sobie na ani jedno spojrzenie w kierunku Diany, lecz każdym nerwem wyczuwał jej obecność. Wiedział, że wpatruje się z uwagą w Sorrel. Uśmiech aprobaty rozjaśnia jej twarz, a złociste włosy połyskują w blasku świec. Był świadom tylko jej, jakby poza nią nie było nikogo w pokoju. Drażniło to już i tak napięte nerwy.

Nie mógł się doczekać, kiedy Sorrel skończy grać. Natychmiast po ostatnim akordzie wyszedł z pokoju, pozostawiając innym złożenie siostrze gratulacji.

Znalazłszy się na werandzie, przeszedł wolno na jej koniec i zapalił cygaro. Zaciągnął się, wypuścił dym i oparł ramieniem o wysoki biały filar, próbując uspokoić stargane nerwy. Między drzewami przeświecał księżyc, niczym wielka lśniąca perła na czarnym aksamicie nocy poprzetykanym diamentowymi gwiazdami. Wieczorna cisza nie przyniosła jednak ukojenia. Wszystkie jego zmysły były skierowane na to, co dzieje się w domu.

Kiedy usłyszał, że drzwi się otwierają, stłumił w sobie chęć spojrzenia w tamtą stronę. Po chwili rozległo się ciche stąpanie. Wydmuchnął dym z cygara i obserwował, jak zmienia się w cienie

niebieskie smugi.

- Zastanawiałam się, dokąd poszedłeś - postyszał głos Diany. Stała tak blisko, że brzegiem sukni otarła się o jego nogę.

- Chciałem odetchnąć świeżym powietrzem.

Pwróciło zdenerwowanie. Cisnął cygaro przed siebie, patrząc jak purpurowym łukiem spada na ziemię.

- Cudowny wieczór - powiedziała Diana. - Pozwolisz, że dotrzymam ci towarzystwa?

Oderwał się od filara i spojrzał na nią, czując, że mięśnie ma napięte do ostatnich granic.

- Już to zrobiłaś.

- Tak. - Uniosła głowę i spojrzała na niego tym swoim prowokującym wzrokiem. - Czy masz coś przeciwko temu?

- Nie. - Zabrzmiało to raczej wstrzemięźliwie. Odwrócił głowę.

- Doprawdy? Rzadko cię widywałam przez ten tydzień.

- Uprzedzałem, że tak będzie.

- Istotnie, ale odnoszę wrażenie, że robiłeś wszystko, by spędzać ze mną jak najmniej czasu.

- Chyba nie spodziewałaś się, że będę wokół ciebie tańczył.

- Tak jak to robiłeś w Springfield? Spojrzał na nią z góry.

- Tak.

- Czy mam rozumieć, że od tej chwili zamierzasz mnie ignorować? - zapytała kpiąco.

- Diano - rzucił z irytacją.

- A więc pamiętasz jeszcze moje imię - stwierdziła z udanym zaskoczeniem. - To doprawdy pocieszające.

Uśmiechnął się wbrew sobie.

- Czemu to robisz, Diano?

- A dlaczego mnie unikasz? - odpowiedziała pytaniem na pytanie. Spochmurniał.

- Jeśli się człowiek sparzy, to ostrożnie będzie podchodził do ognia.

- Ale czy chłód nie jest czymś gorszym?

Popatrzyła na niego z powagą. W jej oczach ujrzał te same pragnienia, które i jego dręczyły.

Niespokojne noce i dręcząca go niepewność sprawiły, że nie był w stanie dłużej nad sobą panować. Nie widział, które z nich zrobiło pierwszy krok. Po chwili stali już spleceni w uścisku.

Jego wargi znalazły się tuż przy jej ustach. Zamarła w oczekiwaniu. Nie miało dla niej znaczenia, czy będzie to brutalny, czy delikatny pocałunek. Pragnęła jedynie poczuć jego wargi na swoich. Objęła dłońmi jego twarz i niecierpliwie przywarła do ust.

Rozpaliła w nim ogień. Oddawał pocałunki z równą żarliwością. Brał to, co mu tak szczerze ofiarowywała, lecz widział, że to mu nie wystarczy. Czy kiedykolwiek zdoła zaspokoić płonące w nim pożądanie? Z nią ramionach zapominał o całym świecie. Zdawał sobie z tego sprawę, lecz nie był w stanie temu zaradzić. Garnęła się do niego z taką słodką ufnością, a jej usta paliły mu wargi. Pożądanie wybuchło w nim ze zdwojoną siłą. Krew pulsowała mu w skroniach. Przyciągnął Dianę do siebie, delektując się gładką miękkością jej ciała i emanującym z niego żarem.

Miał wiele wątpliwości, lecz jedno wiedział na pewno, że jej pragnie. Nie pojmował intensywności tego pragnienia, lecz nigdy w nie nie wątpił. Teraz też czuł jego wszechpotężną siłę.

Kiedy wreszcie ukryła twarz na jego piersi, poczuł, że cała drży. Odruchowo objął ją mocniej.

- Czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo cię kocham, Lije? - wymruczała z ustami przy

kołnierzyku. - Ściagałabym cię dopóty, dopóki nie przyjąłbyś mnie z powrotem.

Zaśmiała się chrapliwie. Uniósł ku sobie jej twarz i spojrzał w oczy.

- Skoro tak mówisz.

- Nie powiesz mi tego, Lije? - szepnęła, nie spuszczać wzroku z jego ust. - Kobiety lubią, by im to powtarzać.

- Kocham cię - wyszeptał niskim, drżącym od tłumionych emocji głosem. - Nigdy nie przestałem cię kochać.

- Udowodnij to - rzuciła śmiało.

Kiedy dostrzegła wyraz zaskoczenia na jego twarzy, zaśmiała się i obróciła w jego ramionach, otaczając się nimi niczym szalem.

- Widzisz, jaka jestem bezwstydna? Już się cieszę na naszą noc poślubną. Czy to cię szokuje?

- Niewymownie.

Posmutniał na myśl o małżeństwie, zdając sobie sprawę, że wkrótce staną przed wyborem, który może ich rozdzielić.

- Czy twoja rodzina uznałaby za niewłaściwe, gdybyśmy się szybko pobrali?

- To zależy od tego jak szybko.

Postanowił nie mącić intymnego nastroju i cieszyć się chwilą, jedwabistym dotykiem włosów na policzku i świeżym zapachem jej skóry.

- Matka z pewnością miałaby nam za złe, gdyby nie mogła urządzić wielkiego przyjęcia.

- A mój ojciec na pewno chciałby wziąć w nim udział - dodała z ciężkim westchnieniem.

W tym momencie Lije posłyszał cichy szelest kroków.

- Ktoś idzie.

Natychmiast ją puścił i odsunął się, choć w zbliżającej się postaci rozpoznał zarządcę. Zaśmiała się cicho.

- Czyżbyś obawiał się o moją reputację? - zapytała kpiąco. Nie zdążył odpowiedzieć, bo rozległ się głos zarządcy.

- Dobry wieczór, panie Stuart. Dobry wieczór pani. Uchylił przed Dianą kapelusza, odsłaniając kółko łysiny.

- Dobry wieczór, Asa - odpowiedział Lije.

Zarządca zatrzymał się przy stopniach werandy i obejrzał za siebie.

- Widziałem jeźdźca skręcającego na podjazd. Dość późno jak na zwykłą wizytę.

Lije z niepokojem spojrzał na wysadzaną drzewami drogę. Coś tam się poruszało w ciemnościach. Za chwilę usłyszał stłumiony tętent kopyt, który narastał w miarę zbliżania się.

- Idź i powiedz mojemu ojcu, że mamy gościa - polecił Dianie z pozoru obojętnym głosem.

- Naturalnie.

Nie spiesząc się, weszła do domu.

Rozsądek podpowiadał Lijemu, że ktoś, kto jedzie drogą prosto do dworu, nie jest niebezpieczny, ale na wszelki wypadek zszedł z oświetlonej księżycowym blaskiem werandy na ciemny trawnik.

- Jesteś zbyt widoczny, Asa - rzucił ostrzegawczo. - Lepiej usuń się w cień.

Mężczyzna zszedł ze stopni i stanął w cieniu wysokich krzewów.

- Myśli pan, że ten gość oznacza kłopoty? - zapytał cicho.

- Możliwe - odpowiedział równie cicho Lije.

Koń i jeździec wyglądali teraz niczym wielki czarny cień na ciemniejącym podjeździe. Kiedy

wjechali w smugę księżycowego światła, Lije dostrzegł siwiejącą brodę mężczyzny. Odetchnął z ulgą.

- Wiesz kto to? - posłyszał głos Blade' a dochodzący od strony drzwi. Parmelee.

Niespodziewany gość zatrzymał się właśnie przed werandą. Zaraz też pojawił się Ike.

- Późno pan przyjeżdża, kapitanie.

- Wracam właśnie od pańskiego dziadka. - Jed oddał wodze Ike'owi i zerknął w stronę domu.

Światło księżycyca oświetliło ściągniętą twarz i ślady zmęczenia wokół oczu. - Czy Diana jest w domu?

Zanim Lije zdążył odpowiedzieć, Diana pojawiła się w drzwiach.

- Tatusiu! - zawołała i zbiegła ku niemu po schodach. Lije usunął się na bok. W tym momencie podszedł do niego Ike.

- Czy to prawda, proszę pana?

- Co? - Lije zmarszczył brwi.

Ike unikał jego wzroku, gładząc konia po nosie.

- Podobno na Wschodzie była wielka bitwa i Jankesi przegrali.

- To prawda - przyznał Lije, przyglądając mu się z ciekawością.

- A więc wojna jest skończona.

- Jeszcze nie - odpowiedział. Przemknęła mu przez głowę myśl, że gdyby tak było, zniknęłyby jego wszystkie problemy.

- Cóż za wspaniałą niespodziankę mi sprawiłeś - powiedziała Diana. - Nie wiedziałam, że masz dziś przyjechać.

- To była nagła decyzja - odpowiedział Jed z nikłym uśmiechem. - Właśnie dostałem wiadomość, że mam wracać i zdać raport z mojej misji.

- Tak szybko? - W głosie Diany zabrzmiało rozczarowanie. Skinął głową.

- Nie ma sensu siedzieć tu dłużej. Dziś po południu spotkałem się z Johnem Rossem w Park Hill.

Pomimo naszej porażki w Wirginii nadal uważa, że Czirokezi powinni pozostać neutralni. W tych okolicznościach to chyba dla nas najlepsze.

Blade prychnął drwiąco, lecz Diana puściła to mimo uszu.

- Bardzo się cieszę, ojczu. A teraz ja chciałabym ci o czymś powiedzieć. - Podeszła do Lijego i wzięła go za rękę. - A raczej my chcielibyśmy ci o czymś powiedzieć, a także wam wszystkim - dodała, patrząc na Tempie i Blade'a. - Lije i ja zamierzamy się pobrać.

Lije napotkał ostry badawczy wzrok ojca, lecz w tym samym momencie rozległ się radosny okrzyk matki.

- To wspaniała nowina.

Reakcja Jeda była spokojniejsza, lecz równie szczerza jak Tempie. Chwycił Dianę za rękę i mocno ją uściskał.

- Bardzo się cieszę, Dianu - powiedział. - Wiem, jak bardzo tego pragnęłaś.

Po czym złożył gratulacje Lijemu. Z kolei Tempie serdecznie ich uściskała.

- Będzie wesele? - chciała wiedzieć Sorrel. - Zaprosicie mnie na nie? Diana wybuchnęła śmiechem.

- Naturalnie że tak. Uszyjemy ci na tę okazję piękną sukienkę.

- Żółtą? Chciałabym mieć żółtą.

- W takim razie będzie żółta - obiecała Diana uśmiechając się promiennie.

- Słyszałaś, mamusiu? Będę miała nową żółtą sukienkę - oznajmiła z dumą, po czym ponownie zwróciła się do Diany. - A kiedy będzie to wesele?

Tym razem Diana zawahała się i zerknęła na ojca.

- Chcielibyśmy, żeby było szybko, lecz skoro jutro wyjeżdżasz i... - Pomyślała o wojnie na Wschodzie i nagle się uśmiechnęła. - Na Boże Narodzenie. Wojna na pewno skończy się przed Bożym Narodzeniem. Będziesz mógł dostać wtedy urlop i poprowadzić mnie do ołtarza. Wesele na Boże Narodzenie będzie wspaniałe: z tymi wszystkimi świętymi wianuszkami i girlandami z jemioli.

- I będziemy mieć dość czasu na przygotowanie ci sukni - dodała Tempie, już zaczynając robić plany. - Ze swojej ostatniej podróży do Fort Smith Blade przywiózł najnowszy numer „Godey’s Lady’s Book”. Przejrzemy modele i zobaczymy, czy któryś z nich będziemy mogły skopiować.

- I drugi dla mnie - wtrąciła Sorrel.

- Naturalnie - uśmiechnęła się Tempie i powiodła wzrokiem po zebranych. - Może wejdziemy do środka. Prozmawiamy i uczcimy wasze zaręczyny. - Z tymi słowy objęła Dianę ramieniem i ruszyła do domu. - Kiedy byłam w sklepie w Tahlequah, widziałam piękną sztukę białego brokatu. Byłaby z niego wspaniała suknia ślubna.

W tym momencie z cienia wystąpił Asa Danvers.

- Czy mogę zamienić z panem słowo, panie Stuart? - zwrócił się do Blade’a. - To ważne.

Jakaś szorstka nuta w jego głosie kazała Lijemu pozostać przy ojcu. Tymczasem Jed Parmelee ruszył za paniami.

- W takim razie chodźmy do mojego gabinetu - zaproponował Blade.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, wolałbym tutaj - oznajmił Danvers. - Nie mam ochoty pozostawać pod jednym dachem z tym jankeskim kapitanem.

Dla przypiecztowania swojej wrogości splunął z pogardą na ziemię.

- A więc o co chodzi? - zapytał Blade.

- Może dla Czirokezów neutralność to dobre wyjście - zaczął Danvers - ale ja pochodzę z Arkansas. Dlatego chcę odejść. Jak tylko ulokuję żonę i dzieciaki na farmie u mojej siostry na północ od Fort Smith, wstępuję do wojska i będę walczył o prawa dla Południa.

- Kiedy chce pan wyjechać?

- Jak tylko się spakuję.

- Rano przygotuję panu wypłatę.

Zarządca skinął głową i zrobił ruch, jakby miał zamiar odejść, lecz w ostatniej chwili się odwrócił.

- Ten Abe Lincoln może sobie mówić, co chce, ale nikt mnie nie przekona, że jakiś cholerny czarnuch może się ze mną równać.

Tu dźgnął energicznie palcem powietrze.

Kiedy Blade milczał, zarządca odwrócił się i odszedł z dumnie podniesioną głową. W tym momencie Lije spojrział na stojącego obok Ike’a, który trzymał za uzdę konia kapitana. Mięśnie twarzy miał napięte, a w oczach płonęły gniew i oburzenie.

- Idziesz, Lije? - rozległ się głos Diany.

- Za chwilę - odpowiedział, ponownie czując na sobie badawczy wzrok ojca.

W milczeniu ruszyli w stronę domu.

- Czy to rozsądne te zaręczyny? - zapytał cicho Blade.

- To się okaże - odparł. - Słyszałem dziś, że Stand Watie zaproponował ci wstąpienie do

swojego oddziału.

- Tak.

- Masz zamiar się zgodzić?

- Nie mówiłem o tym matce, ale się nad tym zastanawiam - przyznał. - Dla ciebie i Diany będzie to niezręczna sytuacja, bo Jed jest przecież oficerem Unii.

- Bardzo niezręczna - przyznał Lije. Już wkrótce stanie przed koniecznością wyboru, a w jego przypadku był tylko jeden.

- Obaj wiemy, że matka będzie przeciwna mojemu udziałowi w wojnie - nie. Właśnie ze względu na nią wstrzymuję się z podjęciem decyzji. Przeżyła przede mną wiele niespokojnych chwil w trakcie naszego małżeństwa. Nie chciałbym, żeby znowu musiała ich doświadczyć. Chyba jednak zaczekam - zdecydował. - Przy odrobinie szczęścia ta wojna może tu nie dotrzeć.

- I przy odrobinie szczęścia skończy się przed Bożym Narodzeniem - powiedział Lije, nawiązując do słów Diany.

Po odjeździe Jeda Parmelee nastąpiły dla wszystkich pracowite tygodnie. Diana większość czasu spędzała na planowaniu wesela i przygotowaniach do ślubu, a Lije miał pełne ręce roboty, starając się utrzymać spokój i porządek w swym okręgu. Zwycięstwo konfederatów nad Buli Run stało się powodem ciągłych konfliktów między Rycerzami Złocistego Kręgu, którym przewodził Watie, a którzy zmienili teraz nazwę na Obywatelską Partię Południa, a stronnikami Rossa skupionymi w Stowarzyszeniu Keetoowah, występującymi pod nazwą Ligii Braterskiej. Z każdym dniem ten podział w narodzie się pogłębiał.

Któregoś wieczoru w połowie sierpnia Lije wracał do domu. Dwór tonął w ciemnościach. Minął ciemne okna i skierował konia prosto do stajni. Mroczny horyzont rozświetliła błyskawica. Gdzieś niedaleko zahukała sowa. Jej złowieszcze wołanie pogłębiło w nim przecucie o nadchodzących ciężkich dniach.

W jednym z boksów dostrzegł żółte światelko latarni. Lije natychmiast stał się czujny i ostrożny. Ruszył w tamtą stronę, a wtedy światło się przesunęło. Z boksu wyszedł mężczyzna, unosząc latarnię wysoko nad głową.

- Czy to pan, panie Lije?

Odetchnął z ulgą, rozpoznając głos Ike'a i wprowadził konia w krąg światła.

- Tak, to ja. - Stał przy barierce i zeskoczył na ziemię. Poczł się nagle straszliwie zmęczony. - Co tu robisz o tej porze?

- Jeden ze źrebaków poranił się o krzaki dzikiej róży. Niektóre z zadrapań zaczęły nawet ropieć. Postanowiłem sprawdzić, jak się czuje.

- No i co z nim?

Lije odpiął popręg i zdjął siodło.

- Jest porządnie spocony, ale wypił trochę wody. Myślę, że wyjdzie z tego.

Ike zawiesił latarnię na kołku przy drzwiach boksu. Lije założył siodło na metalowy drąg i nagle spostrzegł leżący na ziemi podejrzanie wyglądający tobołek.

- Co to jest, Ike? - zapytał ostrym tonem. O co chodzi, proszę pana?

- O ten tobołek.

Ike spojrział we wskazanym kierunku, po czym spojrział na Lijego z urazą.

- A pan myśli, że co to jest?

- Wygląda na twój dobytek. Chyba nie miałeś zamiaru uciec?

- A niby dokąd miałbym uciekać?

- Donikąd - warknął Lije, po czym odetchnął głęboko, starając się opanować. O co tu chodzi, Ike? Nikt nigdy cię nie wychłostał ani nie zakuł w kajdany. Zawsze dobrze cię traktowano.

- Tak, proszę pana - przyznał Ike. - Dbano o mnie tak jak się dba o konie. Dostawałem czysty siennik na łożko, jedzenie i wodę. Czasami nawet ktoś mnie poklepał po przyjacielsku.

- Do diabła, Ike... - Lije postąpił krok w jego stronę.

- Gdyby pan dokładniej przyjrzał się temu zawiniątku, przekonałby się pan, że to szmaty, którymi obwiązałem okład na nodze żrebaka.

Lije ponownie przyjrzał się kupce szmat na ziemi.

- Trzeba mi było to powiedzieć, kiedy cię zapytałem - rzucił gniewnie. - Czemu tego nie zrobiłeś?

Ike wzruszył tylko ramionami.

- Pewnie chce pan, żebym zajął się pańskim koniem?

- Tak. - Lije zebrał wodze, lecz nie od razu oddał je Ike'owi. - Niech ci nie przyjdą do głowy jakieś głupie pomysły, Ike.

- Na przykład jakie?

- Na przykład, by stąd uciec. - Zmierzył go wzrokiem, lecz twarz Ike'a pozostała nieprzenikniona.

- Jeśli to zrobisz, pierwszy ruszę za tobą w pościg. Wiem, co sobie myślisz, ale wytropię cię. Do diabła, przecież to moja praca. Będę musiał to zrobić, czy tego chcę, czy nie.

- Chyba tak - skinął głową Ike.

Lije patrzył na niego przez chwilę, po czym oddał mu wodze i wyszedł ze stajni.

Kolejna błyskawica przecięła niebo, oświetlając ścieżkę biegnącą wśród drzew. Trawa pod stopami Lije'go była sucha i pożółkła z powodu długotrwałej letniej suszy. Chrząściła niczym papier.

Było parno i duszno. Chwilową ulgę przynosił lekki wiaterek. Lije przeszedł zaledwie dwadzieścia metrów, a plecy już miał mokre od potu. Marzył o kąpieli, lecz do tego musiałby obudzić służących. Przy okazji wstaliby też inni domownicy, wśród nich i Diana.

Nie chciał jej już widzieć, bo wówczas musiałby przekazać złe wiadomości, które dziś otrzymał. Zmyje tylko z siebie kurz i pot, a wykąpie się jutro. Może do tego czasu nadejdą jakieś nowe wieści.

Westchnął i spojrzał ku domowi i tonącej w mroku szerokiej werandzie. Nagle jakaś eteryczna, przypominająca zjawę postać spłynęła ku niemu na trawnik. Zwolnił i zaklął cicho po czirokesku, bo rozpoznał w niej Dianę. Miała na sobie luźną białą koszulę nocną. Rozpuszczone włosy spływały jej na ramiona.

Podbiegła do niego, objęła za szyję i przyciągnęła do siebie.

- Myślałam, że już nigdy nie wrócisz do domu.

Namiętny szept rozpalił mu krew w żyłach, jeszcze zanim dotknął wargami jej słodkich gorących ust. Zadrżał i tłumiąc głos rozsądku zaczął obsypywać jej twarz szalonymi pocałunkami. Pożądanie znów wzięło nad nim górę. Liczyła się tylko Diana i jego nienasycenie.

Czy naprawdę na niego czekała? Czy zawsze tak będzie?

Zirytowany dręczącymi go pytaniami i szalejącą w nim namiętnością zaczął całować Dianę coraz zachłanniej. Nie przestraszyła się i mocniej do niego przywarła. Oboje jednak wiedzieli, że to im nie wystarczy.

Wreszcie uniósł głowę, oddychając chrapliwie i starając się odzyskać panowanie nad sobą. Patrzyli na siebie przez chwilę, po czym Diana spuściła wzrok i przesunęła palcami wzdłuż linii jego

ust.

- Boże, ależ jesteś dziś nienasycony - szepnęła bez tchu.
- Straszliwie - odpowiedział schrypniętym głosem. Rzuciła mu szelmowskie spojrzenie.
- W takim razie dobrze, że kazałam Phoebe przygotować ci coś do zjedzenia.

Nie uśmiechnął się, jak tego oczekiwała. Wzmianka o Phoebe przypomniała mu niedawną rozmowę z jej synem Ike'iem. Diana opacznie to zrozumiała.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że już jadłeś?

- Nie.

- W takim razie, o co chodzi? - zapytała z pozoru beztróskim tonem.

- O nic - odpowiedział. Zabrzmiało to niezbyt przekonująco. Oczy jej się zwiężyły.

- Coś jednak się stało. Co takiego? Zawahał się.

- Przyszła wiadomość o bitwie w Missouri.

- W Missouri? Przecież mój ojciec... - Urwała, spuściła głowę, wciągnęła głęboko powietrze, po czym podniosła wzrok, wykazując opanowanie godne córki oficera i żołnierza. - Gdzie to było?

- W miejscu zwanym Wilson's Creek, na południowy zachód od Springfield.

- Co tam się stało?

- Wojska Unii w liczbie około pięciu tysięcy zaatakowały dwukrotnie silniejsze połączone armie Konfederacji. Po żaźartej walce, wojska Unii zostały zmuszone do wycofania się do Springfield.

Raporty mówią o ciężkich stratach po obu stronach.

- Czy pułk ojca brał udział w tej bitwie? - zapytała tym samym opanowanym tonem.

Wzrok mu złagodniał.

- Nie wiem. Czekałem z nadzieją, że nadejdą jakieś dalsze informacje. Raporty wspominają jedynie o generale Unii nazwiskiem Sigel, który dowodził artylerią.

- Nie wiemy więc, czy pułk ojca brał udział w tej bitwie. - Utkwiła wzrok w jego koszuli. - Może nie wysłali go jeszcze na front. Może został w sztabie, by zdać raport ze swojej misji. Może... - Głos jej się załamał. Zaciśnęła mocno powieki. Nie protestowała, gdy Lije przytulił jej głowę do piersi. - A jeśli został ranny? - wyszeptała. - Jeśli...

- Ciii. Tego nie wiemy.

- Nie wiemy - powtórzyła, chwytając się tej nadziei. - Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby coś mu się stało - powiedziała z drżeniem.

- Jutro będziemy mieć więcej informacji - mruknął pocieszająco.

- Tak. - Odsunęła się od niego, jakby wstydziła się swej słabości. - Wiem, że nie powinnam się martwić, ale...

- To twój ojciec. Przestałbym cię szanować, gdybyś się o niego nie martwiła.

Pogładziła go po policzku, po czym wzięła za rękę.

- Chodźmy do domu. Phoebe pewnie już czeka z kolacją. Dłoń w dłoń ruszyli do domu.

Następnego dnia dowiedzieli się, że pułk kapitana Parmelee nie brał udziału w bitwie pod Wilson's Creek.

Lecz wojna przesuwała się na zachód.

Gazety Południa rozplływały się w pochwałach nad Standem Watie i jego pułkiem, który uczestniczył w bitwie i wziął do niewoli artylerię wroga. W oczach prasy Watie stał się bohaterem.

Zwycięstwo konfederatów i nowy status Watiego postawiły pod znakiem zapytania stanowisko Johna Rossa o neutralności Czerokeeów. Coraz pewniejszy stawał się fakt, że Południe wyjdzie z tej

wojny zwycięsko. Jeśli Czirokezi nie opowiedzą się po stronie Konfederacji, mogą zostać uznani za wrogów.

Wiatr od Południa przybierał na sile.

Część druga

Jesteśmy w sytuacji człowieka stojącego samotnie na pustym skrawku ziemi

otoczonym ze wszystkich stron wzbierającymi masami wody. Zbliża się, niebezpieczeństwo, lecz on nie wie, co robić. Jeśli pozostanie na miejscu, zaleje go woda. Nagle widzi płynącą z prądem kłodę. Wkrótce będzie mógł jej dosięgnąć. Jeśli mu się nie uda, jest zgubiony. Jeśli ją schwyci, może uda mu się ocalić życie. Ma trzy możliwości: zginąć, próbując jej dosięgnąć, utrzymać głowę nad wodą i czekać na ratunek lub też dopłynąć do bezpiecznego miejsca.

John Ross, naczelny wódz Czirokezów

Tahlequah, Terytorium Indiańskie 21 sierpnia 1861

Ciężarna klacz szarpnęła łbem i zatańczyła nerwowo w miejscu, na widok stojących wokół placu koni pod wierzch, bryczek i wozów.

- Niecierpliwa i gotowa do biegu, co? - uśmiechnął się Alex i ściągnął wodze. - Szkoda, że to nie dzień wyścigów.

Minął jednopiętrowy hotel przepelniony do granic możliwości, podobnie jak całe miasto. Na ulicach bawiły się gromady dzieci, a ich matki spacerowały od sklepu do sklepu, oglądając oferowane przez kupców towary. Niewielu jednak widziało się tu mężczyzn, wszyscy bowiem zgromadzili się po wschodniej stronie placu, gdzie mieścił się budynek parlamentu.

Alex zmierzał właśnie w tę stronę, lecz nie zdążył przejechać nawet kilku metrów, kiedy posłyszał wołający go znajomy głos. Obejrzał się i zobaczył przechodzącą przez ulicę Sorrel w towarzystwie babki, matki i murzyńskiej pokojówki Phoebe. Skinął lekko głową na powitanie i już miał odjechać, kiedy dostrzegł obok nich Dianę Parmelee. Uśmiechnął się na widok córki jankeskiego kapitana i narzeczonej swego kuzyna.

- Witam panie - powiedział, podjeżdżając do nich. Spojrzał na niezliczone paczki i paczuszki, którymi były obładowane. - Widzę, że opróżniły już panie połowę sklepów. Dokąd teraz się wybieracie?

- Do krawcowej - odpowiedziała Eliza.

Diana Parmelee przyglądała mu się chłodnym wzrokiem. Alex domyślił się, że nie zapomniała jeszcze, jak trzymał na muszce jej drogocennego narzeczonego.

- Szyję sobie nową sukienkę na wesele - poinformowała go Sorrel. - Pani Adair będzie brała mi miarę. Chcesz iść z nami?

- To kusząca propozycja, lecz chyba pojedę dowiedzieć się, czy w końcu zawarliśmy przymierze z Konfederacją - odpowiedział Alex i dostrzegł lekki uśmiech, który pojawił się na twarzy Diany. - Zdziwiałam się pani, panno Parmelee. Nigdy bym nie przypuszczał, że uzna to pani za zabawne.

- Mało prawdopodobne, żeby to się stało.

- Ale się stanie - wszedł jej w słowo Alex. - Czyżby mój drogi kuzyn nie powiedział pani, że dzisiejsza sesja parlamentu została zwołana właśnie w tym celu?

Uniosła w górę podbródek.

- Powiedział mi, że samozwańczy rząd wystosował kolejną propozycję. Ale robił to już wiele razy. O ile wiem, to nie ma w niej nic, co przekonałoby Johna Rossa do zmiany zdania.

- Ale okoliczności się zmieniły. Szala zwycięstwa przechyliła się na korzyść Południa, a Standa Watiego okrzyknięto bohaterem. Ross nie może siedzieć z założonymi rękami, jeśli chce pozostać wodzem. Dlatego udzielił poparcia Konfederacji. - Uśmiechnął się na widok konsternacji i niedowierzania na jej twarzy. - Życzę paniom miłego dnia.

Dotknął kapelusza i odjechał, śmiejąc się w duchu. Diana przeniosła wzrok z Tempie na Elizę.

- Czy to wszystko prawda?

Eliza zacisnęła wargi z wyrazem głębokiej dezaprobaty.

- Niestety tak. Wódz Ross uznał, że najlepszym wyjściem jest zawarcie sojuszu z Konfederacją.

- Ale dlaczego?

- Nie mamy innego wyboru, Diana - powiedziała Eliza. - Albo zawrzemy sojusz, albo czeka nas wojskowa okupacja.

- Czy właśnie tym grozi Południe? - zapytała z oburzeniem Diana.

- Oni nie muszą tego mówić - odparła Eliza. - Takie sprawy określa się dyplomatycznymi terminami, za którymi kryje się ich prawdziwe znaczenie. Czirokezi żyli już pod groźbą bagnatów. Nie chcieliby ponownie tego doświadczyć. Dlatego zaczekają, aż armia Unii położy kres rebelii południowych stanów.

- To może być dla ciebie trudne - dodała Tempie, kładąc rękę na ramieniu Diany. - Czasami trudno jest zachować neutralność, zwłaszcza gdy inni dokonali już wyboru.

- Tak.

Lecz w rzeczywistości jej nie słuchała. Zbyt wiele myśli i pytań kłębiło się w głowie. Dlaczego Lije niczego jej nie wyjaśnił? Z tego, co zdążyła pojąć, wynikało, że neutralność była tylko jedną z możliwości, bowiem naród miał na ten temat podzielone opinie. Czyżby tak bardzo zajmowały ją przygotowania do ślubu, że nie dostrzegła, co się dzieje? Im dłużej o tym myślała, tym większy ogarniał ją niepokój, a wraz z nim gniew. Gniew i poczucie zdrady.

Alex znalazł się przed budynkiem parlamentu i wśród tłumu mężczyzn dostrzegł ojca. Zsiadł z konia, przywiązał klacz do poręczy i przepchnął się w stronę Kippa.

Kiedy dotknął jego ramienia, ojciec odwrócił się gwałtownie i sięgnął do wnętrza surduta, gdzie zawsze nosił nieduży rewolwer kaliber 31. Alex cofnął się, uśmiechając znacząco. Ojciec ostatnio stał się bardzo nerwowy. Nic dziwnego, skoro bez przerwy dochodziło do ostrych starć między zwolennikami Watiego i członkami Ligii Braterskiej, do której należał Kipp. Doszło nawet do trzech zabójstw.

- Nigdy tego nie rób - warknął ojciec. Przepraszam.

- Gdzie się podziewałeś? Ross ma za chwilę przemówić do zgromadzenia. Myślałem, że chcesz go posłuchać.

- Tak.

Ruszyli do sali obrad.

Wypełniał ją tłum mężczyzn ubranych przeważnie w surduty i białe koszule. Jedyne nieliczni mieli na sobie bluzy i charakterystyczne dla Czirokezów zawoje. Kipp natychmiast poszukał wzrokiem Blade'a. Dostrzegł go stojącego w towarzystwie syna i czarnego służącego.

Tak go to zdenerwowało, że nie słyszał początku przemówienia Rossa. Blade słuchał z

zadowoleniem, jak wódz informuje zgromadzenie, że zdecydował się przystąpić do sojuszu z Konfederacją. Dostał więc to, czego chciał, pomyślał z nienawiścią Kipp. Zalała go fala wściekłości. Przysiągł sobie, że Blade jeszcze tego pożałuje. Nie wiedział kiedy i jak, ale już on się o to postara.

Kiedy wniosek Rossa poddano pod głosowanie, deputowani powitali to okrzykami aprobaty. Przeszedł przez aklamację.

Wychodząc z parlamentu, Kipp nagle znalazł się twarzą w twarz z Blade'em. Mąż Tempie uśmiechnął się, wyjął cygaro i ze spokojem zapalił.

- A więc związaliśmy się z Południem.

- Raczej nie dopuściliśmy, byście ty i Watie podpisali wasz własny traktat z konfederatami i zajęli miejsce Rossa, tak jak to się stało przed laty - odparował Kipp.

- Może właśnie strach przed utratą władzy wpłynął na decyzję Rossa - mruknął Blade, po czym spojrzał na surdut Kippa. - Może teraz wreszcie będziesz miał okazję wykorzystać ten rewolwer, który przy sobie nosisz.

Jego odpowiedź tak zaskoczyła Kippa, że nie znalazł słów na ciętą ripostę. Patrzył w milczeniu, jak Blade odchodzi z nie odstępującym go na krok czarnym służącym. W bitewnym zamieszaniu nikt się nie zorientuje, kto strzela i do kogo. Wreszcie będzie miał okazję zemścić się na tym człowieku.

Lije zerknął spod oka na ojca.

- To nierozsądne tak prowokować Kippa.

- Wcale nie trzeba go prowokować - uciął krótko Blade.

Po wyjściu z budynku ponownie zatrzymał się, by zapalić cygaro. Czekając na niego Lije śledził wzrokiem wolno rozchodzący się tłum. Wśród masy ciemnych surdutów dostrzegł ciemnoróżową plamę. Po drugiej stronie placu stała Diana, osłaniając twarz przed słońcem różową parasolką i rozglądając się po twarzach mężczyzn. Wiedział, że to jego wypatruje i wiedział dlaczego.

- Diana czeka na ciebie - odezwał się ojciec.

- Właśnie widzę. Za chwilę wracam.

Kiedy go zobaczyła, postąpiła krok w przód i stanęła. Zauważył, że jest spięta i niespokojna.

- Czy to prawda? - zapytała bez wstępu. - Przystąpiliście do konfederatów?

- Nieoficjalnie. Trzeba jeszcze podpisać porozumienie, ale Ross otrzymał na to zgodę parlamentu.

- Czemu nic mi nie powiedziałeś? Czemu nie uprzedziłeś, że do tego dojdzie? Dlaczego musiałam się o wszystkim dowiedzieć od twojego kuzyna Aleksa?

Nietrudno było sobie wyobrazić radość Aleksa z możliwości przekazania tej wiadomości Dianie. Lije stłumił nagły przyływ gniewu.

- A co by to zmieniło?

- Chyba nic - przyznała. - Ale nie powinieneś tego ukrywać przede mną. Nie jestem dzieckiem, któremu należy oszczędzać nieprzyjemności.

- Masz rację. A gdzie matka i Eliza? - zapytał, szybko zmieniając temat.

- U krawcowej. Mam dziś miarę, a Sorrel...

- Odprowadzę cię. - Ujął ją pod rękę i poprowadził w kierunku sklepu, który mieścił się przy budynku loży wolnomularskiej. - Lepiej nie oddalaj się od nich. Nie powinnaś teraz spacerować sama po ulicach.

- Chcesz powiedzieć, że coś mi grozi?

- Wszyscy wiedzą, że twój ojciec jest oficerem Unii. Opowiedzieliśmy się po stronie Południa, możesz więc mieć jakieś nieprzyjemności.

Nie wiedział, co ją może spotkać i wcale nie chciał się dowiedzieć. Nic na to nie odpowiedziała. Kiedy stanęli przed sklepem, odwróciła się i spojrzała na niego.

- Co teraz będzie, Lije? Co zrobisz?

- To, co muszę - odparł wymijająco. Ja...

Ze sklepu wybiegła Sorrel.

- Prędko, Diano. Pani Adair czeka na ciebie. Ze mną już skończyła. Powiedziała, że moja suknia będzie najpiękniejsza ze wszystkich, które szyła.

- To wspaniale, Sorrel. A teraz idź i powiedz pani Adair, że zaraz przyjdę.

- Ale ona czeka na ciebie - zaprotestowała Sorrel, marszcząc brwi.

- Lepiej już idź - poparł siostrę Lije.

- A ty dokąd się wybierasz?

- Idziemy z ojcem na spotkanie. Zobaczymy się wieczorem. Uśmiechnął się z przymusem i odszedł. Zacisnął zęby na myśl o tym, co będzie musiał zrobić i ile będzie go to kosztowało.

Lije, Blade i czarny służący Deuteronomy Jones wrócili do domu, kiedy chyłca się ku zachodowi pomarańczowa kula rzucała złociste smugi na białe kolumny dworu. Ike już czekał, by zająć się końmi. Lije zerknął w stronę domu, jakby czekał na pojawienie się Diany.

Kiedy służący odprowadził konie, Blade podszedł do syna.

- Wiem, jaki kłopot będziesz miał z Dianą.

Lije wiedział, że ojciec mówi to z własnego doświadczenia.

- Czulem, że tak się stanie. Miałem nadzieję, że da się tego uniknąć, tymczasem... - Pokręcił głową, zaciskając usta. Chwila, której się obawiał, nadeszła. Nie było od niej odwrotu i nic nie mógł na to poradzić.

Wszedł do domu z ponurą miną. W holu czekała na niego Tempie.

- Wróciliście wcześniej, niż się spodziewałam. Myślałam, że trzeba będzie czekać na was z kolacją.

- Gdzie Diana? - zapytał, rozglądając się na boki.

- Poszła do swojego pokoju. Za...

Nie pozwolił jej dokończyć i ruszył schodami na górę. Kiedy dotarł na piętro, drzwi pokoju gościnnego otworzyły się i wyszła przez nie Diana. Ubrana była w ciemnozieloną suknię podkreślającą błękit jej oczu i płowozłotą barwę włosów. Lije patrzył na jej kształtne rysy, subtelny uśmiech błakający się na wargach i połyskliwe emanujące ciepłem oczy, czując, jak krew zaczyna mu szybciej pulsować w żyłach.

- Miałam nadzieję, że będę mogła porozmawiać z tobą przed kolacją, Lije. - Stała przed nim i przesunęła ręką wzdłuż klapy surduta, gestem intymnym i jednocześnie zaborczym. - Byłam dziś dla ciebie nieuprzejma. Ten sojusz z Południem to nie twoja wina. Lecz ta wiadomość spadła na mnie zbyt nagle.

- Miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie - powiedział beznamiętnym tonem.

Spojrzała mu w oczy, jakby czekając, że weźmie ją w ramiona. Niczego bardziej nie pragnął. Wiedziony jakąś tajemną siłą otoczył rękami talię Diany, lecz zamiast przyciągnąć do siebie, chłonał w nozdrza zapach jej włosów, starając się zachować go w pamięci, jak i tysiące innych związanych z nią szczegółów.

- Właściwie to mogłam się tego spodziewać - przyznała ze smutkiem. - Wskazywały na to liczne sygnały - wypowiedzi twojego ojca, dziwne zmiany zachowania - lecz nie chciałam przyjąć ich do wiadomości. Teraz to rozumiem. Lecz dziś, kiedy pomyślałam, że zbuntowane oddziały będą bez przeszkód poruszać się po okolicy...

- Dlatego lepiej będzie, jeśli wrócisz do Saint Louis, do ojca - oświadczył Lije bez ogórdek.

- Bez ciebie? - Spojrzała na niego zaskoczona, po czym prychnęła lekceważąco. - Cóż ty opowiadasz? Chyba nie wierzysz, że pojawienie się konfederatów zmusi mnie do wyjazdu. Istotnie, ich obecność może być oburzająca, lecz nie mam zamiaru uciekać z tego powodu.

- A jeśli ci żołnierze będą mieszkać pod tym dachem? Cofnęła się i zbladła.

- Co ty mówisz? Mają tu kwaterować?

- Wódz Ross zgodził się wystawić dwa pułki. Wacie ponownie zaproponował ojcu, by się do niego przyłączył. Tym razem wyraził zgodę. Ma sformować kompanię, którą będzie dowodzić.

- Twój ojciec? - Popatrzyła na niego z mieszaniną współczucia i bólu. - Lije, to straszne...

- Zrezygnowałem z pracy w milicji, by wstąpić do kompanii ojca - brutalnie wszedł jej w słowo.

W odpowiedzi odsunęła się od niego, a w oczach błysnął gniew i wyrzut.

- Jak możesz przyłączać się do tych buntowników? Wiesz, co to oznacza?

- Tak.

- Nie możesz tego zrobić. - Spojrzała na niego z wyrazem determinacji na twarzy. - Przecież mnie kochasz, Lije. Możemy razem wyjechać, na Wschód, gdzie nie ma wojny.

- Nie.

Właśnie takiej reakcji się spodziewał, mimo to bolało równie mocno.

- Przecież nie musisz uczestniczyć w tym konflikcie - argumentowała.

- Niestety muszę.

- Chyba nie mówisz poważnie. - Zacisnęła palce na klapach surduta. - Przecież wojska Unii prędzej czy później przepędzą konfederatów.

- Wiem o tym.

- Wiesz? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Ale tam może być mój ojciec. Będziesz musiał przeciwko niemu walczyć.

- Wolisz więc, żebym walczył przeciwko własnemu ojcu?

- Dlaczego w ogóle musisz walczyć? Dlaczego narażasz mnie na taką torturę? To niesprawiedliwe.

- Przykro mi, ale nie mam wyboru. Zaniemówiła na chwilę.

- A co z twoim dziadkiem i matką? - zapytała. - Przecież ich sympatie są po stronie Unii. Nie pochwalą twojej decyzji.

- Ale oni nie mają wrogów, którzy czyhają na ich życie.

- Stara nienawiść - mruknęła Diana. O to chodzi, prawda? To nie ma nic wspólnego z Północą czy Południem.

Nic na to nie odpowiedział.

- To wszystko zaczęło się na długo przed twoim urodzeniem - wybuchnęła. - Nie masz z tym nic wspólnego.

- Widziałem, jak mój dziadek Shawano zginął z rąk morderców. Nie będę się przyglądał, jak zabijają mojego ojca.

- Tylko dlatego, że wuj Kipp...

- Wuj jest tylko jednym z wielu, którzy życzą śmierci ojcu. Zresztą nie tylko jemu. Ta wojna daje im prawo do zabijania. Takiej okazji nie przegapią. Dla wielu Czirokezów ten wasz konflikt jest niczym więcej jak możliwością załatwienia starych porachunków. Dlatego muszę być przy ojcu.

W jej oczach błysnął gniew i oburzenie.

- Więc ja już się nie liczę? Nie obchodzi cię, co to oznacza dla nas. Nie obchodzi cię, co czuję.

- Obchodzi... lecz nie zmienia to mojej decyzji.

- Nie rozumiesz, co to oznacza, Lije? Przedkładasz przeszłość nad naszą wspólną przyszłość.

Bardziej zależy ci na załatwieniu starych porachunków niż na budowaniu nowego życia ze mną.

- Można i taki wniosek z tego wyciągnąć.

- To nie wniosek, lecz pewność.

- Nie pozwolę, by wróciła przeszłość.

- W takim razie... to koniec. Nie mogę poślubić człowieka, który będzie walczył przeciwko mojemu ojcu, nie dlatego, że wierzy w słuszność sprawy - to bym zrozumiała - lecz z powodu jakiejś starej nienawiści, która ciebie nie dotyczy.

Skinął wolno głową.

- Zorganizuję ci miejsce na kutrze, który odpływa do Fort Smith pod koniec tego tygodnia. Stamtąd będziesz miała dyliżans do Saint Louis.

- Moje kufry będą gotowe jutro rano. Nie zostanę pod tym dachem ani dnia dłużej. Jeśli twoi dziadkowie mnie nie przyjmą, zatrzymam się w hotelu do czasu odpłynięcia kutra. - Podeszła do drzwi swego pokoju. - Zapewne wiesz, że Południe przegra tę wojnę - powiedziała nie odwracając się.

- To bardzo prawdopodobne.

Weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Lije stał bez ruchu, czując ogromną pustkę w sercu. W końcu odwrócił się i szedł na dół.

Diana wyjęła stos bielizny z jednej z szuflad komody i zaniósła na łóżko. Starannie składała każdą sztukę i pakowała do kufra. Pomimo pozornego spokoju w jej duszy szalała burza emocji. Łzy paliły pod powiekami, lecz nie pozwoliła im płynąć. Lije Stuart nie jest wart nawet jednej łzy.

Rozległo się pukanie do drzwi. Upuściła gorset na podłogę.

- Kto tam? - zapytała, łudząc się, że to Lije.

- To ja, Tempie. Mogę wejść?

Głębokie rozczarowanieomal jej nie załamało. Pochyliła się, podniosła leżący na podłodze gorset.

- Tak, proszę.

Nie odwróciła się, kiedy drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Tempie.

- Przypuszczam, że Lije powiedział pani, że wyjeżdżam i że zerwaliśmy zaręczyny.

- Tak - powiedziała cicho Tempie. - Może mogłybyśmy porozmawiać.

- Powinna pani raczej porozmawiać ze swoim synem. To on nie chce słuchać głosu rozsądku.

Wzięła z łóżka bawełnianą halkę.

- Przed laty znalazłam się w podobnej sytuacji - powiedziała Tempie. - Podobnie jak ty uznałam, że najlepszym wyjściem jest odejście od męża. Myliłam się jednak. Nie chcę, żebyś popełniła ten sam błąd, Diano. Kochać kogoś to znaczy trwać przy nim, nawet jeśli nie zgadzasz się z jego decyzją. To miłość pomoże wam przetrwać.

- Wiem, że chce pani dobrze, lecz moja sytuacja jest inna. Byłam gotowa pójść na kompromis,

lecz on nie chce ustąpić.

- To była dla niego trudna decyzja. Spróbuj zrozumieć, że...

- Ależ ja rozumiem. Doskonale rozumiem. Lije wybrał przeszłość zamiast mnie.

To oczywiste, że Lije jej nie kochał. Pragnął jej, pożądał, lecz nie kochał. Jedyne takie wytłumaczenie przychodziło jej do głowy.

Poranna mgła otulała drzewa. Powietrze było chłodne i wilgotne. Tu i tam przeświecały już nikłe promienie, odbijając się w kroplach rosy na trawie. Już wkrótce wschodzące słońce rozproszy cienką powłokę mgły.

Pomocnik stajennego wyprowadził kolejnego konia, by Lije mógł go obejrzeć. Powolny miarowy stukot kopyt odbijał się głośnym echem w porannej ciszy. Nieco wcześniej, z głośnym turkotem, przed dom zajechał wóz, który miał odwieźć Dianę do dziadków do Oak Hill.

Starając nie uronić nic z tego, co działo się przed domem, Lije dał znak stajennemu, by wprowadził konia w kłus. Deresz przebiegł zaledwie kilka metrów, kiedy Lije dostrzegł, że koń kaleczy sobie przednią nogę tylnym kopytem. Kazał zatrzymać zwierzę i podszedł, by sprawdzić, co jest tego przyczyną.

Nie dostrzegając żadnych wad w budowie, sprawdził kopyta.

- Dopilnuj, żeby zmieniono mu podkowy - polecił służącemu.

W tej chwili na ścieżce prowadzącej do dworu rozległ się szelest kroków. Odwrócił się z nadzieją, lecz z mgły wyłoniła się matka. Ponownie zajął się koniem. Rozsunął mu wargi i sprawdził zęby.

- Właśnie znoszą ostatni kufer - powiedziała Tempie podchodząc do niego. - Diana za chwilę odjeżdża.

- Wiem. - Dał znak stajennemu, by odprowadził konia do stajni.

- Nie pożegnasz się z nią? - zapytała.

- Powiedzieliśmy już sobie wszystko wczoraj wieczorem.

- Będiesz tego żałował, Lije.

- Oboje tego żałujemy, lecz to niczego nie zmienia.

Tempie przyjrzała się z pozoru spokojnej twarzy syna. Głęboko skrywał targające nim uczucia. Podobnie jak Diana Tempie nie zgadzała się z decyzją męża i syna, lecz w przeciwieństwie do niej postanowiła się jej nie przeciwstawiać. Nie tym razem.

Dotknęła ramienia Lijego, żałując, że nie może ukoić jego bólu.

- Może kiedy wojna się skończy - powiedziała, próbując go pocieszyć.

- Może. - Lecz jego myśli nie sięgały tak daleko.

Stand Watie został mianowany pułkownikiem armii Konfederacji. Główną kwaterą dowodzonego przez siebie Pułku Czirokeskich Strzelców Konnych stał się stary Fort Wayne. Zanim jeszcze Diana wyruszyła w podróż do Saint Louis, Lije i Blade Stuartowie zameldowali się w forcie razem ze sformowaną przez siebie kompanią.

Powołano również do życia Drugi Pułk Czirokeski, którym miał dowodzić John Drew. Lije nie był zaskoczony, że wstąpili do niego Kipp i Alex razem z liczną grupą członków Ligii Braterskiej.

Siódmego października 1861 roku w Park Hill został podpisany traktat między Czirokezami i Skonfederowanymi Stanami Ameryki. Sojusz z Południem stał się faktem.

Niewiele jednak działo się tej zimy, z wyjątkiem pogoni za dużą grupą Krików wiernych Unii, którzy próbowali schronić się za granicę stanu Kansas. Reszta oddziałów ćwiczyła, przygotowując

się do wiosennej kampanii, która miała na celu przejście przez sympatyzujące z Południem Missouri i zajęcie Saint Louis. Uderzenie miało nastąpić z północnego Arkansas.

Grand View Terytorium Indiańskie 11 marca 1862

Smugi dymu unosiły się z kominów ozdobionego kolumnadą dworu skrytego wśród drzew. Na ich widok Aleksa ogarnęło paralizujące mięśnie i umysł zmęczenie. Dym oznaczał ogień, ciepło i strawę. Dał ostrogę czarnej klaczy i pociągnął idącego z tyłu konia.

To nagłe przyspieszenie wywołało jęk bólu u mężczyzny jadącego na drugim koniu. Alex ściągnął lekko wodze i obejrzał się na ojca. Niemal leżał na szyi wierzchowca, do którego był przywiązany i teraz zaczął się niebezpiecznie zsuwać na bok. Wymizerowana, skurczona z bólu twarz miała ziemisty kolor, a kurtka była brudna, podarta i poplamiona krwią. Alex zrównał się z nim i ostrożnie podciągnął Kippa w górę.

- Już dojeżdżamy. Zostało najwyżej sto metrów.

- Gdzie... gdzie jesteśmy? - zapytał Kipp, próbując otworzyć oczy.

- Niedaleko domu Tempie.

Zdecydował, że nie pojedą do Oak Hill. Ojciec zaczynał tracić przytomność, a rana mocno krwawiła.

- Powinienem go zabić - wymamrotał Kipp. - Atak na tę... baterię... miałem szansę... Za... zabiłbym go.

- Nic nie mów. Oszczędzaj siły.

Doskonale wiedział, o czym ojciec mówi. Jeszcze miał przed oczami ten moment, kiedy Kipp celuje do Blade'a. Właśnie przypuścili atak na baterię Unii. I wtedy ojciec się zawahał. Trwało to najwyżej sekundę, ale jadący przed nim koń zwałił się na ziemię trafiony kulą i okazja do precyzyjnego strzału przepadła.

Alex miał w pamięci wiele takich pełnych napięcia obrazów. Wytarł dłoń o spodnie, przypominając sobie, jaka była spocona, kiedy jego pułk formował szyki pod miejscowością Pea Ridge w stanie Arkansas. Był tam również pułk piechoty Watiego i oddział teksańskiej kawalerii, wszyscy szykowali się do ataku na baterię Unii. Składała się z trzech oddziałów gwardii, wspieranych przez oddział kawalerii. Szum pulsującej w skroniach krwi i zmasowany ogień wroga zagłuszyły wydany przez dowódcę rozkaz do ataku.

W pamięci utkwily mu gardłowe wojenne okrzyki Indian, pełne grozy wrzaski Tekszańców, dudniący tętent tysięcy kopyt końskich, huk armat i strzały z karabinów. Pamiętał również zapachy: drażniący prochu, ostry wydzielany przez końską skórę, cierpki ludzkiego potu i przede wszystkim zapach strachu.

Jakimś przedziwnym sposobem obejmował wzrokiem wszystko, co się wokół niego działo, lecz nie mógł skupić na niczym uwagi. Z samego ataku na stanowiska ogniowe Unii pozostały mu w pamięci jedynie pojedyncze nieskładne obrazy - koń koziołkujący po ziemi, padający ludzie, wykrzywione w bólu twarze, krew przeciekająca między palcami ściskającymi ranę, galopujący w panice koń bez jeźdźcy z dyndającymi pustymi strzemionami i żołnierz w niebieskiej kurtce celujący do niego z karabinu.

Nawet teraz nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy odbezpieczył rewolwer, ani kiedy nacisnął na spust. Poczł jedynie szarpnięcie broni i żołnierz szarpnął ciałem. Strzelał tak długo, póki Janke nie zwałił się z siodła.

Wcześniej jednak zdobyli armaty i wówczas wezbrała w nim radość ze zwycięstwa i poczucie

siły. Szybkonoga klacz poniosła go na pierwszą linię; pędził za wrogiem i widział strach na twarzach tych ludzi. Widok i zapach krwi nie wywoływały w nim uczucia wstrętu. Kiedy ładował rewolwer, pamiętał, że się uśmiechnął, bo zobaczył, że ręce wcale mu nie drżą.

Klacz nagle stanęła. W pierwszej chwili nie mógł zrozumieć dlaczego. Zaraz jednak zobaczył białe kolumny i szeroką otaczającą dom werandę.

Zsiadł z konia i podszedł do ojca. Kipp znowu stracił przytomność. Gdzież, u diabła, się wszyscy podziali? Zobaczył idącego od strony stajni niewolnika.

- Hej, chłopcze! - krzyknął i zaczął odwiązywać linę, którą ojciec przywiązany był do siodła. - Chodź tu i pomóż mi. - Kiedy młody Murzyn ruszył niemrawym truchtem, Alex warknął gniewnie: - Rusz się, do diabła! - Tym razem służący rzucił się do biegu.

Wspólnymi siłami ściągnęli Kippa z konia i wnieśli do domu. W salonie ktoś ćwiczył na pianinie.

- Tempie! Ciociu Tempie!
Zatrzymał się w wielkim holu z szerokimi schodami prowadzącymi na piętro.
Pianino ucichło i dał się słyszeć odłos biegnących stóp.

- Alex! - Dziesięcioletnia Sorrel podbiegła do niego, uśmiechając się radośnie, i stanęła jak wryta. - Co się wujowi stało? - zapytała ze strachem w głosie.

W tym momencie w holu pojawiła się Tempie i Alex do niej skierował odpowiedź.

- Został postrzelony.
- O Boże! - W jej oczach mignął strach, lecz zaraz się opanowała. - Zanieście go na górę do mojego pokoju. Sorrel, biegnij do Phoebe i powiedz jej, żeby przyniosła mój kosz z medykamentami, bandaże i gorącą wodę.

- Ale...
- Nie dyskutuj! - rzuciła Tempie gniewnie. - Zrób, co powiedziałam i to natychmiast.
Chwyciła ją za ramiona i pchnęła ku tyłowi domu. Tymczasem Alex i Ike wnieśli Kippa na górę do sypialni. Kiedy położyli go na łóżku, Tempie delikatnie rozsunęła mu kurtkę, odsłaniając podartą zakrwawioną koszulę.

- Kiedy to się stało?
- Dwa... nie, trzy dni temu - odpowiedział Alex. - Wydobyłem kulę, ale rana wciąż krwawi.
Kipp jęknął, kiedy siostra delikatnie odwinęła zbroczony krwią bandaż, odsłaniając poszarpaną i rozognioną ranę. Zacisnęła zęby, przekonując siebie, że przecież opatrywała już dużo gorsze rany Murzyńcom. Tym razem jednak chodziło o jej brata.

- Podobno ściągnięto do pomocy oba czirokeskie pułki przeciw siłom Unii. Co się stało?
- Była bitwa... w Arkansas, w pobliżu stacji dyliżansów Butterfield pod Elkhorn Tavern. Trwała trzy dni. - Alex przecesał palcami włosy i przeszedł się nerwowo po pokoju. Na jego twarzy malował się wyraz zmęczenia. - Mogliśmy zwyciężyć. Nasze siły liczyły ponad szesnaście tysięcy. Podobno armia Unii nie miała nawet dziesięciu tysięcy. Pierwszego dnia myślałem, że ich pokonamy. Zdobyliśmy jedno z ich stanowisk ogniowych. Indianie nazwali te działa „strzelającymi wozami”. - Zaśmiał się i spojrzał w sufit. - Ale nie mogliśmy ich ruszyć z miejsca, bo nie mieliśmy odpowiednich koni. Spaliliśmy więc tylko drewniane lawety. Potem dostaliśmy się pod krzyżowy ogień i musieliśmy ukryć się w lesie.

Do pokoju weszła Phoebe, niosąc garnek z gorącą wodą, bandaże i koszyk Tempie z lekami.

- Czy to poważna rana, proszę pani?

Tempie niepewnie pokręciła głową. Zdawała sobie sprawę z obecności córki i Ike'a, lecz w tej chwili interesowało ją coś innego.

- Nie wiesz, co z Lije i Blade'em?

Tymczasem Phoebe nalala gorącej wody do porcelanowej miski i dopełniła zimną z dzbanka.

- Nie wiem. - Alex starannie unikał jej wzroku. - Słyszałem tylko, że Watie zajął pozycję na wzgórzu za zajazdem, by obserwować ruchy nieprzyjaciela. Drugiego dnia zginęli generałowie McCulloch i McIntosh, a generał Slack został ranny. Zapanowało straszne zamieszanie. Okrążyli nas w lesie i zaczęli strzelać z dział i karabinów. Wszystkie nasze zapasy amunicji zostały w Camp Stephens nad Little Sugar Creek. W końcu udało nam się wycofać. Właśnie wtedy ojca postrzelono. Nasz pułk został rozproszony. Nie mogłem znaleźć żadnej pomocy, a musiałem przecież ojca stamtąd zabrać. Musiałem zabrać go do domu.

Kiedy podszedł do łóżka, by zobaczyć, co z ojcem, Sorrel głośno wciągnęła powietrze w płuca.

- Alex, masz krew na szyi. Jesteś ranny.

Zdziwiony dotknął ręką szyi i skrzywił się nieznacznie, kiedy wyczuł zaschniętą krew.

- To nic takiego. To tylko draśnięcie - zbył ją niecierpliwym ruchem ręki.

- Ale trzeba je opatrzyć. - Nie dała się odepchnąć i pchnęła go ku wyściełanemu pluszem fotelowi. - Usiądź, a ja ci obmyję ranę.

Tempie zerknęła w ich stronę i zobaczyła, że Sorrel bierze kawałek czystego gałganka i moczy go w wodzie. Alex uśmiechnął się z rozbawieniem.

- Bandaż nie będzie konieczny - oświadczyła z powagą, kiedy skończyła obmywać ranę.

- Też tak sądzę. - Z trudem ukrył uśmiech. Westchnęła i spojrzała na niego z dumą.

- Musiałeś być bardzo dzielny.

- Dzielny? - Uśmiech zniknął z jego twarzy, a w oczach pojawił się twardy wyraz. - Mógłbym tak się czuć, gdybyśmy zwyciężyli. I tak by się stało, gdyby konfederaci dotrzymali złożonych nam obietnic. Ale dostaliśmy jedynie stare dubeltówki, muszkiety, pistolety i rusznice. Połowa z nich nie strzelała, a druga połowa najwyżej w twarz. Daleko nam było do wyposażenia Unii, która dysponowała nowoczesnymi karabinami i rewolwerami. Część Indian wolała wybrać łuki, strzały i tomahawki, zamiast tego bezużytecznego żelastwa. Wcale im się nie dziwię. Ojciec i ja byliśmy szczęściarzami, bo mieliśmy własną broń. Już bym nie żył, gdyby nie rewolwer dziadka.

Mówiąc to chodził po pokoju, nerwowo gestykulując. Tempie przeraziło szaleństwo płonące w jego oczach, lecz pozwalała mu mówić, czując, że musi się wygadać.

- Gdzie są pieniądze, które mieli nam zapłacić? - ciągnął ze wzrastającym gniewem. - Nie dostaliśmy nic, ani pieniędzy, ani obiecanych mundurów i ciepłych kurtek. Jeśli zaś chodzi o jedzenie, to nawet Murzyn by się nim nie najadł - dodał z gniewnym prychnięciem. - Kiedy wracaliśmy do Camp Stephens, spotkaliśmy rannego żołnierza z oddziału z Missouri. Opowiadał, że w ich ręce wpadł obóz z zapasami dla Unii. Znaleźli w nim beczki z mąką, wędzoną wieprzowiną, ostrygami, sardynkami, homarami, puszkami z owocami, serem i kawą. Tymczasem my z wyjątkiem kilku chudych wiewiórek, które upolowałem, przez cały tydzień jedliśmy suszoną kukurydzę. - Odwrócił się twarzą do Tempie nawet nie starając się ukryć wyrazu goryczy i rozczarowania. - Niech to diabli! Przecież nie miało tak być. Nie powinniśmy być w Arkansas. Mieliśmy walczyć tylko w granicach Terytorium Indiańskiego. Cóż my tam, u diabła, robimy?

Nieoczekiwanie atak wściekłości minął, jedynie w oczach pozostał mu wyraz goryczy. Podszedł wolno do łóżka i spojrzał na ojca.

- Nie powinniśmy byli podpisywać traktatu z konfederatami - mruknął. - Ojciec od początku to mówił, lecz nikt nie chciał go słuchać. Nie bylibyśmy teraz głodni, zmarznięci i źle uzbrojeni. Nie zostalibyśmy pobici pod Pea Ridge i zmuszeni do ucieczki.

Tempie skończyła bandażować ranę Kippa i przykryła go kołdrą.

- Teraz potrzeba mu jedynie ciepła i odpoczynku. - Wygładziła przód fartucha. - Sprzątnij ten bałagan, Phoebe, i każ Cezarowi napalić w kominku. Jak zejdziesz na dół, powiedz Dulcie, żeby przygotowała coś do jedzenia Aleksowi. Ike, zajmij się ich końmi.

- W tej chwili, proszę pani. - Młody Murzyn skłonił się i wyszedł z pokoju.

Kiedy tylko znalazł się poza zasięgiem wzroku swej pani, zatrzymał się i przebiegł myślami wszystko to, co usłyszał na temat bitwy. Skoro pan Blade i Lije w niej uczestniczyli, to jego ojciec również. Pan Blade nigdzie nie ruszał się bez Deu. A może został ranny?

Zbyt jednak był podekscytowany wiadomością, że armia Unii odniosła zwycięstwo, by dłużej się nad tym zastanawiać. Może wojsko Północy weszło już na Terytorium Indiańskie i uwalnia już niewolników. Na myśl o tym poczuł wzbierającą w nim radość. Zbiegł po schodach, prawie nie dotykając bosymi stopami podłogi.

Tydzień później do Grand View dotarła wiadomość, że Blade, Lije i Deu wyszli z bitwy cali i zdrowi. Do tego czasu stan Kippa poprawił się na tyle, by mógł wrócić do swojego oddziału. Dwa tygodnie później został on wysłany do Park Hill do Johna Rossa z zadaniem ochrony naczelnego wodza, a także całego archiwum narodowego i papierów wartościowych.

Ike na próżno czekał na przybycie wojska Unii. Zamiast ścigać rebeliantów, pozostało w Arkansas. Ike musiał pogodzić się z faktem, że nie przyjdą. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Fort Davis, Terytorium Indiańskie Lipiec 1862

Kiedy Blade wrócił z odprawy oficerów, malujący się na jego twarzy ponury wyraz ostrzegł Lijego, że nie przynosi dobrych nowin. Po porażce pod Pea Ridge ich pułk pod dowództwem Standa Watiego otrzymał rozkaz strzeżenia północnej granicy Terytorium Indiańskiego, zbierania informacji o ruchach wojsk Unii i nękania ich, gdzie i kiedy tylko się da. Pułk Lijego stacjonował teraz w Fort Davis na południowym brzegu rzeki Arkansas, niecałe pięć kilometrów od Fort Gibson.

Blade minął syna bez jednego słowa i wszedł prosto do namiotu. Zdjął kapelusz, rzucił go Deu, po czym wlał trochę wody do cynowej miski i ochlapał sobie nią twarz i szyję.

- Jaka jest sytuacja? - zapytał Lije, podchodząc do niego.

Blade wyprostował się i wziął podaną mu przez Deu czystą chustę.

- Wczoraj w Fort Gibson wywieszono flagę Unii - poinformował, wycierając twarz. - Dowiedziałem się, że Ross został aresztowany w Park Hill i natychmiast zwolniony na słowo, pułk zaś wysłany do ochrony wodza i dokumentów rządowych przeszedł na stronę federalnych.

Wśród jego członków byli Kipp i Alex, co oznaczało, że i oni przyłączyli się do Unii.

- Przewidywałeś, że tak będzie - przypomniał mu Lije.

- Przewidywałem - przytaknął Blade z ponurą miną. - Unioniści przekonują teraz Czirokezów, żeby wstępowali w szeregi ich armii. Mają już jeden pułk i starają się zebrać drugi. Na ich stronę przeszło już około tysiąca dwustu ludzi, większość z nich to dezercerzy z naszego pułku.

- Ta liczba wcale mnie nie dziwi - powiedział Lije. - Wielu Czirokezów opowiadało się za neutralnością, lecz wielu też sympatyzowało z Unią.

- Nie widzisz w tym ironii? - Blade spojrzał na Lijego z gorzkim uśmiechem. - Przez całe lata potępiali mnie za to, że podpisałem ten oszukańczy traktat z rządem. Mimo to przekonali Rossa, by

zawarł sojusz z Konfederacją. A teraz jeden po drugim przechodzą na stronę Unii. Ich traktat też był oszukańczy i oni o tym wiedzą. Mimo to ich nienawiść do mnie i sygnatariuszy starego traktatu, którzy pozostali wierni Konfederacji, jeszcze wzrosła. - Spojrzał ku północy. - Ta wojna przerodziła się w wojnę dwóch dawnych obozów.

Kiedyś Lije wierzył, że wojna między Północą i Południem wkrótce się skończy. Teraz jednak zdał sobie sprawę, że Czirokezi będą wojować jeszcze długo po zakończeniu amerykańskiej wojny domowej. Z bólem i żalem pomyślał o Dianie. Teraz już nie było dla nich żadnej nadziei.

- Jedno w tym wszystkim jest pocieszające - powiedział. - Nie będziesz musiał oglądać się na Kippa. Teraz stoicie po przeciwnych stronach.

- Rzeczywiście coś w tym jest - przyznał Blade. - Może wreszcie pozbędę się tego nieznośnego bólu w plecach.

Wojsko Unii nie pozostało długo na tym terenie. Susza i upał spaliły trawę, konie więc nie miały co jeść. Pociąg, który miał przywieźć zapasy żywności z Baxter Springs, nie dotarł, a głównodowodzący ekspedycją został aresztowany przez niższego rangą oficera pod zarzutem niepoczytalności i oskarżony o zdradę. Wszystko to zmusiło unionistów do wycofania się pod koniec lipca z zajmowanych terenów i pozostawienia na straży dwóch indiańskich pułków.

Kiedy tylko konfederaci dowiedzieli się, że oddziały Unii odeszły, przekroczyły granicę Arkansasu, szarpiąc i nękając brygady czirokeskie, składające się głównie z żołnierzy uważanych przez Południowców za zdrajców. W czasie pierwszego tygodnia obie strony poniosły straty.

Wielki gniady koń parsknął nerwowo i płoszył się, kiedy Lije usiłował go dotknąć.

- Spokojnie, Jubal, spokojnie - uspokajał go Lije, sprawdzając, czy Deu wystarczająco mocno trzyma łeb zwierzęcia.

Po krótkim oporze, koń przestał się szarpać, spuścił łeb i stulił uszy. Lije zaczekał, aż Deu mocniej chwyci za linę, po czym przesunął dłonią wzdłuż tułowia konia ku zranionej łopatce, wsłuchując się w świszczący oddech chorego wierzchowca.

W końcu Lije odsunął się, westchnął ciężko i kiwnął na Deu, żeby puścił konia.

- Wygląda gorzej niż wczoraj. Może powinniśmy położyć okład.

- Gdyby mój Ike tu był, Jubal już wkrótce biegałby na czterech nogach - powiedział Deu. - Zawsze miał dobrą rękę do koni.

Lije skinął w roztargnieniu głową, po czym odwrócił się, słysząc miarowy stukot kopyt, skrzypienie skóry i szczełk łańcuchów. Odgłosy te zwiastowały powrót oddziału zwiadowczego. Składał się z Tekszańczyków, którym dowodził mężczyzna w randze porucznika, jadący na łaciatym koniu. Jego twarz wydała się Lijemu znajoma. Przyjrzał się uważniej i uśmiechnął w duchu, rozpoznając w nim poganiacza bydła, z którym niegdyś biwakował.

- Lassiter, prawda? - zwrócił się do niego z pytaniem. - Ransom Lassiter z Roking Łazy L.

Tekszańczyk ściągnął wodze i zmarszczył brwi, lecz zaraz uśmiechnął się i oparł dłonie na łęku siodła.

- Lije Stuart, ile bym dał za łyk tamtej kawy - powiedział z charakterystycznym tekszańskim akcentem.

Sposób mówienia się nie zmienił, lecz w szarych oczach nie było już wesołości. To przez tę wojnę, pomyślał Lije. Człowiek zapomina, co to śmiech i radość.

- Nie ty jeden.

- Co mu jest? - Rans wskazał głową na konia.

- Postrzał. Wydobyłem kulę, ale on wciąż słabnie.

- Piękny koń - powiedział Rans. - Ma w sobie trochę czystej krwi, prawda?

- Tak - potwierdził Lije.

- Potrzebujemy takich koni. Jeden z moich ludzi mieszkał kiedyś z Komańczami - dodał po chwili.

- Nikt nie wie tyle o koniach co Komańcze. Jeśli chcesz, każę mu obejrzeć twego konia.

- Byłbym zobowiązany.

Rans odwrócił się w siodło i krzyknął:

- Kelly!

Podjechał do nich drobnej budowy mężczyzna o rysach chłopca i kilkudniowym zarostem.

- Zobacz, co się da zrobić z koniem pana porucznika - polecił Rans. Szeregowiec zsalutował, podjechał do gniadego i zsiadł z konia.

Lije odsunął się, by mógł obejrzeć zranioną łopatkę.

- Wygląda na to, że nie tylko twój koń oberwał.

Rans spojrzał znacząco na obandażowane ramię Lijego.

- To zwykle draśnięcie. - Lije machnął ręką lekceważąco, wywołując tym ostry ból. Nie zwrócił na niego uwagi, podobnie jak na towarzyszące mu tępe pulsowanie.

- Przez jakiś czas będziemy mieli spokój - powiedział Rans, krzywiąc usta w lekkim uśmiechu. - Obie indiańskie brygady odeszły na północ. Wasz wódz John Ross pojechał razem z nimi. Zabrał całą swoją rodzinę i większość dobytku.

- Ross odjechał? - powtórzył Lije zaskoczony. Rans skinął głową.

- Do Kansas. Podobno zabrał ze sobą wszystkie dokumenty i fundusze.

- Zapewne dla bezpieczeństwa - domyślił się Lije, wiedząc, że ta wieść zmartwi wielu, przede wszystkim zaś ich dowódcę pułkownika Standa Watiego.

- Zapewne. - Rans zebrał wodze. - No, czas na mnie. Odeślij później Kelly'ego do obozu. - Już miał dać sygnał do odjazdu, kiedy sobie o czymś przypomniał. - Wiesz, czego się dowiedziałem?

- Czego?

- Unia werbuje w Kansas czarnych ochotników. Wygląda na to, że nietęgo tam z ludźmi.

Przez otwarte drzwi do biblioteki sączyły się ciche dźwięki muzyki fortepianowej. Towarzyszyły im lekkie muśnięcia sierpniowego wiatru wpadające przez okno balkonowe, od których drgał płomień świecy. Shadrach odwrócił kartkę Historii starożytnej Rollina i przysunął książkę bliżej światła.

Nagle wydało mu się, że słyszy jakiś szelest. Uniósł głowę i nasłuchiwał chwilę, lecz odgłos się nie powtórzył. Uznał więc, że to z pewnością wiatr. Przeczytał kolejne zdanie i wtedy szelest rozległ się ponownie: był cichy, ostrożny i jakby ukradkowy. Ktoś był na zewnątrz.

Shadrach zamknął książkę i wsunął ją między siedzenie a ramię fotela. Nie wiedział, kto tam jest, nie chciał jednak, żeby jakiś rebeliant przyłapał go na czytaniu książki. Odkąd armia Unii opuściła Terytorium Indiańskie, zdarzały się akcje odwetowe wymierzone przeciw jej sympatykom. Wszyscy wiedzieli, że Will Gordon jest lojalnym sprzymierzeńcem Rossa, a syn i wnuk przeszli na stronę unionistów. Wszystko to czyniło z Gordonów obiekt napaści konfederatów. Shadrach czuł, że czekają ich kłopoty gorsze nawet niż w Georgii.

Możliwe, że za chwilę coś się zacznie.

- Pst. Wujku Shad - zaszeptał w ciemnościach czyjś głos. Shadrach zmarszczył brwi, wstał z fotela i podszedł do okna. Nie dostrzegł jednak nikogo z wyjątkiem połyskującego wśród drzew

księżycu.

- Ike? - zawołał stłumionym głosem. - Czy to ty?

- Tak. Muszę z tobą pomówić.

Shadrach zerknął na otwarte drzwi biblioteki. Wpadały przez nie wesołe dźwięki walca wygrywanego na fortepianie.

- Zaczekaj - szepnął, po czym podszedł do drzwi i przymknął je tak, by w razie czego usłyszeć wołanie pani Elizy. Następnie wrócił do okna balkonowego i dał znak Ike'owi, że może wejść do środka. Ciemna postać wyłoniła się z mroku i pochylając się nisko wbiegła do biblioteki, prędko usuwając się od okna, by nikt z zewnątrz nie mógł jej dostrzec.

- Co ty tu robisz?

- Wyruszam do Kansas - powiedział Ike półgłosem. - Unia werbuje kolorowych ochotników i chcę się zgłosić. Nie mogę tu stać i czekać, aż przyjdą nas uwolnić. Chciałem powiedzieć o tym mamie, ale... nie zrozumiałaby. Do głowy by jej nie przyszło, że można opuścić Stuartów. Traktuje ich jak rodzinę. Jest twoją siostrą. Pomyślałem, że... może ty mógłbyś jej powiedzieć, dokąd poszedłem i dlaczego.

- Jesteś pewny, że przyjmują kolorowych? - zapytał Shadrach sceptycznie.

- Tak. Chcą sformować cały pułk. Dadzą nam broń, nauczą strzelać, wszystkiego. Mają nawet dać mundury takie jak noszą biali.

- Gdzie w Kansas?

- W Leavenworth. Pomyślałem, że jeśli będę iść nocą, mogą mnie nie złapać. Nie wiem, jak długo to potrwa, ale... - Urwał i spojrzał podejrzliwie na Shadracha. - Czemu pytasz?

- Bo idę z tobą.

Kiedy podjął tę decyzję? Był nią równie zaskoczony jak Ike. To czyste szaleństwo. Możliwe, że im się nie uda, ale musi spróbować.

- Jesteś pewny? Myślałem... - Ike jękał się zaskoczony. Shadrach nagle zdał sobie sprawę, że Eliza przestała grać. Uniósł rękę ostrzegawczo, po czym wskazał głową na drzwi. Postłyszał w holu kroki.

- Zaczekaj na zewnątrz - szepnął i wyszedł z biblioteki na korytarz, w chwili kiedy Eliza szła pod ramię z Willem w kierunku schodów.

Pani Elizo. Zatrzymali się jak na komendę i odwrócili.

- Shadrach, nie wiedziałam, że jeszcze tu jesteś - zdziwiła się Eliza. - Nie będziesz już dziś potrzebny. Możesz...

- Czy mógłbym z panią porozmawiać?

- Naturalnie. - Zawahała się i spojrzał na Willa. - Zaraz przyjdę. Skinął głową z uśmiechem i ruszył ku schodom. Eliza podeszła do Shadracha i obejrzała się na męża. Zauważyła, że wchodzenie sprawia mu wyraźną trudność.

- Znowu ten reumatyzm - mruknęła z troską w głosie. - Nie mogę go przekonać, że w jego wieku powinien wszystko robić wolniej. Nie lubi, kiedy przypomina mu się o starości. - Kiedy zniknął jej z oczu, odwróciła się do Shadracha, splatając ręce przed sobą. - A więc o czym chciałeś ze mną pomówić?

Lekki uśmiech pojawił się w kącikach ust służącego. Była oto znów nauczycielką, czekającą na odpowiedź jednego z uczniów. Zaprażył nagle wrócić do czasów, kiedy jako chłopiec słuchał jej nauk.

- Tyle rzeczy chciałbym pani powiedzieć. Przede wszystkim jednak chcę podziękować za ten największy z darów, jakie człowiek może otrzymać... za wykształcenie. Wiem, jak pani ryzykowała, ucząc niewolnika...

- Nigdy nie uważałam ciebie za niewolnika, Shadrach - oświadczyła zdecydowanym tonem. - Zawsze traktowałam cię jak przyjaciela.

- Wiem. I jestem za to wdzięczny. Zawsze traktowała mnie pani, jakbym miał własny rozum, uczucia i marzenia. Mało kto to potrafi... może jeszcze wielebny Cole.

O co chodzi, Shadrach?

- Chodzi o mnie... i moje marzenia. Była pani dla mnie kimś wyjątkowym. Otworzyła pani przede mną cały świat. Może to niedobrze uczyć niewolnika, bo zaczyna być niezadowolony ze swego życia. Zaczyna myśleć, że jest taki sam jak inni. Zaczyna pragnąć różnych rzeczy.

Cofnęła się nieznacznie.

- O czym ty mówisz?

- Chciałem powiedzieć, że odchodzę. Ucieczkę zawsze uważałem za coś bezsensownego. Lecz teraz mam cel. W Kansas przyjmują kolorowych do wojska i chcę się zaciągnąć.

- Nie możesz.

Tysiące uczuć przemknęło Elizie przez głowę - szok, przerażenie, obawa, konsternacja - sama już nie wiedziała, które z nich jest silniejsze. Shadrach uśmiechnął się smutno.

- Po tym wszystkim, co pani dla mnie uczyniła, nie mogłem odejść bez pożegnania. To nie byłoby w porządku. Proszę wytłumaczyć to panu Willowi. Zawsze dobrze mnie traktował i nie chciałbym, żeby myślał, że to przez niego.

- Kiedy... kiedy wyruszasz?

- Dziś w nocy.

- Tak zupełnie sam? Zawahał się.

- Ike idzie ze mną.

- Czy wiesz, jakie to niebezpieczne?

- Wiem.

Zrozumiała, że nic go nie odwiedzie od tej decyzji. Ze zdziwieniem skonstatowała, że wcale nie chce, by się rozmyślił. Była z niego dumna. Zawsze traktowała go jak przyjaciela, oczywiście na tyle, na ile pozwalały na to społeczne bariery.

- Będziecie potrzebować przepustki. - Weszła pospiesznie do biblioteki. - Starajcie się omijać patrole. Nie jestem pewna, czy będą respektować przepustkę... zwłaszcza teraz. - Napisała parę słów na kartce, po czym złożyła ją i podała Shadrachowi. Na chwilę ich palce się zetknęły. - Uważaj na siebie.

- Będę. Proszę powiedzieć Phoebe, że zaopiekuję się Ikiem. Skinęła głową.

- Byłeś najlepszym moim uczniem. Będzie mi ciebie brakowało. Ku swemu zawstydzeniu poczuła łzy pod powiekami, lecz i jego oczy podejrzanie błyszczały.

- A mnie pani. Jeśli Bóg pozwoli, pewnego dnia przyjdzie pani z wizytą do mojej szkoły... kiedy wszyscy już będziemy wolni.

- Bardzo bym chciała.

Odwrócił się i wyszedł przez oszklone drzwi balkonowe. Podeszła do nich i w świetle księżyca dostrzegła dwie postacie idące szybko ku murzyńskim kwaterom. To dziwne, ale po raz pierwszy zwróciła uwagę na Shadracha, kiedy stał pod oknem salki lekcyjnej i ciekawie zerkał do środka.

Teraz zaś widziała go za drzwiami, które sama przed nim otworzyła.

Minęły dwa tygodnie bez żadnych wieści. Eliza wciąż zastanawiała się, czy Shadrachowi udało się dotrzeć do Kansas. Przekonywała siebie w duchu, że gdyby coś się stało, na pewno by już coś wiedziała. Ku jej uldze Will zgodził się zachować w sekrecie nieobecność Shadracha. Obawiała się, że może wysłać za nim list gończy i wyznaczyć nagrodę za jego schwytanie. Powinna wiedzieć, że nic takiego nie robi.

- Piękny dziś dzień.

Zerknęła na męża. Zmęczona twarz jaśniała zadowoleniem. Dobrze, że zgodził się posiedzieć w ogrodzie, zamiast wracać od razu na pola. Tu, w cieniu drzew, wiejący z południa wiatr przyjemnie chłodził rozgrzane powietrze.

- Upalny - poprawiła go, rozluźniając kołnierzyk przy szyi, by chłodne powietrze owiało spoconą skórę.

- Piękny i upalny - zgodził się Will i odetchnął głęboko. - Czujesz, jak pachną brzoskwinie? Wkrótce można je będzie zbierać. Muszę dziś po południu pójść do sadu.

- Miałaś przecież odpoczywać i nie myśleć o pracy - zakpiła.

- Tak? A o czym to myślałaś tak intensywnie przed chwilą? Cóż znaczy ten mars na czole? - Pomimo żartobliwych błysków w oczach, wyraźnie pragnął usłyszeć odpowiedź.

- O Susannah. - Nie miała pojęcia, dlaczego wspomniała o córce, zamiast o Shadrachu, choć często o niej myślała. - Dawno już nie mieliśmy od niej wiadomości. Staram się nie martwić. Wiem, że jest bezpieczna na Wschodzie. Mam nadzieję, że usłucha naszej rady i nie ruszy się stamtąd, póki wojna się nie skończy. Ale wiesz przecież, jaka potrafi być uparta.

- Tak jak jej matka.

- Will - rzuciła z wymówką w głosie.

- To prawda. - Uśmiechnął się, chwycił jej dłoń i splótł ze swoją. - Jesteś niewiarygodnie upartą kobietą, Elizo. Zawsze taka byłaś. Pamiętam, jak odmówiłaś wyjazdu z Gordon Glen... a potem przebyłaś z nami „szlak łąz”, choć nie musiałaś. Pamiętam nauczycielkę, która starała się robić wrażenie sztywnej i pedantycznej, a potem zobaczyłem ją brodzącą w strumieniu z dziećmi - bez butów, bez pończoch, z podkasaną spódnicą. Nic się nie zmieniłaś, Elizo.

- Od lat nie brodziłam w strumieniu - stwierdziła tonem protestu.

- Spójrz tylko na siebie. Pani na Oak Hill siedzi w ogrodzie z podkasaną do kolan suknią, pozwalając, aby wiatr owiewał jej gołe nogi.

Zerknęła zawstydzona na zebraną na kolanach spódnicę, spod której wystawały ozdobione koronką pantalonki i gołe łydki.

- Jest gorąco - rzuciła tonem obrony, po czym spojrzała na Willa i wybuchnęła śmiechem. - Chyba rzeczywiście się nie zmieniłam.

- Mam nadzieję, że nigdy się nie zmienisz. Kocham cię taką, jaką jesteś.

- I ja cię kocham, Willu Gordonie.

Uścisnęła jego dłoń, na co odpowiedział tym samym. Pochyliła się ku niemu i przywarła wargami do jego ust. Trwali tak chwilę w zespoleniu, aż w końcu Eliza uniosła głowę. Po dwudziestu latach namiętność straciła nieco na sile, przygasła, lecz za to uczucie spotężniało. A w końcu tylko to się liczyło.

- Tak mi tu z tobą dobrze - powiedział.

- I mnie z tobą.

Słusznie zrobiła, że nie powiedziała mu o tych krowach, które ktoś ukradł w nocy. Już miała to zrobić przy obiedzie, lecz wyglądał na tak zmęczonego, że postanowiła go tym nie kłopotać. W końcu i tak nic by na to nie poradził. Pewnie zabrali je stacjonujący w okolicy konfederaci. Zanim Kipp przeszedł na stronę Unii, często uskarżał się na złe jedzenie, brak ciepłych ubrań i amunicji. Nic dziwnego, że rebelianci zaczęli zaopatrywać się na własną rękę. Do tego czasu krowy na pewno zostały już zabite, upieczone i zjedzone. Szkoda, bo były to dobre mleczne krowy.

Nie żałowała teraz, że nie powiedziała o tym Willowi. Przyjdzie jeszcze na to czas. Teraz powinien odpoczywać.

- Proszę pani, pozmywałyśmy już naczynia - rozległ się głos od strony domu. Była to Lucy, która sprawowała pieczę nad całą służbą.

Eliza westchnęła. Teraz mogła się przekonać, jaką pomocą był dla niej Shadrach. Kiedy go zabrakło, służba zwracała się ze wszystkim do niej.

- Zaraz przyj dę. - Puściła niechętnie dłoń Willa i doprowadziła suknię do porządku. Kiedy wstała, on również zaczął się podnosić, lecz skrzywił się z bólu i chwycił za ramię. - Chciałabym, żebyśmy pojechali w tym roku do tych roponośnych źródeł w New Spring Place - mruknęła. - Ta zielona oleista ciecz dobrze ci robiła na reumatyzm.

- Może po żniwach. - Ponownie spróbował wstać.

- Nie, zostań tu i dopij jabłecznik. - Zerknęła na wypełnioną w połowie szklankę.

- Dobrze. - Odchylił się na oparcie ławki.

Zdziwiła ją ta nagła uległość, lecz nic nie powiedziała. Powinien odpoczywać jak najdłużej. Tak rzadko to robił.

Will patrzył, jak odchodzi - słusznego wzrostu, z burzą niesfornych loków i złocistymi plamkami w oczach. To dziwne, ale wciąż widział ją taką, jaką była przed laty, kiedy pierwszy raz ją ujrzał: zaskoczona, lecz śmiało patrząca mu w oczy. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek się bała.

Bezwiednie skierował wzrok na otoczony kolumnadą dom z szeroką werandą, zbudowany z równych rzędów czerwonych cegieł, wypalanych tu, w ich własnym piecu. Usytuowany był na wzgórzu porośniętym wysokimi drzewami. Ostatnio coraz bardziej przypominał mu Gordon Glen, rodzinny dom w Georgii. Zresztą wszystko mu go przypominało: ogrody, rząd murzyńskich kwater w małym lasku, budynki gospodarcze, sad, pola bawełny i kukurydzy, pastwiska, a nawet czerwona ziemia. Brakowało tylko spacerujących po trawniku pawi. Może kiedy odwiedzi znów Johna Rossa, kupi parę samiczek i samca. Ale przecież John Ross wyjechał do Kansas, na wygnanie.

Chciał wstać, lecz poczuł się nagle strasznie zmęczony. Wtedy usłyszał dźwięki muzyki. Czyżby to Eliza grała na fortepianie? Z pewnością ona. Był to jego ulubiony nokturn. Uśmiechnął się, odchylił na oparcie ławki i zamknął oczy.

Szklanka z jabłecznikiem wysunęła mu się z rąk i rozbiła o kant ławki.

- Will, Will, obudź się.

Nie mogąc pojąć, jak on może tak spokojnie spać na twardej ławce, Eliza potrząsnęła go za ramię. Wtedy odchylił się na bok.

- Will - szepnęła przestraszona i chwyciła go za nadgarstek. Nie mogła wyczuć pulsu. - Och, nie. - Poczwała, jak ją coś ściska w gardle. Przytknęła pięść do ust, żeby nie płakać, lecz nie zdołała. Łzy zaczęły płynąć strumieniem. - Nie, nie, nie - załkała, osuwając się na kolana.

Tak znalazła ją Lucy. Eliza klęczała przy mężu, płacząc cicho, z głową opartą na jego kolanach. Niepewnie podeszła bliżej, nie chcąc uwierzyć w to, co mówiły jej oczy.

- Proszę pani, czy pan Will... czy on...

Nie mogła wypowiedzieć tego słowa. Wyglądał tak spokojnie.

Powoli, bardzo powoli, Eliza uniosła głowę i wstała z klęczek, walcząc z przytłaczającym jej piersi ciężarem. Nie odwróciła się jednak do służącej, pragnąc zachować dla siebie swój ból.

- Will nie żyje.

Ogarnęła ją nagle wielka pustka. Nie próbowała nawet wycierać łez, kiedy patrzyła na mężczyznę, który był jej mężem, kochankiem i najdroższym przyjacielem.

- Powiedz Shadrachowi... - Urwała, przypominając sobie, że go nie ma. Nagle dotarło do niej, że będzie musiała dopilnować tysiąca spraw, w czym wyręczyłby ją Shadrach, gdyby tu był. Teraz wszystko było na jej głowie. - Stary Tom powinien być w stajni. Powiedz mu, żeby wziął kogoś do pomocy i niech wniosą Willa do domu.

Lucy odeszła. Eliza została sama korzystając z krótkiej chwili, którą mogła spędzić z mężem. Pochyliła się i pocałowała go po raz ostatni.

- Kocham cię, Willu Gordonie - wyszeptała przez ściśnięte gardło. - I nigdy nie przestanę.

Dwa dni po śmierci Willa do Oak Hill przyjechali Blade i Lije. Dom spowijała nieruchoma cisza, jak gdyby wiatr wstrzymał swe poddmuchy przez szacunek dla właściciela. Drzwi okrywał kir. Ten znak żałoby przemówił do Lijego bardziej, niż wiadomość o śmierci dziadka. Nigdy już nie wyjdzie przed drzwi, by powitać gości.

W holu przyjęła ich jedna z czarnych pokojówek. Lije nagle zateśknił za obecnością Shadracha. Nie zdziwiło go, że Ike wstąpił do formowanego właśnie pułku kolorowych ku wstydowni ojca, lecz jakoś nie mógł sobie wyobrazić tego drobnego Murzyna w mundurze, z karabinem w rękę.

- Jesteście więc - postyszał głos matki, idącej ku nim przez hol. Jej ciemne oczy pełne były smutku. - Nie wiedziałam, czy... nie byłam pewna... - Głos jej się załamał, usta zadrżały, mimo to zmusiła się do uśmiechu. - Jesteście zdrowi? Wszystko w porządku?

- W porządku - zapewnił ją Blade.

- Nie zniósłabym, gdyby któremuś z was coś się stało. Zwłaszcza teraz, kiedy straciłam ojca - dodała schrypniętym głosem.

- Wiem.

Blade przytulił ją do siebie. Pozwoliła, by ofiarował jej chwilę ukojenia w swoich ramionach, po czym odsunęła się.

- To stało się tak nagle. Bez żadnego ostrzeżenia. Siedział w ogrodzie. Czuł się dobrze, kiedy Eliza go zostawiła.

- A gdzie Eliza? - zapytał Lije.

- Jest z nim w salonie.

Lije ruszył w tamtą stronę i spostrzegł Sorrel. Stała przyciśnięta do ściany z wyrazem przygnębienia na twarzy. Poczul wyrzuty sumienia, że nie poświęcił młodszej siostrze ani jednej myśli. Martwił się przede wszystkim o matkę i Elizę.

Podszedł do niej szybko, lecz nim zdążył coś powiedzieć, oznajmiła:

- Alex i Kipp nie przyjechali. Babcia przesłała im wiadomość o dziadku, ale nie wie, czyją otrzymali. Powiedziała, że nawet jeśli ją otrzymali, to nie będą mogli przyjechać, bo tu jest dla nich niebezpiecznie.

Spojrzała na niego z wyrzutem, jakby to on był wszystkiemu winien.

- Teraz dla nikogo nie jest bezpiecznie, Sorrel.

- To nie w porządku, że ich tu nie ma.

- Wiele rzeczy jest nie w porządku.

- Dziadek zawsze starał się, by było. Teraz kiedy odszedł, nikt się nie będzie o to troszczył.

Odwróciła się, by ukryć łzy i pobiegła w dół korytarzem.

Kiedyś Lije też tak reagował na życiowe niesprawiedliwości i tak jak Sorrel nie mógł zrozumieć, dlaczego ludzie nienawidzą się i zabijają i nie pozwalają ojcu wrócić do domu. Nadal tego nie rozumiał, mimo że po raz kolejny nienawiść rozdzieliła jego rodzinę.

Otrząsnął się z tych myśli i ruszył do salonu. Meble przestawiono w nim tak, by mogła stać trumna. Siedziała przy niej Eliza ze smutno spuszczoną głową, jedną rękę opierając na Biblii, a drugą na trumnie.

Kiedy wszedł do salonu, podniosła wzrok.

- Elijah. - Uśmiechnęła się kącikami ust, lecz w oczach pozostał smutek. - Czy Blade przyjechał z tobą?

- Jest z moją matką.

Usiadł obok na krześle i ujął jej dłoń.

- Tempie tak się o was martwiła.

- Wiem. Jak się czujesz, Elizo?

Łzynabiegły jej do oczu, lecz pokręciła głową i dzielnie się uśmiechnęła.

- To stało się tak szybko... Był taki zadowolony. - Spojrzała na leżącą na kolanach Biblię. - Chciałabym, żeby był tu pastor Cole.

- Gdzie jest teraz?

- W Kansas... w Baxter Springs. Opiekuje się uciekinierami z różnych plemion indiańskich, którzy się tam schronili. - Spojrzała na trumnę. - Może spotka tam Kippa. Na pewno chciałby wiedzieć o Willu.

- Na pewno.

Do salonu wszedł Blade w towarzystwie Tempie i złożył Elizie kondolencje.

Zaległa cisza.

- A gdzie jest Sorrel? - zapytała Tempie, rozglądając się po pokoju.

- Chyba pobiegła do ogrodu - odpowiedział Lije.

- Mam nadzieję, że nie odeszła zbyt daleko od domu. W okolicy kręci się pełno bandytów i zdarzają się akcje odwetowe. - Odwróciła się i spojrzała błagalnie na Blade'a. - Próbowałam przekonać Elizę, że w Oak Hill może być niebezpiecznie. Wszyscy wiedzą, że sympatie ojca były zawsze po stronie Północy. Teraz kiedy Kipp i Alex przeszli na stronę Unii, nie powinna zostawać tu sama. Powinna zamieszkać z nami w Grand View.

- Tak byłoby rozsądniej, Elizo - powiedział Blade.

- Rozsądnie czy nie, zostanę tutaj - oznajmiła zdecydowanym tonem. - Tu jest mój dom. Zbudowaliśmy go wspólnie z Willem. Tu urodziła się Susannah. - Wzmianka o córce oderwała jej myśli od tego tematu. - Muszę pamiętać, żeby wysłać list do Susannah - powiedziała z westchnieniem. - Jeden Bóg wie, kiedy do niej dotrze. Nie można teraz ufać pocztce.

- Daj go mnie - powiedział Lije. - Dopilnuję, by dotarł do Susannah.

- Jak... - Tempie urwała raptownie, a w oczach pojawił się lęk. - Znowu wyruszacie na Północ? Lije starał się unikać bezpośredniej odpowiedzi.

- Nasz pułk patroluje północną granicę terytorium, a w Missouri jest wielu zwolenników

Południa. Dopilnują, by list dotarł na Wschód.

Łzy wdzięczności błysnęły w oczach Elizy.

- Dziękuję - powiedziała, ściskając go za rękę.

Kiedy Lije odjeżdżał po pogrzebie w torbie przy siodle miał list do Susannah. W przeciągu tygodnia jego pułk otrzymał rozkaz wymarszu na Północ.

Fort Scott, Kansas Listopad 1862

Porywisty północnozachodni wiatr przewalał się nad równinami Kansas, wzniecając tumany kurzu. Diana, która właśnie weszła do poczekalni na stacji kolejowej, otrzepała pobieżnie szary kostium i rozejrzała się wokół. Nagle poczuła, że ktoś dotyka jej łokcia. Odwróciła się i spojrzała w uśmiechniętą twarz swego towarzysza, majora Adama Clarka, lekarza wojskowego z pobliskiego fortu.

- Proszę spocząć, a ja dowiem się, o której przyjeżdża pociąg. - Wskazał na stojącą pod ścianą drewnianą ławkę. - Miejmy nadzieję, że się nie spóźni.

- Miejmy nadzieję - powtórzyła Diana i ruszyła w stronę ławki. Po niezbyt wygodnej podróży wojskowym ambulansem, nie miała jednak wielkiej ochoty na siadanie. Podeszła więc do brzuchatego piecyka i wyciągnęła ręce ku przyjemnemu ciepłu. Z drugiej strony stał niskiego wzrostu mężczyzna w średnim wieku, ubrany po cywilnemu. Jego twarz wydała jej się znajoma, lecz dopiero, kiedy się uśmiechnął, rozpoznała w nim sprzedawcę z miejscowego sklepu.

- Dobrze, że Charlie rozpałił w piecyku - odezwał się mężczyzna. - Okrutnie dziś dmucha.

Diana skinęła głową i zadrżała na wspomnienie ostrych podmuchów.

- Zima jest tuż - tuż.

- Ma pani rację. - Zerknął w okno. - Już niedługo ten wiatr będzie rozpędzał tumany śniegu. - Tu spojrzał na nią z zaciekawieniem. - Wybiera się pani w podróż?

- Nie, czekam tu na pastora Cole'a. Ma przyjechać najbliższym pociągiem.

- Pastor Cole? - Zmarszczył brwi, usiłując sobie przypomnieć, skąd zna to nazwisko. - Czy to nie ten misjonarz od Indian obozujących w LeRoy?

- Ten sam.

- Tak myślałem. Raz czy dwa widziałem go w sklepie. To pani znajomy?

- Znam go od dzieciństwa.

Tak naprawdę zaprzyjaźniła się z nim w ciągu ostatniego roku. Woląла jednak nie dociekać kryjących się za tym powodów. Duma nie pozwalała jej przyznać, że szukała kontaktu z pastorem w nadziei uzyskania jakiś wiadomości o Lije. Zawsze z niecierpliwością oczekiwała na opowieści Nathana o jej byłym narzeczonym.

Zaręczyny zostały zerwane. Wszystko się między nimi skończyło. Diana postanowiła rozpocząć nowe życie bez Lijego. Rzuciła się w wir pracy, codziennych zmagania i walki, ukrywając za uśmiechem ból i rozczarowanie. Mimo to...

Podszedł Adam Clark, ukazując w uśmiechu atrakcyjne dołeczki.

- Pociąg powinien niebawem nadjechać.

- Wspaniale. - Diana uśmiechnęła się do niego. - Obawiałam się, że będziemy musieli długo czekać.

- Nie miałbym nic przeciwko temu - rzucił lekkim tonem, któremu przeczyło gorące spojrzenie.

Diana nie po raz pierwszy zauważyła, że Adam Clark wpatruje się w nią, ale udawała, że tego nie dostrzega.

- Obawiam się, że nie mam tyle cierpliwości co pan.

- Cierpliwość jest w moim zawodzie koniecznością - odpowiedział. - Nawet gdyby się chciało, procesu leczenia nie da się przyspieszyć.

- W istocie ma pan rację - przyznała, zdając sobie sprawę, że w ten subtelny sposób daje jej do zrozumienia, iż wie o jej nie zabliźnionej ranie w sercu i skłonny jest czekać, aż wyzdrowieje. Wzruszyło ją okazane jej zrozumienie.

- A niech to - odezwał się sprzedawca ze sklepu. - Czy to nie pan jest tym doktorkiem z fortu?

- We własnej osobie. - Adam Clark ściągnął rękawiczkę i podał rękę sprzedawcy. - Doktor Adam Clark z Abilene.

- Josiah Hubbard. Miło mi pana poznać, doktorku... Przepraszam, chyba powinienem powiedzieć „majorze „- poprawił się, spoglądając na naszywki.

- Major to pomysł armii, nie mój - odparł Adam Clark z krzywym uśmiechem. - Bardziej odpowiada mi doktor niż major Clark.

- Nie znalazłby pan może jakiegoś leku na pryszczę, doktorku? Moją panią ostatnio strasznie wysypało. - I ze szczegółami opisał dolegliwość swej żony.

Diana skorzystała z okazji, by przyjrzeć się młodemu lekarzowi, mając świeżo w pamięci jego niedawną uwagę na temat cierpliwości. Liczył sobie zapewne niewiele ponad trzydzieści lat, był średniego wzrostu i takiej budowy. Włosy miał gęste i czarne, skręcone w loki, które obcinał krótko, aby utrzymać schludny wygląd. Klasyczne rysy przywodziły na myśl artystę, a łagodne oczy wzbudzały zaufanie. Wizerunku dopełniały nieskazitelnie białe zęby i elegancki czarny wąsik. Emanował spokojem i pewnością siebie.

W niczym nie przypominał Lijego. Powinna być zadowolona, tymczasem irytowało ją, że obraz ukochanego wciąż jest żywy w jej pamięci. Kiedy tylko zamknęła oczy, natychmiast widziała charakterystyczne wydatne kości policzkowe, kruczoczarne włosy i błękitne oczy. Gniewało ją, że już sama myśl o nim budziła uczucie, które dawno powinno zblaknąć.

- Zdaje się, że pociąg nadjeżdża. - Głos sprzedawcy przywrócił ją do rzeczywistości. Usłyszała stłumiony gwizd, sygnalizujący zbliżanie się pociągu do stacji. - Miło było z panem pogadać, doktorku.

- Mam nadzieję, że się na coś przydałem. - Adam Clark skinął głową na pożegnanie, po czym zwrócił się do Diany. - Może wyjdziemy na zewnątrz?

W odpowiedzi wsunęła mu rękę pod ramię.

- Musi pan mieć dość tego ciągłego wysłuchiwania o czyichś dolegliwościach.

- Nie, jeżeli jestem w miłym towarzystwie. Wtedy jednak wolałbym rozmawiać o przyjemniejszych sprawach, jak choćby o tym, jak pani oczy zapalają się, kiedy coś panią rozbawi.

Wybuchnęła śmiechem.

- Czy to kliniczna obserwacja, doktorze?

- Raczej komplement. Ma pani coś przeciwko temu? Choć wewnętrznie spięta, rzuciła lekkim tonem:

- Niby dlaczego? Przyjrzał jej się z uwagą.

- Bo nie mam pewności, czy jest pani gotowa przyjąć ode mnie komplement - powiedział bez ogródek.

- Prawdę powiedziawszy, ja również nie - przyznała szczerze.

- W takim razie to dobry znak.

Wyszli na zewnątrz, gdzie łoskot nadjeżdżającego pociągu uniemożliwił dalszą rozmowę.

Porywisty wiatr rozdmuchiwał dym i parę po peronie. Diana odwróciła się, kryjąc twarz przed gęstymi tumanami. W końcu lokomotywa zahamowała z piskiem, a wagony stuknęły jeden o drugi. Chmura pary i dymu uniosła się w górę, dzięki czemu Diana mogła zobaczyć wysiadających pasażerów.

Pastor Cole zszedł na peron jako trzeci. Bez trudu rozpoznała wysoką szczupłą sylwetkę o przygarbionych plecach. Uśmiechnęła się na powitanie i ruszyła w jego stronę. Kiwnął głową, po czym odwrócił się i podał rękę stojącej za nim kobiecie.

- Susannah! - wykrzyknęła zaskoczona Diana. - Co ty tu robisz? Myślałam, że jesteś w Massachu... - Radość ze spotkania z przyjaciółką rozwiała się w przyływie współczucia. - Przykro mi z powodu twojego ojca. Pastor mówił mi, że to się stało w sierpniu.

Susannah powstrzymała napływające do oczu łzy. Diana wypuściła przyjaciółkę z objęć, przypominając sobie o obecności doktora.

- Susannah, pozwól że ci przedstawię majora Adama Clarka, lekarza wojskowego. Kiedy wspomniałam mu, że wybieram się na stację po pastora Cole'a, przypomniał sobie, że musi odebrać transport leków i zaofiarował się mnie podwieźć. - Oboje doskonale wiedzieli, że mógł to zlecić jednemu ze swych podwładnych, lecz wykorzystał to jako pretekst do spędzenia z nią chwili czasu. - Majorze, to jest moja najdroższa przyjaciółka, panna Susannah Gordon. Znamy się od dzieciństwa.

- Miło mi pana poznać, majorze.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Gordon - odpowiedział, po czym skinął głową pastorowi. - Mam nadzieję, że miał pan dobrą podróż, pastorze.

- Tak.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że tu jesteś, Susannah - oznajmiła Diana i zwróciła się z wyjaśnieniem do Adama. - Ostatni raz widziałyśmy się na Wschodzie, kiedy panna Gordon rozpoczęła naukę w Mount Holyoke, szkole dla dziewcząt.

- Przebyła pani długą drogę, panno Gordon.

- Bardzo długą.

- Czy pan wiedział, że Susannah przyjedzie? - zapytała Diana pastora. Pokręcił przecząco głową.

- Byłem równie zaskoczony jak ty, kiedy wsiadłem do pociągu i zobaczyłem ją w wagonie. Susannah jest w drodze do OakHill - wyjaśnił.

- Co takiego? - Diana spojrzała zaskoczona na przyjaciółkę. - Taka podróż jest dziś bardzo niebezpieczna.

- Pastor wciąż mi to powtarza - powiedziała Susannah z uśmiechem, świadczącym o tym, że jej decyzja była przedmiotem dyskusji w czasie podróży pociągiem. Zaraz jednak spoważniała. - Nie mogę znieść myśli, że moja matka jest tam sama. Ona mnie potrzebuje, zwłaszcza teraz.

- Powinnaś poczekać, aż się trochę uspokoi. Kobieta podróżująca sama...

- Pastor zgodził się mi towarzyszyć. A nawet nalegał na to - odpowiedziała z uśmiechem Susannah. - Zamierzamy wyruszyć jutro o świcie. Mam nadzieję, że uda mi się zobaczyć z Kippem dziś wieczorem.

- Jego kompania wyruszyła na zwiad. Widziałam, jak wyjeżdżali. Wątpię, czy zdążą wrócić do twego odjazdu.

- Bardzo chciałabym się z nim zobaczyć. I z Alekssem.

- Czy nie ma sposobu, by cię odwieść od tej decyzji?

- Żadnego - odparła, po czym przeniosła wzrok z Diany na majora Clarka. Starła się wyczytać z ich twarzy, co łączy tę parę, lecz niczego nie znalazła. - Gdybym zobaczyła Lijego, czy mam mu przekazać jakąś wiadomość od ciebie? - zapytała na koniec.

Diana sądziła, że zdążyła się już uodpornić na dźwięk tego imienia, lecz poczuła nagły gwałtowny przyływ tęsknoty. Zdusiła go w sobie równie szybko, jak się pojawił.

- Powiedz mu... że mam nadzieję, iż dobrze się miewa - powiedziała bezbarwnym głosem.

- To wszystko? - zapytała Susannah, świadoma uważnego spojrzenia majora.

- Tak, to wszystko.

- Diano, wiem, że to dla ciebie trudne. Twój ojciec walczy po jednej stronie, a Lije po drugiej, lecz...

- Gdyby chodziło tylko o to. Ale Lije jest opętany tą głupią rodzinną nienawiścią.

- Spróbuj go zrozumieć, Diano...

- Rozumiem doskonale - przerwała jej zdecydowanie, nie chcąc rozmawiać na ten temat.

Pastor Cole wyczuł niepokój Diany i przyszedł jej z pomocą.

- Najwyższy czas pójść do wagonu bagażowego i odebrać twoje kufry, Susannah. Pociąg nie będzie czekał.

- Tak, oczywiście - przyznała. - Mamy jeszcze sporo spraw do załatwienia przed jutrzejszą podróżą.

Ruszyli do wagonu bagażowego.

- Kiedy skończycie przygotowania do podróży, może przyslibyście z pastorem na obiad? - zapytała Diana, pragnąc jakoś zatuszować niedawne ostre słowa. - Kiedy wyjeżdżałam, ordynans ojca szykował coś wyjątkowego.

- Z przyjemnością - odpowiedziała Susannah. - Nie masz pojęcia, jak stęskniłam się za domowym jedzeniem, nie mówiąc już o towarzystwie.

- Doskonale. - Diana wiedziała jednak, że Susannah może wrócić przy obiedzie do sprawy tych nieszczęsnych zaręczyn. Dlatego podjęła szybką decyzję. - Zapraszam również pana, doktorze. Miałam już wcześniej to zrobić.

- Jestem zaszczycony - odpowiedział. - Czy panna Gordon jest może kuzynką dawnego pani narzeczonego? - zapytał półgłosem, kiedy Susannah odeszła z pastorem zająć się bagażem.

Skinęła głową, czując się niezręcznie, lecz starając się tego nie okazywać.

- Susannah i jego matka są przyrodni siostrami.

- A jaka ma być moja rola przy obiedzie? Nadskakującego konkurenta czy też kolegi pani ojca?

- Tak łatwo mnie rozszyfrować?

Uśmiechem pokryła zażenowanie. A więc domyślił się, iż chce wykorzystać jego obecność przy stole, by uniknąć rozmowy o jej niedoszłych zaręczynach.

- Proszę pamiętać, że jestem bystrym obserwatorem - powiedział z lekkim skrzywieniem ust. Jednak w jego oczach dostrzegła zrozumienie.

- Bardzo pana lubię, majorze - powiedziała, uśmiechając się ciepło.

- Jeśli mam być dziś wieczór przekonujący, proponuję, byś mówiła mi po imieniu.

- Dobrze... Adamie.

Nieco później, kiedy załadowali już bagaże Susannah do wojskowego ambulansu, Diana zerknęła ukradkiem na młodego lekarza. Wiedziała, że to nieuczciwie wykorzystywać go w ten sposób, lecz pocieszała się myślą, iż Adam robi to chętnie, z nadzieją, że pewnego dnia ujrzy w nim kogoś więcej

niż przyjaciela. Czowała się przy nim bezpiecznie. Wiedziała, że nie będzie robił jej żadnych awansów i nie będzie żądał niczego ponad to, co sama chciała ofiarować.

Mimo to nie była sobie w stanie wyobrazić, że mogłaby pokochać kogoś innego niż Lijego Stuarta. Ta myśl wprawiała ją w irytację. W nowym życiu, które starała się zbudować, na pewno znajdzie się miejsce na uczucie. Problem jednak w tym, że wcale tego nie chciała.

Terytorium Indiańskie Listopad 1862

Żółte jęczyczki ognia tańczyły nad płonącym jasno ogniskiem, muskając kociołek, w którym gotował się aromatyczny gulasz z kawałkami króliczego mięsa, ziemniaków i cebuli. Susannah Gordon zamieszała smakowitą zawartość, po czym odstawiła garnek na bok i przykucnęła przy ognisku.

W powietrzu czuło się jesień, a wysoko nad głową połyskiwały gwiazdy i sierp księżycy. Susannah szczerzej owinęła się wełnianym szalem i zapatrzyła w płomienie, pożerające suche gałązki.

Spalone drewno przypomniało jej resztki domostwa, które widziała wcześniej tego dnia. Czarne belki, okopcone kamienie i kupka szarego popiołu to było wszystko, co zostało z ludzkiej siedziby. Sąsiad powiedział im, że spalili go konfederaci.

Gazety w Massachusetts rzadko informowały o walkach na zachodzie. Za to szeroko rozpisywały się o drugiej bitwie nad Buli Run i krwawym starciu pod Antietam. Po przybyciu do Fort Scott Susannah nie mogła pojąć, dlaczego tyle indiańskich rodzin uciekło ze swych domów.

Dzisiaj, kiedy mijała leżące odłogiem pola, puste pastwiska zarośnięte chwastami, kiedy patrzyła na porzucone domy, w większości splądrowane, a niektóre spalone do fundamentów, zasłyszane w Fort Scott opowieści przestały być dla niej fikcją. Historie o konfederackich bandach terroryzujących okolicę, grabiących, plądrujących i palących domy z szybkością i siłą błyskawicy, brzmiały tak nieprawdopodobnie. Nie wierzyła, że może być aż tak źle. Teraz zmieniła zdanie.

Coś zaszeleściło z tyłu za nią, a po chwili trzasnęła gałązka. Zimny dreszcz strachu przebiegł jej po plecach. Obejrzała się za siebie, bezwiednie dotykając kieszeni sukni, w której ukryła małego derringera. Jeszcze przed miesiącem śmiała się, kiedy Frank, wnuk Paytona Fletchera, dał go jej dla ochrony. Zdawała sobie sprawę, że Terytorium Indiańskie kojarzy mu się z Indianami z Równin, zamieszkującymi wzdłuż jego zachodniej granicy.

Dla świętego spokoju zapakowała pistolet do walizki i zupełnie o nim zapomniała aż do dzisiejszego dnia, kiedy zobaczyła, co wojna może zrobić z ziemią i ludźmi. Teraz wcale nie było jej do śmiechu. Żałowała nawet, że nie zwracała baczniejszej uwagi, kiedy Frank pokazywał, jak z niego strzelać.

Z ciemności wyłonił się wysoki chudy mężczyzna z naręczem chrustu. W świetle ogniska błysnęła biała koloratka. Susannah odetchnęła z ulgą, śmiejąc się w duchu ze swojego strachu.

- Konie wyprzęgnięte na noc. Po drodze nabierałem trochę chrustu. Możemy go potrzebować, zanim nastanie świt. Mmm, ten gulasz pachnie wspaniale, Elizo. - Spojrzał na nią z wyrazem zakłopotania na twarzy. - Wybacz, Susannah, ale tak bardzo przypominasz swoją matkę, że...

- Nic się nie stało, pastorze.

Nie potrafiła zliczyć, ile razy wielebny Cole nazwał ją imieniem matki. Nie chciał przecież jej obrazić. Właściwie to było nawet miłe. Cieszyła się, że postanowił odwiedzić ją do domu.

- Twoja matka zawsze mówi mi po imieniu. Wszedł w krąg światła i położył gałęzie przy ognisku.

- Tak, wiem.

Nałożyła solidną porcję gulaszu na cynowy talerz, dodała do tego kromkę chleba i podała swemu opiekunowi. Jej wzrok spoczął na chwilę na jego palcach - długich i kościstych jak cała reszta.

Usiadł na zwałonej kłodzie, którą przysunęli do ognia, postawił sobie talerz na kolanach i zaczekał, aż Susannah nałoży sobie na talerz. Wówczas pochylił głowę, złożył ręce i zaczął odmawiać modlitwę dziękczynną, tak jak to robił przed każdym posiłkiem.

Susannah splótła palce, pochyliła głowę i patrzyła na pastora z uwagą. Mało kto określiłby Nathana Cole'a słowem „szlachetny”, lecz ona tak właśnie o nim myślała. Szlachetny i dobry, o najłagodniejszym spojrzeniu, jakie w życiu widziała. Pastorzy, których знаła, grzmieli o Bożym gniewie, lecz nie wielebny Cole. On nie bał się Boga, on Go kochał. I właśnie ta miłość rozjaśniała mu twarz i wygładzała ostre rysy i zapadnięte policzki. Zmarszczki wokół oczu i ust pochodziły od uśmiechu.

- Wyborny gulasz. Nie zamierzasz go skosztować? Zaskoczona zdała sobie sprawę, że nie słyszała, jak skończył odmawiać modlitwę.

- Przepraszam, zamyśliłam się.

Chwyciła pospiesznie widelec i wbiła go w kawałek króliczego mięsa.

- A o czym tak myślałaś?

- O matce. - Częściowo była to prawda. - Zastanawiałam się, jak sobie tam radzi sama.

- Twoja matka jest silną kobietą. Na pewno doskonale.

- Tak.

- Czasami nie mogę się nadziwić, jak przeszłość potrafi się powtarzać - powiedział w zamyśleniu. - Czy wiesz, że przed laty towarzyszyłem twojej matce w drodze do Georgii? Żadne z nas wówczas nie przypuszczało, że poślubi człowieka, którego dzieci miała uczyć. Sam dawałem im ślub pod murami Fort Gibson. Teraz zaś towarzyszę jej córce, która tak bardzo jest do niej podobna. Równie wysoka, pełna wdzięku, z tymi złotymi plamkami w oczach.

Susannah wiedziała, że pastor kiedyś kochał się w matce.

- Czy ona też potrzebowała moralnego wsparcia?

- Bardziej niż ty - powiedział. - Jechała przecież w nieznaną. Ty zaś wracasz do domu.

Patrząc na niego, była niemal pewna, że nadal kocha matkę. Wyraz oczu, kiedy o niej mówił, sposób, w jaki o niej mówił, sprawiły, że zaprawiała go o to zapytać. Gdyby naprawdę była taka jak matka, zrobiłaby to bez chwili wahania. Lecz Susannah nie była tak bezpośrednia jak Eliza.

- Pamięta pastor te bezalkoholowe przyjęcia, które urządzała matka w Oak Hill... i w Tahlequah? Pastor zawsze w nich uczestniczył. Matka grała na fortepianie, a my śpiewaliśmy piosenki. Jak ona brzmiała? Zapomniałam słów, ale melodia była chyba taka... - Zaczęła nucić, początkowo z wahaniem, a potem już z większą pewnością. - Już wiem! To...

Urwała i przerażona spoglądała na uzbrojonych mężczyzn, którzy pojawili się nie wiadomo skąd, bezszelestnie niczym duchy. Za to broń, którą trzymali w rękach, była jak najbardziej prawdziwa. Zaschło jej w ustach, kiedy spostrzegła wymierzoną w nią lufę karabinu.

Miała oto przed sobą nędznie wyglądającą gromadę, o ciemnych od zarostu twarzach, w kapeluszach naciągniętych na czoło i oczach połyskujących w ciemności niczym ślepie drapieżników.

- Kim jesteście? I co tu robicie? - zapytała ostrym tonem.

W tym samym momencie jeden z mężczyzn obszedł ognisko i zabrał starą strzelbę, którą pastor Cole oparł o wyszczerbiony pień.

- Możemy zapytać o to samo - padła wolna odpowiedź.

Zajęta liczeniem, nie zauważyła, który z nich to powiedział. Było ich sześciu, lecz ilu jeszcze mogło kryć się w ciemnościach?

- Jestem pastor Nathan Cole. - Nathan wstał ze swego miejsca i uśmiechnął się do nich tym swoim łagodnym uśmiechem, który nie wie, co znaczy wróg. - A to... moja podopieczna, panna Susannah Gordon. Jesteśmy w drodze do jej domu. Jak widzicie, rozłożyliśmy tu obóz na noc. - Wskazał na ognisko i stojący w pobliżu wóz.

- A gdzie jest ten dom? - zapytał stojący w środku mężczyzna, wysoki i szczupły, o wąskich biodrach, ten który pierwszy się odezwał. Głos brzmiał podejrzanie miękko, niczym aksamitna powłoka ostrza.

To muszą być z pewnością rebelianci, pomyślała Susannah.

- Mój dom jest niedaleko domu mojej siostry... pani Stuart z Grand View - odpowiedziała śmiało. - Choć właściwie nic wam do tego.

- Pani Stuart? Żona Blade'a Stuarta z czirokeskiej kawalerii? - zapytał, przechylając lekko głowę. Tym sposobem jego twarz znalazła się w kręgu światła i Susannah mogła przyjrzeć się jej rysom, wąskiej linii szczęki, wydatnym kościom policzkowym, gładkiemu czołu i szarym oczom.

- Tak. Skoro odpowiedzieliśmy na wasze pytania, czy byłby pan łaskaw odpowiedzieć na nasze? Nieoczekiwanie zdjął kapelusz i skłonił się z żartobliwą galanterią. Jego oczy ze stalowych stały się srebrne.

- Porucznik Rans Lassiter z Brygady Teksasńskiej, do usług. - Błysnął bezczelnym uśmiechem, ukazując białe zęby. - A to są moi ludzie i jeszcze kilku, którzy sprawdzają, czy ktoś jeszcze jest z wami.

- Nie ma nikogo.

- Mówi prawdę - odezwał się jakiś głos z tyłu za nią. Odwróciła się gwałtownie, zaskoczona widokiem jeszcze jednego ducha.

- Tylko oni. Za tymi drzewami stoją przywiązane konie.

- Przecież mówiłam.

Spojrzała na porucznika. Kapelusz ponownie przykrył kasztanowe włosy i twarz.

- To prawda, ale naszym obowiązkiem jest sprawdzać takie rzeczy, proszę pani. - Wszedł w obręb światła. - Czuliśmy wasz dym na kilometr... a ten gulasz jeszcze dalej.

- Trochę nam jeszcze zostało. Proszę się poczęstować - zaproponował pastor Cole.

- Dziękujemy.

Dał znak ludziom, żeby się obsłużyli.

Susannah patrzyła zdumiona, jak wyciągają nie wiadomo skąd talerze i pochylają się nad kociołkiem. W kilka sekund garnek był pusty, a cała gromada siedziała wokół ogniska, pałaszując gulasz i mocząc w sosie kawałki chleba. Oni są głodni, pomyślała zaskoczona Susannah. Spojrzała na swój talerz i poczuła wstyd, że tak niemrawo idzie jej jedzenie. W dodatku zauważyła, że nic już nie zostało dla porucznika Lassitera.

- Proszę, ja nie jestem głodna. - Wyciągnęła ku niemu rękę z talerzem. Spojrzał jej w oczy.

- Domyślałam się, że sprawiamy wrażenie, jakbyśmy ostatnio nie mieli dość jedzenia. Proszę wybaczyć nam nasze zachowanie, panno Gordon - Uśmiechnął się, a w oczach błysnęło coś na kształt wesołości.

- Nie musi pan przeproszać, poruczniku.

Odetchnęła z ulgą, kiedy przyjął od niej talerz. Nie miała zamiaru się nad nimi litować. Byli przecież konfederatami. To oni mogli być odpowiedzialni za zniszczenia, które widziała, tymczasem jeszcze ich karmiła.

- To najlepsza rzecz, jaką jadłem, odkąd wyjechałem z domu - odezwał się jeden z nich, wycierając talerz kawałkiem chleba. Następnie wsunął chleb do ust i żuł głośno mlaszcząc. - Przydałby się jeszcze kubek prawdziwej kawy i... może cygaro.

Inni skwapliwie mu przytaknęli.

- Mamy w wozie kawę - powiedział pastor Cole. - Możemy wam zaparzyć, jeśli chcecie.

- Czy chcemy? Ha! To tak jakby pytać dzieciaka, czy lubi Boże Narodzenie - zaśmiał się mężczyzna.

- W takim razie zaparzę kawę - zaofiarowała się Susannah. Wstając, poczuła na sobie ich taksujący wzrok. Sądziła, że zdążyła się już przyzwyczaić, kiedy mężczyźni patrzą z niedowierzaniem na jej wysoką sylwetkę. Myliła się jednak.

Podeszła do wozu, postawiła dzbanek na ziemi i zaczęła szukać kawy w przygotowanych przez pastora zapasach. Coś stuknęło cicho o brzeg wozu. Pistolet. Zupełnie o nim zapomniała.

- Co tam jeszcze ma pani na wozie? Drgnęła nerwowo.

- Czy nikt wam nie powiedział, że to niegrzecznie tak się podkradać? - warknęła.

W tym samym momencie jej palce natrafiły na puszkę z kawą. Wzięła dzbanek i wróciła do ogniska, sądząc, że ów mężczyzna idzie za nią. Niestety, nie szedł.

- Hej, spójrzcie! - krzyknął, trzymając w rękach kilka puszek. - Mają brzoskwinie... i pomidory. - Rzucił je towarzyszom i dalej myszkował w wozie. - Kurczę, ileż oni tu mają żarcia.

Kiedy inni rzucili się do wozu, Susannah chciała zaprotestować i spojrzała pytająco na pastora. Uśmiechnął się, dając jej znak, że wszystko jest w porządku. Postawiła z wahaniem dzbanek na ogniu i przysłuchiwała się podnieconym głosom mężczyzn. Zachowywali się, jakby znaleźli skarb. Jeden z nich otworzył puszkę nożem, wyjął połówkę brzoskwini i włożył ją całą do ust, nie zwracając uwagi na sok spływający mu po wąsach i kapiący na zniszczoną kurtkę. Nawet porucznik Lassiter skusił się na słodkie owoce, lecz trzymał się od swoich ludzi nieco na dystans.

- Ciekawe, co może być w tym kufrze? - Jeden z żołnierzy nazwiskiem Kelly wskoczył na wóz i przywołał do pomocy kolegę. - Chodź tu, Hayes. Pomożesz mi.

- Nie - zaprotestowała Susannah, podchodząc szybko do wozu. - To są moje rzeczy.

Lecz nikt nie zwrócił na nią uwagi.

- Zamawiam sobie buty.

- Zostawcie. To jest mój kufer.

Miała w nim cały swój dobytek - ubrania, kilka sztuk biżuterii i książki. Dzielenie się jedzeniem to jedna sprawa, lecz kradzież dobytku to zupełnie co innego. Zdesperowana sięgnęła do kieszeni sukni i wyjęła z niej pistolet. Chwyliła go obiema dłońmi i wycelowała w dwóch mężczyzn na wozie.

- Powiedziałam, że to nie należy do was. Odsuńcie się od mojego kufra.

- Chyba powinniście jej posłuchać, chłopcy. - Rans Lassiter odstawił na bok puszkę z brzoskwiniami. - Ona ma broń, jeśli można to tak nazwać.

- I strzelę, jeśli będę musiała - oświadczyła śmiało, mając nadzieję, że już sam widok pistoletu zmusi ich do pozostawienia w spokoju jej rzeczy. - Odsuńcie się od tego kufra.

- Czy nikt nie powiedział pani, że niegrzecznie jest celować do kogoś z broni? - Rans Lassiter

stanął dokładnie na linii strzału i zaczął wolno iść w jej stronę. - Tak się nie postępuje.

- Proszę się nie zbliżać - rzuciła ostrzegawczo, starając się opanować drżenie rąk.

- Niestety, muszę - odparł z uśmiechem. - Jeśli pani strzeli, muszę mieć pewność, że trafi pani w to, w co celuje. Te pistoleciki nie są zbyt celne. Chyba nie chce pani spudłować za pierwszym razem.

- Ani kroku dalej!

Skierowała lufę pistoletu w ziemię, tuż przed jego stopami, zamknęła oczy i nacisnęła na spust. Nic się nie stało.

Otworzyła oczy zdumiona. Lassiter w dwóch susach pokonał dzielącą ich przestrzeń i złapał Susannah za nadgarstki. Walczyła jak lwica, starając się nie wypuścić z rąk derringera.

Nagle jednym szarpnięciem przyciągnął ją do siebie. Poczowała twarde mięśnie jego torsu. Bardziej jednak zaskoczyła ją bliskość jego twarzy. Niemal dotykał ją szorstką brodą. Był wyższy od Susannah zaledwie o kilka centymetrów. Szare oczy wpatrywały się w nią intensywnie. Czarne źrenice okalała srebrna tęczówka. I te usta - zaledwie o centymetr od jej warg.

Nie była w stanie się ruszyć, oszołomiona wrażeniami, jakie wywoływała w niej bliskość mężczyzny. Szeroki tors napierał na jej piersi, a na brzuchu czuła twardą kość biodrową. Serce na chwilę przestało bić, po czym ruszyło jak szalone niczym koła napędowe lokomotywy.

Boże, o czym ona myśli? Była jedyną kobietą wśród tych oberwańców. Nigdy jeszcze nie widziała równie podejrzanego bandy. Wielebny Cole nie był już młody. Jeśli zechcą ją obrazić - zgwałcić - nie zdoła jej obronić. W co ona się wpackowała?

Poczowała na szyi ciepło jego oddechu. Ogarnął ją strach.

- Perfumy - mruknął. - Tak dawno już nie czułem kobiecych perfum.

- Proszę mnie puścić - rozkazała, zdając sobie sprawę, że w jej sytuacji jakiegokolwiek żądanie brzmi śmiesznie.

Patrzyła, jak jego palce powoli przesuwiają się w górę i zaciskają na pistolecie. Ich szorstkość przypominała szorstkość kociego języka. Pozwoliła odebrać sobie broń. Wówczas zwolnił uścisk, a ona natychmiast postąpiła krok w tył.

- W tych stronach, panno Gordon, jeśli nosi pani broń, a zwłaszcza, jeśli chce pani z niej strzelać, trzeba wiedzieć, jak to robić.

Rumieniec oblał jej policzki. Zrobiła z siebie pośmiewisko. Bała się podnieść wzrok, by nie ujrzeć rozbawionych szarych oczu. Patrzyła więc na pistolet, obserwując, z jaką zręcznością sprawdza, czy jest naładowany.

- Zanim naciśnie pani na spust, trzeba go odbezpieczyć. O tak... Rozumie pani?

- Tak - warknęła.

- Proszę o tym nie zapominać, panno Gordon. Następnym razem może się to pani przydać. - Nie mogła uwierzyć, że naprawdę chce jej oddać pistolet. Uśmiechnął się lekko. - I proszę nie strzelać w ziemię. Takie cacka mają zwykle tylko jedną kulę.

Z tyłu za nim rozległy się ironiczne prychnięcia. Zawstydzona wzięła od niego derringera i schowała do kieszeni sukni.

- Kelly, Hayes, z wozu - rzucił ostro, nie spuszczać z niej wzroku, po czym dodał lekkim tonem: - Coś mi się zdaje, że tej damie nie podoba się, że grzebiecie w jej rzeczach. Chociaż mogłoby być wam do twarzy w haleczkach i budkach.

Odpowiedział mu rubaszny śmiech i sprośne komentarze wypowiedziane jednak przyciszonymi głosami. Ktoś przypomniał sobie o kawie i mężczyźni wrócili do ogniska. Pragnąc uniknąć ich

towarzystwa, zajęła się myciem naczyń.

Natychmiast podszedł do niej pastor Cole.

- Nic ci się nie stało?

- Nie. I proszę nic nie mówić. Wiem, że głupio postąpiłam.

- Wszystkich nas to w życiu spotkało, Susannah. Nie bądź dla siebie zbyt surowa.

- To nie takie proste. - Zmusiła się do uśmiechu, po czym zerknęła na siedzących przy ogniu mężczyzn, którzy popijali kawę i gawędzili. - Może to przez tę wojnę. Wydawała się taka odległa, tam, w Nowej Anglii. Nie mogę zapomnieć tych spalonych domów, które dziś mijaliśmy. I wciąż się zastanawiam, czy to ci ludzie są za to odpowiedzialni.

- Nie. To również sprawka Jankesów. Zesztywniała, rozpoznając głos Ransa Lassitera.

- Nie wiedziałam.

Udała, że nie dziwi ją jego obecność.

- Najłatwiej winić za wszystko konfederatów. Lecz i Jankesi mają swoich nocnych zwiadowców. Są też inni... szabrownicy, tacy jak Quantrill. Nigdy nie można być pewnym, po której stronie stoją. To zależy od tego, co jest do zagrabienia.

- Quantrill to jeden z tych, który dowodził atakiem na Independence w Missouri w sierpniu, prawda? Czytałam o nim w gazetach.

- Jest teraz gdzieś w Arkansas, lecz tak szybko zmienia miejsce pobytu, że trudno za nim nadążyć. Jeśli spotka pani mężczyznę na czarnym koniu, w fantazyjnym stroju, z piórem przy kapeluszu, lepiej mieć się na baczności. Podobno jest łasy na niewieście wdzięki.

- Dziękuję za ostrzeżenie.

- Od dawna nie piliśmy tak dobrej kawy. - Zamieszał płyn w kubku i wypił do dna. - Tylko dwie rzeczy mogą się z nią równać: butelka dobrej whisky i piękna kobieta. Człowiek może się nimi upić. - Od jego spojrzenia zrobiło się jej gorąco. - Radzę nalać sobie, póki jeszcze coś zostało.

Odwrócił się i ruszył z powrotem do ogniska. Stał w kręgu światła i przysłuchiwał się rozmowie, lecz nie brał w niej udziału.

- Wydaje się samotny - mruknęła Susannah.

- I młody - dodał pastor. Spojrzała na niego zaskoczona. - Nie może mieć więcej jak dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem lat.

- Z pewnością jest starszy. Jego oczy...

- Jego oczy są stare od tego, na co musiały patrzeć. Takie samo spojrzenie widziałem u młodych Czironków, którzy przeszli tę długą drogę z Georgii. W jego oczach nie dostrzegłem jednak goryczy, raczej trzeźwość człowieka zahartowanego w twardej szkole życia. On wciąż potrafi się uśmiechać. A to wielka zaleta. Był czas, kiedy sądziłem, że twój ojciec nigdy się już nie uśmiechnie. Wielu tego doświadczyło.

Znała na pamięć te opowieści, lecz w ustach pastora brzmiały one tak realistycznie. Może dlatego, że mówił z takim smutkiem i współczuciem. Wsunęła mu rękę pod ramię.

- Chodźmy napić się kawy.

- Tak, póki jeszcze coś zostało. - Powtórzył słowa porucznika, by rozluźnić nieco napiętą atmosferę.

Jeden z żołnierzy nazwiskiem Kelly wyciągnął z kieszeni organki i zaczął grać melodię dixielandową. Natychmiast trzech innych poderwało się z ziemi i zaczęło tańczyć, jeden wokół drugiego, unosząc wysoko stopy, podczas gdy reszta klaskała do taktu i śpiewała.

Kiedy przebrzmiał hymn Południa, grajek zaintonował inną skoczną melodię. Chudy mężczyzna o rudej czuprynie złapał Susannah za rękę i pociągnął na środek. Po chwili inny otoczył ją ramieniem i obrócił dokoła, by zaraz przekazać ją następnemu.

Rans patrzył, jak przechodzi od partnera do partnera, skacząc, kręcąc się i śmiejąc. Wirujące fałdy sukni odsłaniały wysokie obcasy trzewików i kostki. Nie była tak wysoka, jak przypuszczał. Wiedział też, że nie jest bardzo szczupła. Pamiętał nacisk jej pełnych krągłych piersi, których nie zdołałby objąć dłonią.

Zaklął pod nosem, wściekły za takie myśli i utkwiał wzrok w fusach od kawy na dnie kubka. Jednak pokusa, by na nią patrzeć, była silniejsza.

Dlaczego po prostu nie przyzna, że jest zazdrosny? Tańczyła z jego ludźmi, wdzięczna i pełna gracji, a oczy błyszczały radością. Tymczasem kiedy on trzymał ją w ramionach, te złote iskierki, te oczy płonęły gniewem, a ciało było sztywne niczym posąg, lecz posąg pachnący perfumami. I nie były to tanie perfumy, jakich używały dziwki, by ukryć zapach potu i nasienia innego mężczyzny. Wiedział coś o tym.

Susannah Gordon była damą, a on miał dość burdelowych dziwek i markietanek.

Wojna nie spełniła jego oczekiwań. Zamiast chwały zwycięstwa - mało znaczące sukcesy i cholernie dużo krwi i rozpaczy.

Wojna była dla niego ciągiem niekończących się patroli i najazdów, które sprowadzały się do palenia i grabieży. Mieli odcinać wroga od dostaw, podpalać stodoły, łąki i pola, tak by ani wojsko, ani konie nie miały co jeść.

Może dlatego tak bardzo nienawidził Quantrilla i jemu podobnych, bo nienawidził samego siebie. Po miesiącach walk i zabijania zapragnął odzyskać dobre samopoczucie. I ta dziewczyna mogła mu w tym pomóc.

Słyszał jej perlisty śmiech, szczery i gorący. Wwiercał mu się w mózg i drażnił do granic wytrzymałości. Jego ludzie śpiewali jakąś piosenkę. Nie zwracał na nią uwagi, dopóki nie dotarły do niego jej słowa.

(...) Słońce pali mnie śmiertelnie.

Nie płacz, Susannah.

Susannah, nie płacz po mnie.

Zaklął pod nosem i roztarł napięte mięśnie karku. Kiedy cofał rękę, palce musnęły szorstki policzek. Nie golił się od trzech dni, a od roku kąpał jedynie w rzece.

Co się z nim dzieje? Czemu stoi tu jak jakiś cholerny sztubak? Przecież chce z nią zatańczyć, wziąć ją w ramiona. Co go powstrzymuje? Nazywa się Ransom Lassiter. Jego rodzina jest właścicielem największego rancza w Teksasie.

Odstawił kubek na pień drzewa i ruszył ku tańczącym, kiedy grana na organkach melodia ucichła. Posłał swoim ludziom ostrzegawcze spojrzenie. Rozstąpili się, robiąc mu miejsce. W ich roześmianych oczach błysnęło zrozumienie. Początkowo Susannah go nie widziała. Kiedy się odwróciła, spowił ją blask bijący od ogniska.

Przez chwilę mógł jedynie patrzeć na jej roześmiane wargi, chwytające gwałtownie powietrze. Oczy płonęły radością, a policzki barwił krwisty rumieniec. Kilka skręconych pasemek włosów wymknęło się spod schludnego koczka. Podobał mu się ten drobny nieład. Przemknęło mu przez myśl, że tak by zapewne wyglądała, kiedy skończyłby się z nią kochać, tylko wargi miałyby nabrzmiące od jego pocałunków.

Dostrzegł, że jej uśmiech zaczyna blednąć, skłonił się więc przed nią żartobliwie.

- Zdaje się, że to mój taniec, panno Gordon.

Przycisnęła rękę do gardła, jakby nie była w stanie oddychać. Patrzył, jak jej piersi unoszą się i opadają, a materiał sukienki stara się ukryć, zamiast podkreślić wypukłe krągłości.

- Zagraj walca, Kelly, żeby dama mogła odzyskać oddech.

Czuł, że chce się wykręcić zmęczeniem, lecz nie pozwolił jej na to. Zanim zdążyła zaprotestować, otoczył jej talię ramieniem i poprowadził w takt walca, z wprawą i gracją wciągając ją w wirujący rytm.

Nie była w stanie oderwać wzroku od jego szarych oczu. Czarowały ją, odurzały, wabiły, płonął niczym rozżarzone węgle.

Z każdym obrotem przytulał ją coraz mocniej, tak że czuła przez sukienkę nacisk jego ud na swoje. Mimo to nie była w stanie się oderwać. Czuła, że on o tym wie. Czy wiedział również, co się z nią dzieje, jak dziwnie ściska ją w żołądku?

- Nie jestem pewna, czy pan chce, abym odzyskała oddech, poruczniku - rzuciła tonem wymówki, zdając sobie sprawę, że zabrzmiało to bardzo niepewnie. - Myślę, że usiłuje pan mnie go pozbawić.

- Czyżby?

To cicho i wolno wypowiedziane pytanie zabrzmiało niczym pieszczota kochanka. Serce zaczęło jej bić jak szalone.

- Poruczniku, ja...

- Rans. W Teksasie nie bawimy się w zbytne formalności. Rozumiem.

Przełknęła ślinę, starając się dać wytchnienie napiętym nerwom.

- Naprawdę? - Utkwił wzrok w jej szyi, co przypomniało jej o perfumach, którymi każdego ranka smarowała się za uszami. - Nie sądzę, żeby pani wiedziała, jak bardzo pragnąłbym zapomnieć, że jesteś damą.

Nagle uświadomiła sobie, jak daleko odeszli od ogniska. Otaczała ich ciemność.

- Dżentelmen tak nie mówi.

Przestali wirować, stawiali teraz jedynie niewielkie kroki w miejscu.

- Nie? W takim razie dżentelmeni, których znałaś, musieli być głupcami. Albo byli ślepi.

- Myślę, że...

- Nie chcę, żebyś myślała. Pragnę jedynie, żebyś ze mną tańczyła.

Znow zaczęli wirować w takt walca. W pewnym momencie nastąpiła na coś tak nieszczęśliwie, że skrzyła sobie kostkę. Oparła się ciężko o niego. W jednej chwili otoczył ją ramionami, by mogła odzyskać równowagę. Znowu stali blisko siebie, niemal dotykając się wargami. Poczowała, jakby przez jej ciało przeleciała błyskawica. Patrzyła mu w oczy, nie będąc w stanie wykonać żadnego ruchu.

- Nie musisz się mnie bać, Susannah - tchnął jej w usta. Dotąd nie zdawała sobie sprawy, że ma tak wrażliwe wargi. Czuła każde, najlżejsze nawet muśnięcie. - Nie bój się mnie.

Poczowała ciepło na wargach. Dobry Boże, on ją całuje, a ona się boi - boi tego, co czuje. Odepchnęła go od siebie i odstąpiła krok w tył. Zaraz jednak wciągnęła gwałtownie powietrze, bo poczuła ostry ból w kostce.

- Nic ci nie jest?

- Nie. - Ostrożnie przeniosła ciężar na chorą stopę, sprawdzając jej wytrzymałość. Na szczęście było to tylko lekkie zwichnięcie. - Skrzyłam kostkę. Nic więcej. - Nieoczekiwanie porwał ją na ręce i przytulił do piersi. - Co ty robisz? Chyba nie zamierzasz mnie nieść? - Czyż on nie zdaje sobie

sprawy, jaka jest duża? Całe sto siedemdziesiąt centymetrów.

- Właśnie tak. - Błysnął w uśmiechu białymi zębami. - Obejmij mnie za szyję.

Nie pozostało jej nic innego, jak posłuchać. Kiedy jednak poczuła twarde mięśnie ramion i szyi, nie była pewna, czy to dobry pomysł, chociaż musiała przyznać, że nie ugina się pod jej ciężarem.

- To zupełnie zbyteczne - wymruczała. - Sama mogę iść.

- Ale ja wcale nie chcę tego sprawdzać - oświadczył, patrząc na nią płonącymi oczyma. - Bardzo mi się to podoba.

- Natychmiast przestań. - Wiedziała, że on wcale tak nie myśli. Na pewno zrobiłby to z każdą dziewczyną.

- Susannah, nic ci się nie stało? Pastor Cole wyszedł im naprzeciw.

- Skręciłam kostkę. Gdyby pan porucznik postawił mnie na ziemi, potrafiłabym dojść o własnych siłach. On jednak usilnie stara się grać rolę rycerskiego oficera z Południa.

Mięśnie szczęki natychmiast mu stwardniały, a wargi zniknęły w czarnej brodzie. Zatrzymał się raptownie i postawił ją na ziemi. W szarych oczach znów zapłonęła zimna stal. Czując, że jest rozgniewany, odsunęła się od niego, lekko kulejąc.

- Moi ludzie zostaną tu na noc, pastarze. Wystawiłem wartę, więc pan i panna Gordon możecie spać spokojnie. Doradzałbym jednak wygasić ognisko. Nie ma sensu informować szabrowników, że tu jesteście. - Zerknął na Susannah. - Rano będziemy eskortować was do domu.

- Dziękuję, poruczniku.

- Musimy się jakoś odwdzięczyć za jedzenie i kawę. Odwrócił się i odszedł, a z nim jego ludzie. Susannah poczuła nagle wielki żal.

- Męska duma to delikatna sprawa - odezwał się pastor, stając obok niej. - Czasami to jedyna jego obrona. Jednak łatwo można ją zranić. Mężczyźni mogą wydawać się nieczuli, nawet niepokonani, lecz zapewniam cię, że wcale tak nie jest.

- Sądzi pastor, że zachowałam się grubiańsko.

- Nic nie wytrąca mężczyźnie broni z ręki szybciej niż kobiecy język. Z tymi słowy podszedł do ogniska i począł je zasypywać.

Następnego dnia wstali o pierwszym brzasku. Po zimnym śniadaniu Susannah zajęła się pakowaniem rzeczy i zwijaniem kocy, a pastor poszedł do koni. Ponieważ szybko się z tym uwinęła, postanowiła pomóc mu zaprząć konie do wozu. Wtedy zobaczyła idącego w jej stronę porucznika Lassitera. Wyglądał jakoś inaczej. Po chwili zrozumiała dlaczego. Był ogolony.

Patrzyła na jego szczupłą twarz o twardych rysach, nie znajdując w niej żadnej miękkiej linii. Wczoraj w nocy wyczuwała w nim tę stanowczość. Teraz mogła się o niej przekonać naocznie.

Stał przed nią, zdjął z głowy kapelusz i przeczesał ręką włosy.

- Jeśli swoim wczorajszym zachowaniem obraziłem panią, proszę o wybaczenie. Ja...

- Zaciął się pan.

Nie namyślając się, wytarła kropelkę krwi z policzka, dotykając jednocześnie palcami pulsującej żyły na jego szyi.

Złapał ją za rękę i odsunął od twarzy, lecz nie zwolnił uchwytu.

- Na pani miejscu nie dotykałbym tak mężczyzny, panno Gordon.

- Dlaczego?

W odpowiedzi unieruchomił jej ręce i wpił się w jej usta. Nie poczuła bólu, lecz szaloną przyjemność. Jego zachłanne namiętne wargi wywoływały reakcje, których nigdy przedtem nie

doświadczyła.

Nie był to nieśmiały pocałunek adoratora, lecz namiętna pieśczoła kochanka. Zawsze zastanawiała się, jak to będzie. Teraz już wiedziała. Miała wrażenie, że jej ciało topnieje i jednocześnie płonie ogniem.

Po długiej chwili podniósł głowę i powiedział szorstko: Oto dlaczego.

Dotknął wargami jej policzka, drżąc na całym ciele i oddychając chrapliwie.

- Pragnąłem to zrobić już wczoraj. Niech to diabli, pragnąłem nawet czegoś więcej, Susannah. Pamiętasz, ostrzegałem cię, że mężczyzna może się upić piękną kobietą. A kiedy mężczyzna jest pijany, zapomina o delikatności. Wojna nie sprzyja zalotom. Rozumiesz?

- To szaleństwo - wyszeptwała, wciągając w nozdrza jego zapach. - Nawet ciebie nie znam. - Nie zastanawiając się, ponownie odnalazła jego usta. Skoro to szaleństwo, to pragnęła się nim upić.

- Poruczniku!

Natychmiast odsunęli się od siebie. Na polanę wjechał Kelly, prowadząc osiodłanego konia.

- Wrócił Chavez. Droga wolna. Możemy ruszać, jak tylko pastor będzie gotów.

W tej chwili pojawił się pastor Cole, prowadząc konie.

- Zaraz do was przyjdę. - Rans odwrócił się do Susannah, wyprostował zgnieciony kapelusz i włożył go na głowę, ani przez chwilę nie spuszczać z niej wzroku. - Nazywam się Rans. Rans Lassiter. Nie zapomnij.

- Nie zapomnę.

Zresztą jak mogłaby o nim zapomnieć?

W drodze do Oak Hill jej myśli krążyły od matki do jadącego przy wozie mężczyzny na łaciatym koniu. Prowadził wierzchowca tak pewnie i lekko, jakby spędził w siodle większość swego życia. Koń i jeździec stanowili jedność. Patrząc na niego, można było odnieść wrażenie, że wyjechał na poranną przejażdżkę, gdyby nie czujne spojrzenie, jakim omiatał okolicę, gotów w każdej chwili zaatakować, gdyby zaszła taka potrzeba. Przypuszczała, że jego reakcja będzie natychmiastowa i nieubłagana. Ta myśl powinna ją przestraszyć, lecz tak się nie stało.

Setki razy zastanawiała się nad tym, co by się mogło stać wczorajszej nocy, gdyby Rans Lassiter był innym człowiekiem. Mogli przecież zabrać im wóz i wszystkie zapasy, sterroryzować i obrazić, a oni nie byliby w stanie ich powstrzymać. Tymczasem nie padła z ich strony żadna groźba. Niemal od samego początku ona i pastor byli traktowani z czymś w rodzaju szacunku.

Była im za to wdzięczna. Lecz to nie wdzięczność czuła, kiedy zatrzymali się na popas i Rans pomógł jej zsiąść z wozu. Wdzięczność nie rozpala przecież krwi w żyłach i nie wstrzymuje oddechu. Przez sekundę patrzył jej w oczy, po czym odszedł do swych ludzi.

Wrócił dopiero wtedy, kiedy wystawił warty i napoił konie. Tymczasem Susannah pomagała pastorowi poić konie.

- Ruszamy za około dziesięć minut, pastarze.

- Będziemy gotowi. Poczula na sobie jego wzrok.

- Pomogę ci - powiedział, kiedy potężny siwek uniósł łeb znad skórzanego worka z wodą.

Worek wcale nie był ciężki. Wiedziała, że to tylko wymówka, by być blisko niej.

- Dziękuję. - Zaczekała, aż wyleje resztę wody. - Przywiązujemy je do beczki z wodą. - Podeszła do wozu, by pokazać mu jak. - Wspomniałeś, że znasz mojego szwagra, kapitana Stuarta...

- Majora Stuarta - sprostował, zajęty mocowaniem worka. - Dostał awans przed dwoma miesiącami.

- Nie wiedziałam. Skoro go znasz, to może znasz też jego syna Elijaha Stuarta?

Skinał głową z uśmiechem.

- Lije i ja kiedyś razem obozowaliśmy. - Zaciągnął węzeł i odwrócił się z wyrazem rozbawienia na twarzy. - Nie jesteś za młoda jak na jego ciotkę?

- Jestem. - Uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak Lije zawsze z niej żartował. - Jak oni się miewaj ą? Moj a siostra pewnie będzie chciała wiedzieć.

- Kiedy ostatni raz ich widziałem, byli cali i zdrowi. - Zatrzymał na chwilę wzrok na jej wargach, po czym spojrzał w oczy.

Poczuła ogarniający ją płomień i wystawiła twarz ku mroźnemu wiatrowi, zwiastującemu rychłe nadejście zimy.

- Gdzie oni są? Nie wiesz?

- Nie. Spuściła głowę.

- Nawet jeśli wiesz, to i tak pewnie nie wolno ci ujawniać pozycji wojsk konfederackich. Takie informacje mogłyby się przydać Unii.

- Mogłyby.

- Powinnam ci o czymś powiedzieć - zdecydowała się nagle.

- O czym?

- Mój brat Kipp i jego syn Alex walczą po stronie Unii. - Podniosła wzrok, lecz nic nie mogła wyczytać z jego twarzy. - Wszyscy wiedzą, że mój ojciec popierał Unię.

- Ary?

- Moje sympatie również leżą po stronie Unii - powiedziała i uniosła wyżej podbródek. - Wczoraj wieczorem rozmyślnie wprowadziłam cię w błąd, wymieniając nazwisko majora Stuarta. Domyśliłam się, że jesteście rebeliantami i pomyślałam, że...

- Wiem, co pomyślałaś - wszedł jej w słowo. W oczach pojawił się groźny błysk, lecz nadal patrzył na nią ze spokojem. - Dlaczego sądzisz, że teraz jesteś bezpieczniejsza?

Strach ścisnął ją za gardło, lecz zniknął równie szybko, jak się pojawił.

- Bo teraz ci ufam - odpowiedziała szczerze. Pokręcił głową z uśmiechem.

- Rozumiem, że ta odpowiedź odnosi się do mojego poczucia honoru oficera i dżentelmena z Południa. W takim razie popełniasz błąd, Susannah, bo jeśli chodzi o ciebie, to moje myśli nie mają nic wspólnego z honorem. - Powiódł palcem wzdłuż jej policzka. - Zapewniam cię.

Zadrżała mimowolnie.

- Nie przestraszysz mnie. Spojrzał jej w oczy.

- Nie? Diabelnie mnie przerażasz, Susannah. - Popatrzył jej w oczy, po czym odwrócił się i rzucił przez ramię: - Za pięć minut wyruszamy.

Pastor Cole zatrzymał wóz przed ozdobionym białymi kolumnami dworem. Nikt nie wyszedł, by ich powitać. Dom wydawał się opuszczony, tak jak pola, które po drodze mijali. Zaniepokojona Susannah, nie czekając na pomoc, zeskoczyła z wozu.

Wówczas drzwi się otworzyły i stanęła w nich matka - trochę starsza i szczuplejsza, lecz jak zawsze wysoka i piękna. Susannah uniosła w górę suknię i wybiegła jej na spotkanie.

- Susannah? Co ty tu robisz? Powinnaś być na Wschodzie.

- Wróciłam do domu - odpowiedziała, obejmując ją ramionami. Eliza odchyliła głowę i drżącą ręką odsunęła z twarzy córki niesforne kosmyki.

- Dostałaś mój list? Lije powiedział, że dopilnuje, by dotarł na miejsce.

- Tak. Ja... - Spojrzała ze smutkiem w stronę drzwi. - Chciałam wrócić do domu. Chciałam...

- Wiem, córeczko.

Eliza uściśniła ją mocno. W oczach błysnęły łzy. Głośne parsknięcie konia przywróciło ich do rzeczywistości.

- Komu więc mam dziękować? - zapytała Eliza i na widok pastora gwałtownie wciągnęła powietrze. - Nathan.

- Witaj, Elizo. - Podeszedł i uściśnił jej rękę. - Wyglądasz jak zwykle pięknie.

- Nie mogę w to uwierzyć. - Przeniosła zdziwione spojrzenie z Nathana na córkę. - Jak wy dwoje...

- Pisałaś, że wielebny Cole jest w Fort Scott - wyjaśniła Susannah.

- Próbowałem ją przekonać, żeby poczekała aż Trakt Teksasński stanie się bezpieczniejszy, lecz nie chciała słuchać. A pan porucznik był tak uprzejmy, że zaofiarował się nas eskortować na miejsce.

- Wskazał na stojącego przy koniu Ransa Lassitera.

- Pozwól, mamó. - Susannah pociągnęła ją w jego kierunku. - Chciałabym ci przedstawić porucznika Ransoma Lassitera z Brygady Teksaskiej. Poruczniku, to moja matka, Eliza Gordon.

Rans zdjął kapelusz i z lekkim ukłonem uściśnił podaną mu dłoń.

- Miło mi panią poznać, pani Gordon.

- Jestem panu wdzięczna, poruczniku, że doprowadził pan bezpiecznie moją córkę pod te drzwi.

- A ja jestem wdzięczny pani za tak uroczą córkę. Dzięki niej ta droga była stanowczo zbyt krótka. - Wypowiedziane lekkim tonem słowa nie ukryły jego zainteresowania Susannah. Eliza dostrzegła, jak na nią patrzy, a także rumieniec na policzkach córki. - Muszę przyznać, pani Gordon - dodał, nie spuszczając wzroku z Susannah - że od dawna nie mieliśmy okazji przebywać w towarzystwie damy, która potrafi się rumienić. Już za samo to można jej wybaczyć jankeskie sympatie i żałować, że wojna zatwardza serca i umysły.

- Każda przemoc jest godna pożałowania - powiedziała Eliza.

- Lecz czasami nie sposób jej uniknąć - odpowiedział. Uniosła brew.

- Mężczyźni zwykli tak uważać. Roześmiał się i skłonił głowę.

- Teraz wiem, po kim pani córka odziedziczyła charakter i urodę.

- Mam nadzieję, że jej maniery nie są równie złe jak moje. Zapraszam pana i pańskich ludzi do środka. Zaraz przygotuję coś do zjedzenia...

- Bardzo bym chciał przyjąć pani zaproszenie, lecz musimy ruszać. Moi ludzie nie powinni się dowiedzieć, że sympatyzujecie z Północą. A mogłoby się tak stać, gdybyśmy zostali. Poza tym czekają na nas obowiązki.

Susannah nie potrafiła ukryć rozczarowania. Nie spodziewała się tak szybkiego pożegnania, ani tak intensywnego uczucia żalu, jakie ją ogarnęło.

Mogła próbować zrozumieć, skąd się wzięło to oczarowanie konfederackim porucznikiem, lecz nie mogła zaprzeczyć, że istnieje. Przypomniała sobie, jak Rans całował ją dziś rano i jak oddawała mu pocałunki i nagle zapragnęła ponownie znaleźć się w jego ramionach.

Tymczasem czekała cierpliwie, aż pożegna się z matką, następnie z pastorem.

- Będziemy się modlić za pana i pańskich ludzi - powiedział Nathan.

- Na pewno modlitwy będą nam potrzebne - odparł Rans z krzywym uśmiechem. W końcu spojrzał na Susannah. Przez twarz przemknął mu cień. - Proszę trzymać dla mnie miejsce w swoim karneciku, panno Gordon.

- Jeśli pan chce - powiedziała ostrożnie.

- Chcę.

W jego wzroku było coś więcej niż potwierdzenie. Skinął głową, odwrócił się i chwycił za wodze.

- Poruczniku - zatrzymała go. - Czy przekaże pan Lijemu wiadomość ode mnie?

- Jeśli będę mógł. Nie wiadomo, czy nasze ścieżki się przetną.

- Naturalnie, lecz jeśli pan go spotka, proszę mu powiedzieć, że widziałam się z młodą kobietą, którą on zna. Z Dianą. Jest w Fort Scott, z ojcem.

Przekażę.

Wskoczył na siodło i dał znak ludziom do wymarszu. Kierując ku nim konia, zaczął gwizdać. Była to piosenka, którą wczoraj słyszała przy ognisku: Oh, Susannah, nie płacz po mnie. Zaśmiała się nerwowo i przycisnęła dłoń do ust, by powstrzymać napływające łzy.

Rdzawe liście i kurz uniosły się spod końskich kopyt. Listopadowy wiatr gnał je ku stojącej na werandzie trójce, odprowadzającej wzrokiem konfederacki patrol.

- Chodźmy do domu.

Eliza otoczyła córkę ramieniem. Odwróciła się z ociąganiem i ruszyła w stronę domu.

- Ten porucznik wydawał się tobą oczarowany.

- Mało prawdopodobne, bym go jeszcze spotkała. Wypowiedziała na głos myśl, która nie dawała jej spokoju.

- Tylko Bóg i czas pokażą - odparła Eliza z lekkim westchnieniem.

Lucy otworzyła przed nimi drzwi, nie spuszczać wzroku z oddalającego się patrolu. Susannah po raz ostatni odwróciła się i spojrzała na jeźdźców. Znajdowali się w połowie alei dojazdowej, znacząc drogę tumanem kurzu i liści. Wydało się jej, że widzi Ransa jadącego na czele grupy, lecz przy takiej odległości wzrok mógł ją mylić.

Po wejściu do domu Susannah zsunęła szal z ramion i odwróciła się do pastora, by mu coś powiedzieć. W tym momencie dostrzegła dubeltówkę opartą o ścianę holu.

- Lucy, idź postaw wodę na herbatę - poleciała Eliza. - I powiedz Ebediahowi, żeby zajął się końmi i wozem wielebnego Cole'a. Będą...

- Mamo, co to jest? - Susannah wskazała na dubeltówkę.

- To dubeltówka twojego ojca - odpowiedziała spokojnie Eliza, po czym wzięła ją do ręki i rozładowała z wprawą, która zdumiała jej córkę. - Czyżbyś zapomniała, jak wygląda dubeltówka?

- Wiem, co to jest, mamu. Ale co ona robi przy drzwiach? I kiedy nauczyłaś się nią posługiwać?

- Jakoś niedługo po śmierci ojca poprosiłam naszego sąsiada, pana Johnsona, by mi pokazał, jak się to robi. - Wrzuciła naboje do kieszeni fartucha. - Nie miałam innego wyjścia. Pełno tu maruderów i robotnicy bali się wyjść na pole, by zebrać tę resztkę zboża, która nam pozostała, dopóki nie stanęłam z tym na straży.

- Potrafisz z niej strzelać? - Susannah wciąż nie mogła otrząsnąć się ze zdumienia.

- Potrafię. To znaczy nie wiem, czy trafiłabym do celu, chyba że z bardzo bliskiej odległości.

Susannah spojrzała na pastora, ciekawa jego reakcji. Uśmiechnął się i mrugnął do niej.

- Może mama nauczy cię posługiwać się derringerem.

- Derringerem? - Tym razem to Eliza popatrzyła na nią ze zdumieniem. - A po co ci taka rzecz?

- Do ochrony - wyjaśniła Susannah, a pastor zachichotał. Po chwili już wszyscy troje śmiali się serdecznie.

- Jeśli nie będziemy się z siebie śmiać, pozostanie nam tylko rozpaczać nad sytuacją, w jakiej się znaleźliśmy - stwierdziła Eliza, prowadząc ich do salonu. - Czasami żałuję, że nie spakowaliśmy się i nie wyjechaliśmy na Północ jak wiele tutejszych rodzin. Lecz Will nie chciał o tym słyszeć. Już raz żołnierze wyrzucili go z domu, potem wszystko splądrowali i zniszczyli. Wiem, że nie zniósłby myśli, by to samo stało się z Oak Hill. Dlatego jakoś nie mogę się zmusić do wyjazdu, nawet teraz.

- Jest aż tak źle? - Susannah zmarszczyła czoło, zaniepokojona nutą rozpacz w głosie matki.

- Maruderzy rozpędzili całe bydło. Pozostał tylko jeden muł i krowa, którą ukryłam na małej polance przy strumieniu. Stratowali lub spalili całe zboże. Zapasy, które nam zostały, schowałam w starej piwnicy. Jak dotąd jeszcze ich nie znaleźli, lecz podejrzewam, że to tylko kwestia czasu. - Westchnęła i rozejrzała się po salonie. - Srebra, serwis do herbaty i wszystkie wartościowe rzeczy zakopałam za stajniami.

Pastor Cole pokiwał głową z aprobatą.

- Bardzo rozsądnie, Elizo.

- Czy ci maruderzy to rebelianci? - zapytała Susannah, myśląc o Ransie.

- Rebelianci, rabusie, wyzute spod prawa bandy, które nie stoją po niczyjej stronie, wszyscy po trochu.

Zaczęła opowiadać o najazdach na sąsiadów, pobiciach tych, którzy sprzyjali Północy, akcjach odwetowych żołnierzy Unii w czasie ich krótkiego pobytu na Terytorium Indiańskim, kradzieżach i morderstwach.

- A co z Tempie? - zapytała Susannah.

- Jej sytuacja nie jest lepsza. Też straciła bydło i zboże, chociaż ochrania ją nazwisko Blade'a. - Umilkła i spojrzała na Susannah z rozpaczą. - Jestem szczęśliwa, że przyjechałaś, lecz wolałabym, żebyś została na Wschodzie, z dala od tych okropności.

- Nie mogłam pozwolić, żebyś była tu sama, mamó - powiedziała Susannah, zaczynając rozumieć, w jak komfortowych warunkach dotąd żyła. Nadchodzące tygodnie i miesiące utwierdziły ją w tym przekonaniu.

Pastor Cole pozostał w Oak Hill dwie noce, rozdzielając co bardziej potrzebującym resztę swoich zapasów.

Z końcem listopada ciepła jesień dobiegła końca i na leżące odłogiem pola spadły zimne deszcze. Pogoda współgrała z nastrojem lęku i przygnębienia, który ogarnął ziemię i jej mieszkańców.

W grudniu rozeszła się wieść o wielkiej bitwie na granicy z Arkansas w miejscowości Prairie Grove. Pierwsze raporty donosiły, że na południowy zachód od Fayetteville połączone siły Południa w sile ośmiu tysięcy żołnierzy zaatakowały sześciotysięczną armię Unii. Północ otrzymała jednak posiłki, które rozwiały nadzieje konfederatów na zwycięstwo. Obawiając się nadejścia kolejnych oddziałów federalnych, konfederaci wycofali się pod osłoną nocy, pozostawiając rozpalone ogniska dla zmylenia przeciwnika.

Susannah nie mogła się dowiedzieć, czy w bitwie brała udział Brygada Teksaska lub pułk Kippa.

W dzień Bożego Narodzenia do Oak Hill przyjechała Tempie z wiadomościami, że Blade i Lije wyszli cało z bitwy. Dowiedziała się również, że są teraz gdzieś na południe od rzeki Arkansas. Susannah cieszyła się wraz z nią, zastanawiając się, czy Rans Lassiter też jest bezpieczny i czy przekazał Lijemu wiadomość o Dianie. Ze spuszczoną głową wysłuchiwała modlitwy pastora Cole'a o rychłe zakończenie wojny, wypowiadając płynące z serca „Amen”.

Niestety rok skończył się wkroczeniem oddziałów federalnych na tereny Czirokezów. Zajęły Fort

Gibson, przekroczyły rzekę Arkansas i zniszczyły konfederacką twierdzę Fort Davis, wypędzając rebeliantów w głąb kraju Czoktawów.

I tym razem armia Północy nie pozostała tu długo i wkrótce wycofała się do swoich zimowych kwater w Fayetteville w Arkansas. Czirokezi zostali więc sami, nie chronieni przez żadną ze stron. Jankesi byli w północnym Arkansas, a konfederaci w Camp Staration w kraju Czoktawów.

Siarczysty mróz chwycił za twarz, kiedy Susannah wyszła z kuchni w chłodny lutowy poranek. Spojrzała w błękitne niebo i jasno świecące słońce, które było jednak tak słabe, że nie ogrzewało powietrza. Zadrżała i naciągnęła na nos i usta wełniany szal.

Zmarznięta ziemia zachręściła pod ciężkimi krokami. To Ebediah człapał w stronę kuchni, niosąc wiadro z ciepłym jeszcze mlekiem. Miał na sobie grubą zimową kurtkę ojca, lecz wyglądał, jakby wciąż mu było zimno. Susannah zanotowała w myśli, że musi powiedzieć matce, by ktoś młodszy zajął się dojeniem krowy w taki mróz. Ebediah był na to za stary i za słaby.

W głębi duszy pragnęła, żeby matka wyzwoliła wszystkich niewolników. Ona jednak uważała, że w obecnej sytuacji, kiedy trwa wojna, nie będą mieli dokąd pójść i co jeść.

A czy one są w lepszej sytuacji? Dziś rano znalazła tylko dwa jajka. Nie było czym karmić kur, więc przestały się nieść. Całe szczęście, że zostało im jeszcze kilka kurczaków.

Ruszyła w stronę domu i nagle do jej uszu dobiegł odległy tętent kopyt. Spojrzała na drogę biegnącą za leżącym odłogiem polem i serce zabiło jej na widok grupy jeźdźców. Jednak żaden z nich nie jechał na łaciatym koniu. Poczowała niepokój.

- Jacyś ludzie tu jadą! - krzyknęła do Ebediaha. - Lepiej wylej mleko na ziemię, bo kiedy dowiedzą się, że mamy krowę, zaczną jej szukać.

Natychmiast zrobił, co powiedziała, a Susannah pobiegła do domu. Lecz Eliza też już dostrzegła jeźdźców z okna jadalni. Czekwała na córkę przy schodach.

- Są na podjeździe. Prędko. Nie mamy dużo czasu. - Wbiegła po schodach do sypialni. - W dolnej szufladzie komody znajdziesz starą halkę. Wyjmij ją.

- Po co ci ona? - zapytała Susannah, klękając przed bieliźniarką. Halka okazała się dziwnie ciężka. - Musiałaś wszyć w nią mnóstwo ołowiu.

- To nie ołów, kochanie. - Eliza przytrzymała się ramienia córki, wkładając halkę przez nogi. - To czterysta dolarów w złocie. Wyjęłam je z sejfu ojca i zaszyłam w nią na wszelki wypadek. Zawiąż ją mocno, bo inaczej spadnie.

- Złote dolary? - Susannah ścisnęła tasiemki, uśmiechając się z podziwem.

- Zostawiłam kilka monet w sejfie, żeby mogli coś znaleźć. - Eliza wygładziła suknię. - A teraz módlmy się, by nasi goście nie należeli do tych, którzy znęcają się nad kobietami.

W tym momencie postłyszwały parskanie koni pod drzwiami domu.

- Już są. - Susannah spojrzała na matkę.

Eliza uśmiechnęła się nerwowo i skrzyżowała ręce przed sobą.

- Chodźmy ich powitać.

Kiedy dotarły do schodów, drzwi otworzyły się jednym szarpnięciem i do domu wpadło tuzin nędznie odzianych mężczyzn z rewolwerami i karabinami w dłoniach. Eliza zamarła, przypominając sobie ów dzień przed laty w Gordon Glen i wkraczających żołnierzy Unii.

- Co to ma znaczyć? - zapytała ostro Susannah.

Eliza oprzytomniała i pospieszyła córce z pomocą.

- Jak śmiecie wpadać tak do mojego domu? - Zatrzymali się i zwrócili ku nim nieogolone twarze.

- Nie widzieliście kołatki na drzwiach? Jest tam po to, by jej używać.

- Naprawdę? - rzucił zuchwale jeden z nich. - A może nie byliśmy pewni, że nam otworzycie.

- Kim jesteście? - Susannah powiodła wzrokiem po pstrokatej bandzie. Jeden z jej członków miał na sobie niebieską kurtkę unionisty, inny zaś czapkę konfederacką. - Jaki to pułk?

- Jaki pułk? - powtórzył jeden z nich i parsknął rubasznym śmiechem. - Można powiedzieć, że nasz własny.

- Czy to pan dowodzi tą hałastrą? - Eliza zeszła na dół po schodach, a tuż za nią Susannah.

- Na to wygląda.

- W takim razie proszę mi wyjaśnić, czego tu chcecie. Jeśli jedzenia, chętnie się z wami podzielę tym, co mi zostało w spiżarni. Nikt nigdy nie wyszedł z Oak Hill głodny.

- Miło mi to słyszeć. - Wyszczrzył zęby w bezczelnym uśmiechu. - Lubię szczodre kobitki. W takim razie dajcie nam klucze od spiżarni, a my już się sami obsłużymy.

Zrobili dokładnie to, co powiedział. Susannah i Eliza patrzyły bezradnie, jak rozchodzą się po domu, zabierając wszystko, co miało jakąś wartość, opróżniając kufry i szuflady, odrywając tasiemki od kapeluszy i sukni, niczego nie pomijając.

Wieczorem tego dnia Susannah i Eliza przybyły do Grand View z resztkami dobytku, które udało im się uratować, na furmance ciągniętej przez starego muła. Z tyłu szli niewolnicy, prowadząc krowę.

Kiedy Tempie wyszła im na spotkanie, Susannah spojrzała na nią z pozornym spokojem.

- Zabrali wszystko - powiedziała, patrząc z troską na matkę. - Zapasy, koce, kołdry, pościel, przybory do szycia, guziki, nici, szpilki, igły... Nie wiem już, ile jeszcze innych rzeczy.

- Och, Elizo. - Tempie ścisnęła jej rękę ze współczuciem. Eliza westchnęła ciężko i spuściła głowę.

- Kiedy odjeżdżałyśmy, Oak Hill stało w płomieniach.

- Nie - wyszeptwała Tempie i spojrzała na Susannah.

- To prawda. Podpalili stodoły, wszystko. Cały czas się śmiali.

- Chodź, trzeba zabrać mamę do domu.

Pomogły Elizie zejść z furmanki i wprowadziły do środka.

Cabin Creek, Terytorium Indiańskie 1 lipca 1863

Pot spływał po twarzy, zalewając oczy. Lije otarł go wierzchem dłoni, nie spuszczać wzroku z wąskiej drogi odchodzącej od rzeki. Porastające brzegi gęste lasy dawały ochronę przed palącym słońcem. Powietrze pachniało wilgotną ziemią i drewnem. Lije czekał na przyjazd pociągu z zaopatrzeniem dla Unii zdążającego do Fortu Gibson, który siły federalne zajęły ponownie w kwietniu. Lecz szum wartko płynącej rzeki, wezbranej po deszczach, zagłuszał wszelkie sygnały.

Na horyzoncie pojawił się gęsty brązowawy dym, znaczący drogę wagonów, rozciągniętych na jakieś dwie mile. Ochraniał je pułk piechoty, oddział artylerii i pułk kawalerii strzegący boków, czoła i tyłu pociągu.

Byli przygotowani na przyjazd pociągu. Za plecami Lijego, po drugiej stronie rzeki, czekało w pogotowiu tysiąc sześciuset konfederatów.

W każdej chwili oczekiwali na pojawienie się oddziału zwiadowców z zadaniem sprawdzenia brodu na rzece.

Obrzucił szybkim spojrzeniem ludzi rozlokowanych wzdłuż brzegu. Nieruchome, napięte sylwetki dowodziły, że są gotowi do ataku. Zapomnieli nawet o zmęczeniu i dającej się we znaki spiekocie.

Każdy nerw drżał mu od wielkiego napięcia, które domagało się ujścia, lecz dwa lata wojennego

doświadczenia nauczyły go, że wkrótce czekanie się skończy.

Nagle w szum rzeki wdarł się ostry wystrzał z muszkietu. Lije natychmiast spojrzął w tamtym kierunku. Zwiadowcy nie pojechali Traktem Teksańskim, lecz skręcili w bok ku brodowi. Przycisnął karabin do ramienia i wycelował. Z lewej strony pojawiła się smuga dymu. Pociągnął za spust. Atak się rozpoczął. Teraz liczył się już tylko instynkt i doświadczenie. Nie było czasu na myślenie, lecz na działanie.

Stuk wyciorów mieszał się ze świstem kul, trzaskiem łamanych gałęzi i szumem pulsującej w głowie krwi. Plusk wody oznaczał, że pierwszy z jego ludzi wskoczył do wezbranej rzeki. Lije znowu przyłożył kolbę do ramienia. Szukał wzrokiem oficera, mając nadzieję, że to spowolni atak niebieskich i pozwoli jego ludziom przejść bezpiecznie na drugi brzeg rzeki. Dostrzegł majora. Kiedy celował w niego, na linii strzału pojawił się drugi oficer. Zaskoczony rozpoznał w nim Kippa z błyskami siwizny w czarnych włosach. A więc wuj był w oddziale zwiadowczym. Czy Alex też z nim jest?

Kolejna salwa gruchnęła wśród drzew i Lije wystrzelił bez zastanowienia, wycofał się ku brzegowi i skoczył do rzeki. Unioniści nacierali. Kiedy Lije zbliżał się do przeciwnego brzegu, konfederaci otworzyli ogień, dając wycofującym się osłonę. Walcząc z wartkim nurtem, Lije wspiał się na brzeg i zsunął do okopu. Odpoczął chwilę, by złapać oddech i policzyć swoich ludzi, po czym poszedł zdać raport Blade'owi.

- Straciłem sześciu - powiedział. - Dwóch albo trzech nie żyje. Trzech zaginęło. Są ranni albo dostali się do niewoli. - Ociekając wodą i potem Lije oparł się o brzeg okopu i wytarł twarz rękawem koszuli. Kiedy było już po wszystkim, poczuł, jak opuszcza go energia. - Kipp był wśród zwiadowców.

Blade spojrzął w kierunku rzeki.

- A więc jest po drugiej stronie.

- Czy generał Cabell lub Cooper przybyli już z posiłkami? - zapytał Lije.

Wiedzieli, że bez nich nie zdobędą pociągu. Od maja żaden pociąg z zaopatrzeniem nie dotarł do fortu. Bez zapasów Fort Gibson upadnie i Południe znowu będzie kontrolować całe Terytorium Indiańskie.

- Jeszcze nie. Pewnie wysoka woda opóźnia ich przybycie.

Lije skinął głową i spojrzął na Deu, który podszedł do nich z dwoma kubkami w ręku.

- Ugotowałem panu Blade'owi trochę bulionu - powiedział. - Pomyślałem, że panicz również się napije.

- Z ochotą.

Lije wziął do ręki kubek. Unoszący się z niego aromat pobudził soki trawienne, których nie uspokoił poranny posiłek złożony z sucharów i suszonego mięsa. Pachnący płyn zmieszał się z prochem, który osiadł na wargach.

- Jakimi siłami dysponują? - zapytał Lije kierując spojrzenie ku północnemu brzegowi rzeki, gdzie rozlokowały się wojska Unii.

- Nasi zwiadowcy rozpoznali Trzecią Indiańską Brygadę wzmocnioną siłami z fortu, Drugi Pułk Piechoty z Kolorado, kompanię artylerii z Kansas i... Zawahał się i spojrzął za odchodzącym Deu. - Pierwszy Ochotniczy Pułk z Kansas.

Syn Deu, Ike, był w tym pułku. Podobnie jak Shadrach. A Jed Parmelee był w nim jednym z oficerów.

- Cholera - zaklął cicho Lije.

Na północnym brzegu zajmował pozycję oddział artylerii, ciągnąc sześciokilogramową haubicę i lżejsze armaty.

- Kryć się! - padła komenda.

Rozpoczął się ostrzał artyleryjski. Pod zmasowanym ogniem kul i kartaczy żołnierze Unii przedarli się do brzegu i zaczęli sprawdzać głębokość wody. Po dokonaniu pomiarów, przerwali ostrzał i wycofali się, pozostawiając jedynie silny oddział na straży.

- Założą na noc obóz i zaczekają, aż woda opadnie - domyślił się Blade.

- Może to da czas Cabellowi i Cooperowi na dotarcie z posiłkami - powiedział Lije i poszedł oszacować straty w ludziach w swoim oddziale.

Pociąg cofnął się o trzy kilometry i zatrzymał na odsłoniętym odcinku prerii wzdłuż Traktu Teksasńskiego. Siły federalne rozłożyły się w bezpiecznej odległości od rzeki, poza zasięgiem konfederatów.

Stojący przed swym namiotem Jed Parmelee palił cygaro i obserwował obóz. Wszędzie płonęły ogniska rozjaśniając wolno zapadający mrok. Echo niesło odgłosy rozmów i melodię graną na organkach.

- Czy życzy sobie pan major jeszcze kawy? Jed spojrzał obojętnie na czarnego ordynansa.

- Może później, Johnson. Teraz przejdę się po obozie.

- Tak, panie majorze. Będę pilnował, żeby nie wystygła.

Szukając samotności, Jed doszedł do krańca obozu i spojrzał na pierwsze wieczorne gwiazdy. Rozpoznawanie konstelacji zawsze było dla niego rodzajem odpoczynku, dziś jednak spokój zakłócił mu jakiś szmer, cichy szelest ostrożnych kroków. Jed obrócił się, oczekując, że ujrzy wartownika. Lecz widoczna w mroku postać nie ruszała się z miejsca.

- Kto to? - zapytał.

- Kapral Gordon - padła lakoniczna odpowiedź i ciemna sylwetka weszła w obręb światła. - Alex Gordon, majorze. Może pan mnie sobie nie przypomina, ale z pewnością zna pan mojego ojca, Kippa Gordona. No i oczywiście moją ciotkę, Tempie Stuart.

Jed zeszywniał, słysząc ironię w głosie rozmówcy, lecz obraz czarnookiej pięknej Tempie natychmiast stanął mu przed oczami. Zmrużył oczy na widok złośliwego uśmiechu mężczyzny.

- Pamiętam was, kapralu. - Kiedy ostatni raz się widzieli, Alex celował z rewolweru do Lijego Stuarta. - Co robicie tak daleko od waszego oddziału, kapralu?

- Wyszedłem odetchnąć świeżym powietrzem - wyjaśnił Alex niedbałym tonem. - Uczyłem Indian gry w kości i zarobiłem przy tym parę groszy. Pomyślałem, że przejdę się trochę i zobaczę, jak się mają pańscy czarni ochotnicy. Wszak to oni przypuszczają jutro główny atak na konfederatów. Wydali mi się dziwnie spokojni.

- Tak sądzicie, kapralu? - Jedowi nie podobał się ton jego wypowiedzi i dźwięcząca w nim nuta szyderstwa.

- Powinien pan słyszeć mojego ojca, kiedy się dowiedział, że nasze oddziały mają osłaniać boki. Rzucił się na kolana i błagał, żeby pozwolono mu wziąć udział w ataku. - Umilkł. - Tam jest pułk Watiego.

- Wiem - odpowiedział Jed.

- To znaczy, że Blade tam jest. Mój ojciec miał nadzieję zrobić jutro wdowę z mojej ciotki. Nie może znieść myśli, że ktoś inny pozbawi go przyjemności zabicia Blade'a. - Uśmiechnął się

złośliwie. - Myślę, że pan także chciałby ujrzeć Blade'a martwym.

- W takim razie się mylicie - odparował Jed.

- Czyżby?

- Lepiej wracajcie do swojego oddziału, kapralu.

- Życzę powodzenia w jutrzejszej bitwie, majorze. - Alex zasalutował niedbale. - Oczywiście, jeśli pańscy czarni ochotnicy sforsują jutro rzekę.

Słyszac w jego głosie sceptycyzm, Jed zacisnął zęby na cygarze i nic nie odpowiedział. Alex odwrócił się z uśmiechem na twarzy i zniknął w ciemnościach.

Jed westchnął i ruszył z powrotem do obozu. Spokój gdzieś się rozwiął. Idąc, przyglądał się czarnym twarzom żołnierzy siedzących przy ogniskach. We wszystkich czaiło się napięcie i oczekiwanie. Typowa reakcja przed bitwą - niepewność, co przyniesie jutro.

Jednak w tych ludziach było to bardziej widoczne. Jutro po raz pierwszy pójda do boju. Jed również odczuwał niepokój, lecz dla niego było to czymś zwyczajnym, jak wszystkie bitewne znaki, dźwięki i zapachy. Tak naprawdę, to nie był pewny, jak ci murzyńscy ochotnicy zachowają się jutro. Lecz jednego był pewny: nigdy jeszcze nie dowodził tak pełnymi zapalą żołnierzami.

Przy jednym z ognisk spostrzegł znaną sylwetkę Shadracha, dawnego majordomusa Willa Gordona. Przypomniał sobie swoje zaskoczenie, kiedy rozpoznał go wśród rekrutów. Tak jak wielu eksniewolników i on przyjął nazwisko dawnego pana.

Czterdziestokilkuletni Shadrach był najstarszym spośród rekrutów. Wszyscy zwracali się do niego per „wujek Shad”, zarówno oficerowie, jak i żołnierze. Był jednym z czterech Czarnych w pułku umiejących czytać i pisać. Podobno wieczorami w koszarach Shadrach uczył innych pisać.

Wyglądało na to, że i teraz to robi. Jed podszedł do ogniska, gdzie Shadrach Gordon siedział w otoczeniu grupy czarnych żołnierzy. Zobaczył, że tym razem nie uczy ich składania liter, lecz pisze im listy do domu. Jed stanął w cieniu, z dala od światła ogniska.

- Napisz jej, że jestem zdrow i żeby się nie martwiła - powiedział jeden z nich i patrzył z uwagą, jak Shadrach stawia znaczki na papierze. Kiedy skończył, zawahał się, po czym wzruszył ramionami. - To chyba wszystko. Podpisz Cuffy, a ja zrobię znak, żeby wiedziała, że to ode mnie.

Shadrach podał mu pióro, a żołnierz imieniem Cuffy z wielkim mozolem wyrysował znak X. Ktoś dorzucił drew do ogniska. Płomienie strzeliły w górę, oświetlając Jeda. Natychmiast dwóch żołnierzy poderwało się z ziemi, stanęło na baczność i zasalutowało w sposób, który przyniosłby chlubę kadetowi z West Point.

Kiedy inni poszli za ich przykładem, Jed wstąpił w krąg światła, odpowiedział na salut i rozejrzał się po zgromadzonych.

- Spocznij.

Rozluźnili się, lecz nie do końca. Ochotnicy zawsze będą się czuć niepewnie w obecności oficera.

- Nie zostało wam może trochę kawy?

- Tak jest, majorze. - Błyskawicznie pojawił się kubek z parującym płynem. - Jest czysty. Jeszcze z niego nie piłem.

Jed chciał coś powiedzieć, lecz rozmyślił się i tylko skinął głową.

- Dziękuję, żołnierzu.

- Nie ma za co, panie majorze.

Wskazał filiżanką na papier w ręku Shadracha.

- Widzę, że piszecie listy do domu.

- Wujek... to znaczy szeregowy Gordon pisze mi list do żony - wyjaśnił Cuffy. - Ona nie umie czytać, ale pracuje dla białych państwa i może oni go jej przeczytają. Ja... ja pomyślałem, że list ją uspokoi, na wypadek gdyby... no na wszelki wypadek.

- Ja też dziś napisałem list do mojej córki Diany - powiedział Jed. - Od tygodnia się do niego zabierałem, ale dziś uznałem, że... nie powinienem tego odkładać. Diana mówi, że kiedy dostaje ode mnie list, wie, że musiała być jakaś bitwa. Każdy żołnierz, bez względu na rangę, w taką noc jak ta, myśli o rodzinie.

- To prawda - Cuffy uśmiechnął się z wdzięcznością. Jed przełknął łyk gorącego naparu.

- Dobra kawa.

- Wujek Shad ją zaparzył - odezwał się któryś.

- Tak myślałem. - Poszukał wzrokiem Shadracha.

Ten mężczyzna miał najłagodniejsze, najmądrzejsze oczy, jakie widział w życiu. Była w nich jakaś dziecięca ufność, lecz także inteligencja. Tak, bezsprzecznie inteligencja. Jed podejrzewał, że Shadrach doskonale wie, po co on tu przyszedł. Na swój sposób chciał ich uspokoić, że w wigilię bitwy wszyscy żołnierze doświadczają tych samych wątpliwości i niepokojów.

- Dla żołnierza nie ma nic lepszego jak kubek dobrej kawy - rzucił od niechcienia.

- To prawda - odezwał się czyjś głos.

- Prawdą jest, że... dobrzy z was żołnierze. - Utkwił wzrok w kubku, czując, jak narasta wokół niego cisza. - Wielu ludzi uważa, że nie zasługujecie na noszenie niebieskiego munduru.

- A pan jak uważa, majorze? - zapytał Shadrach.

- Jutro rano, kiedy będziemy forsować rzekę, nie będzie miało znaczenia, co ja sądzę. Tylko co wy sądzicie. Sami odpowiedzcie sobie na to pytanie. - Dopił kawę i oddał pusty kubek właścicielowi.

- Powodzenia... i dobrych łowów.

Po odejściu majora przez kilka minut słychać było jedynie trzask płomieni.

- Jak myślisz, wujku, jak będzie jutro? - przerwał ciszę Ike.

- Głośno - padła zwięzła odpowiedź.

- Tak - zaśmiał się któryś. - I to porządnie.

- Jedno wam powiem - powiedział Cuffy. - Tym rebeliantom, czy to czerwonym czy białym nie spodoba się widok Czarnych z karabinami. Żaden z tych panów nie okaże nam litości. Żaden.

- Jesteśmy dla nich zbiegłymi niewolnikami - rozległ się czyjś głos. - A ja nie jestem już niewolnikiem. Jestem żołnierzem.

- Brawo, chłopcze! - mruknął z aprobatą Shadrach.

O świcie Lije dostrzegł maszerujący w długiej kolumnie Pierwszy Pułk Czarnych Ochotników. Nad rzeką przegrupowali się w dwa rzędy. Za nimi przygalopowały konie, ciągnąc na wyznaczone pozycje armaty na lawetach i kesony z amunicją.

Chwilę później odezwała się artyleria. Gdzieś blisko ziemia zadrżała od uderzenia pocisku. Lije przewrócił się na plecy i spojrzał na żołnierzy przytulonych do ściany okopu. Generał Cabell się nie pojawił. Generał Cooper też nie.

Przyciskając karabin do piersi, Lije spojrzał w niebo, obserwując lecące pociski. Nieco dalej eksplodował kartacz, rozpryskując się na tysiące metalowych odłamków, które spadły na ziemię niczym śmiertcionośna ulewa. Zadrżał, z całej duszy nienawidząc przeklętych kartaczy.

Poranne niebo miało jasnoniebieską barwę, równie przejrzystą jak oczy Diany. Diana. Starał się

o niej nie myśleć, wyrzucić ją z pamięci.

Lecz w takich jak ten momentach, kiedy nad głową przelatowały pociski, jej obraz pojawił się jak żywy. Diana z tymi złocistymi włosami i mądrym spojrzeniem.

Wiedział, że nie warto wracać do przeszłości. Zresztą nie miał teraz czasu na zastanawianie się. Zacisnął dłonie na kolbie karabinu i wciągnął w płuca rześkie powietrze, dym i stęchły zapach ziemi.

Ciekawe, jak Ike poradzi sobie w bitwie. Cofnął się myślami do dnia, kiedy upolowali bażanta i wiewiórkę. Ten chłopak umiał strzelać. Lecz Ike nie był już chłopcem. To dziwne, ale nagle zapragnął, żeby Ike'owi się dziś powiodło. Przypomniawszy sobie jego twarz i płonąca w niej tęsknotę za wolnością. Ciekawe czy Ike wie, że rada plemienna na wygnaniu uchwaliła w lutym dekret znoszący niewolnictwo, wyzwalając w ten sposób wszystkich niewolników, których mieli Czirokezi.

Działa umilkły i zaległa przeraźliwa, pełna napięcia cisza. Lije przewrócił się na brzuch i wyjrzał z okopu. Na przeciwległym brzegu żołnierze zajmowali pozycje.

- Zaraz ruszą - powiedział porucznik. - Trzymaj ludzi w pogotowiu.

Do brzegu podeszła kompania kawalerii. Dowodzący nią major stanął w strzemionach i uniósł w górę szablę, która błysnęła w słońcu. Nie był to jednak Jed Parmelee. Parmelee nigdy by się nie wystawił na tak widoczny cel.

- Naprzód! - zabrzmiał rozkaz.

Żołnierze zsunęli się po stromym brzegu i zanurzyli po pachy w wodzie, broń i amunicję trzymając nad głowami. Major wjechał za nimi do rzeki, wymachując szablą i ponaglając swoich ludzi.

Lije przeszedł się wzdłuż okopu.

- Nie strzelać. Poczekajcie, aż podejda bliżej.

Obserwował, jak niebiescy mijają środek rzeki i podchodzą ku południowemu brzegowi. Wtedy padła komenda.

- Teraz!

Jego ludzie otworzyli zmasowany ogień. Koń majora zarżał, kiedy dwie kule trafiły jeźdźca i jankeski oficer zwałił się do wody.

- Wstrzymać ogień! - krzyknął Lije.

Ściągnął oddział na tyły okopu, za którym znajdowała się tylko preria. Patrzył, jak zbliża się ku nim piechota, a za nią kawaleria. Nawet kiedy wydał rozkaz „Ognia!”, wiedział, że bez wsparcia artylerii Cabella, nie zdołają odeprzeć ataku unionistów.

Kiedy ruszyła na nich niebieska fala, Lije uniósł rewolwer i strzelił. Wśród chmury dymu dostrzegł oficera ze złocistosrebrną brodą. Jed Parmelee wśród czarnych ochotników. Za chwilę jednak zniknął mu z oczu, trafiony kulą. Z jego broni? Kogoś innego? Czy to miało jakieś znaczenie?

- Uciekają! - rozległ się radosny okrzyk.

Ike otarł pot z oczu i zobaczył, jak konfederaci cofają się i ich obrona zmienia się w bezładną ucieczkę.

- Udało się! - wrzasnął. - Pokazaliśmy im!

- Ike, chodź tutaj. Szybko! - zawołał Shadrach. - Major Parmelee jest ranny.

Ike obejrzał się i zobaczył, że major chwieje się, a Shadrach usiłuje go podtrzymać. Lewe ramię zwisało mu bezwładnie, a rękaw munduru był ciemny od krwi.

Ike rzucił się natychmiast w ich stronę, widząc, że twarz majora zrobiła się szara, a wzrok zaszedł mgłą.

- Musi pan usiąść, majorze. Bardzo pan krwawi. Próbował ich odepchnąć, lecz utrata krwi pozbawiła go sił.

- Zaraz dojdę do siebie - rzucił urywanym głosem. - Wracajcie do oddziału. Musicie przerwać ich obronę.

- Już przerwana, maj orze - uspokoił go Shadrach. - Rebelianci uciekają na południe, aż się kurzy, a kawaleria pilnuje, żeby nie zmienili kierunku.

Jed zamrugał oczami.

- Uciekają?

- Jakby ich diabeł gonił.

W tym momencie trębacz odtrąbił hasło do powrotu, odwołując oddziały ścigające konfederatów. Słyszając to Jed uniósł głowę i w oczach zabłyśło mu światło. Potem oparł się ciężko o Shadracha.

- Muszę chwilę odpocząć. Położyli go ostrożnie na ziemi.

- Hej, Cuffy, sprowadź tu doktora! - krzyknął Ike.

Biały kapitan z ich pułku przejął dowodzenie i kazał im wracać do oddziału. Ike obrócił się jeszcze.

- Jak myślisz, bardzo z nim źle, wujku?

- Nie wiem - odpowiedział Shadrach. - Stracił mnóstwo krwi.

- Myślisz, że straci rękę?

- Nie wiem.

Grand View 4 lipca 1863

Spójrz, jaka sucha jest ziemia. - Eliza spojrzała z przerażeniem na wyschnięte grudki, które odpadły od wyciąganej przez nią z ziemi marchwi. - Jeśli za dzień lub dwa nie spadnie deszcz, będziemy musiały nosić wodę z rzeki.

- Będzie padać, babciu - zapewniła ją Sorrel, grzebiąc leniwie motyką między burakami. - Słyszałam grzmot.

- Grzmot? - Susannah wyprostowała się i spojrzała sceptycznie na błękitne niebo. - Przecież nie ma nawet jednej chmurki. Coś ci się przywidziało, Sorrel.

- Wcale nie. Sama posłuchaj. Słychać grzmoty.

Susannah uśmiechnęła się i powróciła do pielienia zagonu ziemniaków.

- Obawiam się, że to tylko twoje pobożne życzenie. Nie uśmiecha ci się noszenie... - Urwała, bo w tej chwili do jej uszu dobiegło przeciągłe głucho dudnienie. - Mamo, Tempie, słyszycie? Co to jest?

- Mówiłam ci... to grzmot. - Sorrel wstała i otrzepała z kurzu sukienki.

- Niemożliwe. - Tempie wsłuchiwała się uważnie w niski jednostajny dźwięk. - To nie cichnie i się nie zmienia.

- A może to armaty? - podsunęła Susannah. - Podobno przed dwoma dniami na północ stąd była jakaś bitwa. Powiadają, że zaatakowano pociąg z zaopatrzeniem, jadący z Kansas.

- To jest właśnie to - oznajmiła zdecydowanym tonem Eliza.

- Co mianowicie?

- Bogu niech będą dzięki! - wykrzyknęła. - Pociąg jedzie Traktem Tekszańskim. To właśnie słyszemy: dudnienie kół.

Susannah nagle zrozumiała.

- Przedostał się!

Rzuciła motykę i chwyciła Tempie za ręce, śmiejąc się i płacząc jednocześnie. Wkrótce wszystkie trzy śmiały się, obejmowały i płakały z radości. Sorrel patrzyła na nich nic nie rozumiejąc.

- Czemu tak się cieszyacie z tego pociągu?

Tempie przycisnęła dłoń do ust. Przepelniała ją tak ogromna ulga, że nie była w stanie odpowiedzieć. Przez ostatnie kilka miesięcy nie dopuszczały Sorrel do piwnicy, nie chcąc, by odkryła, jaka jest pusta i że wkrótce nie będą miały co postawić na stół. Bez świeżych warzyw z ogrodu, mleka od krowy i jajek od kilku kur, które im pozostały, znalazłyby się w opłakanej sytuacji. I tak miały więcej szczęścia od innych głodujących rodzin, które przeniosły się w pobliże fortu.

Grand View nie zostało splądrowane jak większość czirokeskich domów dzięki niepisanej umowie między obiema stronami, uznającej posiadłość za teren neutralny. Dla konfederatów był to dom ich majora Stuarta, a dla unionistów miejsce pobytu wdowy i córki wiernego Północy Willa Gordona. Jedynie maruderzy mogli sprawić kłopot.

Susannah podeszła do Sorrel i objęła ją ramieniem.

- Ten pociąg przywiezie żywność i zaopatrzenie.

- Znow będziemy miały cukier - powiedziała Tempie, uśmiechając się przez łzy. - I mąkę, i kawę. Prawdziwą kawę.

- I nici - dodała Eliza. - Może jakiś materiał na sukienkę dla ciebie, Sorrel. Wyrosłaś ze swoich starych. Wyciągnęłaś się w górę niczym młodzieńki pęd.

Popatrzyła na dziewczynkę, myśląc, że nie tylko wyrosła, lecz także zaokrągliła się. Czasami miała wrażenie, że Sorrel przeistacza się z dziecka w kobietę niemal na jej oczach.

- I bekon - powiedziała Susannah z tęsknotą. - Od zimy nie jadłyśmy bekonu. Już czuję, jak skwierczy na patelni.

- Słuchajcie. - Tempie spojrzała w stronę Traktu Tekszańskiego, który przebiegał zaledwie o kilometr od ich posiadłości. - Chyba się zbliża.

- Trzeba to uczcić - powiedziała Eliza.

- Chodźmy go zobaczyć - zaproponowała Sorrel, której udzieliło się ich podniecenie.

- Chcesz się wymigać od pracy w ogrodzie, co? - zaśmiała się Susannah.

- A ty nie? - zapytała Sorrel z figlarnym błyskiem w oku. Susannah roześmiała się i spojrzała na Tempie i Elizę.

- Mogłybyśmy popatrzeć, nie sądzicie?

- Mogłybyśmy - zgodziła się Eliza. - Phoebe jest w pralni. Sorrel, idź po nią. Skoro mamy odłożyć robotę, to zrobmy to wszystkie.

Ta swoista kolumna wyglądała przerażająco. Sunęła w chmurze pyłu, który wzbijało w górę trzysta wagonów ciągniętych przez muły i woły. Eskortowały ją oddziały kawalerii, piechoty i artylerii. Pochód ciągnął się na kilkanaście kilometrów. Miarowy turkot kół, stukot końskich kopyt i setek maszerujących nóg wydawał się nie mieć końca.

Kiedy mijali ich pierwsi kawalerzyści, Sorrel chwyciła Tempie za rękę.

- Zobacz, mamó. Tam jest Alex.

- Gdzie... - zaczęła Tempie, lecz Sorrel podbiegła na skraj drogi, wymachując rękoma i krzycząc, by zwrócić uwagę kuzyna.

Zaraz też Tempie dostrzegła Aleksa i jadącego nieco z boku Kippa. Pospieszyła ku niemu, chwytając konia za uzdę.

- Kipp, jak dobrze cię znowu widzieć. Nic ci nie jest? Ja...

- Nic... lecz nie dzięki twojemu mężowi i zdrajcom, z którymi trzyma - warknął.

Jej uśmiech zbladł. Zadrżała wewnętrznie, widząc płonąca w jego oczach nienawiść. Jakiś żołnierz przejechał obok z głową obwiązaną zakrwawionym bandażem. Poczuli, że robi jej się słabo.

- Co się stało? - zapytała podchodząc do niej Susannah.

- Czekali na nas nad Cabin Creek, tylko nie udało im się zasadzka. Dał ostrogę koniowi i ruszył z miejsca, zmuszając Tempie do odsunięcia się.

- A co z Blade'em... i moim synem?

Głos jej się załamał, bo uświadomiła sobie, że jej pytanie pozostanie bez odpowiedzi. Przycisnęła dłoń do brzucha, walcząc z ogarniającym ją uczuciem strachu.

- Na pewno są cali i zdrowi. - Susannah utkwiała wzrok w plecach Kippa. - Znam mego brata. W przeciwnym razie nie byłby taki wściekły.

- Tak... tak, masz rację.

Niepokój jednak pozostał. On nigdy nie zniknął.

Minął je wagon ciągnięty przez parę mułów. Za nim przejechały następne. Wzdłuż wagonów szła piechota. Na zakurzonych spoconych twarzach żołnierzy malowało się zmęczenie. Niektórzy prostowali się i przyspieszali kroku, mijając Tempie i Susannah, lecz większość rzucała im tylko przelotne spojrzenie.

Zza tyłu pociągu nadjechał galopem kapitan kawalerii, kłaniając się szarmancko stojącym przy drodze kobietom. Susannah przypomniał się Rans Lassiter. Ciekawe, gdzie on teraz jest? Co robi? Czy nic mu się nie stało? Zaraz jednak poczuła się głupio. Pewnie dawno już o niej zapomniał.

Podszedł do nich sierżant piechoty o rumianej twarzy.

- Bardzo panie przepraszam, ale radzę się odsunąć, bo ci kawalerzyści jeszcze was stratuja.

- Naturalnie - odpowiedziała Tempie i poszukała wzrokiem Sorrel. Stała na skraju drogi z Elizą i Phoebe. Wszystkie się uśmiechały.

Próbowała również się uśmiechnąć, lecz nie bardzo jej wyszło. Cała radość z przybycia pociągu gdzieś zniknęła. Świadomość, że Lije i Blade mogli brać udział w ataku, w jednej chwili zmieniła nastrój.

- Skoro zobaczyłyśmy pociąg, czas wracać do pracy - oznajmiła.

- Chwileczkę. - Phoebe pochyliła się w przód z nadzieją w oczach. - Widzicie tych tam żołnierzy? To są Czarni. Myśli pani, pani Elizo, że mój Ike może być wśród nich?

- I Shadrach - dodała Eliza.

- Powiedzieli, że chcą się zaciągnąć do wojska Unii. Może... Nie kończąc pobiegła na spotkanie murzyńskich oddziałów. Tempie przyszło na myśl, że może Shadrach i Ike będą wiedzieli coś na temat Blade'a i Lijego. Phoebe nie tracąc czasu zaczęła wypytywać każdego przechodzącego żołnierza.

- Czy znacie mojego syna Ike'a, Ike'a Jonesa? Zaciągnął się do wojska. Kręcili przecząco głowami, kilku zaś pocieszyło ją, że może jest w innym oddziale.

Phoebe niestrudzenie pytała dalej.

- Mój brat Shadrach też wstąpił do wojska. Może go znacie? W końcu któryś z żołnierzy uniósł w górę głowę.

- Shadrach? Wujek Shad? On uczył mnie czytać i pisać.

- To musi być Shadrach - oznajmiła Eliza. - Na pewno.

- Ostatni raz widziałem go kilka wagonów z tyłu. - Machnął ręką za siebie.

- Shadrach będzie wiedział, co z Ikiem - powiedziała Phoebe ze łzami w oczach i pobięła szukać. Trzy wagony dalej wreszcie dostrzegła syna i zupełnie zapominając o bracie, rzuciła się Ike'owi z płaczem na szyję.

- Mamo, to Ike. Zobacz, Phoebe znalazła Ike'a - powiedziała Sorrel.

- Widzę.

Lecz jej uwagę przykuła postać idąca z tyłu za Ikiem.

- Pani Eliza, pani Tempie! - wykrzyknął Shadrach, uśmiechając się szeroko.

Eliza i Susannah pierwsze się przy nim znalazły.

- Shadrach, jak dobrze cię znowu widzieć - powiedziała Eliza, uśmiechając się przez łzy. -

Wspaniale wyglądasz w tym mundurze. Jak się miewasz?

- Dobrze, proszę pani. Bardzo dobrze.

- Will byłby z ciebie dumny.

Spoważniał, a w oczach pojawiło się współczucie.

- Major Parmelee powiedział mi o panu Willu. Bardzo mi przykro, pani Elizo. Żałuję, że...

- Wiem.

Wytarła energicznie łzy z policzków i uniosła podbródek, starając się zapanować nad smutkiem.

Korzystając z okazji, Shadrach zwrócił się w stronę Tempie.

- Pani brat Kipp jest przy tym pociągu. Chyba gdzieś z przodu.

- Widziałam go. Powiedział, że pociąg został zaatakowany przy Cabin Creek. Powiedział, że to był pułk generała Watiego.

- Tak. Ale sprawdziłem, proszę pani. Pani syna i męża nie ma wśród zabitych i rannych, których znaleźliśmy po bitwie. Jeśli byli z generałem, to wyszli z tego cało.

- Dzięki Bogu - mruknęła z ulgą Tempie.

- Czy major Parmelee nadal jest w waszym pułku? - zapytała Susannah, spoglądając na trójkę mijających ich oficerów.

- Tak, tylko... major został ranny. Trafiono go w rękę. Susannah dostrzegła w oczach Shadracha niepokój.

- Czy to poważne? - zapytała, przypominając sobie czytane w gazetach raporty o namiotach lekarskich ustawianych w pobliżu miejsc bitwy, ochlapanych krwią chirurgach z piłami do amputacji kończyn i krzykach pacjentów.

- Chirurg mówi, że ją uratuje... chyba że wda się gangrena.

- Boże, nie - wyszeptała drżącym głosem Susannah.

- Gdzie on jest teraz? - zapytała Tempie.

- Leży w jednym z wagonów razem z innymi rannymi. Dali mu coś na sen, żeby nie czuł trzęsienia wagonu.

- Dzięki Bogu - mruknęła Eliza.

Shadrach spojrział w ślad za swym oddziałem, który już prawie zniknął mu z oczu.

- Muszę dogonić mój oddział - powiedział, po czym dodał: - Jutro powinniśmy dotrzeć do Fort Gibson.

- A więc spotkamy się jeszcze raz, kiedy przyjedziemy po żywność - powiedziała Eliza i pomachała mu na pożegnanie ręką.

Nie było sensu stać dłużej przy drodze, ruszyły więc z powrotem do domu, każda zajęta swoimi myślami.

- Nie mogę przestać myśleć o Jedzie - odezwała się w końcu Eliza. - Oby tylko nie stracił tej ręki.

- Diana będzie chora z niepokoju, kiedy się o tym dowie - powiedziała Tempie z westchnieniem.
- Biedna dziewczyna.

- Susannah, słuchasz mnie? - Ostry głos Elizy przerwał jej rozmyślania.

- Przepraszam, mamu. Nie słyszałam. Co mówiłaś?

- Wieczorem musimy zrobić listę sprawunków - powiedziała Eliza. - Obiecałam też Nathanowi, że kiedy będziemy jechać do fortu, przywieziemy stare ubrania, koce, przedmioty domowego użytku, słowem wszystko, co mogłoby się przydać biednym rodzinom, które tam się schroniły.

- Mam mnóstwo sukienek, które są dla mnie za małe. Mogę je oddać - zaofiarowała Sorrel.

- I buty - dodała Tempie. - Nie zapomnij o starych butach. Sorrel obojętnie skinęła głową, myśląc już o czymś innym.

- Mam nadzieję, że zobaczę Aleksa, kiedy przyjedziemy do fortu.

- Alex - mruknęła Tempie z irytacją. - O nikim innym nie mówisz.

- Nie miałam okazji z nim porozmawiać - rzuciła obronnym tonem. Nagle twarz jej się rozjaśniła.

- Włożę tę zieloną sukienkę z fiołkami. Wyglądam w niej bardzo dorosło. Ciekawe, czy mnie pozna. Jak myślisz, mamu?

- Myślę, że tak - odpowiedziała Tempie automatycznie.

- Jesteś smutna, mamusiu. Czy coś się stało?

- Myślałam o majorze Parmelee... o tym, że twój ojciec też mógł leżeć w wagonie z ręką... - Nie dokończyła.

- Wszystko będzie w porządku z ręką Jeda - uspokoiła ją Eliza.

Szpital, podobnie jak cały Fort Gibson, przepełniony był żołnierzami i cywilami. Każdy skrawek ziemi zajmowali chorzy i ranni, pozostawiając niewiele miejsca na przejście. Susannah weszła na salę i zatrzymała się, słysząc mamrotania, chrapliwe oddechy i stłumione jęki. Popęłniła błąd, biorąc głęboki oddech i wciągając w płuca nieznośny odór zmieszany z potem i duchotą. Zaczęła gwałtownie kaszleć i przykryła dłonią nos i usta, by odgrodzić się od zapachów.

- Wiedziałam, że warunki w forcie się pogorszyły - mruknęła stojąca obok niej Tempie - lecz nie przypuszczałam, że... - Urwała, omiatając wzrokiem rzędy pryczy osłoniętych moskitierami.

Za jednej z nich wyszedł właśnie sanitariusz, niosąc w rękach poobijaną miskę. Twarz miał nieogoloną i naznaczoną zmęczeniem. Obrzucił je taksującym spojrzeniem.

- Jeśli szukacie chirurga, to właśnie odpoczywa. Jeśli to nic poważnego, to proszę iść do któregoś z jego asystentów. Są w namiocie na zewnątrz. - Odwrócił się z zamiarem odejścia, kiedy nagle wzrok mu się rozjaśnił. - A jeśli przyszłyście pomóc...

- Przyszliśmy do majora Parmelee - wyjaśniła Susannah, odwracając oczy od stosu zielonożółtych bandaży w misce.

- Do majora? Leży tam. Proszę iść, pokażę paniom.

- Jak on się czuje? - zapytała Tempie.

- Dobrze, jak na jego stan - rzucił przez ramię.

- Jaki stan? - nie zrozumiała Susannah.

Co z jego ręką? Chyba mu jej nie... - zaczęła Tempie i nie dokończyła.

- Amputowali? - podpowiedział. - Nie. Doktor sporo się natrudził, żeby ją oszczędzić. Ale kula cho... mocno mu ją poharatała. Uszkodziła mięśnie. Nawet jeśli rana się zagoi, nie wiadomo, czy

będzie mógł nią ruszać. Ale jej nie stracił. - Zatrzymał się i wskazał na przepierzenie z materiału. - Jest za tym parawanem. Ordynans się nim opiekuje.

Susannah zerknęła na Tempie. Myślała o tym samym.

- Mogło być gorzej, Tempie - powiedziała cicho.

- Wiem - odparła Tempie, zebrała suknię i weszła za parawan. Susannah za nią.

Przez otwarte okno wpadał do sali lekki wiatr, odświeżając ciężkie od zaduchu powietrze. Na prawo od okna stała prycza, przy której siedział czarny ordynans. Na ich widok zerwał się z krzesła.

- Właśnie karmiłem pana majora zupom. Prawie wszystko zjad. - Odstawił miskę na drewnianą skrzynię pod oknem. - Nie wiedziałem, że pan major będzie miał gości. Jeśli panie chwile poczekajom, zaraz go przygotowuje. - Pochylił się nad leżącym, wyjął mu spod brody szmatkę i delikatnie wytarł mu nią usta. - Pan major bardzo siem zmęczył jedzeniem, ale z każdym dniem przybywa mu sił.

Susannah pomyślała, że wcale tego nie widać. Chory oczy miał zamknięte, twarz kredowobiałą i płytki oddech. Lewe ramię miał całe w bandażach.

- Panie majorze. - Ordynans położył dłoń na zdrowym ramieniu. - Panie majorze, ma pan gości. Panie przyszły do pana majora.

Leżący poruszył głową i zamrugał powiekami.

- Johnson? - rozległ się słaby, lecz znajomy głos Jeda Parmelee.

- To ja, panie majorze. Ma pan gości.

- Gości? - Przesunął językiem po wargach i uniósł nieco głowę, rozglądając się otepiałym wzrokiem. - Kto... Diana?

Tempie podeszła do łóżka, dotknęła zdrowego ramienia Jeda i uśmiechnęła się z trudem.

- Nie, to ja, Jed. Tempie.

- Tempie. - Oczy mu się rozjaśniły. - Martwiłem się... o ciebie.

- My też martwiłyśmy się o ciebie. Shadrach powiedział nam, że zostałeś ranny.

Kiwnął głową, a na ustach pojawił się nikły uśmiech.

- W rękę. Mó... wiłem tym rzeźnikom, żeby ją uratowali. Nie można walcować z... jedną.

- On trochę majaczy, psze pani - wtrącił szybko ordynans. - Dali mu morfinę. Czasami coś gada bez sensu.

- Tym razem nie - powiedziała Tempie miękkim głosem.

- Pamiętasz, Tempie - mówił wolno Jed. - Pamiętasz, jak cię uczyłem...

- Tak, uczyłeś mnie tańczyć walca. Kiwnął głową.

- Zatańczymy, kiedy... wojna się skończy... już niedługo. - Przeniósł wzrok na ordynansa. - Powiedz im...

- Tak jest. - Murzyn spojrział na Tempie podekscytowany. - Właśnie siem dowiedzieliśmy, że tego samego dnia, kiedy to pan major walczył z rebeliantami nad Cabin Creek, w Pensylwanii generał Meade dał łupnia staremu Bobby'emu Lee pod Gettysburgiem. A następnego dnia generał Grant wziął Vicksburg. Północ ma teraz w swoich rękach całom Missisipi i przedzieliła Południe dokładnie na pół. Wojna na pewno wkrótce siem skończy.

- Oby tak było. - Susannah nie podzielała jego optymizmu. Jed Parmelee zmarszczył czoło i poruszył ręką.

Kto...

- To Susannah - wyjaśniła Tempie. Czoło chorego się wygładziło.

- Susannah. Podeszła bliżej.

- Moja matka przesyła panu pozdrowienia, majorze. Jest z pastorem Cole'em. Powiedziała, że pana odwiedzi.

- Powiedz... Dianie, żeby się nie martwiła.

- Napiszę do niej, że pana widziałam i że wraca pan do zdrowia.

- Dziękuję - wyszeptał i powieki mu opadły.

- Lepiej, żeby pan major teraz odpoczął - powiedział ordynans. - Mówienie go męczy.

- Naturalnie. - Tempie pochyliła się nad łóżkiem. - Odpoczywaj, Jed. Przyjdziemy, kiedy będziesz silniejszy. - Uśmiechnął się z wysiłkiem i otworzył oczy. Tempie wyprostowała się. - Dziękuję wam, szeregowy.

- Szeregowy Johnson, psze pani - powiedział. - Proszę siem nie martwić. Jak pan major będzie jadł, szybko nabierze sił. Kiedy następnym razem panie przyda, pan major będzie już siedział.

- Mam nadzieję - mruknęła Tempie nie bardzo przekonana.

- Proszę siem nie przejmować. Zaopiekuję siem nim. Pan major to dobry człowiek.

- Bardzo dobry - powiedziała Susannah. - Dziękujemy wam, szeregowy Johnson.

- Tak, psze pani.

- Widziałas jego rękę, Tempie? - zapytała Susannah, kiedy wyszły ze szpitala. - Nigdy nie odzyska w niej władzy.

- Ale żyje. Co znaczy utrata ręki, kiedy mógł stracić życie? Oczy Tempie rozbłysły podejrzeniem. W tej chwili nie myślała o Jedzie, lecz o mężu i ciągłej obawie, że ta wojna go jej zabierze.

Susannah nie potrafiła jej uspokoić. Ruszyły w milczeniu do sklepu, gdzie miały się spotkać z Elizą i Sorrel, torując sobie drogę wśród wojskowych pojazdów, żołnierzy i uciekinierów.

- Jak się czuje Jed? - zapytała Eliza bez wstępów.

- Jest słaby, lecz przytomny. Zdaje się, że nie ma gorączki - powiedziała Tempie. - Minęło pięć dni, odkąd został ranny. Myślę, że już mu się nie pogorszy.

- To dobra nowina.

- A gdzie Phoebe? - Tempie rozejrzała się za pokojówką.

- Wciąż kręci się koło Ike'a, ku jego zażenowaniu. - Eliza uśmiechnęła się kącikami ust.

- I łaje Shadracha za zostawienie babci Elizy - dodała Sorrel. Umilkła na chwilę, po czym ciągnęła podekscytowana. - Widziałam Aleksa. Nie mógł się nadziwić, że tak wyrosłam. Powiedział, że zmieniłam się w piękną młodą pannę. Mamusiu, jak on pięknie wygląda w mundurze.

- Z pewnością.

- Wiesz, co mi powiedział? Że rebelianci są po drugiej stronie rzeki i można zobaczyć ich namioty z górnych pięter fortu.

Tempie obróciła się w tamtym kierunku, starając się zobaczyć coś przez zabudowania i tłum ludzi.

- Tak blisko - mruknęła. Susannah domyśliła się, że chodzi jej o męża i syna, nie o konfederatów.

- Alex powiedział, że nocą można zobaczyć ich ogniska, że cała ich armia się tam zebrała. Nasi szpiedzy donieśli, że szykują się do ataku na fort i że jest ich sześć tysięcy albo i więcej. Wszyscy się boją, bo nie mamy dość żołnierzy, by się bronić. Poprosili o posiłki, ale nie wiedzą, czy zdążą na czas. Wszyscy mogą zginąć.

Susannah zacisnęła gniewnie wargi, zirytowana, że Alex nabija głowę Sorrel plotkami i spekulacjami.

- Nie powinien mówić ci takich rzeczy.

- Cieszę się, że mi powiedział - rzuciła buńczucznie. - Nienawidzę rebeliantów. Chciałabym, żeby zginęli.

Tempie odwróciła się ku niej gwałtownie.

- Nie mów takich rzeczy, Sorrel. Jeśli już czegoś sobie życzysz, to raczej zakończenia wojny, lecz nie śmierci rebeliantów, bo są wśród nich twój ojciec i brat. Chyba nie chcesz, żeby zostali zabici.

- Oni nie martwią się o nas, czemu więc miałabym się martwić o nich? - wybuchnęła. - Zobacz, co zrobili. Popatrz na domy, które spalili, ludzi, których zabili, zboża, które zniszczyli. To przez nich ludzie głodują. Zasłużyli sobie na śmierć.

Tego było już dla Tempie za wiele. Nie wytrzymała i wymierzyła Sorrel siarczysty policzek.

- Nie waż się tak mówić! - krzyknęła, po czym chwyciła Sorrel za ramiona i mocno nią potrząsnęła. - Nigdy więcej, słyszysz? Nie tylko konfederaci są odpowiedzialni za wszystkie zniszczenia. Jankesi też grabią i palą. I bandy rabusiów. Jeśli już winisz kogoś za nędzę i cierpienia, to wojnę. Wojnę, rozumiesz?

Poniosła rękę z zamiarem wymierzenia córce kolejnego policzka, lecz powstrzymała ją Eliza.

- Tempie, nie - powiedziała cicho.

Wtedy puściła córkę i odwróciła się, cała spięta i roztrzęsiona.

- Jak mogłam wychować takie dziecko? Jak do tego doszło? Alex, Alex, ciągle Alex - mówiła niskim, gniewnym głosem. - Tylko o nim bez przerwy mówi. A o bracie w ogóle zapomniała.

Sorrel spojrzała na nią rozplómonionym wzrokiem.

- Nie jestem już dzieckiem, żeby mówić do mnie, jakby mnie nie było. Ja też mam swoje uczucia.

- Naturalnie, że masz. - Susannah prędko podeszła do kuzynki, objęła ramieniem w talii i odciągnęła na bok. - Ale twoja mama również.

- Nie dbam o to, co ona czuje.

- Mówisz jak dziecko - upomniała ją Susannah. - Jesteś już na tyle dorosła, żeby zrozumieć, jak bezmyślne i okrutne były twoje słowa. Przecież nie chcesz, żeby twój ojciec i brat zginęli, prawda?

- Prawda - przyznała i spuściła głowę.

- Głęboko zraniłaś matkę. Dość już jest bólu cierpienia. Po co jeszcze ty masz go dodawać?

- Wiem. Ale Alex powiedział...

- Nieważne, co Alex powiedział - przerwała jej Susannah. - Musisz nauczyć się samodzielnie myśleć.

- On by mi nie skłamał - obstawała przy swoim Sorrel.

- Ale mógł nie wiedzieć wszystkiego.

W tym momencie Susannah usłyszała, jak Tempie mówi:

- Będę się modlić, żeby Jed wyzdrowiał i wojna szybko się skończyła.

Susannah dodała w myślach własną modlitwę.

Fort Gibson 11 lipca 1863

Przy dni później stan Jeda Parmelee poprawił się na tyle, by mógł przenieść się ze szpitala do własnej kwatery. Kiedy następnego dnia Tempie i Susannah przyszły go odwiedzić, drzwi otworzył im ordynans Johnson.

- Pan major bardzo się ucieszy - powitał je z uśmiechem.

- Jak on się miewa? - zapytała Tempie nie spuszczając wzroku z jego twarzy.

- Proszę samej zobaczyć. - Otworzył szeroko drzwi i wprowadził je do głównego pomieszczenia.

Jed siedział w fotelu z kolanami otulonymi kocem pomimo upału. Pod rozpiętym mundurem widać było bandaż, który owijał mu ramię i pierś. Twarz wciąż miał boleśnie ściągniętą, lecz zgodnie z przewidywaniami ordynansa stracił już kredową bladość.

Na ich widok złapał zdrową ręką za poręcz fotela i wstał. Pobladł przy tym lekko i zachwiał się.

- Jed, nie wstawaj.

Tempie podbiegła do niego, gotowa go podtrzymać. On jednak ujął jej dłoń i podniósł do ust.

- Potrafię stać, Tempie. Ta rana pozbawiła mnie sił, lecz nie uczyniła ze mnie inwalidy.

Uśmiechnęła się z ulgą.

- Miło to słyszeć, ale jeszcze bardziej mnie ucieszysz, jeśli usiądziesz.

- Naturalnie. - Puścił jej dłoń i nie protestował, kiedy podtrzymała go za ramię, pomagając usiąść. - Wy też usiądźcie. - Wskazał na stojącą pod ścianą wytartą kanapę. Był to jedyny mebel w pokoju, nie licząc fotela i drewnianej skrzyni. - Warunki mamy tu spartańskie, ale są lepsze niż w szpitalu.

- Zdecydowanie - odparła Susannah, sadowiąc się obok Tempie na kanapie i automatycznie wygładzając fałdy sukni. - Napisałam do Diany, że miewa się pan dobrze, lecz teraz muszę napisać, że jest pan w coraz lepszej formie.

- Trzy razy zabierałem się, by do niej napisać. - Potarł ręką zabandażowane ramię. - Doktor mówi, że nie odzyskam w nim władzy, ale oficerowie zjedną ręką też przydają się w wojsku. - Umilkł, pogrążając się w myślach, po chwili jednak podniósł głowę. - Johnson, zrób paniom herbaty. I przynieś to kruche ciasto, które upiekłeś.

- Tak jest, panie majorze.

Ordynans wyszedł z pokoju do pomieszczenia w głębi kwatery.

- Nie spodziewałem się was tak szybko - powiedział Jed i zmarszczył z troską brwi. - Czy bezpiecznie teraz jeździć po drogach?

- Miałyśmy dobrą ochronę - zapewniła go Susannah, uśmiechając się lekko. - Jak tylko skręciłyśmy na Trakt Teksański, spotkałyśmy pułk unionistów. Dotarli do fortu tuż za nami.

- To pewnie generał Blunt z posiłkami - domyślił się Jed. - Z bożą pomocą damy łupnia tym rebeliantom, zanim zdążą się przegrupować.

Tempie zeszywniała, słysząc niecierpliwość w jego głosie i cień irytacji, że mogłoby do tego nie dojść. Natychmiast to dostrzegł.

- Wybacz, Tempie. Nie pomyślałem.

- To nieprawda. Pomyślałeś jak żołnierz, którym przecież jesteś. - Siedziała sztywno wyprostowana, z rękami złożonymi na podolku.

- Jednak... w obliczu wojny i tego wszystkiego - zaczął, starannie dobierając słowa - zrozumiałbym, gdybyś przestała mnie odwiedzać.

Pokręciła głową.

- Ta wojna podzieliła już zbyt wiele rodzin, rozerwała tyle przyjaźni. Nie zniosłabym, gdyby nasza przyjaźń stała się kolejną jej ofiarą.

Skinął wolno głową.

- Ja również nie.

W tej chwili za drzwiami dały się słyszeć głosy i czyjeś kroki. Skrzypnęła klamka i do pokoju wszedł major Adam Clark, lekarz wojskowy, którego Susannah spotkała w Fort Scott. W jednym ręku niósł sakwojaż, a w drugim walizę. Odwrócił się, jakby czekał na kogoś.

- Jesteśmy na miejscu.

Usunął się na bok i przepuścił Dianę, która mocowała się ze wstążkami od budki. Kostium podróżny w kolorze kawy pokrywała warstwa kurzu.

- Dziękuję, Adamie. - Sięgnęła ręką do budki i w tym momencie spostrzegła siedzącego w fotelu ojca. Znieruchomiała, w oczach pojawiła się ulga, a z twarzy zniknęło napięcie. - Ojciec, jak to cudownie widzieć cię w fotelu. - Zdjęła budkę i podeszła do niego, po drodze omiatając spojrzeniem Tempie i Susannah. - Masz nawet gości. - Pochyliła się i pocałowała go w policzek. - Nie spodziewałam się, że was tu zastanę - powiedziała, zwracając się w ich stronę. - Ale bardzo się cieszę. Miło cię znów widzieć, Susannah.

- I ja się cieszę, Dianie - odparła szczerze Susannah.

Po krótkim wahaniu Diana wyciągnęła rękę do Tempie, swojej niedoszłej teściowej.

- Witam panią, pani Stuart - powiedziała, niepewna, jak zostanie przyjęta.

- Byłoby znacznie lepiej, gdybyś mówiła mi po imieniu, jak dawniej - odpowiedziała Tempie.

Diana uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Miło mi cię widzieć, Tempie.

- Tak już lepiej.

Diana odwróciła się teraz ku swojemu towarzyszowi, który stawiał właśnie jej bagaże na podłodze.

- Tempie, chciałabym ci przedstawić majora Adama Clarka, lekarza wojskowego z pułku generała Blunta. Adamie, to jest pani Stuart, a to Susannah, którą zapewne pamiętasz z Fortu Scott.

- Tak - przyznał z ukłonem. - Witam, panie.

- Jak się pan miewa, majorze? - zapytała Susannah, zastanawiając się, czy znajomość Diany z doktorem wyszła poza ramy przyjaźni. Nic jednak na to nie wskazywało, choć wiedziała, iż Adam Clark nie miałby nic przeciwko temu.

- Dziękuję, dobrze - odpowiedział, po czym spojrzał na Jeda. - Widzę, że wraca pan do zdrowia, majorze.

- To oczywiście - odezwała się Diana. - Powiedźcie, czy ojciec był grzeczny? - zwróciła się z pytaniem do Tempie i Susannah.

Zanim zdążyły odpowiedzieć, Jed złapał Dianę za rękę.

- Diano, co ty tu robisz?

- Cóż za głupie pytanie? - rzuciła kpiąco. - Przyjechałam zobaczyć, jak się miewasz. Chyba nie sądziłeś, że zostanę w Fort Scott, kiedy dowiedziałam się, że zostałeś ciężko ranny. Myślałam, że zastanę cię na łożu śmierci. Cieszę się, że tak nie jest.

Jed zbył jej słowa niecierpliwym ruchem głowy.

- Ale jak się tu dostałaś?

- Generał Blunt był tak miły, że zapewnił mi eskortę. Choć wcale o tym nie wiedział - dodała z szelmowskim błyskiem w oku. - Kiedy dowiedziałam się, że wyrusza do Fort Gibson, wrzuciłam do walizki trochę rzeczy i przyłączyłam się do rodziny uciekinierów, która postanowiła jechać z wojskiem dla bezpieczeństwa.

- Bardzo pomysłowe - pochwalił ją Jed.

- Córnica oficera musi być pomysłowa - roześmiała się Diana, po czym zerknęła w głąb mieszkania. - A gdzie Johnson? Chyba jest przy tobie?

- Tak - skinął głową Jed, lecz zanim zdążył dokończyć, ordynans wszedł do pokoju.

- A, jesteście, Johnson. I przygotowaliście herbatę - dodała, widząc w jego rękach tacę z filiżankami.

- Usłyszałem głos panienki i pomyślałem, że dodam jeszcze jednomu filiżankę. Ale nie wiedziałem, że pan major też tu jest. Zaraz przyniosę drugom.

- Nie trzeba - odezwał się Adam Clark. - Na mnie już czas. Na pewno jestem potrzebny w ambulatorium. Zjrzę wieczorem. Żegnaj panie. - Skłonił się Tempie i Susannah i opuścił pokój.

Diana popatrzyła w ślad za nim, a następnie przesunęła drewnianą skrzynkę bliżej kanapy.

- Tu postawcie tacę, Johnson.

- Siadaj, Diano. - Tempie przesunęła się, robiąc jej miejsce.

- Po tym podskakiwaniu na wozie nie bardzo mam ochotę siadać - zaśmiała się.

Jed zachichotał. Susannah po raz pierwszy widziała go tak rozbawionego. To wielka zasługa Diany, że potrafiła wnieść życie i radość do tego ponurego pokoju. Będzie najlepszym lekarstwem dla Jeda.

- Proszę, Tempie, nalej herbaty.

- Jak sobie życzysz.

Ordynans postawił tacę na skrzynce.

- Przepraszam, że nie ma ładnych filiżanek, ale za to herbata jest gorąca.

- Zauważyłam, że wielu rzeczy tu nie ma - powiedziała Diana. - Firanek w oknach, chodników na podłodze, obrazków na ścianach. Widać z tego, że przez najbliższe dni będę miała mnóstwo pracy, by doprowadzić to miejsce do jakiegoś wyglądu.

- Nie poznacie tego pokoju, kiedy Diana skończy - odezwał się Jed. - Mówiłem już, że jest bardzo zaradna.

- Tak, w wojskowej placówce. Co znaczy, że jestem doskonałą sprzątaczką.

Wzięła dwie filiżanki ze skrzynki i jedną postawiła przed ojcem, tak by mógł wygodnie chwycić za uszko.

- Musisz być zaradna - powiedziała Susannah. - Zwłaszcza tutaj, gdzie brakuje nawet podstawowych rzeczy.

Diana spoważniała.

- Tak. Tyle tu ludzi. Warunki sanitarne są straszne. Wszędzie śmieci, otwarte latryny. Drzę na myśl, jak jest z racjami żywnościowymi. Pewnie są znikome jak dostawy.

Stała przy fotelu ojca i położyła mu rękę na ramieniu. Uśmiechnęła się.

- Diana działała bardzo aktywnie w kobiecej organizacji na rzecz potrzebujących w Kansas. Naturalnie jej działalność nie ograniczała się tylko do opieki nad chorymi, pisania listów i zbierania bandażu, ubrań i żywności. Ciosała również kołki na głowie dowódcy fortu za braki w czystości, wyżywieniu czy wentylacji.

- Naprzykrzałam mu się do znudzenia. - Zbyła swoje zasługi lekkim uśmiechem.

- Ale ciężko też pracowałam.

- Kiedy to było konieczne.

- Przy tylu koczujących w forcie uciekinierach potrzeby są ogromne - powiedziała Tempie. - Wielu nie ma nawet co jeść, w co się ubrać, ani gdzie schronić. Przywiozłyśmy w tym tygodniu pastorowi Cole'owi wszystko, co mogłyśmy oddać, lecz to zaledwie znikoma ilość. I ten tłum... Tylu tu chorych. Wojskowy lekarz nie jest w stanie ogarnąć tego wszystkiego.

- Jedna osoba nic tu nie zdołała. Ale kilka może przynajmniej poprawić warunki - powiedziała Diana. - Oczywiście najważniejszą rzeczą jest ustalić kolejność potrzeb, a potem próbować je załatwiać. Do tego jednak niezbędna jest pomoc wielu ochotników. - Umilkłai spojrzała z uwagą na Tempie i Susannah. - Wiem, że teraz toczy się walka o przeżycie, ale gdybyście mogły wygospodarować kilka godzin tygodniowo...

- Cała Diana - powiedział ze śmiechem i dumą Jed. - Jest tu zaledwie od pięciu minut, a już zbiera wolontariuszy.

- Ojciec ma rację. - Uśmiechnęła się przepraszająco. - Wybaczcie, ale na tyle spraw nie mam wpływu, że kiedy mogę coś zrobić, zabieram się do tego natychmiast. To moja wada.

- Bardzo chwalebna - roześmiała się Susannah. - Jeśli o mnie chodzi, to z przyjemnością pomogę.

- Wszyscy pomożemy - dodała Tempie.

- Doskonale - rozpromieniła się Diana. - W końcu to nie ma nic wspólnego z Północą czy Południem. Tu chodzi o ulżenie doli cierpiącym i biednym.

- Eliza stale biada nad tym, że wielebny Cole ma pełne ręce roboty, a jej pomoc nie na wiele się zdaje - powiedziała Tempie.

- A jak tam Eliza? I Sorrel?

Gawędziły chwilę o rodzinie, starannie unikając jakiegokolwiek wzmianki o wojnie i udziału w niej Blade'a i Lijego. Rozmowa stawała się coraz bardziej męcząca.

Susannah szukała jakiegoś wyjścia z sytuacji i spostrzegła, że filiżanka Jeda jest pusta.

- Czy chciałby pan jeszcze herbaty, majorze? - zapytała pośpiesznie. Spojrzał na filiżankę, jakby dziwiąc się, że jest pusta. Jednocześnie Susannah dostrzegła na jego twarzy pierwsze oznaki zmęczenia.

- Nie, już nie - odpowiedział i pochylił się, by odstawić filiżankę na tacę.

- Ja to zrobię, ojcie. - Diana wyjęła mu ją z ręki.

- Myślę, że czas już na nas - oznajmiła Susannah. - Nie chciałybyśmy pana zamęczyć, poza tym czeka nas jeszcze długa droga.

Jed zaprotestował bez przekonania, co wyraźnie świadczyło o jego słabej kondycji. Nie uszło to uwagi Tempie i Diany.

- Przyjedziemy jeszcze któregoś dnia - obiecała Tempie i wstała z kanapy.

- Odprowadzę was do drzwi - zaofiarowała się Diana. Odchodząc od fotela, spojrzała na ojca. Zgarbił się, spuścił głowę, a ciało jakby zapadło się w fotel. Wróciły wszystkie jej wcześniejsze obawy.

Przy drzwiach Tempie odwróciła się z zamiarem pożegnania, tymczasem Diana uniosła ostrzegawczo palec i pokazała, żeby wyszły na zewnątrz. Sama również to zrobiła, przymykając za sobą drzwi.

- Nie mogłam go o to zapytać - zaczęła bez wstępów. - Powiedzcie, co z jego ręką? Tempie zawahała się.

- Możliwe, że nigdy nie odzyska w niej władzy - powiedziała w końcu. - Ale mogło być gorzej, Diano.

- Tak - skinęła sztywno głową. - Powiedziano mi, że pułk Watiego zaatakował pociąg z zaopatrzeniem. Czy to prawda?

- Tak, ale... nie możesz za to obwiniać Lijego - powiedziała szybko Susannah.

Diana obrzuciła ją chłodnym spojrzeniem, za którym krył się ból.

- A więc brał w tym udział.

Susannah chciała skłamać, lecz tylko pokręciła głową.

- Nie traktuj tego w ten sposób, Diano.

Ona jednak odwróciła się bez słowa do drzwi i wyciągnęła rękę ku klamce.

- Proszę, odwiedźcie jeszcze mojego ojca. Niech moja osoba wam w tym nie przeszkodzi.

- Zapewniam cię, że nie - odparła zdecydowanie Susannah. - Tak długo jesteśmy przyjaciółkami.

I tak pozostanie, bez względu na okoliczności.

Diana spojrzała na nią z wdzięcznością.

- Dziękuję.

Weszła do środka, zatrzymała się i chwilę przyglądała ojcu. Miał zamknięte oczy, a twarz wykrywał lekki grymas bólu. Spojrzała na pusty rękaw bluzy przypięty do ramienia.

Nagle zachciało jej się płakać. Nie było jednak na to czasu ani na rozpamiętywanie tego, co się stało.

Pchnęła mocno drzwi. Zamknęły się z głośnym trzaskiem, dając znać Jedowi, że córka wróciła.

- Na dworze jest tak gorąco, że można ugotować jajko - oznajmiła lekkim tonem. - W taki dzień powinno się brać przykład z Meksykanów i zrobić sobie sjestę.

Jed uniósł w górę brew.

- Czyżbyś sugerowała, że powinienem się położyć? Uśmiechnęła się i cmoknęła go w policzek.

- Zawsze wiedziałam, że mądry z ciebie człowiek. Co do mnie to mam mnóstwo rzeczy do zrobienia, ale najpierw muszę wziąć kąpiel. Kiedy tylko się położysz, Johnson może zacząć nosić wodę. Boże, jak mi jej brakowało. Mam na sobie chyba cały kurz z Traktu Tekszańskiego.

Zachichotał, złapał ją za rękę i mocno uściśnął.

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham, tatusiu.

Zapra gnęła nagle znowu stać się małą dziewczynką, usiąść mu na kolanach i znaleźć pociechę w jego ramionach.

Niestety, nie była już dzieckiem, a z problemami musiała uporać się sama.

Najważniejszym z nich był Lije. To jego obraz wciąż ją ściigał i nie dawał spokoju. Dobry Boże, ona wciąż go kocha i jednocześnie nienawidzi za to. Rozpaczliwie pragnęła wymazać go z pamięci i ukoić ból serca.

Kiedyś tego dokonam, przyrzekła sobie.

Z Terytorium Czirokezów Wrzesień 1863

Żołnierze w niebieskich mundurach Unii przeszukiwali stojący na drodze wóz, wyrzucając z niego większość z tego, co znaleźli. Popołudniową ciszę przerywał co chwila brzęk metalowych garnków i rondli, tłuczonej porcelany i trzask pękającego drewna. Towarzyszyły im pełne zadowolenia gwizdy. Alex zsunął czapkę na tył głowy i przyglądał się wszystkiemu z obojętnością. Wóz i jego zawartość należały do Johna Meynarda, Czirokeza, znanego orędownika sprawy Południa.

Żona Meynarda podbiegła do siedzącego na czarnej kłaczycy Aleksa i chwyciła go za nogę.

- Oni wszystko niszczą. Niech pan im każe przestać. Proszę. To cały nasz dobytek.

W odpowiedzi spojrzał w kierunku jej męża, który z kamiennym wyrazem twarzy stał przed Kippem. Ze skroni spływała mu strużka krwi od ciosu wymierzonego kolbą rewolweru za to, że nie chciał udzielić informacji o znajdujących się na tym terenie oddziałach rebeliantów. Po raz kolejny powtórzył, że są jedynymi żołnierzami, jakich dziś widzieli.

Alex, podobnie jak ojciec, nie miał wątpliwości, iż ten człowiek kłamie. Od kilku dni krążyły wieści, że duży oddział konfederatów przekroczył rzekę Arkansas i kieruje się na północ. Na oddalonej o trzy kilometry od drogi farmie dowiedzieli się, że około południa widziano tam grupę dwudziestu może trzydziestu rebeliantów, przepływających się przez rzekę. Właściciel twierdził również, że widział na zachodzie dużą chmurę kurzu i przysięgał, że nie wznieciło jej stado bizonów.

Jeśli ta chmura oznaczała główne siły konfederatów, to grupa jeźdźców musiała być patroliem zwiadowczym. A jeśli jechali drogą, to ci ludzie musieli ich widzieć.

Nad wozem uniosła się biała chmura mąki wysypanej właśnie przez żołnierzy z worka.

Rechocząc, cisnęli go w czarną kałużę smaru obok przewróconego do góry dnem wiadra.

Kobieta jeszcze raz zwróciła się z prośbą do Aleksa.

- Zostawcie nam żywność. Mamy dzieci do wykarmienia.

Alex spojrział na zasmarkaną dziewczynkę trzymającą się kurczowo sukni matki. Obok wołów zaś stał siedmioletni chłopiec z mokrymi od łez policzkami, trzęsącą się brodą i wzrokiem płonąącym nienawiścią i strachem.

- Proszę ich powstrzymać.

Kiedy kobieta podeszła bliżej, czarna klacz zarżała i zatańczyła w miejscu. Alex nie powstrzymał konia.

- Jeśli chce pani, byśmy przestali, niech pani przekona męża, żeby nam wszystko powiedział.

Spojrziała na niego z wahaniem, po czym bezradnie spuściła wzrok.

- Nie widzieliśmy żadnych rebeliantów - powiedziała drewnianym głosem, po czym odwróciła się i patrzyła bez słowa, jak z wozu spada ciężki drewniany kufer. Wieko się otworzyło i na ziemię wysypały się ubrania i koce. Przycisnęła pięść do ust, tłumiąc mimowolny okrzyk protestu.

Alex zauważył, że ubrania są dobrej jakości, znacznie lepsze od tych, jakie mieli na sobie członkowie rodziny. Następnie przyjrzał się dobrze odżywionym wołom, mocno zachlapanym błotem. Czyżby specjalnie?

Wiedział, że John Meynard był bogatym farmerem. Może nie tak bogatym jak Blade Stuart, lecz jego rodzina żyła bardzo dostatnio. Ich farma znajdowała się teraz na terytorium zajęтым przez Unię, toteż podobnie jak wielu zwolenników Konfederacji uciekali na południe, ku przyjaźniejszym terenom. Mogli nie zabrać całego dobytku, lecz na pewno wszystkie wartościowe rzeczy.

Uśmiechnął się i zsiadł z konia.

- Hej, chłopcy! - zawołał do buszujących po wozie towarzyszy. - Wyrzućcie wszystko na ziemię i zerwijcie deski z dna. Mogli tam ukryć złoto.

Kiedy żołnierze z zapalem zabrali się do tego, Alex kątem oka obserwował reakcję kobiety. Stłumiła kolejny jęk protestu, lecz nie okazała niepokoju. Wzruszył ramionami, przeklinając swoje szczęście - lub raczej jego brak - i podszedł do beczki z wodą, przywiązanej do boku wozu.

Kiedy sięgnął ręką do przykrywki, kobieta nie wytrzymała.

- Czego pan tam szuka?

Aleksa zaskoczyła jej gwałtowna reakcja.

- W tak gorący dzień człowiekowi chce się pić.

- Jeśli chce pan wody, to ją panu podam.

Sięgnęła pospiesznie po przymocowany do beczki czerpak. To wzbudziło jego podejrzenia. Chwycił kobietę za rękę.

- Sam się obsłużę.

Kiedy podniosła wzrok, zobaczył w jej oczach panikę.

- Co jest w tej beczce? - zapytał podejrzliwie.

- Woda oczywiście - odpowiedziała, uciekając wzrokiem w bok.

- Chyba muszę to sprawdzić.

- Nie - jęknęła i zacisnęła powieki.

Nie puszczać jej ręki, uniósł pokrywę i zajrzał do środka. Na samym dnie dostrzegł ciemne zawiniątko, prawie niewidoczne dla oka.

- Ciekawe, co to może być? - powiedział i zanurzył rękę w wodzie.

Wymacał palcami zawiniątko, wyczuwając w nim płaskie okrągłe monety. Zaraz jednak skrzywił się, bo go coś ukłuło. Damska broszka? Rozejrzał się chyłkiem, czy nikt prócz kobiety tego nie widzi,

po czym wyciągnął zawiniątko i ukrył je pod bluzą. Zaśmiał się cicho i przyciągnął kobietę do siebie.

- Bardzo sprytny pomysł - powiedział półgłosem i uśmiechnął się złośliwie, kiedy próbowała mu się wyrwać. - Teraz macie wody pod dostatkiem. I nikt wam już niczego nie ukradnie. Oddała to pani z własnej woli.

Wyrwała mu się gwałtownie i uciekła, przytulając córkę do siebie. Zaśmiał się szyderczo.

- Hej, kapralu! - zawołał jeden z żołnierzy. - Pod tą podłogą nic nie ma.

- Wielka szkoda. - Alex wzruszył ramionami, czując chłód zawiniątko pod blużą.

W tym momencie dało się słyszeć głucho uderzenie. Alex odwrócił się i zobaczył, że Meynard pada na ziemię, a z rany na policzku sączy się krew. Obok stał Kipp i celował do niego z rewolweru.

- Mam już dość tych kłamstw! - wrzasnął wściekle.

- John! - krzyknęła kobieta i rzuciła się w stronę męża, lecz Kipp zatrzymał ją w miejscu.

- Ani kroku dalej! - warknął, po czym spojrzał z niecierpliwością na Aleksa. - Tracimy tylko czas. Ten głupiec wie, dokąd pojechali rebelianci, lecz nie chce mówić.

- Ją zapytaj. - Alex wskazał palcem na kobietę. - Ona wie.

- Nie - zaprzeczyła, patrząc na nich ze strachem w oczach.

- Gdzie ich widzieliście? W którą stronę pojechali? - Kipp wycelował broń w leżącego na ziemi mężczyznę. - Odpowiadaj, albo za chwilę będziesz wdową.

- Boże, nie. - Wyciągnęła błagalnie dłoń, lecz widząc, że na nic to się nie zda, załkała rozpaczliwie. - Jesteście dzikimi bestiami! - Nie zwróciła uwagi na płaczącą dziewczynkę, która domagała się, by wziąć ją na ręce.

Alex przeniósł spojrzenie z nieprzytomnego mężczyzny na kobietę.

- Zdaje się, że nie zależy jej na ocaleniu męża - powiedział i jednym szybkim ruchem chwycił dziecko za włosy i szarpnął ku sobie. Jednocześnie wyciągnął rewolwer i wycelował nim w głowę dziewczynki. - Gadaj, albo ona zginie.

- Proszę, nie. Nie róbcie jej krzywdy. - Kobieta osunęła się na kolana. - Zostawcie moje dziecko.

- Gadaj! - warknął Alex i odbezpieczył broń.

- Widzieliśmy ich! - krzyknęła, szlochając rozpaczliwie. - Błagam, nie zabijajcie mi dziecka.

- Gdzie i kiedy?

- Przed trzema godzinami. Może czterema, nie wiem. To było nad rzeką. Poili konie.

- Ilu ich było? - pytał dalej, przekrzykując płacz dziewczynki.

- Chyba ze dwudziestu... Nie jestem pewna. Puśćcie ją, proszę.

- A gdzie była reszta? Główna grupa?

- Nie widzieliśmy nikogo innego...

Szarpnął dziewczynkę za włosy, nie zważając na krzyk bólu i czepiające się jego dłoni drobne paluszki.

- Gdzie? - Kobieta pokręciła przecząco głową, na co przytknął lufę do głowy dziewczynki. - Gadaj!

- Nie! - krzyknęła, chwytając się ręką za gardło. - Nie widzieliśmy ich, ale... John... John uważa, że są gdzieś na zachodzie. Na... na północ stąd jest miasto... On... on mówił, że ominą je szerokim łukiem.

Usatysfakcjonowany Alex zwolnił kurek. Wówczas do rozmowy włączył się ojciec.

- Z jakiego pułku byli? Kto nimi dowodził?

- Ja... - Przycisnęła dłoń do czoła, starając się zebrać myśli. - John... John zna jednego z nich.

Powiedział, że jest przy pułkowniku Watiem.

- Jak się ten człowiek nazywa? - zapytał Kipp z napięciem w głosie.

- Chyba... Stuart. Kiedyś był w milicji konnej. To wszystko, co wiem, przysięgam. Pro...

Kipp wiedział już wszystko, co chciał wiedzieć.

- Ruszamy. - Zawrócił konia i krzyknął do pozostałych ludzi: - Na koń!

Alex pchnął dziewczynkę ku matce i wsunął rewolwer do olstra. Kobieta chwyciła dziecko na rękę i pobiegła do męża. Alex patrzył na nich chwilę, po czym wskoczył na siodło, uśmiechając się do siebie. Spotkanie z Meynardami okazało się korzystne - pod wieloma względami.

Blade kłusował przez prerię. Tuż za nim jechał jak zwykle Deu i jeszcze trzech ludzi z eskorty. Główna grupa, licząca jakieś sto osób, znajdowała się sześć kilometrów za nimi, a Lije wraz z patrolem zwiadowczym gdzieś z przodu.

Właśnie to gdzieś najbardziej niepokoiło Blade'a. Lije wyruszył dziś rano o świcie. Powinien się zameldować kilka godzin temu. Czyżby wpadł na patrol federalnych? Co prawda nie słyszał żadnych strzałów, lecz mogło to się zdarzyć poza zasięgiem jego słuchu.

Zaczął żałować, że zlecił Lijemu to zadanie. Polegał na jego opinii i instynkcie, lecz obecność syna w oddziale czyniła dowódcę słabym, bo zamiast troszczyć się o wszystkich ludzi, wciąż myślał tylko o jednym. Lecz Tempie nigdy by mu nie wybaczyła, gdyby Lijemu coś się stało.

Gdzież on, u diabła, się podziewa?

Skierował konia ku wzgórzom. Dobrze znał te okolice. Od Grand View dzieliły go zaledwie godziny. Dom. Nie powinien o nim myśleć. Ostatniej nocy śnił o Tempie i jej kuszących wdziękach. Nawet teraz, wystarczyło, żeby zamknął oczy i...

Potrząsnął głową, by odepchnąć wizję i ruszył galopem pod górę. Zatrzymał się dopiero na wzniesieniu i zaczął uważnie przeczesać wzrokiem okolicę.

Proszę.

Deu jak zwykle odczytał jego myśli i podał mu starą odrapaną lunetę. Całe wyposażenie pułku było w równie złym stanie, podobnie jak meksykański proch, którym dysponowali. Dwadzieścia procent ludzi nie miało w ogóle broni, reszta zaś stare muszkiety, rusznice i teksańskie strzelby, które wybuchały zamiast strzelać. Obiecanych mundurów nigdy nie dostali. Tylko nieliczni mieli jakieś ubrania na zmianę. Większość musiała się zadowolić podartymi kurtkami lub niebieskimi mundurami zdjętymi z ciał zabitych Jankesów. Za to wszyscy byli prawdziwymi wojownikami. Nie znali się na wojskowej dyscyplinie i zasadach, ale potrafili się bić. Gdyby tylko udało im się zdobyć kilka tych automatycznych karabinów, którymi dysponowali unioniści...

Westchnął, przyłożył lunetę do oka i zaczął uważnie przeczesać teren od wschodu na zachód. Nie dostrzegł jednak śladu patrolu. Na wypadek gdyby Lije zatoczył koło, sprawdził również północnozachodni kwadrat. Wciąż nic. Opuścił lunetę i zacisnął wargi.

- Jeźdźcy - zawołał jeden z członków eskorty, wskazując na wąską drogę, przecinającą dolinę z prawej strony. - To pewnie nasi zwiadowcy. - Uniósł się w strzemionach i zamachał do nich.

Blade odwrócił się i zobaczył grupę jeźdźców na koniach. Skręcili właśnie w lewo i ruszyli galopem ku wzgórzom. Na pierwszy rzut oka wyglądali na ich patrol, tylko że... nadjechali od południa.

Przyłożył do oczu lunetę i zaklął.

- Jankesi.

Oddał Deu lunetę i zebrał wodze.

- Rozproszyc się! Natychmiast! - Wyciągnął rewolwer, szykując się do strzału, gdy tymczasem

pozostali dali ostrogi koniom. Zobaczył, że Deu wstrzymuje swego wierzchowca. - Ruszaj. Będę tuż za tobą.

Strzelił w stronę zbliżających się jeźdźców i już miał spiąć konia ostrogą, kiedy w jadącym na czele mężczyźnie rozpoznał Kippa. Zaklął pod nosem, bo pierwsze kule świsnęły mu koło uszu. Oddał jeszcze jeden strzał, próbując zatrzymać pogoń.

Coś uderzyło go w ramię z taką siłą, że omal nie spadł z konia. Chwycił się grzywy, czując w ręce ostry palący ból. Walcząc z szybko postępującym odrętwieniem boku, puścił się galopem w dół zbocza.

Kiedy dotarł do stóp wzgórza, obejrzał się przez ramię. Kipp właśnie osiągnął wierzchołek wzniesienia i gnał teraz za nim, bezlitośnie okładając konia batem. Towarzyszył mu drugi jeździec. Czyżby Alex?

Jego koń zaczął zwalniać. Blade dał mu ostrogę, lecz wyczuł, że coś jest nie tak. Spojrzał w dół i dostrzegł mały otwór nad prawą łopatką, z którego płynęła krew. A więc i on dostał. Z lewej strony pojawiła się mała kępa zarośli i skierował konia.

- Jeszcze trochę. Dojedziesz - powiedział bardziej do siebie niż do wierzchowca.

Zwierzę pędziło dalej. Z nozdrzy wypływała mu czerwona piana. Parę metrów od zarośli potknęło się i upadło, wyrzucając Blade'a w przód. Wylądował ciężko na boku. Poczuł w całym ciele dławiący ból.

Instynkt podpowiadał mu, że musi ukryć się w gęstwinie.

Kiedy ponownie otworzył oczy, zobaczył, że leży zaplątany w ciernistych krzewach. Jak mu się udało tu dotrzeć? Posłyszał odgłos zbliżających się kopyt. Walcząc z ogarniającą go niemocą, zaczął przedzierać się przez zarośla, nie zważając na czepiające się kurtki gałęzie i kolce. W dłoni wciąż ścisnął rewolwer.

Instynkt ponownie ostrzegł go, by nie wchodzić zbyt głęboko, bo Kipp tego właśnie się spodziewa. Musi trzymać się blisko brzegu.

Po chwili szalonego przedzierania się przez krzaki niczym na wpół obłąkane ranne zwierzę opanował się i zaczął skradać ostrożnie i cicho. Ból w ramieniu przeszedł w gwałtowne pulsowanie. Umysł powoli się uspokajał. Od wysokiej trawy oddzielała teraz Blade'a pojedyncza ściana gęstwiny. Zatrzymał się i przykucnął, by ustalić położenie.

Z prawej strony posłyszał dudnienie kopyt, a potem stąpanie.

- Mamy go!

Kipp. Zaledwie kilka metrów od niego. Przez gęste liście dostrzegł końskie nogi i niebieskie spodnie dwóch jeźdźców. Czy to Alex towarzyszył Kippowi?

- Jest w tych krzakach, mówię ci. Wyłaż, Stuart!

Rozległ się huk wystrzału. Blade instynktownie skulił się, lecz kula przeszła daleko od niego. Kipp strzelał na oślep.

- Wychodź, Stuart! A może mam tam wejść i wywlec cię jak twojego ojca? Jesteś wężem i zdrajcą. Już dawno powinienesz nie żyć. Tym razem zginiesz. Wychodź! - Huknął drugi strzał.

Na wzmiankę o ojcu Blade odruchowo zacisnął palce na rewolwerze. Kciuk automatycznie dotknął kurka, a palec wskazujący cyngla. Bezszelestnie wyszedł z zarośli w wysoką trawę.

- To twoja ostatnia szansa, Stuart! - krzyknął Kipp. - Albo wyjdiesz i zginiesz jak mężczyzna, albo ja przyjdę do ciebie i zastrzelę jak psa.

Blade wyprostował się i wolno uniósł w górę rewolwer. Ani Kipp, ani Alex nie zauważyli go.

Obaj patrzyli na połamane gałęzie, celując do nich z rewolwerów.

- Szukasz mnie, Kipp?

Kipp odwrócił się gwałtownie z twarzą wykrzywioną wściekłością. Zanim zdążył strzelić, Blade nacisnął na spust. Kipp wrzasnął i wypuścił broń z ręki. Na przedramieniu pojawiła się ciemna plama krwi. Złapał się za rękę i pochylił, by podnieść rewolwer.

- Tylko spróbuj, Kipp. - Blade ponownie odwiódł kurek. Dokładnie za Kippem stał Alex. - Rzuć broń, Alex - rozkazał Blade, nie spuszczać wzroku z Kippa. - Nie chcę cię zabić.

Broń błysnęła w słońcu i zataczając łuk zniknęła w trawie, obok konia Blade'a. Trzymając Kippa na muszce, Blade cofnął się powoli w stronę ich koni.

- Na co czekasz? - rzucił szyderczo Kipp. - Czemu mnie nie zabijesz? Od dawna chciałeś to zrobić. Teraz masz szansę. Naciśnij na spust, Stuart. No, dalej.

- Ciesz się, że jesteś bratem Tempie.

Jeden z koni kasztanowej maści miał przewieszzone przez szyję wodze. Na widok Blade'a parsknął podejrzliwie, lecz nie ruszył się z miejsca. Nie spuszczać wzroku z Kippa, Blade wsunął stopę w strzemiono i wskoczył na siodło.

- Jesteś tchórzem, Stuart. Wszyscy zdrajcy to tchórze. Tak jak twój ojciec.

- Nikt bardziej od ciebie nie zasługuje na śmierć, Kipp. Nieoczekiwanie koń rzucił łbem. Kiedy Blade ponownie spojrzął na Kippa, ten wyciągał właśnie coś zza kurtki. Kieszonkowy rewolwer. Blade strzelił instynktownie. Kipp cofnął się o krok i przycisnął dłoń do brzucha. Padając, upuścił broń na trawę. Alex rzucił się ku ojcu.

- Nie żyje. - Twarz wykrzywiły mu wściekłość i rozpacz. - On nie miał broni!

Jego słowa docierały do Blade'ajak przez mgłę. Zaczynała ogarniać go słabość. Musiał stąd odjechać, póki jeszcze miał trochę siły. Kasztanek ruszył przez prerię wyciągniętym kłusem.

- Ty morderco! - krzyknął za nim Alex. - Zapłacisz mi za to.

Zaczął gorączkowo przeszukiwać trawę wokół ojca i znalazł upuszczony przez niego rewolwer. Podniósł go, odbezpieczył i nacisnął na spust. Huk wystrzału poniósł się przez prerię. Blade zachwiał się w siodle, a spłoszony koń puścił się wyciągniętym galopem.

Alex uśmiechnął się i odwrócił ku ojcu.

- Zabiłem go dla ciebie - powiedział.

Potem z niezwykłą delikatnością wziął ojca na ręce i zaniósł do szczypiącej trawę czarnej kłaczy. Zadrżała, wyczuwając zapach śmierci, lecz Alex ją uspokoił. Pozwoliła mu położyć ciało na siodle i parsknęła, niezadowolona z ciężaru.

Dopiero po trzech kilometrach Deu zorientował się, że jest sam. Zawrócił, kierując się ku odgłosom wystrzałów. Zobaczył, że wracający właśnie patrol zaskoczył atakujących Jankesów i zmusił ich do ucieczki. Za chwilę zniknęli mu z pola widzenia. Nie dostrzegł w grupie Blade'a, lecz zobaczył Lijego, który odłączył się od innych i ruszył mu na spotkanie.

- Wszędzie pełno patroli - powiedział, ściągając wodze swego konia. - A gdzie major?

- Nie wiem. Myślałem, że jedzie za mną.

Lije stanął w strzemionach i rozejrzał się po prerii. Nikogo. Poczul ukłucie niepokoju.

- Coś musiało się stać.

Dał koniowi ostrogę i ruszył galopem. Deu popędził za nim. Kilometr dalej spostrzegli pasącego się kasztanka z jeźdźcem przewieszonym mu przez szyję.

- To nie jest koń pana Blade'a - powiedział Deu, kiedy podjechali bliżej. - Ale to jego kurtka.

Tyle razy ją łatałem, że trudno jej nie poznać.

Było to najdłuższe dwieście metrów w życiu Lijego. Zeskoczył z konia w biegu. Deu był tuż za nim.

Kasztanek zrobił parę kroków i znowu zaczął szczypać trawę. Lijemu ścisnął się żołądek na widok wielkiej plamy krwi na plecach ojca. Podeszedł wolno do konia, przemawiając cicho, by go nie spłoszyć. Wreszcie chwycił wodze, przysunął się do ojca i uniósł mu głowę. Ranny jęknął i powieki mu zadrżały.

- Żyje - powiedział Lije, czując, że wraca mu nadzieja.

- Lije? - Rozległ się słaby głos.

- Jestem przy tobie. Deu jest ze mną. Nie martw się, zajmiemy się tobą. Kipp...

Lije zacisnął zęby.

Co z nim? On to zrobił?

- Nie żyje... - wymamrotał Blade. Za... biłem go... nie mów... Tempie... zmartwi...

Głos mu zadrzał i ranny znieruchomiał.

- Stracił przytomność.

Lije z trudem opanował wrzący w nim gniew. Niech to diabli, nie powinien go zostawiać. To wszystko jego wina.

- Pan Blade wyzdrowieje. Zaopiekujemy się nim - powiedział Deu, lecz jego głos brzmiał niepewnie.

Lije wiedział, że jeśli ojciec ma żyć, słowa go nie uratują. A w oddziale nie było doktora.

- Znajdź Duncana - polecił Deu. - Powiedz mu, co się stało i powiedz, że zabieramy ojca do domu.

Grand View Wrzesień 1863

Lliza - szepnęła Tempie, potrząsając macochę za ramię. - Obudź się.

- Mmm, co? - Uniosła głowę na wpół sennie. - Co się stało?

- Ktoś jest na zewnątrz. Widziałam go z okna sypialni - poinformowała ją Tempie i odsunęła się od łóżka, widząc, że Eliza otwiera oczy. - To może być dezertor lub zbiegły niewolnik szukający czegoś do jedzenia. Widziałam tylko jednego, ale może być ich więcej. - Odwróciła się ku otwartym drzwiom balkonowym. W rękę trzymała rewolwer. - Kazałam Phoebe obudzić Susannah i Sorrel..

- Już wstałam - odezwała się Sorrel od strony drzwi. - Czemu tak szepczecie?

- Ciii, nie tak głośno - rzuciła gniewnie Tempie. - Ktoś jest na dworze. Kto?

- Nie wiemy.

Kiedy Eliza wkładała szlafrok, do pokoju wpadła Susannah, a za nią Phoebe.

- Nie możemy znaleźć So... A tu jesteś - powiedziała na widok stojącej w drzwiach Sorrel.

- Wy tu zostańcie, a ja zejdem na dół i sprawdzę, kto to - zdecydowała Tempie.

- Sama nie pójdziesz - sprzeciwiła się Susannah. Tempie wiedziała, że nic nie wskóra.

- Dobrze, chodź ze mną - mruknęła zirytowana i wyszła na korytarz.

Kiedy dotarła do schodów, posłyszała, że drzwi frontowe się otwierają. Zaczęła wolno schodzić, ściskając w spoconej dłoni rewolwer. Zerknęła przez ramię zadowolona, że Susannah idzie za nią.

W pełnej napięcia ciszy każdy najmniejszy dźwięk - szelest szlafroka, ciche stąpanie Susannah i trzeszczenie desek w podłodze - wydawał się wzmocniony. Jakaś postać zamajaczyła na tle jasnej ściany w holu. Tempie ścisnęła rewolwer obiema rękami i wycelowała w ciemną sylwetkę.

- Kim jesteś? Czego tu chcesz? Mów, bo będę strzelać.

- To ja, Lije.

- Lije!

Ogarnęła ją gwałtowna radość. Opuściła broń, chwyciła brzeg szlafroka i zbiegła po schodach.

- To Lije! - zawołała. - Phoebe, zapal świece, prędko.

Prawie natychmiast zapłonęło światło, oświetlając hol i Lijego. Tempie rzuciła mu się w objęcia.

- To naprawdę ty. Nie mogę w to uwierzyć. - Przytuliła go do siebie i wybuchnęła śmiechem,

zorientowawszy się, że wciąż trzyma rewolwer w dłoni. - Myślałam, że to... Zresztą nieważne, co myślałam. - Poglądziła go po policzku i włosach. - Jak ty wyglądasz? Kiedy ostatni raz obcinałeś włosy? Ale i tak wyglądasz wspaniale.

Nie przestawała mówić, patrząc na niego z rozjaśnioną twarzą.

Lije pomyślał o niepokoju, smutku i rozpacz, których musiała doświadczać przez tyle lat.

Powinna zgorzknieć i zbrzydnąć, tymczasem nadal była silna i piękna. Teraz znowu będzie potrzebować tej siły.

Musi jej przerwać i powiedzieć o wszystkim. Szukał odpowiednich słów, wiedział jednak, że i tak nie złagodzą informacji, jaką miał do przekazania. Ponownie ogarnęły go wyrzuty sumienia. To wszystko jego wina.

- Powinam zapytać, co tu robisz, ale nie dbam o to - oznajmiła beztrąsko Tempie.

- A powinnaś - powiedział cicho, lecz nie zwróciła na to uwagi.

- Wyglądasz na zmęczonego. Ina pewno jesteś głodny. Phoebe, sprawdź, co mamy w kuchni. I zaparz kawy. Mamy prawdziwą kawę - zwróciła się do niego. - Bez grama cykorii.

Lije pochwycił wzrok Susannah. Ona wiedziała, że nie przyjechał tu z wizytą. Dostrzegł to w jej oczach.

- Jak się miewa ojciec? Szkoda, że nie przyjechał z tobą - powiedziała z żalem Tempie.

- On tu jest, mamgo. Przed domem. - Spojrzała na niego z zaskoczeniem, a potem ze strachem. - Został postrzelony. Deu jest przy nim.

Tempie zachwiała się. Tyle lat żyła w strachu przed tym dniem, że kiedy w końcu nadszedł, nie była w stanie nic zrobić. Słowa, których się obawiała, zostały powiedziane.

Lecz Blade żyje. Jeszcze żyje.

- Gdzie on jest? Zaprowadź mnie do niego.

Z trudem wnieśli go do domu, potem schodami na górę do małżeńskiej sypialni. Kiedy położyli go na łóżku, Tempie wysłała Phoebe po koszyk z medykamentami.

- Sorrel, przynieś te bandaże, które miałyśmy zawieźć do szpitala w Fort Gibson. - Pchnęła córkę ku drzwiom. - I pospiesz się.

- Jak do tego doszło, Lije? Nie słyszałyśmy o żadnej bitwie w okolicy. - Eliza ostrożnie rozwiązała temblak podtrzymujący zabandażowane ramię.

Lije zawahał się.

- Zaatakował nas patrol Unii. Ojciec dostał w ramię. Kula złamała kość. Nastawiliśmy ją z Deu najlepiej, jak się dało, lecz nic więcej nie mogliśmy zrobić. Postrzelili go w plecy. Kula wciąż tkwi w ciele.

Uznał, że nie ma sensu wspominać teraz o Kippie. Tempie i Eliza spojrzały na niego jednocześnie. Eliza ponownie zawiązała temblak.

- Pomóż odwrócić mi go na bok i uważaj na rękę - powiedziała.

- Gdzie są moje nożyczki? - Tempie podeszła do koszyka z przyborami do szycia. - Musimy

rozciąć mu koszulę i kurtkę.

Po kilku minutach ubrania leżały w kawałkach na podłodze.

- Jemu potrzebny jest doktor - powiedziała Eliza, kiedy zobaczyła ranę na plecach.

- Najbliższy jest w Fort Gibson - oznajmił Lije. - Jeśli unioniści dowiedzą się, że tu jest, natychmiast go aresztują i wsadzą do więzienia.

- Pan Lije ma rację - wtrącił Deu. - Ci Jankesi tylko czekają, by dostać w swoje łapy jednego z oficerów pułkownika Watiego. Pan Blade cieszy się równie złą reputacją jak pułkownik.

- W takim razie same będziemy musiały wyjąć kulę.

Tempie spojrzała na szczupłe umięśnione ciało męża. Skórę miał gładką z wyjątkiem tej ciemnej dziury tak blisko kręgosłupa. Gdzieś tam w środku tkwiła kula.

Poczuła, że cała się trzęsie. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bała.

- Tempie, jesteś pewna, że... - zaczęła Eliza.

- Tak! - Spojrzała na nią z determinacją w oczach.

- A więc dobrze, ja to zrobię - oznajmiła Eliza. - Pomożesz mi, Susannah.

- On jest moim mężem i ja...

- Tak. - Eliza zaczęła działać sprawnie i szybko. - Lije i Deu, pomóżcie mi przekręcić Blade'a na brzuch. Tempie, będziemy potrzebować więcej światła. I dobrze byłoby zaciągnąć zasłony. Nie chcemy, żeby jakiś przechodzień zaczął się zastanawiać, co robimy w środku nocy.

- Zdaje się, że oddycha miarowo. Puls ma słaby, lecz równomierny - oznajmiła Eliza po wyjęciu kuli i zabandażowaniu rany. - Niczego więcej w tej chwili nie możemy zrobić. Teraz potrzebny jest mu tylko odpoczynek i spokój.

Lije zwlekał z odejściem, kiedy Eliza zaczęła wypraszać wszystkich z pokoju. Została jedynie Tempie. Spojrzał na ojca i serce mu się ścisnęło. Miał wrażenie, że w środku zawiązał mu się supeł. Na szafce przy łóżku stała porcelanowa miska z pincetą, małym nożem i zakrwawionymi szmatami. Była tam też kula. Wziął ją do ręki. Była lepka od krwi. Przyglądał jej się przez chwilę, po czym zamknął ją w dłoni.

- On wyzdrowieje - posłyszał stłumiony głos Elizy.

- Tak - padła drżąca odpowiedź, w której brzmiała niepewność i strach.

Poczuł, jakby ktoś wbijał mu sztylet w serce. Po raz ostatni spojrzał na ojca i odwrócił się w stronę matki. Stała w nogach łóżka, zaciskając kurczowo palce na drewnianej ramie. Chciał ją jakoś pocieszyć, lecz nie znalazł w sobie dość siły. Wychodząc z pokoju, położył jej tylko dłoń na ramieniu.

Już miał zamknąć drzwi, kiedy usłyszał głos matki. Znieruchomiał z ręką na klamce.

- Jestem zmęczona, Elizo - mówiła pełnym napięcia głosem. - Zdajesz sobie sprawę, jak długo już z tym żyję, zastanawiając się nie czy on zginie, lecz kiedy to się stanie?

- Wiem.

- Ile dni, miesięcy i lat spędziłam w samotności, zastanawiając się, gdzie on jest i czy nadal żyje - ciągnęła Tempie, jakby nie słysząc cichej odpowiedzi Elizy. - Za każdym razem, kiedy wyjeżdżał... kiedy się z nim żegnałam, wiedziałam, że może widzę go po raz ostatni, bo są tacy, którzy nie zapomnieli o tym nieszczęsnym traktacie i wciąż szukają pomsty. Trzydzieści lat, Elizo. Martwiłam się o niego przez te wszystkie lata, a teraz on tu leży. Może tym razem naprawdę umrze. Boże, nie chcę go stracić - dodała łamiącym się głosem.

- Nie stracisz go.

Tempie wciągnęła głęboko powietrze i cicho westchnęła.

- Tyle razy sobie powtarzałam, że wszystko będzie dobrze. Teraz nie wiem, czy mogę w to wierzyć.

- On przeżyje - powiedziała Eliza z mocą. - Nie wiem, skąd mam tę pewność, ale mam. Ty też musisz w to wierzyć. On cię potrzebuje.

- Wiem.

Słyszając ciche kroki na schodach, Lije odsunął się od drzwi, zostawiając je uchylone. Na szczycie schodów ukazała się Susannah.

- Właśnie szłam po ciebie - powiedziała. - Phoebe przygotowała ci coś do jedzenia w jadalni.

Zszedł za nią na dół. W jadalni zatrzymał się i spojrzał na krzesło u szczytu stołu. Tu zawsze siedział ojciec. Na prawo od tego miejsca stał talerz z fasolą i chlebem, srebrny widelec, filiżanka i dzban z melasą. Lije przesunął wszystko na drugi koniec stołu i usiadł.

Susannah patrzyła na to ze ściśniętym sercem. Za tym coś się kryło. Domyśliła się tego, jak tylko Lije powiedział im o ojcu. Przez cały czas wypowiedział zaledwie kilka słów. Kiedy Eliza wyjmowała kulę, stał i trzymał świecę, nieruchomy i milczący. Jednak za tym ponurym milczeniem Susannah wyczuwała kipiącą wściekłość, która wychodziła daleko poza uzasadnioną troskę o ojca.

Słumiła westchnienie i podeszła do kredensu.

- Wspaniale pachnie ta kawa, prawda? Nalać ci? Skinął głową.

Podeszła z dzbankiem do stołu i napełniła filiżankę, gdy tymczasem Lije moczył chleb w ciemnej melasie. Kiedy stawiała ją przed nim, zauważyła leżącą obok talerza kulę. Zadrżała mimowolnie.

- Boże, skąd to się tu wzięło?

Wyciągnęła rękę, by ją zabrać, lecz on pierwszy ją pochwycił. Podniosła na niego wzrok i napotkała chłodne spojrzenie.

- Chcę ją zatrzymać. Wyprostowała się.

- Lije, nie rób tego. Przecież on nie umarł. Przesunął kulę między palcami.

- Kipp nie żyje.

- Kipp? - powtórzyła zaskoczona. - Gdzie? Kiedy? - I nagle zrozumiała znaczenie jego słów.

Osunęła się na najbliższe krzesło. - O mój Boże! Chcesz powiedzieć, że to on strzelił do Blade'a... Jak... - Wiedziała, o co chce zapytać, lecz głos odmówił jej posłuszeństwa.

- Kipp musiał być w patrolu, który go zaatakował. Nie byłem przy tym - powiedział bezbarwnym głosem. - Kiedy znaleźliśmy go z Deu, był przytomny. Powiedział, że zabił Kippa. Chciał, żebym powiedział matce, że mu przykro.

- Czy ty...

- Nie. Dość miała wrażeń na dziś. - Popatrzył na kulę. - Wojsko ją o tym zawiadomi albo ojciec sam jej powie, jeśli wyzdrowieje.

- Nie mów tak, Lije. On wyzdrowieje.

Nie odpowiedział. Wsunął kulę do kieszeni bluzy, wziął widelec i zjadł kilka porcji ostro przyprawionej fasoli, popijając kawą.

Susannah obserwowała go w milczeniu. Każdy jego ruch był wyważony, wyzbyty wszelkich emocji. Czowała, jak gdzieś za tą powłoką obojętności rośnie napięcie i rozgoryczenie. To tak, jakby znajdowała się w zamkniętym pokoju, za drzwiami którego szalał ogień. Czowała żar, chociaż nie widziała dymu i nie słyszała trzasku płomieni.

- Nie powiedziałaś mi wszystkiego, prawda, Lije? Rzucił jej chłodne spojrzenie.

- Powiedziałem wszystko, co wiem.

- Naprawdę?

Podniósł głowę i zmierzył ją twardym wzrokiem.

- Nie było mnie przy tym.

W jego gniewnym głosie zabrzmiało głębokie poczucie winy. Westchnął, odłożył widelec i odchylił się na krzesło, zakładając jedną rękę na oparcie, a drugą biorąc filiżankę.

- Nie było mnie przy tym - powtórzył, po czym wypił łyk kawy. - Powinienem tam być, ale nie byłem. To przeze mnie teraz tam leży.

- Dlaczego cię nie było? - zapytała niecierpliwie Susannah.

- Zebrałem mały oddział i ruszyłem na zwiad. - Skrzywił się. - Wiedziałem, że Kipp tu jest. Zobaczyłem go, kiedy atakowaliśmy ten pociąg z zaopatrzeniem nad Cabin Creek. Wiedziałem, że będzie szukał okazji do spotkania z ojcem. Myślałem... - Zagryzł wargi.

- Co myślałeś?

Westchnął. Odchylił głowę i spojrzał na sufit.

- Pomyślałem, że jeśli ruszę na zwiad, pierwszy go dostrzegę. Myślałem... - Urwał, pokręcił głową, po czym odstawił filiżankę na stół. - Zbyt długo mnie nie było. Za daleko odjechałem. Powinienem przewidzieć, że Kipp przemknie się za moimi plecami. Powinienem zostać z ojcem. Powinienem tam być. To wszystko moja wina.

Susannah zerwała się na równe nogi, podeszła do kredensu i odstawiła z trzaskiem dzbanek z kawą na tacę. Potem odwróciła się do Lijego, który wpatrywał się w nią zaskoczony.

- To najbardziej absurdalna rzecz, jaką w życiu słyszałam - oznajmiła. - To, co się stało, jest tragiczne, lecz nie możesz się za to obwiniać.

- Nie rozumiesz - rzucił niecierpliwie.

- Przecież to oczywiste. Co niby mógłbyś zrobić, gdybyś tam był? - zapytała, podpierając się pod boki. - Ostroniłbyś go własnym ciałem, przyjął kulę, która przeznaczona była dla niego? Wówczas ty leżałbyś tam na górze, a twój ojciec miałby wyrzuty sumienia. - Zobaczyła, że się z nią nie zgadza, westchnęła więc zrezygnowana. - Bądź realistą, Lije. Nawet gdybyś tam był i tak nie mógłbyś nic zrobić.

- Nigdy się tego nie dowiem. Zaciśnęła wargi i spróbowała jeszcze raz.

- Ta kula pochodzi z broni Kippa i to on jest za wszystko odpowiedzialny. Nikt inny.

Wziął do ręki widelec i zaczął jeść. Susannah patrzyła na niego i czekała, że coś powie.

- Nie przypuszczałem, że jestem głodny, ale to wspaniale smakuje - odezwał się po chwili. - Lepiej niż suchary i suszone mięso, które jadłem rano.

Susannah odsunęła krzesło i usiadła.

- Specjalnie zmieniasz temat, prawda? Udał, że nie słyszy.

- Czy nauczyłaś się już strzelać z derringera? - zapytał od niechcienia. Zmarszczyła brwi.

- Z derringera? Kto ci powiedział, że mam derringera?

- Rans Lassiter z Brygady Tekszańskiej.

Włożył do ust dużą porcję umoczonego w melasie chleba. Poczowała, jak serce zaczyna jej szybciej bić.

- Powiedział, że się znacie. - Od tamtego spotkania minął już prawie rok, lecz wspomnienie wciąż było żywe w jej pamięci. - Powiedz mi, czy on jest w tych okolicach?

- Jego oddział wrócił kilka tygodni temu.

- A więc nie było go tu. Lije spojrział na nią z uwagą.

- Zrobiłaś na nim duże wrażenie.

- Naprawdę? - Spuściła głowę, by ukryć zadowolenie.

- Był z patrolem w Oak Hill. Po powrocie powiedział nam, że zostało spalone do fundamentów.

Kilka dni później dowiedzieliśmy się, że przeniosłyście się tu z Elizą.

Ucieszyła ją wiadomość, że Rans chciał ją zobaczyć. Poczula ciepło wokół serca. Zaraz jednak coś sobie przypomniała.

- Czy przekazał ci wiadomość o Dianie?

- Tak - padła zwięzła odpowiedź.

- Ona tu jest, Lije. W Fort Gibson. Przyjechała, by opiekować się rannym ojcem.

- Widziałem, jak go trafili. - Patrzył w talerz, starannie unikając jej wzroku. - Jak on się miewa?

- Lepiej. W zeszłym tygodniu wrócił do służby. - Zawahała się, lecz wiedziała, że musi mu to

powiedzieć. - Został trafiony w rękę. Ocalili ją, ale doznał trwałego kalectwa.

- Ma sparaliżowaną rękę? - Nadal nie podnosił wzroku.

- Tak - odparła, po czym dodała pospiesznie: - To ryzyko, jakie podejmuje człowiek, który wyrusza na wojnę. To słowa Jeda.

Skinął głową, po czym odłożył widelec i wytarł usta serwetką.

- Powiedz Phoebe, że kolacja mi smakowała. Wstał od stołu.

- Dokąd idziesz?

- Zajrzeć do koni i sprawdzić, czy Deu dobrze ukrył. Odwrócił się w stronę drzwi.

- Nie zapytasz o Dianę? - Susannah nie dawała za wygraną. - Nie chcesz wiedzieć, jak się miewa? Nie chcesz jej niczego przekazać?

Ruszył do wyjścia.

- Lije - rzuciła z pretensją w głosie.

- Co ci mam powiedzieć? - zapytał gniewnie, lecz Susannah wiedziała, że pod gniewem kryje się ból. - Że wciąż o niej myślę? Co to da? Ja mam obowiązki, które nie zgadzają się z jej pragnieniami. Lecz ona tego nie rozumie. Nie chce zrozumieć, że muszę robić to, co uważam za słuszne. - Urwał, zdając sobie sprawę, że powiedział zbyt dużo. - To przebrzmiała sprawa - dodał. - Najlepiej zostawić ją w spokoju. - I wyszedł z jadalni.

Tempie siedziała w fotelu ustawionym blisko łóżka. Oczy jej się zamykały ze zmęczenia.

Przysypiała, to znowu się budziła. Natychmiast jednak oprzytomniała, słysząc jęki i szelest pościeli.

Twarz Blade'a wykrzywił grymas, a palce zaciskały się nerwowo na prześcieradle. Jęczał urywanie, chwytając spazmatycznie powietrze. Dotknęła czoła, by sprawdzić, czy ma gorączkę.

- Ciii, kochanie - szepnęła.

- Boli... plecy... noga.

Odwróciła się ku stojącemu na szafce koszykowi z medykamentami i wyjęła buteleczkę laudanum. Wyciągnęła korek i przytknęła Blade'owi butelkę do ust, podkładając mu rękę pod głowę.

- Wypij to. - Wlała do ust niewielką ilość. - To złagodzi ból. - Przemawiała do niego jak do dziecka. - Jeszcze trochę. O tak, dobrze.

Czekając, aż narkotyk zacznie działać, zmoczyła ściereczkę i obmyła mu twarz i szyję. Jęki ustały dopiero po kilku minutach. Ranny otworzył oczy i starał się skupić na Tempie otumaniony bólem i środkiem nasennym wzrok.

- Tempie? - wymamrotał niewyraźnie.

- Jestem przy tobie - powiedziała, starając się uśmiechnąć.

- Wybacz... nie chciałem..

- Ciii, nic nie mów. Odpoczywaj.

Posłusznie zamknął oczy.

Co z nim? - W drzwiach stanął Lije.

- W porządku - odparła, po czym okryła Blade'a kocem i podeszła do Lijego. Splotła ręce przed sobą. - Bardzo go boli. Dałam mu trochę laudanum. Powinno na jakiś czas pomóc. - Rozległo się pianie koguta. Spojrzała na zaciągnięte zasłony, potem znówu na łóżko. - Która godzina?

- Już świta. - Lije stał w cieniu, z dala od światła świec. - Musisz trochę odpocząć. Teraz ja przy nim posiedzę.

Pokręciła głową.

- Nie mogłabym zasnąć.

- Musisz spróbować. Jemu potrzebna jest twoja siła.

- Wiem, ale... - Ponownie spojrzała na łóżko.

- Obudzę cię, gdyby zaszły jakieś zmiany. Zawahała się, po czym skinęła głową.

- Dobrze, ale tylko na dwie godziny.

- Obudzę cię.

Zaczekał, aż wyjdzie z pokoju i podszedł do łóżka. Nikłe światło wczesnego poranka sączyło się przez zasłony. Zdmuchnął świecę i usiadł w fotelu. W palcach nieustannie obracał wyjętą ojcu kulę.

Nie mogąc dłużej znieść napięcia nerwów i dręczącego go niepokoju, Lije wcisnął na głowę kapelusz i wyszedł z sypialni. Nie mógł już patrzeć, jak ojciec się męczy. Przez ostatnie trzydzieści sześć godzin nie nastąpiła żadna zmiana. Byłaby w tym jakaś pociecha, gdyby nie silny ból, który pojawiał się natychmiast, kiedy laudanum przestawało działać. Ojciec cierpiał straszliwe męczarnie.

Lije wyszedł na tylną werandę i wciągnął głęboko powietrze w płuca, próbując zapanować nad wściekłością, która kipiała w jego wnętrzu. Słońce stało wysoko na niebie. Popołudniowy wiatr gonił po trawie pierwsze jesienne liście.

Zmrużywszy oczy, Lije powiódł dokoła wzrokiem. Wszędzie panowała martwa cisza. Kiedyś o tej porze roku plantacja kipiała życiem. Był to bowiem czas żniw. Teraz nikt nie pracował na polach, pastwiska stały puste, nie pachniało świeżo skoszone siano i nie słychać było terkotania pras do rozgniataania jabłek. Zamiast tego widział walące się płoty, puste murzyńskie baraki, pordezewiałe maszyny i spacerującego pod drzewami starego koguta.

Zszedł z werandy i ruszył ku murzyńskim kwaterom, gdzie stały ukryte konie. Zdążył zrobić zaledwie trzy kroki, kiedy postyszał wołanie Sorrel. Odwrócił się, gotów natychmiast wracać.

- Co się stało?

Stała na werandzie, obejmując ręką kolumnę.

- Wyjeżdżasz? - zapytała z rzadką u niej nieśmiałością.

- Nie - odparł z lekką irytacją. - Idę do koni upewnić się, czy mają wodę do picia.

- Mogę pójść z tobą?

Popatrzył na nią, zaciskając usta w wąską linię. Wszystkiego, czego teraz pragnął, to samotności - chwili spokoju, by móc wyładować wściekłość i uspokoić jakoś stargane nerwy. Ale Sorrel wydała mu się dziwnie cicha, niepodobna do dawnej rozpieszczonej, nieposłusznej siostry. Odkąd tu był, przemykała się po domu niczym cień.

- Chodź, jeśli chcesz - rzucił niechętnie.

Obrócił się i ruszył ku barakom. Posłyszał za sobą cichy tupot stóp. Dogoniła go i szła obok niego ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Konie stały w osmalonym szkielecie baraku, w który w zeszłym roku uderzył piorun. Lije przedarł się przez wybijające chwasty, odsunął zeschnięte gałęzie i wszedł do środka.

Wielki deresz uniósł w górę łeb, parsknął na powitanie i powrócił do szczypania trawy. Pozostałe dwa zastrzygły uszami, lecz nie przerwały jedzenia. Kubelki z wodą były opróżnione do połowy.

- Który jest twój? - zapytała Sorrel, podchodząc ostrożnie bliżej.

- Dereszowaty.

Przesunęła dłonią po szyi konia.

- A co się stało z Jubalem?

- Trafiła go kula jeszcze w lutym tego roku. - Przyjrzał się otarciemu na zadzie wierzchowca kasztanowej maści.

- A jak tego nazwał?

- Nie dałem mu imienia. - Podniósł przednią nogę kasztanka i zaczął czyścić kopyto. Nie powiedział jej, że w czasie wojny konie zbyt szybko giną, by nadawać im imiona. Giną od kul, łamią sobie nogi lub zdychają od chorób. Prócz Jubala stracił jeszcze dwa konie, a dwa inne lizały się z ran w Boggy Depot.

- Nazwałabym go Czerwony Dym.

Lije mruknął coś pod nosem i zajął się następnym kopytem. W nozdrza uderzył go ostry zapach końskiego potu, popiołu i nawozu.

- Lije?

Ponownie usłyszał w jej głosie napięcie i niepokój.

- Tak. - Wpatrywała się w niego pociemniałym udręczonym wzrokiem.

- Czy tatuś umrze?

- Nie - odpowiedział szybko i zdecydowanie.

- Ale mógłby, prawda?

- Tak - przyznał, choć już w to nie wierzył. Broda zaczęła jej drżeć.

- Gdyby umarł, to byłaby moja wina. Wyprostował się i uniósł brew.

- Dlaczego?

- Bo... - Urwała, walcząc z napływającymi łzami. - Bo ja chciałam, żeby umarł. Powiedziałam, że zasługuje na śmierć za te wszystkie spalone domy, zabraną żywność, zabitych ludzi.

Powiedziałam, że ty też powinieneś umrzeć. Ale wcale tak nie myślałam. Naprawdę - załkała.

Podszedł do niej.

- Naturalnie, że tak nie myślałaś. - Przyciągnął ją do siebie, otoczył ramionami i przesunął palcami po rudych włosach. Przytuliła się do niego i zaniósła szloch. Pozwolił jej się wypłakać. - Nie powinnaś się za to obwiniać, Sorrel. - Wyczuwał dotyk kuli spoczywającej w kieszeni bluzy. - Nie masz nic wspólnego z tym, co się stało.

- Ale chciałam, żeby tak się stało - powiedziała wśród łkań.

- Ile masz lat, Sorrel? Jedenaście? Dwanaście? - Próbował sobie przypomnieć.

- Prawie dwanaście - odpowiedziała. Przestała płakać, lecz nadal kryła twarz na jego piersi.

Odsunął ją od siebie i chwycił za brodę. Kciukiem otarł wilgoć z policzków. - Jesteś więc na tyle duża, by wiedzieć, że sama chęć nie czyni szkody. Dopiero jeśli wprowadzisz ją w czyn. A

przecież nic nie zrobiłaś, prawda?

- Nie.

- To te słowa, które wypowiedziałaś w gniewie, tak cię zdenerwowały, prawda?

Skinęła głową, wpatrując się w niego intensywnie.

- Ja też kilka razy się gniewałem... i mówiłem rzeczy, których nie myślałem. Potem zawsze tego żałowałem... tak jak ty teraz - dodał z nikłym uśmiechem.

- Przepraszam. - Pociągnęła nosem.

- Już dobrze.

Nagle znieruchomiał, wychwytyjąc szelest czyichś kroków, przedzierających się przez wysokie chwasty.

- Lije? - zawołała cicho Susannah. - Jesteś tam?

- Tak. - Odsunął Sorrel od siebie i szepnął: - Lepiej wytrzymaj łyzy, bo inaczej będziemy musieli tłumaczyć Susannah, dlaczego płakałaś. - Zostawił Sorrel ocierającą twarz rękawem i wyszedł Susannah na spotkanie. - Chcesz czegoś ode mnie?

- Tak - odparła. - Pomożesz mi zaprząć muła do wozu? Muszę pojechać do fortu.

- Po co? - zapytał szybko. - Czyżby ojcu się pogorszyło?

- Nie... tylko kończy się laudanum. Tempie musiała zwiększyć dawki i ich częstotliwość, by Blade mógł jakoś wytrzymać ból. Starczy najwyżej do wieczora. Muszę zdobyć więcej.

- Jak? - zapytał, marszcząc czoło.

- Nie wiem - powiedziała. - Wymyślę jakąś bajeczkę. Jeśli będzie trzeba, ukradnę. Ale nie mogę pozwolić, żeby Blade tak cierpiał.

Skinął głową. Całkowicie się z nią zgadzał.

Susannah zatrzymała wóz przed szpitalem. Owinęła lej ce wokół rączki hamulca i uniosła suknię, by zsiąść z wozu, kiedy nagle spostrzegła wychodzącego ze szpitala Aleksa. Przepowiadając sobie po drodze różne wersje wydarzeń, nie wzięła pod uwagę osoby Aleksa. Pastora Cole - tak. Dianę - również. Lecz nie jego.

Zeskoczyła z wozu i wyszła mu na spotkanie.

- Co ty tu robisz, Alex? - zapytała ze zdziwieniem.

- Mógłbym zapytać cię o to samo - odpowiedział z tym swoim ironicznym uśmiechem, za którym krył się chłód i surowość. Dreszcz przebiegł jej po plecach.

- Chyba nie jesteś ranny? - Zręcznie uniknęła odpowiedzi na jego pytanie. Lije powiedział jej, że Kipp nie żyje, lecz instykt ostrzegł, by nie wyjawiała Aleksowi, że o tym wie. Spojrzała na szpital i pomyślała, że może Lije się mylił. - Czy to Kipp? Czy on...

- Ojciec nie żyje.

Odebrała tę wiadomość, jakby usłyszała ją pierwszy raz.

- Nie - wyszeptała.

- Wczoraj przywiozłem do fortu jego ciało. Został pochowany o zachodzie słońca. - Powiedział to beznamiętnym, wyzbytym z wszelkich uczuć tonem.

- Alex - mruknęła ze współczuciem w głosie i uściśnęła mu rękę. - Tak mi przykro.

Spojrzał na nią spod zmrużonych powiek.

- Nie zapytasz, jak zginął?

- Jak? - powtórzyła zaskoczona. Czyżby Alex tam był? - pomyślała. - Widział, co się stało? W przeciwnym razie by o to nie pytał. - Myślałam, że... zastrzelili go rebelianci.

Patrzył na nią przez nieskończenie długą minutę, po czym skinął głową i uśmiechnął się cynicznie.

- Tak. Blade będzie zadowolony, kiedy się dowie, że ojciec nie żyje.

- Nie powinieneś mówić takich rzeczy, Alex. Skoro Kipp nie żyje, niech więc i cała nienawiść umrze wraz z nim.

- Taaa. - Po raz pierwszy oderwał wzrok od jej twarzy. - Mój oddział znowu wyrusza jutro w teren. Pastor Cole mówił, że pojedzie do Tempie przekazać jej wiadomość o ojcu.

- Nie ma potrzeby, by trudził się tak daleko. Wiem, jaki jest zajęty. Powiedz mu, że ja ją zawiadomię.

Skinął głową i spojrzał na wóz.

- Co tu masz?

- Stare płótna, które podarłyśmy na bandaże. Pastor Cole mówi, że zawsze ich brakuje. - Była to dość licha wymówka, toteż szybko zmieniła temat. - Nie powiedziałaś mi jeszcze, co robiłaś w szpitalu.

- Odwiedzałem przyjaciela. - Niecierpliwie przestąpił z nogi na nogę. - Słuchaj, muszę już iść do stajni, bo zaczną mnie szukać. Przekaż pozdrowienia babci Elizie i Sorrel.

Przekażę.

Odprowadziła go wzrokiem, a kiedy zniknął z oczu, odetchnęła z ulgą, wzięła bandaże, na wypadek gdyby natknęła się na Dianę, i ruszyła do szpitala.

Orientując się już w rozkładzie, który zdążyła poznać, pracując jako wolontariuszka, minęła szybko sale szpitalne, gdzie mogła spotkać Dianę, i poszła prosto do magazynu i jednocześnie małego ambulatorium.

Na szczęście był tam znajomy sanitariusz, niski krępy mężczyzna z bokobrodami.

- Jak się macie, szeregowy Cosgrove? Uniósł głowę i uśmiechnął się do niej.

Panna Gordon, cóż za niespodzianka. Panna Parmelee nie mówiła, że pani będzie dziś pomagać.

- Właściwie to przyjechałam w innym celu, ale przy okazji chciałam podrzucić te bandaże.

- Ach, cóż ze mnie za głupiec. - Uderzył ręką się w czoło. - Porucznik Gordon był przecież pani bratem. Proszę przyjąć wyrazy współczucia. Zapewne przyjechała pani odwiedzić jego grób.

- Najpierw chcę się zobaczyć z doktorem. Czy major Clark jest zajęty?

- Nie czuje się pani dobrze? - Popatrzył na nią z uwagą.

- Ja tak. Chodzi o moją matkę. Zastałam majora Clarka?

- Jest w swoim gabinecie, pisze raporty. Zaprowadzę panią do niego. Kiedy znalazła się w gabinecie Adama Clarka, nie tracąc czasu na uprzejmości, natychmiast wyłuszczyła swoją sprawę. Opowiedziała zmyśloną historię o nieszczęśliwym upadku matki i ostrym bólu w plecach.

- W plecach, powiada pani? - Doktor zmarszczył brwi.

- Czasami jest tak przenikliwy, że matka nie może się powstrzymać od krzyku. A nie należy do kobiet, które udają.

- Rozumiem - mruknął i począł zadawać wyczerpujące pytania. Czy zauważyła jakąś opuchliznę? Czy matka ma gorączkę? Czy drętwieją jej nogi? Czy może ma miękki brzuch?

Susannah w myślach dopasowała te pytania do Blade'a i odpowiedziała na wszystkie przecząco.

- Ciekawe. - Adam Clark zaczął nakładać w zamyśleniu tytoń do fajki. - Musiał zostać uszkodzony nerw i zapewne to on jest przyczyną bólu.

- Miałyśmy w domu trochę laudanum, ale się skończyło. A właściwie skończy się dziś wieczorem - wyjaśniła. - Dlatego przyjechałam poprosić pana o więcej.

- Naturalnie. Proszę ze mną. - Odłożył fajkę na biurko i wstał z krzesła.

Piętnaście minut później Susannah wsiadała na wóz. W kieszeni sukni miała pudełeczko z morfiną. Według obliczeń majora Clarka ta porcja powinna wystarczyć na tydzień. Należało tylko podawać ją w odpowiednich dawkach. Zakończywszy swą misję, Susannah uderzyła muła lejcami po zadzie i muł niechętnie ruszył z miejsca. Adam Clark pomachał jej na pożegnanie, lecz Susannah tak się spieszyła, że tego nie dostrzegła.

Nie zauważyła też Diany i pastora Cole'a, wychodzących ze szpitalnego namiotu.

- Jak powiedział John Wesley: „Czystość idzie w parze z pobożnością” - zauważył wielebny Cole.

- Powinien pan, pastorze, uczynić to zdanie tematem swojego niedzielnego kazania dla uchodźców. To może za... - Urwała i popatrzyła za odjeżdżającym wozem. - Czy to nie była Susannah?

Pastor Cole poszedł za jej wzrokiem.

- Chyba tak. Ciekawe, co ona tu robi? Podeszedł do nich Adam Clark.

- Witam, pastorze, Diano. - Uśmiechnął się do niej ciepło. - Piękny mamy dzień, nieprawdaż?

Wkrótce skończy się ładna pogoda. Zima czeka już za rogiem.

- Tak - przytaknęła w roztargnieniu Diana. - Powiedz, czy to nie Susannah właśnie odjechała?

- Tak.

- Nie rozumiem, czemu nie zajrzała do mnie.

- Spieszyła się do matki - wyjaśnił i zmarszczył brwi w zamyśleniu. - Wygląda na to, że porządnie się potłukła.

- Eliza? - zapytał pastor z nagłą troską w głosie.

- Z tego co mówiła Susannah, nic nie jest złamane. Nic też nie wskazuje na wewnętrzne obrażenia. Ale cierpi na ostre bóle. Czasami wręcz nie do zniesienia. Widocznie musiał zostać uszkodzony nerw. Dałem Susannah morfinę. To powinno osłabić ból.

- Sądysz, że to coś poważnego? - zapytała Diana.

- Trudno powiedzieć. Najlepszym lekarstwem na to jest odpoczynek. Susannah obiecała, że będzie mnie informować o stanie zdrowia matki.

Zachodzące słońce zabarwiło niebo purpurą i powoli zapadał zmrok, kiedy Susannah dotarła wreszcie do domu. Lije wyszedł jej na spotkanie.

- Zacząłem się już zastanawiać, co się z tobą stało. Masz?

- Tak. Starczy na tydzień - odpowiedziała. Podeszedł do nich Deu.

- Zajmę się wozem i mułem, panienko - powiedział.

- Dziękuję, Deu. - Oddała mu lejce i przesunęła się na bok, gdzie czekał Lije, by pomóc jej wsiąść. - Jak on się czuje?

Bez zmian.

Ruszyli razem do domu.

Natychmiast zbiegli się wszyscy domownicy. Zamiast odpowiadać na setki pytań, wyjęła pudełeczko z kieszeni.

- Dzięki Bogu - odetchnęła z ulgą Tempie, ściskając Elizę za rękę.

- To morfina - poinformowała Susannah. - Major Clark ostrzegł mnie, że to silniejszy środek od laudanum i trzeba go podawać w ściśle określonych dawkach.

- Miałaś jakieś kłopoty ze zdobyciem? - zapytała Eliza.

- Żadnych. Na szczęście doktor uwierzył w tę historię o twoim upadku - odparła z uśmiechem, po czym zawahała się. - Spotkałam Aleksa. - Natychmiast wyczuła na sobie ostry wzrok Lijego.

- Naprawdę? - wykrzyknęła Sorrel i dodała ze skargą w głosie: - Szkoda, że nie pojechałam z tobą do fortu. Ja...

Lecz Susannah nie zwracała na nią uwagi.

- Niestety, mam złe wieści. Kipp został zabity.

Z gardła Tempie wydarł się jęk rozpacz i protestu. Eliza otoczyła ją ramieniem.

- Musimy wierzyć, że po latach nienawiści Kipp w końcu znalazł spokój.

Myślom Lijego daleko było do miłosierdzia. Zostawił panie i wrócił do pokoju ojca. Przy łóżku siedziała Phoebe z łyżeczką i miseczką gęstej papki w rękę. Ojciec leżał podparty na poduszkach i oddychał spazmatycznie. Oczy miał zamknięte.

- Zjadł coś? - zapytał Lije, zaglądając do miseczki.

- Trochę - odpowiedziała, lecz wyraz jej twarzy mówił, że bardzo mało.

- Ja go teraz pokarmię. Idź na dół i powiedz matce, że zostanę przy nim. Niech zje kolację ze wszystkimi.

Podawała mu łyżkę i miskę.

- Powinien jeść, inaczej nie odzyska sił. Dostrzegł troskę w jej oczach i skinął głową.

- Spróbuję go namówić. - Usiadł, nabrał na łyżkę trochę papki i przytknął ojcu do ust. - Zjedz trochę - powiedział, kiedy Phoebe wyszła z pokoju.

Blade z trudem otworzył oczy.

- Lije? - wyszeptał ochryple.

Lije natychmiast wsunął mu łyżeczkę do ust.

- Tak, to ja. A teraz jedz. - Cofnął łyżeczkę i zebrał resztki jedzenia z górnej wargi. Zaczekał, aż

Blade przełknie, po czym ponownie nappełnił łyżeczkę papką.

- Nie przypuszczałem, że... tak może... boleć.

- Nie mów, tylko jedz. - Ponownie wsunął mu łyżeczkę do ust i zaczął, aż ojciec nieco odpocznie.

Po trzech porcjach Blade ponownie otworzył oczy.

- Matka... Kipp?

Lije nie miał żadnego kłopotu ze zrozumieniem, o co ojciec pyta.

- Wie tylko, że Kipp nie żyje. Jeśli o mnie chodzi, to na tym bym poprzestał. Nie trzeba przysparzać jej bólu. - Nabrał kolejną porcję papki. - Niech myśli, co chce. Kipp nie żyje. Tylko ty jeden wiesz, co się stało.

Na czole chorego pojawiła się zmarszczka.

- Alex...

Lije zatrzymał łyżeczkę w pół drogi.

- Alextambył?

Blade ledwo dostrzegalnie skinął głową. Lije zaklął pod nosem i zacisnął gniewnie usta.

Wiedział, że Alex na pewno nie będzie trzymał języka za zębami.

- Zaczekaj. - Przyszło mu nagle coś do głowy. - Kto do ciebie strzelił? Kipp czy Alex?

- Nie wiem... - Blade poruszył lekko głową. - Kipp nie żyje... To musiał być... Alex.

- Alex. - Lije poczuł, jak rośnie w nim gorycz i gniew. A więc nic się nie skończyło. Śmierć Kippa niczego nie załatwiła.

Porywisty, północnozachodni wiatr wzbijał w górę tumany kurzu i liści. Co chwila silny poryw targał jadącą Traktem Tekszańskim kolaską. Mrużąc oczy przed kurzem, Diana trzymała się jedną ręką poręczy, a drugą przytrzymywała kapelusz.

- Jesteśmy prawie na miejscu. - Wiatr tłumiał głos wielebnego Cole'a. - To dobrze. Nadciąga burza.

Diana spojrzała w niebo.

- Nie widać żadnej chmury.

- Na razie. - Wskazał głową na zachód, gdzie horyzont zasłaniały czarne chmury.

- Burza o tej porze roku? - Zbyt długo jednak mieszkała w tej części kraju, by nie wiedzieć, że burze potrafią zdarzać się tu o każdej porze roku, nawet zimą. A teraz mieli wrzesień.

- Powietrze mimo wiatru jest parne i duszne.

Dostrzegł skręt ku dworowi Stuartów i po chwili jechał już aleją dojazdową.

Nielitościwy wiatr dmuchał im teraz plecy. Buda kolaski tłumiała jego porywy. Diana odetchnęła z długo oczekiwaną ulgą. Koń parsknął z zadowoleniem i przyspieszył, jakby wyczuwając, że cel przeznaczenia jest bliski.

Wkrótce ukazał się dom Stuartów, otoczony chylącymi się drzewami i częściowo zasłonięty chmurą wzbijanego piasku. Diana patrzyła na niego. Natychmiast ogarnęły ją wspomnienia, niebezpieczne i wciąż żywe.

- Mam nadzieję, że Elizie się polepszyło - powiedziała, starając się myśleć o czymś innym.

- Ten upadek to jeszcze jeden powód, żeby przenieść się bliżej fortu - powiedział pastor Cole. - W tak niepewnych czasach niebezpiecznie jest mieszkać na takim odludziu.

- Tempie na pewno nie zgodziłaby się opuścić domu.

- Jeśli ona zostanie, zostaną też Eliza i Susannah. To trzy uparte kobiety.

Diana wolała myśleć o nich jako o niezależnych i wolnych, które to cechy uważała za godne podziwu.

Kolaska zatrzymała się przed domem. Nikt jednak nie wyszedł im na spotkanie. Słysząc było jedynie szum wiatru w drzewach, szelest liści, zgrzyt uderzających o siebie gałęzi i trzask pękającego konaru.

Wielebny Cole powiódł wzrokiem po otoczeniu.

- Chociaż cieszę się, że niewolnicy odzyskali wolność, to wciąż nie mogę się przyzwyczaić, że nikt nie podbiega, by przytrzymać mi konia.

Odłożył lejce i wysiadł z powoziku, prostując długie, kościste ciało. Następnie wyjął koszyk z produktami, postawił go na ziemi i podał rękę Dianie.

Silny podmuch wiatru targnął jej suknią i dmuchnął w twarz piaskiem. Przytrzymała kapelusz i podeszła do drzwi. Kiedy sięgała ręką do kołatki, niespodziewanie się otworzyły.

W progu stała Sorrel, patrząc na nich ze zdziwieniem.

- Wielebny Cole i Diana! Zobaczyłam kolaskę i... Susannah nic nie mówiła, że przyjedziecie.

- Bo nie wiedziała - odparła z uśmiechem Diana. - Możemy wejść?

- Oczywiście.

Sorrel wpuściła ich do środka, po czym pchnęła drzwi. Podmuch wiatru uderzył w okna, protestując, że go nie wpuszczono. Diana wzięła koszyk z rąk pastora i podała Sorrel.

- Daj to Phoebe, dobrze?

- A co tam jest?

Uniosła koszyk w górę, próbując zajrzeć pod szmatkę.

- Puszki z owocami i wędzona szynka, którą znalazł mój ojciec ukrytą na zapleczu.

Diana odsunęła z twarzy kilka niesfornych pasemek.

- Prawdziwa szynka? - Sorrel aż westchnęła. - Nie pamiętam, kiedy ostatni raz ją jedliśmy.

- Przyjechaliśmy zobaczyć się z Elizą - odezwał się pastor Cole. - Gdzie ona jest?

- Babcia? Na górze, w pokoju mamy. Ja...

- Nie trzeba, znam drogę - powiedziała Diana i ruszyła ku schodom.

Sorrel zawahała się, po czym pobiegła z koszykiem do kuchni.

- Nie pojmuję, co Eliza robi w pokoju Tempie - powiedziała Diana, kiedy szli na górę.

- Na pewno da się to jakoś wytłumaczyć - odpowiedział.

- Tylko zupełnie nie wiem jak. Eliza należy do kobiet, które lubią mieć koło siebie własne rzeczy, a nie czyjeś.

Drzwi do sypialni Tempie były lekko uchylone. Diana zapukała.

- Kto tam? - usłyszała po chwili.

Był to głos Elizy, który wcale nie brzmiał słabo, lecz zdecydowanie.

- Diana. Wielebny Cole jest ze mną. Możemy wejść?

- Diana - zabrzmiało z ulgą w głosie. Potem dało się słyszeć ciężkie westchnienie. - Tak,

wejdźcie.

Coraz bardziej zaciekawiona weszła do pokoju i stanęła jak wryta, na widok stojącej przy łóżku Elizy.

- Elizo, cóż ty, na Boga... Powiedziano nam...

Urwała, słysząc szcęk broni. Odwróciła się i znieruchomiała. Przy ścianie za drzwiami stał Lije z rewolwerem w ręku. Ich oczy się spotkały i Dianę zalała gwałtowna fala wspomnień, budząc w niej dawne pragnienia, tęsknoty i to dziwne uczucie pustki, którego nie była w stanie się pozbyć.

Schudł, pomyślała. Twarz się wydłużyła, policzki zapadły, przydając mu surowego wyglądu. Ciało miał jak dawniej smukłe i sprężyste. Potargane końce czarnych włosów opadały na kołnierz koszuli. Nigdy nie wydał jej się równie wspaniały jak teraz.

- Lije - wyszeptała i już chciała podbiec do niego, lecz powstrzymał ją lodowaty chłód jego oczu, przypominając o tym, co zaszło między nimi. W kominku zawodził wiatr. Ten ponury dźwięk rozdzierał jej serce. Co... Co ty tu robisz?

W tym momencie ktoś jęknął chrapliwie. Lije wsunął rewolwer do pochwy, zamknął klapkę zabezpieczającą i spojrzał w stronę łóżka.

- Mój ojciec został ranny - powiedział.

Diana odwróciła się i zobaczyła leżącego na łóżku Blade'a z twarzą wykrzywioną bólem. Tempie i Susannah pochylały się nad nim z zasepionymi minami. Diana nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo zaabsorbował ją Lije. Na jego widok zapomniała o całym świecie. Nawet teraz jakaś jej część pragnęła jedynie patrzeć na niego.

Próbując się z tego otrząsnąć, zaczęła wyciągać szpilki z kapelusza i odłożyła je wraz z szalem i torebką na serwantkę.

- Co się stało? Jak został ranny? Trafił go szrapnel czy kula?

- Został postrzelony - wyjaśniła Tempie. Gdzie?

Podeszła do łóżka.

- W ramię i w plecy - wyjaśniła Susannah. - Właśnie miałyśmy zmienić opatrunek, kiedy

usłyszałyśmy głosy na dole.

- Porządnie nas przestraszyliście - odezwała się Eliza, patrząc wymownie na pastora.

- Przepraszam. - Spojrzał na nią ze współczuciem. - Kiedy jednak dowiedzieliśmy się od Adama o twoim upadku, bardzo się zaniepokoiiliśmy. Teraz już rozumiem, dlaczego Susannah opowiedziała mi tę historię.

- Tylko w ten sposób mogłam zdobyć morfinę.

- Naturalnie, naturalnie. - Kiwnął głową ze zrozumieniem. - A teraz powiedzcie, jak mogę pomóc?

- Mieliśmy obrócić go na bok - powiedział Lije. - Trochę nam pomoże, ale będzie mu łatwiej, jeśli razem to zrobimy. Proszę tylko uważać na jego rękę.

- Ma złamaną rękę? - Diana dostrzegła drewniane łupki, podtrzymujące ramię.

- Tak, ale to lekki uraz. Nie tak poważny, jak twojego ojca - wyjaśniła Tempie, patrząc, jak Lije i pastor przekręcają Blade'a na bok. - Kula musiała odbić się od kości i wyszła na zewnątrz.

- A co z raną w plecach? - zapytała Diana i pochyliła się, by popatrzeć, jak Tempie zdejmuje opatrunek. - Pomogę ci.

Lije nie mógł oderwać wzroku od jej złocistych włosów i zręcznych palców.

Kiedy postłyszał głos Diany, zdał sobie sprawę, że czas nie osłabił jego uczucia do niej; raczej je pogłębił. Rozdrażniło go to.

- Wygląda, że rana dobrze się goi - powiedziała Diana po zdjęciu opatrunku.

Lije utkwił wzrok w jej kształtnych wargach. Pamiętał ich smak i gorący dotyk. Wstrząsnął nim dreszcz pożądania, lecz brutalnie go stłumił.

- Ta opinia zapewne wynika z twojej rozległej wiedzy na ten temat? - zapytał złośliwie, czując, że ją tym krzywdzi, lecz nie mógł się powstrzymać.

Rzuciła mu szybkie, pełne gniewu spojrzenie i spuściła wzrok.

- Ostatnio miałam dużo do czynienia z ranami - odpowiedziała spokojnie.

- Diana codziennie przychodzi do szpitala i opiekuje się chorymi i rannymi - wstawił się za nią pastor Cole.

- Piękny anioł miłosierdzia wędrujący od łóżka do łóżka, przecierający chłodną szmatką trawione gorączką czoła i trzymający za rękę cierpiących - rzucił z ironią Lije, próbując stłumić uczucie zazdrości.

Pastor Cole spojrzał na niego z oburzeniem.

- Bardzo się mylisz, Lije, jeśli sądzisz, że jej pomoc ogranicza się tylko do takich czynności.

- Traci pan czas, pastorze - upomniała go delikatnie Diana. - Lije woli uważać mnie za zepsutą i rozpieszczoną pannę, której nawet przez myśl nie przejdzie, by wykorzystała swoje piękne rączki do tak nieeleganckich posług - powiedziała z lekką kpina w głosie. - Pewnie myśli, że mdleję na widok krwi. Zapomina jednak, że jestem córką żołnierza. Mogę być zepsuta, lecz nigdy nie byłam rozpieszczona.

Lije mądrze nic na to nie odpowiedział. Nie powinien mówić tych wszystkich przykrych rzeczy, lecz jego umysł płatał okrutne figle, przypominając mu, jak drżała w jego ramionach i z jakim żarem odpowiadała na pieszczoty. Wiedział, że nigdy więcej tego nie zazna.

Patrzył, jak Diana zakłada ojcu opatrunek. Jej palce poruszały się sprawnie i szybko. Zrobiła to bez zarzutu, z niezwykłą precyzją.

- Gdzie się tego nauczyłaś? - zapytał z podziwem.

- Kiedy przywożą rannych, doktorzy i sanitariusze z wdzięcznością przyjmują każdą pomoc. Nie ma dla nich znaczenia, że robi to ktoś z ładną buzią. Liczą się tylko zręczne palce.

Jej głos brzmiał słodko i jedwabiście, lecz oczy ciskały błyskawice, dając do zrozumienia, że nie wybaczyła mu jego krytycznych słów.

- Musiałaś mieć do czynienia z wieloma rannymi - powiedział, nie czując za to urazy.

- Ze zbyt wieloma - powiedziała z powagą. - Tak było w Fort Scott i tak jest w Fort Gibson. - Spojrzała na Blade'a. - Jeśli jesteście gotowi, ułóżmy go w wygodniejszej pozycji, by mógł odpocząć.

Pastor Cole i Lije przewrócili delikatnie rannego na plecy. Pomimo to z ust Blade'a wyrwał się głośny jęk, a twarz skrzywiła z bólu. Tempie pogładziła go po policzku.

- Ciii, już po wszystkim. Teraz odpoczywaj - szepnęła, po czym mruknęła z troską w głosie: - Dałam mu morfinę przez zdjęciem opatrunku, lecz ta rana bardzo go boli.

- I tak jest lepiej - powiedział Lije. - Kilka dni temu krzyczałby, gdybyśmy go przekładali.

- Szczęście, że w ogóle coś czuje, nawet jeżeli jest to ból - zauważyła Diana. Lije domyślił się natychmiast, że Jed Parmelee starcił nie tylko władzę, lecz także czucie w ręku.

- Masz rację, przepraszam. - Tempie odwróciła się do Diany. - Jak tam ojciec?

Kąciki ust Diany uniosły się w lekkim uśmiechu.

- Złości się, bo musi siedzieć za biurkiem i nie może się doczekać, kiedy wróci do czynnej służby. Wciąż zabiega o to, by pozwolono mu wrócić do pułku.

Sorrel wpadła jak burza do pokoju, zaraz jednak opanowała się i oznajmiła tonem damy:

- Phoebe szykuje herbatę. Pyta, czy ma podać ją w salonie.

- Tak, oczywiście - powiedziała Tempie.

Jej głos niemal utonął w nagłym podmuchu wiatru, który wstrząsnął domem.

- Spójrzcie, co się dzieje - powiedziała Eliza, kręcąc w zdumieniu głową. - Ktoś mógłby pomyśleć, że jest marzec.

- Nadciąga burza. W drodze do was zauważyliśmy z pastorem szeroki pas chmur. - Spojrzała znacząco na wielebneho Cole'a. - Chyba najwyższy czas wracać, jeśli mamy zdążyć przed burzą.

- Ależ zostańcie na obiedzie - zaproponowała Tempie. - Przeczekacie burzę tutaj. Na pewno zaraz przejdzie.

- Może dokończylibyśmy tę dyskusję w salonie - zaproponowała Eliza i zaczęła wszystkich kierować do drzwi.

Tempie zawahała się i spojrzała na Blade'a.

- Zostanę z nim - powiedział Lije. Ścisnęła go za rękę.

- Dobrze. Nie chciałabym zostawiać go samego.

Lije pochwycił pełne ulgi i wdzięczności spojrzenie Diany. Najwidoczniej oboje pragnęli uciec od swego towarzystwa. Po tylu miesiącach rozłąki jej widok utwierdził go w przekonaniu, że nic się między nimi nie zmieniło i to, co było, nigdy nie wróci.

Podszedł do łóżka i popatrzył na ojca, wsłuchując się w szum głosów na dole. Bez trudu wyłowił z niego głos Diany. Natychmiast odwrócił się z zamiarem zamknięcia drzwi, zaraz jednak zmienił zdanie i usiadł w fotelu.

Wyobraźnia podsunęła mu obraz Diany zakładającej ojcu opatrunek. W pokoju wciąż unosił się jej zapach, zmieszany z zapachami lekarstw.

Wyjął z kieszeni kulę wyjętą z ciała Blade'a i zaczął przesuwając ją między palcami, a potem

odchylił się na oparcie fotela i wyciągnął nogi przed sobą. Po chwili przeniósł wzrok na ojca i patrzył, jak jego pierś wolno unosi się i opada. Chory usnął.

Mijały minuty, a Lije nieustannie obracał kulę w palcach. Co chwila jego ucho wychwytywało perlisty śmiech Diany. Wtedy zaciskał mimowolnie palce na kuli.

Głosy na dole stały się wyraźniej sze. Goście wychodzili teraz z salonu, niemal całkowicie zagłuszając ciche kroki na korytarzu koło sypialni. Lije podniósł głowę i spojrzał z napięciem na drzwi. Na szczęście zbliżały się od strony tylnych schodów. Odetchnął z ulgą.

Chwilę później do pokoju wszedł Deu.

- Pani Tempie przysłała mnie, bym posiedział przy panu. Prosi, żeby pan kapitan zszedł na dół i zjadł z nimi obiad.

Lije pokręcił przecząco głową.

- Nie jestem głodny.

- Panna Diana przywiozła wielki kawał wędzonej szynki. Phoebe przyrzadziła ją na obiad. Już na sam jej widok cieknie ślinka. Proszę iść i spróbować. - Kiedy Lije znowu chciał odmówić, dodał: - Siedzenie przy stole na wprost panny Diany wcale nie jest gorsze od stawienia czoła oddziałowi Jankesów z tymi ich automatycznymi karabinami... albo od pani Tempie, kiedy się dowie, że nie chciał pan zejść.

Westchnął ciężko i wstał z fotela. Nagle bowiem uświadomił sobie, że równie ciężko jest mu znosić obecność Diany, jak i wsłuchiwać się w jej głos dochodzący z innego pokoju.

Kiedy wszedł do jadalni, wszyscy już siedzieli przy stole. Diana zajmowała miejsce po lewej stronie matki. Nie okazała większego zainteresowania na jego widok. Zacisnął zęby. A więc dobrze, pomyślał wściekle, skoro chcesz bawić się w te gierki, ja również mogę.

- Siadaj, Lije. - Tempie obdarzyła go lekkim uśmiechem. - Nathan właśnie miał odmówić modlitwę.

Podszedł prosto do pustego miejsca na szczycie stołu i odsunął krzesło.

- Skoro ojciec nie może zasiąść z nami do stołu, ja zajmę jego miejsce. Zaskoczona Tempie poleciła jednak Phoebe przenieść nakrycie. Kiedy Lije usiadł, dała znak pastorowi, by zaczął.

- Wszchemocny Boże, pobłogosław zgromadzonych przy tym stole i...

Lije podniósł wzrok i przyglądał się Dianie. Spuściła głowę i złożyła dłonie do modlitwy. Jakaż ona piękna, pomyślał. Kształtną twarzyczkę koloru kości słoniowej o klasycznej linii brody i wydatnych kościach policzkowych okalały złociste włosy, mieniące się niczym promienie słoneczne. Uroku dodawały długie rzęsy, równie zabójcze jak oczy. Nie była jednak dystygowaną wyniosłą piękną. Miała w sobie zbyt dużo radości życia. Uwielbiała działać i nie bała się tego robić. To właśnie go w niej pociągało, bardziej nawet niż uroda. Była duma, pełna namiętności i silna. Przeklinał ją za to.

- ...imię, amen - zakończył modlitwę pastor Cole.

- Amen - powtórzyła Diana i uniosła wzrok, ukazując czysty błękit oczu.

Za to też ją przeklinał. Wziął ze stołu serwetkę i rozłożył na kolanach.

Phoebe wniosła wazę z zupą ziemniaczaną i postawiła przed Tempie.

- Czy widziałas może ostatnio Shadracha? - zapytała Eliza, podając Tempie swój talerz.

- Mój ojciec widuje go regularnie. Shadrach informuje go o tym, co dzieje się w pułku, a nasz ordynans przekazuje nam wszystkie plotki, które Shadrach uważa za niestosowne - powiedziała ze śmiechem Diana.

- Shadrach zawsze był ostrożny w takich sprawach.

Eliza wzięła od Tempie napełniony zupą talerz i podała go Susannah. Wkrótce przed wszystkimi stały już pełne talerze.

- Czy wiecie, że Shadrach po służbie uczy kolorowych żołnierzy czytać i pisać? - Diana przełknęła łyk zupy. - Mmm, pyszna.

- Wcale mnie to nie dziwi - powiedziała Eliza. - Bez urazy, Tempie, ale on zawsze był moim najlepszym uczniem. Brakuje mi go, ale jestem też z niego dumna.

- Masz powody, by być z niego dumna. I z Ike'a także - dodała Diana na widok wchodzącej do jadalni Phoebe. - Ojciec twierdzi, że nigdy nie dowodził lepszymi żołnierzami niż ci z Pierwszego Pułku Ochotników. W bitwie pod Honey Springs przed dwoma miesiącami zajmowali centralną pozycję i odparli atak Brygady Teksańskiej, a potem sami ruszyli do ataku i przerwali linię wroga. Po bitwie generał Blunt osobiście pogratulował im odwagi i męstwa. Powiedział, że walczyli jak doświadczeni żołnierze i że nigdy nie widział równie opanowanych i walecznych wojowników. - Phoebe oczy pojaśniały z dumy. - To wielka pochwała - dodała Diana. - I zasłużona. Pułk stracił w tej bitwie wielu dzielnych ludzi.

- Dzielni ludzie zginęli wówczas po obu stronach - odezwał się Lije.

Zapadła pełna napięcia cisza. Wydawało się, że wojna z jej podziałami stanie się głównym tematem przy stole. Tymczasem Diana uśmiechnęła się i rzuciła lekkim tonem:

- Zapomniałam, że mamy przy stole konfederatę. Postaram się ostrożniej dobierać słowa.

- Wątpię - rzucił Lije, wywołując tym powszechną wesołość. Napięcie zostało rozładowane.

- Lije zbyt dobrze cię zna, Diano - powiedział pastor Cole. - To mi coś przypomina. Pamiętasz, Elizo, spotkanie towarzystwa antyalkoholowego? - zapytał i rozmowa przeszła na wspomnienia z przeszłości.

Tymczasem na stole pojawiło się główne danie i przerwało wszystkie rozmowy.

- Czy to nie zdumiewające, że kiedy talerze są pełne wszyscy nagle milkną? - zauważyła Diana.

- Tak wyborne potrawy wymagają pełnego skupienia - powiedziała Susannah, nabierając na widelec kawałek słodkiego ziemniaka.

- Rzeczywiście są wyborne - przyznała Tempie. - Zwłaszcza szynka. Rzadko mamy okazję jeść mięso, więc to dla nas wielkie święto.

- Teraz kiedy stan ojca uległ poprawie, spróbuję coś upolować - powiedział Lije.

- Widziałam ślady jelenia za stajniami - pochwaliła się Sorrel.

- To dobry znak - przyznał, lecz zaraz pomyślał, że byłoby nierozsądne polować na terenie posiadłości. Leżała zbyt blisko Traktu Teksańskiego. Patrol unionistów mógłby się zaciekawić, kto strzela. - Chociaż nie sądzę, aby dziczyzna dorównała tej szynce - dodał.

- A więc ci smakuje - powiedziała Diana podejrzanie niewinnym głosem. - Cieszę się. Obawiałam się bowiem, że możesz mieć kłopoty z przełknięciem jankeskiej szynki.

- Mylisz się. - Lije wbił widelec w kawałek szynki. - Sądząc po miękkości, to jest konfederacka szynka. Jakiś Jankes musiał ją ukraść konfederatowi, uważaj więc, żebyś się nie zakrztusiła.

Diana wybuchnęła gromkim śmiechem. Zabrzmiał w jego uszach niczym trąby jerychońskie, rozbijając w proch całą starannie opracowaną linię obrony. Zapragnął nagle porwać Dianę z krzesła i zanieść gdzieś, gdzie byliby sami. Prosiła go o to przed laty na balu. Wówczas nie mógł spełnić jej prośby, a teraz miał pod opieką rannego ojca.

Jedzenie nagle przestało mu smakować. Podziękował za napój owocowy, który Phoebe

przygotowała na deser i wymówił się koniecznością zajrzenia do chorego.

- Jak on się czuje?

- Odpoczywa. - Deu wstał z fotela. - Zjadł prawie wszystko. Zjadłby więcej, ale nie starczyło mu sił. Tak czy owak, skoro zaczął jeść, to znaczy, że wraca do zdrowia.

Zabrał tacę i wyszedł z pokoju.

Lije, nie mogąc usiedzieć w fotelu, podszedł do okna. Wiatr ucichł. Po błękitnym niebie pędziły chmury, zapowiadając zmianę pogody. Obserwował je przez jakiś czas, po czym usłyszał zbliżające się do pokoju szybkie kroki i znajomy szelest sukni.

Odwrócił się do drzwi. Stała w nich Diana i na jego widok znieruchomiała, unosząc dumnie głowę i patrząc mu w oczy wyzywająco.

- Przyszłam po szal i torebkę - powiedziała.

Skinął głową, wiedząc, że wcale nie prosi go o pozwolenie. Kiedy podeszła do serwantki, odszedł od okna i okrążył łóżko.

- Już wyjeżdżacie?

- Tak. Deu poszedł po kolaskę.

Zebrała swoje rzeczy i odwróciła się z zamiarem odejścia, kiedy nagle zastąpił jej drogę.

- Co zrobisz po powrocie do fortu?

- Co zrobię? - powtórzyła zdziwiona.

- Nie udawaj, że nie rozumiesz - rzucił niecierpliwie. - Oboje wiemy, że wyższy oficer Watiego byłby nie lada kąskiem dla Jankesów. Powiesz ojcu, że major tu jest?

Dotknięta brzmącym w jego głosie oskarżeniem, zareagowała gniewem.

- Prawdę powiedziawszy taka myśl nie przeszła mi przez głowę. Ale nie możesz mi tego zabronić, prawda? Nie możesz mnie uwięzić. Jeśli to zrobisz, ojciec natychmiast wyśle za mną patrol. Wie, dokąd pojechałam, więc przede wszystkim przyjadą tutaj. Ojca też stąd nie wywieziesz. Jest jeszcze zbyt słaby, żeby wstać lub wsiąść na konia.

- Powiesz mu?

- Powinam. Jest przecież rebeliantem, zdrajcą, tak samo jak ty. - Starła się podsycać w sobie gniew, lecz zawładnęło ją zbyt dużo innych emocji. Spuściła wzrok. - Czasami... - Głos uwiązł jej w gardle. - Czasami ciężko jest myśleć o tobie jak o wrogu. Czasami... - Nie była w stanie dokończyć. Mogła się wykręcić, lecz wrodzona uczciwość nakazywała dokończyć zdanie. - Czasami bardzo mi Ciebie brakuje - powiedziała i spojrzała na niego z wyrazem bólu, miłości i tęsknoty w oczach.

Porwał ją w ramiona, gniotąc kapelusz i szal. Była to ostatnia rzecz, jaką zamierzał zrobić. Wiedziony namiętnością pochylił się i przywarł do jej warg w desperackim pocałunku. Z ust Diany wydarł się jęk, który podziałał na niego niczym mocne wino.

Opanowały go długo tłumione pragnienia. Wyrwał jej z rąk szal, kapelusz i torebkę i odrzucił gdzieś na bok. Diana objęła go za szyję, wsunęła palce we włosy i mocniej się do niego przytuliła, odpowiadając na jego pieszczotę z równym zapamiętaniem.

Nie był w stanie się jej oprzeć. Czuł, jak drży pod jego dotykiem. Ból i namiętność zmieszały się w nim w jedno. Cierpiał, doznając jednocześnie niewysłowionego uczucia rozkoszy.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo pragnąłem o tobie zapomnieć - powiedział niskim, schrypniętym głosem. - Ale ty wciąż byłaś w moich myślach.

- Cieszę się - szepnęła i ponownie odnalazła jego wargi.

Jak we śnie odszukał guziki jej podróznego żakietu i zaczął je gorączkowo rozpinąć. Pod spodem miała ozdobioną koronką kremową bluzkę, sięgającą aż do szyi, co wydało mu się równie pociągające jak głęboki dekolt. Odchylił ją do tyłu, oderwał usta od jej warg i przywarł do piersi, ssąc chciwie przez bawełniany materiał.

Gorąca pieszczota wprawiła jego ciało w drżenie. Postłyszał urywany jęk Diany i stłumił go wargami, przykrywając jej piersi dłońmi i przesuając kciukiem po mokrym śladzie, który zostawiły jego usta.

Ani na chwilę nie przestawał jej całować, obsypując chciwymi pocałunkami policzki, ucho, szyję. Oddychał ciężko i chrapliwie.

- Zawsze cię pragnąłem. Każdy dzień, każda godzina, każda minuta były wypełnione tobą.

Przez chwilę poddawała się jego pieszczotom, po czym odchyliła głowę.

- Ja też cię pragnęłam, Lije - wyszeptała. - Bardziej niż możesz sobie wyobrazić. - Drżącą dłonią dotknęła jego twarzy. - Chcę, żebyśmy byli razem. Teraz i zawsze. I będziemy - powiedziała z mocą.

- Twój ojciec powinien znaleźć się w szpitalu pod opieką doktora. Zabierz go do Fortu Gibson...

- Nie. - Chwycił jej rękę i odsunął od twarzy.

- Poddaj się, Lije - kusiła. - To już koniec. Fort Smith jest w rękach Unii. Wojska konfederackie są spychane coraz dalej na południe. Nie musisz trwać przy nich. Możesz przyjechać do fortu i zrobić to, co zrobiło już wielu Czirokezów - przejść na stronę Unii.

- Nie. Nie mogę tego zrobić. I nie chcę.

- Przegraliście wojnę. Po co dalej walczyć?

- Będę walczył tak długo jak on. - Wskazał głową na Blade'a. Diana odsunęła się od niego.

- Czemu musisz być taki uparty? - Trzęsącymi się rękoma zaczęła zapinać żakiet.

Lije nawet nie drgnął.

- Czy powiesz ojcu?

Znieruchomiała, po czym westchnęła głęboko.

- Nawet nie wiesz, jak mam dość podejmowania decyzji. - Spojrzała na niego z tęsknotą i żalem.

- Czasami żałuję, że pozwoliłeś mi spakować rzeczy i odejść. Mogłeś mnie przekonać, Lije. Tak bardzo cię kochałam, że na pewno bym została. Wiedziałeś o tym, lecz nic nie zrobiłeś. Dlaczego?

- Bo znieawidziłabyś mnie za to - odpowiedział. - Co więcej, zaczęłabyś nienawidzić siebie.

Nie znosisz słabości, Diano, ani u siebie, ani u nikogo.

Ponownie westchnęła.

- Chciałabym, żebyś się mylił.

- Wiem.

- Naprawdę? - Odwróciła się, całkowicie nad sobą panując. - Mógłbyś przerwać tę bezsensowną walkę, póki jest jeszcze czas. Nie musisz już chronić ojca. Kipp nie żyje.

W odpowiedzi wyjął z kieszeni kulę.

- Eliza wyjęła ją z pleców ojca. Pochodzi z broni Aleksa.

- Blade ci to powiedział?

- Tak.

Spojrzała na niego z nagłą uwagą.

- Sądzisz, że Alex będzie go teraz ścigał?

- Nie wiem. Ale nie chcę ryzykować. - Wsunął kulę z powrotem do kieszeni.

- A więc nadal nic się nie zmieniło. Dawna nienawiść wciąż jest dla ciebie ważniejsza ode mnie

- powiedziała unosząc dumnie głowę.

- Skoro tak uważasz.

- Tylko tak mogę na to patrzeć. - Pochyliła się i podniosła z podłogi pognieciony kapelusz, szal i torebkę. Zrobiła krok w stronę drzwi i zatrzymała się. - Jeśli chodzi o tę drugą sprawę, to będę milczeć. Jednak kiedy ktoś mnie spyta, nie będę kłamać.

Z tymi słowy wyszła z pokoju. Lije stał nieruchomo, wsłuchując się w głosy na dole, wymieniające słowa pożegnania. Drzwi otworzyły się i zamknęły. Spięty i zdenerowany odwrócił się w stronę ojca.

Blade jęknął, poruszył się i wciągnął gwałtownie powietrze krzywiąc się z bólu. Powieki mu zadrgały. Przesunął nogą pod kołdrą i znowu jęknął. Morfina przestawała działać.

Lije wyjął z koszyka matki pudełko z pigułkami, a następnie rozgniół jedną w moździerz. Proszek zalał niewielką ilością wody. Podłożył Blade'owi rękę pod głowę i przysunął szklanekę do ust.

- Wypij. Nie będzie tak bolało.

- Nie - jęknął Blade i odwrócił głowę.

- Lepiej się poczujesz. Lekki przeczący ruch głową.

- Nie chcesz?

- Zobaczę... ile... wytrzymam. W głowie mi się... mąci... od tego. - Oddychał urywanie. - Gorsze... od alkoholu. Nie mogę tak.

- Dobrze. - Lije położył mu głowę na poduszce i odstawił naczynie na nocną szafkę. - Zaczekamy. Daj znać, kiedy nie będziesz już mógł wytrzymać.

Skinął głową. Po chwili otworzył oczy i spojrzał na Lijego.

- Później... spróbuję... wstać. Zobaczę, czy... będę mógł.

- Później - powiedział Lije.

Blade zamknął oczy i ponownie popadł w odrętwienie wywołane bólem i narkotykiem.

- Niebezpiecznie... tu - mruknął niewyraźnie.

Po raz pierwszy dał do zrozumienia, że świadom jest zagrożenia, na jakie się narażają, pozostając tutaj.

P, opołudniową ciszę przerywały uderzenia siekiery wbijanej w drzewo. Czarna klacz zastrzygła uszami, stąpając ostrożnie po błotnistym podjeździe i omijając kałuże powstałe po dwudniowym deszczu. Alex przyglądał się dworowi. Żaden kir nie zdobił frontowych drzwi. Nie pojmował dlaczego, postanowił więc podjechać bliżej. Klacz przeszła w kłus, rozchlapując błoto kopytami i prychnąc gniewnie.

- Alex! Alex, zaczekaj!

Ściągnął wodze i obejrzał się. Dostrzegł wśród drzew Sorrel, ubraną w ciężkie, wielkie buty. Los najwidoczniej mu sprzyjał. Zawrócił konia i wyjechał Sorrel na spotkanie. Wiedział, że zawsze może zdobyć od niej potrzebne informacje.

Czekała na niego na skraju podjazdu.

- Co tu robisz, Alex?

- Przyjechałem, by dać ci prezent na urodziny.

Wymówka dobra jak każda inna. Nigdy nie odwiedzał rodziny bez powodu.

- Ale ja nie mam dziś urodzin.

- Nie wiem, czy wówczas będę mógł przyjechać, pomyślałem więc, że dam ci prezent, kiedy

nam po temu okazję.

Zsiadł z konia, odpiął klapy torby przy siodle i wyjął małą paczuszkę owiniętą w brązowy papier.

- Znowu gdzieś was wysyłają?

- Na razie nie, ale w wojsku niczego nie można być pewnym. - Odwrócił się do niej i podał jej zawiniątko. - Niestety, nie miałem wstążki do przewiązania.

- Nie szkodzi. - Wzięła prezent i spojrzała na niego podekscytowana. - Mogę otworzyć?

- Oczywiście.

Uśmiechnął się i obserwował, jak odwij a papier. Oczy zrobiły się jej okrągłe, a usta bezwiednie otworzyły na widok złotego medalioniku z łańcuszkiem.

- Podoba ci się?

- Jest śliczny - szepnęła. - To najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek dostałam. - Rzuciła mu się na szyję i mocno uścisnęła, po czym zaczęła oglądać medalionik.

- Jeśli go otworzysz, to w środku znajdziesz miejsce na pukiel włosów albo portrecik.

Wcześniej wyjął ze środka pasemka czarnych włosów. Paczka, którą zabrał Meynardom, okazała się korzystną zdobyczą. Prócz trzydziestu dolarów w złocie stał się właścicielem damskiej broszki, pary kolczyków z granatami i pięknej złotej dewizki.

- Alex. - W jej oczach błysnął niepokój i zmieszanie. - Na odwrocie jest czyjeś imię.

- Kupiłem go w sklepie - skłamał. - Ktoś musiał oddać go za jedzenie. Jak tylko go zobaczyłem, pomyślałem, że powinna go nosić pewna piękna młoda dama. Odwróć się, to zapnę ci łańcuszek.

Usatysfakcjonowana wyjaśnieniem podała mu klejnocik i odwróciła się, unosząc w górę długie rude włosy.

- Jak wyglądam? - zapytała.

- Wspaniale - rzucił od niechcienia, a Sorrel natychmiast spuściła głowę, by przyjrzeć się medalionikowi. Ponownie dało się słyszeć uderzenie siekiery. Alex zerknął w tamtą stronę.

- A więc, co robisz w lesie?

- Pomagałam Deu rąbać i nosić drzewo na opał na zimę - wyjaśniła, nie mogąc oderwać oczu od złotego drobiazgu.

- Deu? - Alex zeszywniał. - Co on tu robi? Coś się stało twojemu ojcu? - Oczekiwał, że na jej twarzy pojawi się wyraz smutku.

- Został postrzelony. Deu i Lije przywieźli go do domu... Jakiś tydzień temu.

- Żyje? - Poczul pierwsze ukłucie niepokoju. Skinęła głową, po czym westchnęła z ulgą.

- Z początku bałam się, że umrze, ale już mu lepiej. Wczoraj Lije pomógł mu wstać. Mama była wściekła, gdy ich zobaczyła. Kazała mu natychmiast wracać do łóżka.

Alex wstrząśnięty popatrzył na dom. Myśli wirowały mu jak szalone. A więc ten drań żyje. Nie zabił go. Powinien był się upewnić. Teraz będzie musiał na niego polować tak jak ojciec. Tym razem jednak będzie przy nim Lije.

Musi stąd odjechać. Zebrał wodze.

- Chodźmy do domu, Alex. - Sorrel dotknęła medalioniku i wyprostowała się dumnie, jak przystało na dorosłą pannę. Czowała się mile polectana w swej próżności. Jeszcze nikt nigdy nie dał jej prawdziwej biżuterii. To nie był prezent dla dziecka, lecz dla dorosłej kobiety. - Chcę wszystkim pokazać mój urodzinowy prezent.

- Niestety, muszę już wracać. - Wsunął stopę w strzemień i wskoczył na siodło.

- Ale dlaczego? Dopiero co przyjechałeś - zaprotestowała.

- Wiem. - Uśmiechnął się z przymusem. - Mówiłem ci, że przyjechałem tylko, by dać ci prezent. Muszę się zameldować w forcie przed zmrokiem, a jeszcze chcę wstąpić na farmę ojca i sprawdzić, czy maruderzy Watiego jej nie spalili.

- Nie mogliby tego zrobić - powiedziała pospiesznie, choć wiedziała, co się stało z domem dziadka.

Uśmiechnął się zjadliwie.

- Zapewniam cię, że mogliby.

Dał klaczy ostrogę i odjechał. Sorrel popatrzyła w ślad za nim, po czym odwróciła się i pobiegła do domu. W holu zatrzymał ją głos matki.

- Tylko nie biegaj po domu w tych zabłoconych butach, Sorrel.

- Och, mam, nie jestem dzieckiem. Zdjęłam buty przed wejściem - oznajmiła z wyższością i podeszła do lustra w złoczonej ramie. - Chodź zobaczyć, co dostałam od Aleksa na urodziny.

- Od Aleksa? - zdziwiła się Tempie, nadchodząc od strony kuchni. - On tu jest?

- Nie. Już odjechał. - Spojrzała na swoje odbicie w lustrze i odchyliła się raz w jedną, raz w drugą stronę, podziwiając medalionik. Na widok Tempie odwróciła się i wzięła w palce klejnocik. - Zobacz, co dał mi Alex. Czyż nie jest śliczny?

- Rzeczywiście, śliczny - przyznała Tempie. - Ale twoje urodziny...

- Alex wiedział, że nie mam dziś urodzin, ale chciał mi to dać, na wypadek gdyby go gdzieś wysłali. Wiesz, jak to jest w wojsku - powiedziała Sorrel tonem obeznanym ze sprawą osoby.

W tym momencie na schodach pojawił się Lije.

- Powiedziałaś, że Alex tu był? Czego chciał? Sorrel natychmiast się nastroszyła.

- Niczego nie chciał. Przyjechał, by dać mi prezent.

Dotknęła medalionik, odwróciła się do lustra i uśmiechnęła do swego odbicia.

- Dlaczego Alex nie wstąpił do nas? - zapytała Tempie.

- Bo musiał pojechać jeszcze na farmę wuja Kippa i sprawdzić, czy wszystko w porządku i wrócić przed zmrokiem do fortu. - Nagle przyszło jej coś do głowy. - Teraz kiedy wuj nie żyje, to farma należy do Aleksa, prawda?

Poczuła nagle wyrzuty sumienia, że zapomniała powiedzieć Aleksowi, jak jej przykro z powodu śmierci ojca.

- Co on mówił? Pytał cię o coś?

Lije stanął tuż za jej plecami. Wrogość i nieufność brzmiąca w jego głosie była aż nazbyt wyraźna.

- Nienawidzę, kiedy tak mówisz o Aleksie - wybuchnęła Sorrel. - Nie lubisz go. Nigdy go nie lubiłeś, aleja tak. Czemu nie zostawisz go w spokoju?

- Sorrel - mruknęła Tempie tonem dezaprobaty.

- To niesprawiedliwe, mam. Alex przyjechał, by dać mi ten medalion. Byłam taka szczęśliwa, a on wszystko zepsuł! - dokończyła ze łzami w oczach i uciekła.

Lije patrzył za nią z zasepionym czołem. Może istotnie było tak, jak mówiła Sorrel. Może.

- Proszę pani, proszę pani! - Phoebe wbiegła zdyszana do sypialni. - Jankescy żołnierze... Są na podjeździe.

- Czy Lije wrócił?

- Jeszcze... nie - odpowiedziała, wciąż nie mogąc odzyskać oddechu.

- Muszę stąd... wyjść - powiedział Blade, próbując się podnieść na łokciu. Ból i słabość

zniweczyły te wysiłki. Opadł na łóżko, blady jak ściana. - Nie mogą... mnie tu... znaleźć.

- Nigdzie nie pójdziesz, dopóki nie założymy ci opatrunku - oznajmiła Tempie zdecydowanie. - Dokończ, Elizo, dobrze? - poprosiła i podeszła do okna.

- Blade ma rację, Tempie. Musimy go stąd wyprowadzić.

- Za późno. Już tu są. - Do dworu zbliżał się oddział murzyńskich piechurów, z trójką białych oficerów na koniach. - Nie uda nam się wyprowadzić go niepostrzeżenie. Musimy go ukryć. - Odwróciła się od okna i omiotła wzrokiem pokój. Pod łóżkiem. To takie banalne, że może nie przyjdzie im do głowy tu zajrzeć.

- Nie wiemy jeszcze, po co tu przyjechali. Nie wiadomo nawet, czy będą przeszukiwać dom - przekonywała ją Eliza.

- Nie możemy ryzykować. Ty i Phoebe ukryjcie go pod łóżkiem, a ja zejść ich przywitać. - Powinna raczej powiedzieć: wyprowadzić w pole.

Może rzeczywiście będzie tak, jak mówiła Eliza. Może to tylko nieczyste sumienie podpowiadaj jej, że żołnierze przyszli tu po Blade'a. Może to przypadkowa wizyta. Jakoś trudno było jej w to uwierzyć.

Wyszła na werandę i stanęła między dwoma potężnymi doryckimi kolumnami. Kiedy jadący na czele oficer podjechał bliżej, Tempie uśmiechnęła się najserdeczniej, jak umiała. Zaraz jednak spoważniała, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

- Jed. - Wybiegła mu na spotkanie, nie czekając, aż zatrzyma konia. Chwyciła konia za uzdę, czekając, aż Jed Parmelee z niego zsiądzie. - Cóż za niespodzianka... Nie muszę pytać, jak się miewasz? Widzę, że doskonale.

- To samo mogę powiedzieć o tobie, Tempie. Podniósł jej rękę do ust.

- Po raz pierwszy to zrobiłeś w Waszyngtonie, kiedy zostaliśmy sobie przedstawieni. - Uśmiechnęła się na wspomnienie tamtego wieczoru. - Pomyślałam wówczas, że jesteś taki szarmancki i taki... przystojny - dodała z nieśmiałością, czując się przez chwilę młoda i zalotna.

- A ja pomyślałem, że jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem - odparł z powagą. - I nadal tak uważam.

Zaśmiała się ciepło.

- Jaka szkoda, że nie ma tu orkiestry, która grałaby walca.

- I twojego męża, który przyglądałby się, jak tańczymy.

- Tak. - Nagle spojrzała na mundur Jeda i poczuła niepokój. Starowała się nie patrzeć na dom, jakby Blade'a wcale w nim nie było.

Zauważyła, że Jed uważnie się jej przygląda.

- Pewnie jesteś spragniony po tak długiej jeździe. Twój żołnierz także. Phoebe! - zawołała przez ramię i dodała tonem wyjaśnienia: - Służąca pokaże twoim ludziom, gdzie jest studnia. Tymczasem wejdźmy do środka. - Wsunęła mu rękę pod ramię, nie mogąc się oprzeć uczuciu, że zaprasza lisa do kurnika. - Zostaniesz na obiedzie, prawda? Phoebe robi dziś na deser placuszki w sosie borówkowym. Eliza ucieszy się, że przyjechałeś...

- Tempie - wszedł jej w słowo Jed, zatrzymując się gwałtownie. - To nie jest kurtuazyjna wizyta. Serce zabiło jej jak młotem.

- Przyjechaliście tu w celach wojskowych? - zapytała, starając się przybrać na twarzy wyraz zaciekawienia.

Zawahał się, co potwierdziło jej obawy. Starowała się jednak tego nie okazać.

- Doszły do nas informacje, że twój mąż tu jest.

- Co takiego? - Tempie puściła jego ramię. Z trudem przychodziło jej udawać zaskoczenie. - To nieprawda.

- W takim razie... - Urwał i spojrzał jej przez ramię. - Może wyjaśnisz mi, co tu robi Deu. Oboje wiemy, że twój mąż nigdzie się bez niego nie rusza.

- Deu? - Obejrzała się i zobaczyła go stojącego przy werandzie. W ich oczach pojawiło się to samo uczucie paniki i rozpacz. Nie przyszło jej do głowy, że obecność Deu może zdradzić Blade'a.

- Blade przysłał go tu do pomocy - wyjaśniła pospiesznie. - Wie, jak nam ciężko bez...

- To bezcelowe, Tempie. Mam rozkaz przeszukać dom i posiadłość. Przykro mi.

Uniosła dumnie głowę.

- Skoro takie otrzymał pan rozkazy, majorze, to proszę, szukajcie. Ale nie znajdziecie tu mojego męża.

Kiedy Jed odwrócił się, by wydać rozkazy swoim ludziom, Tempie weszła do domu, by mieć kilka sekund na uspokojenie się. Nie mogła pozwolić, by Jed domyślił się, jak bardzo się boi. Dopóki będzie miał wątpliwości, może uda się rozproszyć jego uwagę.

Odwróciła się na dźwięk kroków. Po schodach schodziły Eliza i Phoebe. Od strony holu pojawiła się też Susannah, a tuż za nią zaciekawiona Sorrel.

- Po co ci żołnierze tu przyjechali, mammo?

- Czego oni chcą? - powtórzyła Eliza.

- Wiedzą, że on tu jest.

- Ale skąd? - zdziwiła się Susannah.

- Ktoś musiał rozpoznać Deu i... W tym momencie otworzyły się drzwi i Tempie dodała pospiesznie: - Mówiłam, że go tu nie ma, ale Jed powiedział, że i tak musi przeszukać dom.

Dom wypełnił się żołnierzami. Powiodła po nich wzrokiem, po czym spojrzała na Jeda.

- Jeśli już musicie szukać, to dobrze, że ty tu dowodzisz. Nie pozwolisz żołnierzom roznieść mego domu na strzępy. Tyle jest teraz złodziejstwa i grabieży... po obu stronach.

- Wydałem ściśle rozkazy - oznajmił krótko. Zauważyła jednak, że starannie unika jej wzroku. Musiał więc czuć się niezręcznie. To dawało jakąś nadzieję.

- Shadrach! - wykrzyknęła nagle Eliza i podeszła do szczupłego żołnierza, stojącego w towarzystwie innych. Uśmiechnął się, opuścił karabin i zdjął czapkę, ukazując czarne włosy, poprzetykane siwizną.

Pani Eliza.

- Tak się cieszę, że cię znów widzę. Wspaniale wyglądasz w mundurze.

- Pani też wspaniale wygląda.

- Dziękuję.

Stojący przy schodach Ike nie zwracał uwagi na rozmowę Shadracha z jego dawną panią. Patrzył na matkę. Stała jakprzymurowana. Początkowo rozjaśniła się na jego widok, zaraz jednak radość ustąpiła miejsca konsternacji, kiedy dom wypełnił się żołnierzami w niebieskich mundurach.

Podobnie zareagował ojciec, który wcześniej go zobaczył. Radość w jego oczach prawie natychmiast zmieniła się w ból i wyrzut. W ich twarzach dostrzegł również strach.

Zrozumiał, że Blade musi być w domu. Pewnie go gdzieś ukryli. Matka i ojciec patrzyli teraz na niego, jakby był wrogiem... jakby zwrócił się przeciwko nim. Nie podeszli do niego, nie zapytali, jak się miewa. Nie dali mu szansy, by wytłumaczył, że nie wiedział, dokąd go wysyłają.

To prawda, znał w tym domu każdy kąt, każdą dziurę, każdą deskę w podłodze i każdy zawias. Ale czy oni nie rozumieją, że wypełnia tylko rozkazy? Czemu wywoływali w nim poczucie winy?

Biały porucznik zaczął ostrym głosem wydawać rozkazy, przerywając jego rozmyślenia. Podzielił ich na trzyosobowe grupy i każdej z nich wyznaczył inny odcinek do przeszukania. Ike odetchnął z ulgą, kiedy usłyszał, że ma iść na górę. Niewiele było tam miejsc do ukrycia, a zwłaszcza dla dorosłej osoby. Pewnie ukryli Blade'a w spiżarni albo w tej starej piwnicy przy drewnianej chacie. Był tego pewny, dopóki nie zobaczył paniki w oczach matki.

Zrobiło mu się niedobrze. A więc Blade jest na górze. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Ruszył z ociąganiem na piętro. Przekonywał siebie, że jest żołnierzem i spełnia tylko swoje obowiązki. Dlaczego więc mama patrzy na niego z takim wyrzutem?

Tempie z trudem oderwała wzrok od Ike'a, zmierzającego po schodach na górę w towarzystwie dwóch innych żołnierzy. Była przy jego narodzinach, patrzyła, jak rośnie. Przecież nie mógł wydać Blade'a. Lecz miał teraz na sobie mundur taki sam jak Jeda, a Jed sumiennie wykonywał rozkazy. Przypomniała sobie ów dzień przed laty, kiedy kazał jej rodzinie opuścić Gordon Glen, ich rodzową siedzibę, i odprowadził do obozu, gdzie mieli czekać na wymarsz na Zachód.

Serce podeszło jej do gardła, kiedy dostrzegła na sobie uważny wzrok Jeda. Domyśliła się, że on również pomyślał o tym samym. Nie wolno jej okazać, jak bardzo się boi.

- Phoebe, podaj kawę w salonie - poleciała służącej i uśmiechnęła się do Jeda. - Jeśli nie zostanie to poczytane za przekupstwo, byłoby nam miło, gdybyś dotrzymał nam towarzystwa, Jed.

- Niedawno byłem jeszcze majorem Parmelee - przypomniał.

- Niedawno byłem na ciebie zła, bo myślałam, że mi nie wierzysz, kiedy powiedziałam, że Blade'a tu nie ma. Zapomniałam, że nawet jeśli mi uwierzyles, musisz wypełniać rozkazy. Jesteś żołnierzem. To twój obowiązek. Nie powinnam traktować tego tak osobiście. Wybaczysz mi?

Po chwili wahania skinął głową z uśmiechem.

- Naturalnie.

- Wiedziałam, że mnie zrozumiesz. Odetchnęła i ruszyła do salonu.

Dom rozbrzmiał głosami żołnierzy, który rozbiegli się po pokojach. Tempie siedziała na brzegu fotela, niespokojna i spięta, wsłuchując się w dźwięki dochodzące z pomieszczeń na piętrze. Prowadzenie luźnej konwersacji było dla niej ciężką próbą.

Ike stanął w progu sypialni państwa, starając się zwalczyć w sobie uczucie, które zabraniało mu wejść do środka bez pozwolenia. Tymczasem jego koledzy nie mieli takich oporów. Przecież nie jest już niewolnikiem, lecz żołnierzem, który otrzymał rozkaz przeszukania domu, przekonywał samego siebie.

Wszedł do pokoju i rozejrzał się po wnętrzu. Ostatni raz, kiedy tu był, pomagał wnieść Kippa, który został ranny w bitwie pod Pea Ridge w Arkansas. Położyli go na łóżku, a potem słuchał opowiadania Aleksa o bitwie. Myślał wówczas, że Jankesi przyjdą wkrótce go wyzwolić. Teraz był wolny, lecz czasami trudno mu było przestać myśleć jak niewolnik. Nawet teraz czuł się niezręcznie, wchodząc bez pozwolenia do tego pokoju.

Przy nocnej szafce na podłodze dostrzegł koszyk. Podeszedł bliżej i wziął go do ręki. Koszyk pani Tempie z medykamentami. Co on tu robi? Wtedy posłyszał jakiś dziwny dźwięk, jakby ktoś ciężko oddychał. Dochodził gdzieś z okolic łóżka. Jego towarzysze znajdowali się w drugim końcu pokoju.

Nie wiedział, dlaczego to zrobił, lecz ukląkł, podniósł brzeg koronkowej kapy i zajrzał ostrożnie pod łóżko. Kiedy zobaczył długi ciemny kształt na podłodze, już miał zamiar oznajmić swoje

odkrycie, lecz powstrzymała go przed tym para wpatrzonych w niego udręczonych błękitnych oczu. Twarz Blade'a wykrzywił grymas bólu, a po policzkach spływał pot. Coś miał w ustach. Początkowo Ike przypuszczał, że to skórzany knebel, lecz po chwili zorientował się, że Blade zaciska na nim zęby, by stłumić jęki bólu. Był ranny. Ciężko ranny.

Wolno opuścił kapę. Rozpacz ścisnęła mu gardło. Zacisnął dłoń na karabinie. Nie może tego zrobić. Nie może go wydać. A przecież powinien. Blade był wrogiem. Czemu więc milczy? Czemu nie krzyknie, że go znalazł? Tak na jego miejscu postąpiłby każdy żołnierz. Wstał i wbił wzrok w łóżko.

- Znalazłeś coś, Ike?

Zawahał się, po czym pokręcił głową i ruszył do drzwi.

Po trzech godzinach przeszukiwania domu, posiadłości, murzyńskich baraków i budynków gospodarczych, młody porucznik poinformował Jeda, że niczego nie znaleźli. Ten natychmiast odwrócił się do Tempie, która nie mogła powstrzymać westchnienia ulgi.

- Wybacz, Tempie, że zakłóciliśmy ci ranek.

- Gdyby naprawdę było ci przykro, zostałbyś na obiedzie. Pragnęła, by jak najszybciej stąd odjechał, by zabrał tych wszystkich żołnierzy, lecz nie chciała tego po sobie pokazywać.

- Może innym razem, w bardziej sprzyjających okolicznościach.

- Zatem miejmy nadzieję, że już wkrótce.

Odjeżdżając, Jed czuł wielką ulgę, że nie znalazł Blade'a w Grand View. Nienawidził siebie za to, że musiał go szukać, podobnie jak wówczas, kiedy wyrzucał Tempie i jej rodzinę z domu w Georgii. Cieszył się, że przynajmniej tym razem nie musiał przysparzać Tempie bólu. Dość już przeszła.

Jak tylko żołnierze zniknęli jej z oczu, Tempie wróciła do domu. Susannah czekała na nią przy drzwiach.

- Pojechali?

Skinęła głową, zamknęła drzwi i oparła się o nie ciężko.

- Skręcili na Trakt Teksański. Są w drodze powrotnej do fortu.

- Dzięki Bogu - mruknęła Eliza.

Tempie odzyskała siły i odsunęła się od drzwi.

- Sprawdzaliście, co z Blade'em? Nic mu się nie stało?

- Wszystko w porządku, proszę pani - powiedziała Phoebe, stając u szczytu schodów.

- Gdzie jest Deu? - zapytała Tempie. - Możemy potrzebować jego pomocy, by przenieść Blade'a na łóżko.

- Zdaje się, że widziałam go na zewnątrz - powiedziała Susannah. - Pójdę po niego.

Nie musiała tego robić, bo właśnie nadszedł od strony kuchni.

- Radziłbym nie ruszać jeszcze pana Blade'a - powiedział. - Zauważyłem dwóch jeźdźców za stajniami.

- To niemożliwe. - Tempie zamarła z ręką na poręczy schodów. - Sama widziałam, jak odjeżdżali.

- Jesteś pewny, że było ich dwóch? - zapytała Susannah. - Może to Lije.

- Na pewno dwóch. Kryli się między drzewami, więc nie mogłem im się przyjrzeć. - Spojrzał na Tempie. - Jankesi są ostrożni. Mogli wysłać oddział, żeby otoczył dwór na wypadek, gdyby pan Blade próbował się wymknąć.

- Pójdę to sprawdzić - postanowiła Susannah.

- Ale nie możesz tak...

- Wyjdę niby po drewno.

- Idę z tobą - zdecydowała Tempie. - Elizo, ty i Sorrel stańcie przy oknach od frontu. Phoebe, daj znać Blade'owi, że musi jeszcze pozostać w ukryciu. Deu...

- Pan Blade pewnie by chciał, żebym poszedł z panią.

- Trzy osoby idące po drewno będą wyglądać śmiesznie.

- To wezmę siekierę.

- Co za różnica, jak to będzie wyglądać - rzuciła Susannah ze zniecierpliwieniem i ruszyła ku tylnej werandzie, a za nią Tempie i Deu.

Jak tylko wyszli z domu, posłyszeli tętent kopyt stłumiony przez trawę. Susannah zamarła przerażona. Zza rogu wyłonił się jeździec w pełnym galopie.

- Lije - szepnęła z ulgą Tempie.

Susannah patrzyła jednak na drugiego jeźdźca. Choć prawie rok minął od chwili ich spotkania, natychmiast rozpoznała Ransa Lassitera. Jego widok podziałał na nią niczym mocne wino. Poczwała, jak jej ciało ogarnia żar.

Lije zatrzymał konia przy stopniach werandy i zeskoczył na ziemię.

- Co tu robił Parmelee? - zapytał niecierpliwie.

- Szukał twojego ojca - odparła Tempie. - Jakimś sposobem dowiedział się, że...

- Diana - wyrzucił przez zaciśnięte zęby, spoglądając w stronę fortu. Tempie pokręciła głową.

- Skąd możesz to wiedzieć? Myślę, że ktoś rozpoznał Deu i domyślił się, że Blade jest tutaj. Tak czy owak nie znaleźli go. - Przeniosła wzrok na Ransa. - Kiedy Deu was zauważył, myśleliśmy, że to wojsko wraca.

- Proszę się nie obawiać - powiedział Rans. - Wysłałem za nimi jednego z moich ludzi na wypadek, gdyby postanowili zawrócić. Reszta moich chłopców pilnuje dworu.

- Przedstawiam ci kapitana Lassitera z Brygady Teksasńskiej - powiedział Lije.

- Miło mi panią poznać, pani Stuart - odparł Rans ze skinieniem głowy.

Potem jego szare oczy spoczęły na Susannah. Biło z nich ciepło, które odebrało jej dech w piersi. - Szczęśliwie się złożyło, że spotkałem Lijego. Kiedy powiedziałem mu, że zauważyliśmy oddział piechoty maszerujący w tę stronę, nie traciliśmy ani chwili.

- Cieszę się - bąknęła Susannah, czując, jak jej serce wali.

- Nie bardziej niż ja - uśmiechnął się i westchnął z zachwytem. - Jesteś niczym balsam dla zmęczonych oczu, Susannah.

Podszedł do niej i podniósł jej dłoń do ust. Zadrżała pod dotykiem jego warg.

- Deu, osiodłaj konie i przyprowadź je tu - polecił Lije. - Lassiter, pomożesz mi sprowadzić majora.

- Dlaczego? - zapytała Tempie z przerażeniem. - Co zamierzasz zrobić? Dokąd chcesz go zabrać?

- Tu jest niebezpiecznie - powiedział Lije. - Jeśli Diana nic nie powiedziała, to zrobi to teraz.

Wtedy tu wrócą i będą szukać dotąd, dokąd go nie znajdą.

- Ale on nie jest zdolny do żadnej podróży - zaprotestowała.

- Jest w lepszym stanie niż wtedy, kiedy go tu przywiozłem.

- Nie. Nie pozwolę ci go zabrać.

- Lije ma rację, pani Stuart - wtrącił się Rans. - Jeśli pani mąż tu zostanie, to trafi do więzienia.

Jeśli pojedzie z nami, przeprowadzimy go bezpiecznie przez linie Jankeśów i dopilnujemy, by znalazł się w naszym szpitalu. Major jest ważną osobistością. Zaopiekujemy się nim.

- Ja... Tempie próbowała protestować, po czym odwróciła się, kryjąc napływające do oczu łzy. Lije minął ją i wszedł do domu. W drzwiach zatrzymał się i obejrzał przez ramię.

- Idziesz, Lassiter?

- Za chwilę - odpowiedział, nie spuszczając wzroku z Susannah. Nawet nie zauważyła, kiedy Tempie weszła do domu.

- Nie możecie zostać? - zapytała. - Nie byłoby bezpieczniej poczekać do zmroku?

Pokręcił przecząco głową.

- Choć bardzo bym chciał, to zbyt ryzykowne. Po Trakcie Tekszańskim jeździ zbyt wiele

jankeskich patroli. W każdej chwili mogą zauważyć moich ludzi i będziemy musieli się bronić.

Trzeba zniknąć stąd jak najszybciej. - Objął ją w talii i przyciągnął do siebie, jakby to była najnaturalniejsza rzecz pod słońcem. - Wygląda na to, że za każdym razem, kiedy się spotykamy, mam tylko tyle czasu, by się przywitać i już muszę się żegnać. Diabelnie trudno się do ciebie zalecać.

- Czyżbyś naprawdę się do mnie zalecał? - zapytała Susannah bez tchu.

- Tak. - Przesunął policzkiem po jej włosach. - Uwielbiam zapach twoich perfum, ten świeży, czysty zapach drzewa sandałowego. Przywodzi na myśl słońce i wiosenne dni. - Przesunął dłonią po jej plecach. - Razem będziemy je oglądać. Przysięgam. - Dotknął dłonią jej policzka. - Teraz mamy dla siebie tylko minutę i musi to nam wystarczyć.

- Tak - szepnęła, czując, że kocha go całym sercem i duszą.

- O tak - mruknął i pocałował ją mocno i szybko, po czym odsunął się i wszedł do domu.

Nie minęła godzina, jak wsadzili Blade'a na konia. Lije usiadł z tyłu za nim i sięgnął po wodze.

Rans uniósł się w strzemionach i głośno gwizdnął. Tuzin, nie, dwa tuziny jeźdźców wyłoniło się nagle z gęstwiny drzew.

Lije sprawdził, czy Deu wsiadł na konia, po czym spojrział na ojca.

- Jesteś gotowy?

Blade skinął głową, krzywiąc się z bólu.

- Ruszajmy.

- On cierpi, Elizo - szepnęła Tempie łamiącym się głosem.

- Da sobie radę.

Objęła Tempie ramieniem, patrząc, jak Lije daje koniowi ostrogę. Rans zatrzymał konia przy stopniach werandy, objął Susannah w talii, uniósł w górę, pocałował mocno i opuścił na ziemię.

- Pamiętaj o moim tańcu - powiedział. - Trzymaj dla mnie miejsce.

- Nie zapomnę - przyrzekła oszołomiona.

Dotknął palcami kapelusza, wycofał konia i ruszył za Lije, a za nim jego oddział. Po chwili rozległo się gwizdanie. Choć do jej uszu docierały zaledwie strzępki melodii, Susannah domyśliła się, że jest to piosenka Och, Susannah.

Sorrel spojrzała na nią z ciekawością.

- Czy ty go kochasz? - zapytała.

- Nie jestem pewna, ale chyba tak. - Uśmiechnęła się mimowolnie. To było szaleństwo, lecz jednocześnie najnormalniejsza rzecz pod słońcem.

Dom spowijała cisza. Nie zakłócał jej żaden ruch. Alex po raz kolejny prześledził wzrokiem rząd rozpadających się murzyńskich baraków i zabudowania gospodarskie. Śladu życia. Tylko kilka

kurczaków grzebało w ziemi.

Kariolka wciąż stała w stajni. Sprawdził to już wcześniej. Gdzieś musieli być. Może w ogrodzie warzywnym. Wskoczył na siodło i kryjąc się wśród drzew, okrążył dwór, kierując się ku rzece. W ogrodzie zastał Phoebe kopiającą ziemniaki.

- Gdzie twoja pani?

Zatrzymał się przy płocie, nie zwracając uwagi na nerwowe ruchy klaczy.

- Jest w sadzie. Zbiera jabłka.

Już chciał zapytać ją o Blade'a, lecz się rozmyślił. Zawrócił konia i pokłusował do sadu.

Blade musiał tu być. Na pewno. Tymczasem żołnierze, którzy trzy dni temu przeszukali plantację, nie znaleźli nikogo. Dlaczego? Gdzie mogli go ukryć? A może nie żyje? Te pytania nie dawały mu spokoju.

W cieniu jabłoni stał wóz z zaprzężonym do niego mułem. Zwierzę leniwie opędzało się od natrętnych much. Alex zwolnił i wjechał na pożółkłą wysoką trawę porastającą sad. Po chwili dostrzegł Tempie i Susannah, stojące na drabinach, zajęte zrywaniem jabłek.

Zaraz też pojawiła się Sorrel, idąca w stronę wozu z koszykiem pełnym owoców, które zaczęła układać w drewnianej skrzynce stojącej na wozie. Ostatnie zatrzymała dla siebie, wbijając zęby w soczysty miąższ i wycierając dłonią spływający po brodzie sok.

- Zamierzasz to jeść?

Przyłapana na gorącym uczynku odwróciła się, kryjąc jabłko za plecami.

- Alex. Co ty tu robisz?

- A jak myślisz? - Zsiadł z konia i podszedł do wozu. - Przyjechałem zobaczyć się z moją ulubioną kuzynką. Widzę, że mama zapędziła cię do roboty.

Skrzywiła się niechętnie.

- Mama postanowiła nie pozwolić, żeby rabusie rozkradli wszystkie jabłka. Chcesz jedno? - Wskazała ręką na skrzynkę. - Takie są najlepsze, jeszcze ciepłe od słońca.

Wziął czerwony owoc, lecz nie od razu go ugryzł.

- Jak twój ojciec?

- O ile wiem, to dobrze. - Wzruszyła ramionami i ponownie wbiła zęby w jabłko.

- Nie rozumiem. To go tu nie ma?

- Nie. Wyjechał dwa... a może trzy dni temu.

- A więc wyleczył się z ran. - Oznaczało to, że teraz Blade będzie go ścigał. Może nie natychmiast. Najpierw wybierze odpowiedni czas i miejsce, chyba że on pierwszy go dopadnie.

- Nie bardzo. - Oblizła mokre od soku palce. - Mama bardzo się denerwowała.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Denerwowała się i już.

- Ciekawe, czyjej powiedzieli - mruknął, częściowo do siebie.

- Co niby mieli powiedzieć, Alex? - rozległ się głos Tempie. Odwrócił się zaskoczony. Czyżby o wszystkim wiedziała?

- Nie słyszałem, jak podeszłaś - odparł wymijająco.

- Przepraszam. Nie chciałam cię przestraszyć. - Wstawiła na wóz kosz pełen jabłek i wytarła dłonie w fartuch. - No więc o czym to miałabym wiedzieć?

- Jak zginął mój ojciec.

Spojrzała na niego z nagłym niepokojem.

- Powiedziałaś Susannah, że został zabity.
- Raczej zastrzelony z zimną krwią... przez Blade'a.
- Nie - zaprotestowała Susannah, podchodząc. - Nie wierzę ci.
- To prawda. - Spojrzał na nią zimno. - Byłem tam i wszystko widziałem.
- Nie - wyszeptała Tempie.
- Najpierw wytrącił ojcu broń z ręki, a potem kazał mi rzucić mój ą. - W jego głosie brzmiała gorycz. - Powiedział: „Zasługujesz na śmierć, Kipp”. I zastrzelił go.
- Jeśli to prawda, czemu wcześniej mi o tym nie powiedziałaś? - zapytała Susannah.
- Nie byłem pewny, czy mi uwierzysz.
- I teraz nie jestem pewna, czy ci wierzyć.
- Ona wierzy. - Uśmiechnął się i wskazał na Tempie. Sorrel odwróciła się do matki, wstrząśnięta tym, co usłyszała.

- To prawda, mam? Czy on go zabił? Czy ojciec jest mordercą?

Kiedy Tempie nie odpowiedziała, Susannah uznała za stosowne się wtrącić.

- Sorrel, musisz zrozumieć, że trwa wojna. Twój ojciec i Kipp stali po przeciwnych stronach. W czasie wojny ginie wielu ludzi. Ale to nie znaczy, że zostali zamordowani.

- Słyszałaś, co powiedział Alex. Wuj Kipp nie miał broni, a mimo to ojciec go zastrzelił - powiedziała łamiącym się głosem. - Znał Kippa, a mimo to go zastrzelił. To nie jest żadna wojna! Odwróciła się i uciekła.

O, Tahltquah, Terytorium Czirokezów Maj 1864

Olbrzymie bukiety dzikich azalii i kapryfolium zdobiły wielki hol Czirokeskiej Żeńskiej Szkoły, która otworzyła dziś wieczór swe podwoje na przyjęcie gości. Honorowe miejsce zajmowała czerwono-biało-niebieska flaga Unii. W podobnej tonacji było płótno przykrywające podest dla orkiestry z Fort Gibson.

Na parkiecie wirowały strojne pary: oficerowie w paradnych mundurach i panie w sukniach balowych. Żadna jednak nie dorównywała urodą kobiecie, którą Adam Clark trzymał w ramionach, żadna nie była równie ponętna, choć dekolty dam szokowały niekiedy swą śmiałością. Diana miała suknię z błękitnej satyny, ozdobioną srebrnobłękitną koronką, dyskretnie okrywająca wzniesienia jej piersi i ramiona, zakończoną wysokim marszczonym kołnierzykiem przy szyi.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że zazdroszczą mi wszyscy obecni tu mężczyźni? - zapytał, by przyciągnąć jej uwagę.

- Doprawdy? - Uśmiechnęła się lekko.

- Wreszcie zdołałem wywołać uśmiech na twojej twarzy.

- Nie jestem dziś w nastroju do zabawy. Przykro mi.

- I powinno być ci przykro. Tańczysz przecież z najlepszym i najzgrabniejszym tancerzem po tej stronie Missisipi - powiedział i rozmyślnie nadepnął jej na nogę. Diana roześmiała się wbrew sobie.

- Na taką właśnie muzykę czekałem cały wieczór.

- Jesteś beznadziejny, Adamie.

- Nie, ja nigdy nie tracę nadziei.

Nie powinien tego mówić. Uśmiech zniknął z jej twarzy i znowu popadła w zamyślenie. Tak było, odkąd tu przyjechali. Coś ją trapiło.

Kiedy muzyka ucichła, pary zatrzymały się i tancerze ukłonem dziękowali swym partnerkom za taniec. Adam również cofnął się o krok i pochylił głowę, po czym podał ramię Dianie, by

odprowadzić ją na miejsce. Z ociąganiem ruszył w stronę Elizy Gordon i jej córki Susannah. Nie miał ochoty do nich iść. Chciał zostać z Dianą i dowiedzieć się, co ją niepokoi. Markotność nie była jej cechą charakteru. Jego Diana kipiała życiem i radością. Rzadko bywała przygnębiona.

- Może wyjdziemy na zewnątrz - zaproponował.

- Powinieneś poprosić do tańca Susannah.

- Pastor Cole może mnie w tym zastąpić.

- Pastor Cole? - powtórzyła zaskoczona i spojrzał na niego z rozbawieniem. - Wyobrażasz go sobie tańczącego na tych swoich dwóch lewych nogach, sztywnego jak kij? Powinam powiedzieć jak Biblia.

Adam wybuchnął śmiechem, zadowolony, że choć na chwilę obudził w niej dawną Dianę.

- Nie, nie jestem w stanie sobie tego wyobrazić. Nie sądzę jednak, by Susannah bardzo się zmartwiła, jeśli przesiedzi jeszcze jeden taniec. Coś mi się zdaje, że przyjmuje moje zaproszenia jedynie z poczucia obowiązku. Nie wkłada w to serca, podobnie jak ja.

Poprowadził Dianę w stronę drzwi. Nie protestowała.

- Myślę, że jej serce jest zupełnie gdzie indziej - powiedziała.

Kiedy wychodzili na ozdobiony kolumnami szkolny ganek, orkiestra zaczęła grać polkę. Skoczna melodia popłynęła za nimi w ciemność. Ciepły wiatr szumiał wśród traw. Na niebie jaśniał sierp księżyca, rozpraszając mrok i oświetlając masywne kolumny. Przeszli na koniec ganku. Diana dotknęła dłonią kolumny i zapatrzyła się w dal.

- Jesteś dziś wyjątkowo milcząca - zauważył. - Chciałabyś o tym porozmawiać?

- O czym?

- O tym, co zajmuje twoje myśli. Obiecuję, że będę dobrym słuchaczem.

- Zawsze jesteś - powiedziała z nutą gorzkości w głosie.

- No więc co cię trapi?

- Nie wiem. - Wzruszyła lekko ramionami. - Może to ten bal... Ty w paradnym mundurze, ja w mojej najlepszej sukni, gra orkiestra, ludzie tańczą, śmieją się i udają, że nie ma wojny. Jak mogą tak się zachowywać? Jak my możemy tak się zachowywać?

- Wszystkim nam potrzebna jest chwila wytchnienia od wojny i napięcia. W przeciwnym razie wpadlibyśmy w obłąd. Ta zima była wyjątkowo długa. - I niewiele się działo, dodał w myślach.

Bezczynność, oczekiwanie i rozmyślanie wywoływały w ludziach niepokój i nerwowość. Z wyjątkiem nielicznych patroli, nie spotykało się w okolicy żadnych wojsk. Wiele razy przekonywał siebie, że wojna dobiega końca, że Południe zostało pokonane. Jednak nie mógł się pozbyć niejasnego uczucia, że to cisza przed burzą. Jeśli nawet rebelianci nie wygrają wojny, nie poddadzą się bez walki.

- Po trzech latach okupionych cierpieniem mamy prawo do chwili radości, Diano. Nawet przez jedną noc.

- Może i tak. Ale kiedy my tu walcujemy, gdzieś niedaleko cierpią ludzie. Któregoś dnia pastor Cole rozmawiał z jednym z konfederackich jeńców. Opowiadał mu, że w Teksasie, w krainie Red River, głodują ludzie. Nawet nie chcę myśleć, co musieli przejść tej zimy: głód, chłód, brak dachu nad głową i brak lekarstw. To musiało być potworne.

- My też nie jesteśmy w lepszej sytuacji. Rebelianci nie byli w stanie przystąpić do zimowej ofensywy, ale my również nie.

- To nie to samo.

- Nie?

- Dobrze wiesz, że nie. Czasami chciałabym... - Urwała i ciężko westchnęła. - Już nie wiem, czego bym chciała.

- Jak my wszyscy, żeby wojna się skończyła.

- Ona się nigdy nie skończy. Bo pozostanie nienawiść. Jestem już nią zmęczona, Adamie.

Kiedy poczuła, że ją obejmuje, wtuliła się w jego ramiona, desperacko pragnąc czułości i ciepła. Jego ręce i usta mogły jej to ofiarować. Chciała być kochana, pocieszana i otaczana opieką. Pragnęła, by scałował wszystkie jej troski i wypełnił dręczącą pustkę.

Chłonęła chciwie jego pieścizoty, nie mogąc się nimi nasycić. Wsunęła mu palce we włosy, pogłębiając pocałunek. Nagle łzy stanęły jej w oczach, bo zrozumiała, że nic nie może dać mu w zamian. Wszystko bowiem oddała Lijemu.

Walcząc ze łzami i bólem, przerwała pocałunek i oparła mu dłonie na piersi, nie podnosząc jednak głowy.

- Przepraszam, Adamie, ale jeszcze nie jestem gotowa.

- Nie jesteś gotowa? - powtórzył ochryple, nie pozwalając się jej odsunąć. - Mam w to uwierzyć po tym, jak mnie całowałaś?

Uniosła wolno głowę i spojrzała mu w oczy.

- To prawda. Nie chciałam, żeby tak było, ale nic na to nie poradzę. Ciężki ból przemknął mu przez twarz, lecz szybko go stłumił.

- W takim razie zaczekam, tak jak dotąd czekałem. Opuścił ręce.

- Myślę, że przyda nam się krótki spacer przed powrotem na salę.

- Też tak myślę.

W tej chwili nie była w stanie stawić czoła tłumowi gości.

Susannah wymknęła się z sali niezauważona. Gdyby musiała dłużej się uśmiechać i prowadzić uprzejmą konwersację, zaczęłaby krzyczeć. Nie powinna tak reagować. To był przecież bal. Taniec i luźna rozmowa stanowiły jego część.

Zatrzymała się w cieniu przy drzwiach i rozejrzała na boki. Z lewej strony dostrzegła parę, spacerującą po zalanym księżycowym światłem trawniku. Rozpoznała w niej Dianę i Adama Clarka. Natychmiast skrzyła więc w prawo, starając się kryć w cieniu budynku. Nie miała ochoty tłumaczyć, dlaczego chce być sama.

Kiedy zniknęła za rogiem szkoły, zwolniła i poszła długim krużgankiem. Suknia z tafty w miedzianym kolorze szeleściła cicho przy każdym ruchu. Z holu dobiegały stłumione dźwięki serenady, które jednak nie przyniosły jej ukojenia.

Cofnęła się myślami do szkolnych czasów. Zawsze myślała, że wróci tu jako nauczycielka. Teraz szkoła była zamknięta, tak jak pozostałe, z powodu wojny.

Nie chciała myśleć o wojnie. Zamiast tego przypominała sobie, kiedy ostatni raz słyszała wojskową orkiestrę z fortu. Było to tu, w szkole, lecz muzycy siedzieli wówczas na trawniku z tyłu budynku, przy tych wysokich drzewach.

Wiedziona impulsem, zeszła po stopniach na trawnik. Powiew wiatru musnął jej nagie ramiona. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie wrócić po szal, lecz wówczas wszyscy zobaczyliby, że wychodzi, i ten młody porucznik zaproponowałby jej spacer przy księżycu. Powinno jej to pochwlebiać, tymczasem pragnęła, żeby zostawił ją w spokoju i przestał prawić komplementy na temat perfum.

Przypomniał jej tym Ransa Lassitera. Właściwie powinna o nim zapomnieć. Od sześć miesięcy nie dawał znaku życia. Nie była pewna, czego się spodziewała, ale na pewno nie milczenia. Może nie powinna brać poważnie tego, co wówczas powiedział. Może była to tylko czcza gadanina, fortel, by skraść jej pocałunek. Może po prostu się oszukiwała.

Usłyszała gwizdanie i obejrzała się, żałując, że stoi na otwartej przestrzeni, gdzie każdy może ją zobaczyć. Nagle rozpoznała melodię. Och, Susannah. Serce jej zabiło. Rans. To na pewno on.

Rozejrzała się na boki, czy nikt jej nie widzi, chwyciła w dłonie suknię i pobiegła ku ciemnej ścianie drzew. Tajemnicza postać w kapeluszu wyszła jej na spotkanie. Rans.

Uśmiechnął się, a światło księżyca przydało jego szarym oczom srebrnego blasku.

- Zdaje się, że to mój taniec, panno Gordon.

Zanim doszło do niej, że orkiestra gra walca, już objął ją ramieniem i wykonał kilka pas.

- Co ty tu robisz?

Wciąż miała wrażenie, że to sen. Za chwilę otworzy oczy i Rans zniknie. Lecz ramię obejmujące ją w tali i mocny uścisk dłoni nie były przecież iluzją.

- Dowiedziałem się, że Jankesi urządzają dziś bal. Po drodze wstąpiłem do ciebie do domu i wasza pokojówka Phoebe powiedziała, że jesteście tutaj. Nie mogłem pozwolić, by ci jankescy oficerowie zabrali mi wszystkie tańce.

Susannah nagle zdała sobie sprawę, że przecież wszędzie aż roi się od niebieskich mundurów.

- Rans, a co będzie, jeśli któryś z nich cię zobaczy? Czy wiesz, że są tu prawie wszyscy oficerowie z fortu?

- Jako lojalna Jankeska powinnaś podnieść alarm.

- Mówię poważnie. To szaleństwo tu przychodzić.

- To samo powiedzieli moi ludzie.

- Powinieneś ich posłuchać. Tu nie jest bezpiecznie.

- Ale jestem i już - rzucił z lekkim zniecierpliwieniem. - Powiedz chociaż, że się cieszysz.

- Cieszę się, Rans, ale...

Ze zduszonym jękiem przyciągnął ją do siebie i przywarł do jej warg w namiętym pocałunku, uniemożliwiając dokończenie zdania. Zalała ją fala pożądania. Jego wargi, zachłanne i zaborcze, rozpałały w niej krew. Odpowiedziała z równą niecierpliwością i desperacją.

W końcu oderwał się od jej ust i oddychając chrapliwie, zaczął całować policzek, przesuwał się ku zagłębieniu za uchem.

- Boże, jak za tobą tęskniłem.

- I ja za tobą - wyszeptała drżąc.

- Nawet nie wiesz, jak mi Ciebie brak.

Gorącymi wargami pieścił jej oczy, policzki, szyję i ramiona. Drżąc z rozkoszy, nie była w stanie skupić się na tym, co on mówi. Jego usta budziły do życia każdą najmniejszą cząstkę jej ciała.

- Chciałem napisać list, lecz nie wiedziałem, jak ci go dostarczyć. - Dotknął wargami jej ust. - Kiedy ta wojna się skończy... - Jęknął. - Niech to diabli, nie mogę ci niczego obiecywać. Przecież nie wiem nawet, czy wyjdę z niej żywy, ale jeśli wyjdę...

- Wiem. - Wsunęła mu palce we włosy i przyciągnęła jego głowę ku sobie. Nie chciała mówić o śmierci i umieraniu, kiedy czuła się taka pełna życia.

Od strony drzew dobiegł żałobny krzyk lelka kozodoja. Po chwili wołanie się powtórzyło, tym razem głośniejsze. Rans niechętnie oderwał się od Susannah.

- Czas na mnie. - Nadal jednak trzymał ją w ramionach, chłonąc głodnym wzrokiem jej twarz, szyję i nagie ramiona. - Zobaczymy się znowu... kiedy będę mógł.

- Wiem. - Drżała na całym ciele.

- Panie kapitanie - rozległ się natarczywy szept.

- Już idę.

Przesunął dłońmi wzdłuż linii jej ramion i dekoltu.

- Do diabła, panie kapitanie - naglił głos.

- Rans, proszę cię, idź już - powiedziała błagalnie. Objął dłońmi jej szyję i pocałował mocno i szybko.

- Nie płacz za mną - tchnął śpiewnie jej w usta i zniknął w ciemnościach.

Przez chwilę wsłuchiwała się w ciche szelest, lecz nie wiedziała, czy to kroki Ransa, czy wiatr szumi w liściach. Wygladziła suknię, próbując stłumić uczucie dziwnej pustki.

Słyszając tętent kopyt, odwróciła się ku budynkowi szkoły. Nadjechał właśnie oddział kawalerii. Modliła się w duchu, żeby Rans i jego ludzie uniknęli wpadki i zadrżała na myśl o ryzyku, na jakie się narażał, przyjeżdżając tu. Kochał ją. Nie powiedział tego, lecz i tak wiedziała. Uśmiechnęła się i ruszyła ku szkole.

Fiat Rock, Terytorium Indiańskie 16 września 1864

Leżąc na krawędzi wzgórza, Blade lustrował przez lunetę łąkę, na której pracowali żołnierze Unii. Z uwagą przyjrzał się grupie czarnych sylwetek koszących siano i ustawiających je w stogi. Prócz niego teren obserwowali również generałowie Watie i Gano. Ten ostatni był dowódcą Brygady Teksasńskiej i jednocześnie głównodowodzącym połączonych sił konfederackich, liczących około dwóch tysięcy ludzi, rozstawionych wzdłuż Traktu Teksasńskiego.

- Nie licząc forpoczt, jest ich chyba około stu do stu dwudziestu pięciu - ocenił Blade.

Ich zadanie było proste: mieli odciąć dostawy dla garnizonu unionistów w Fort Gibson i rozlokowanych tam szesnastu tysięcy uchodźców.

Już miał odjąć lunetę od oka, kiedy jego wzrok przyciągnęła znajoma sylwetka. Skierował lunetę na czarnego żołnierza koszącego siano. Był to Ike, syn Deu. Natychmiast stanęła mu przed oczami owa scena, kiedy leżał pod łóżkiem, zaciskając zęby z bólu i Ike go zobaczył, lecz nie podniósł alarmu.

Poczuł bolesny skurcz żołądka, gdy usłyszał, jak generał Gano wydaje rozkaz, by oddział czołowy odciął unionistom drogę do fortu. Opuścił wolno lunetę. Przy stosunku sił prawie dwadzieścia do jednego ci ludzie na łące nie mieli żadnych szans. Ike również. A on nic nie mógł na to poradzić. Nic.

Shadrach wyprostował się, by wytrzeć pot z twarzy. Ike spojrział na niego i wybuchnął śmiechem.

- Biedny wujek Shad. Nie udało się im zmusić ciebie do pracy w ogrodzie, a teraz układasz siano w stogi. Założę się, że wstępując do armii nie przypuszczałeś, że będziesz pracował w polu. Zamiast z czarnego służącego zmienić się w żołnierza, zostałeś robotnikiem polowym.

Shadrach nie zdążył odpowiedzieć, bo w tej chwili rozległ się głos trąbki.

- Wygląda na to, że znowu będziemy żołnierzami, Ike. Pobiegli do obozu. Okazało się, że w pobliżu dostrzeżono oddział wroga w sile około dwustu ludzi.

- Akurat dwieście - mruknął Ike. - Raczej dwa tysiące. Naliczyłem sześć armat. Wygląda na to, że czeka nas walka na śmierć i życie, wujku. Odcięli już nam drogę do fortu. - Shadrach nic na to nie odpowiedział. - Słyszałeś, co mówiłem?

- Słyszałem - odparł wolno. W głosie siostrzeńca brzmiała desperacja. - Skoro jesteśmy już jedną nogą w grobie, nie ma co przejmować się śmiercią.

Tym razem to Ike zamilkł. Tyle rzeczy Shadrach chciał mu powiedzieć - o życiu, o wolności, o byciu Murzynem. Chciał mu przypomnieć, że nie umierają jak niewolnicy, lecz jak żołnierze walczący o wolność Czarnych. Chciał mu powiedzieć, że dobrze jest za to umierać, lecz te słowa brzmiały zbyt dumnie, zbyt wzniosie, zwłaszcza że sam wcale nie czuł w sobie dumy, a raczej pokorę.

Ike uśmiechnął się niepewnie i położył dłoń na ramieniu Shadracha.

- Nie dostaną nas tak łatwo, wujku. Będą musieli drogo za to zapłacić.

W tym momencie odezwały się muszkiety. Do doliny zbliżali się rebelianccy strzelcy. Bitwa się rozpoczęła. Ciekawe, jak długo zdołają się utrzymać, pomyślał Shadrach.

Złocista kula płonęła na wrześnieowym niebie, kiedy do ataku ruszyła konfederacka piechota. Wszystko wydawało się skąpane w złocie, od wysokiej trawy i stogów siana, po szare kurtki południowców. Shadrach przyłożył karabin do ramienia i czekał. Pomyślał o siostrze Phoebe, o Elizie i o szkole, której nigdy nie zbuduje.

W odległości dwustu metrów piechota otworzyła ogień i nie było już czasu na myślenie. Nad skąpanym w złocie wąwozem zabrzmiał przerażający dźwięk, od którego ciarki przechodziły po plecach, wibrujący ryk tysiąca rebelianckich gardeł. Ziemia zadrgała od tętentu szarżującej kawalerii.

Przez pół godziny odpierali atak za atakiem. Potem, dostrzegając wyłom w linii wroga, ich kapitan polecił wszystkim, którzy mieli konie, dosiąść ich. Spróbują się przebić. Koni starczyło zaledwie dla połowy ludzi.

- Na co czekasz? - burknął gniewnie Shadrach, kiedy Ike się zawahał. - Słyszałeś rozkaz kapitana. Wskakuj na konia.

- Nie mogę. - Ike odwrócił spojrzenie od leżącego na trawie zwierzęcia i przeniósł je na atakujących rebeliantów. - Mój koń padł. Zostanę chyba z tobą. Nie mam ochoty uciekać.

Sześćdziesięciu pięciu unionistów z grupy liczącej stu dwudziestu pięciu żołnierzy ruszyło galopem przez wąwóz. Przez kilka minut wydawało się, że uda im się przebić. Mur konfederatów zachwiał się pod niespodziewanym atakiem. Zaraz jednak nadjechała kawaleria i rozpoczęła się bezlitosna walka. Zamieszanie powiększały jeszcze pędzące bez jeźdźców konie, zarówno jankeskie, jak i konfederackie.

- Myślisz, że się przedarli? - zapytał Ike Shadracha.

- Może kilku. Trudno powiedzieć.

Oparł się na łokciu, by załadować karabin i spojrzał na nieliczną grupkę, która została z ich oddziału. Prócz białego porucznika i kilku białych piechurów cała reszta to byli czarni żołnierze. Za to wszyscy mieli na twarzach ten sam wyraz ponurej desperacji.

Konfederacka armia przypuściła następny atak. Kula rozerwała Ike'owi ramię. Z rany buchnęła krew, barwiąc rękaw. Nie miał jednak czasu, by założyć opatrunek.

Chwilę później kątem oka zauważył, że siła uderzenia odrzuca Shadracha w tył.

- Wujku!

Podczołgał się do niego, lecz Shadrach zdołał już się podnieść i przyjąć pozycję strzelecką.

- Nic mi nie jest - rzucił niecierpliwie, przyciskając dłoń do piersi. Między palcami ciekła mu krew. Z wysiłkiem przyłożył karabin do ramienia i ponownie wycelował.

Ike zawahał się, po czym poszedł za jego przykładem. Przez dwie godziny odpierali atak wroga, dopóki nie skończyła się amunicja.

- Rozproszyc się - polecił porucznik. - Niech każdy ratuje się na własną rękę.

- Chodź, wujku. - Ike odsunął się od ściany wozu, przyciskając dłoń do ramienia.

- Nie. - Shadrach nie był w stanie się ruszyć. Z trudem oddychał. Rana na piersi nawet nie

krwawiła, za to sprawiała potworny ból. - Idź. Zostało mi jeszcze kilka nabo. Zatrzymam ich.

- Nie zostawię cię. Chodź. Pójdziemy razem.

Chwytał Shadracha za ramię, próbując go podnieść, lecz wuj zrobił się prawie czarny na twarzy.

- Nie - jęknął. - Musisz mnie zostawić, Ike. Nie dam rady iść. Dostałem w płuco.

- Wujku. - Ike ukląkł przy nim bezradny.

Shadrach, widząc udrękę w jego oczach, uśmiechnął się z trudem.

- Nie przejmuj się mną. Uciekaj. Twoja matka nigdy by mi nie wybaczyła, gdyby coś ci się stało.

- Do diabła, wujku, byłeś dla mnie jak rodzony ojciec. Zawsze potrafiłeś mnie zrozumieć -

powiedział niskim schrypniętym głosem.

- A ty byłeś dla mnie jak syn. Chyba wiele nas łączyło. - Uśmiechnął się, oddychając płytko i

urywanie. - Ale urodziłem się za wcześnie. Teraz nadszedł twój czas. Wykorzystaj go i zrób coś... z

czego obaj bylibyśmy dumni. A teraz zabieraj się stąd, póki masz jeszcze okazję.

Ike patrzył na niego przez chwilę, po czym nisko pochylony pobiegł wozem. Zaciskając zęby z bólu, Shadrach zajął pozycję strzelecką i czekał na swój koniec, modląc się, aby nie spotkało to Ike'a.

Konfederaci ponownie zaatakowali. Zastrzelił dwóch i skończyła mu się amunicja. Spróbował wstać, by zmierzyć się z nadbiegającym piechurem i wtedy dostał w pierś. Osunął się na krawędź wozu i zapatrzył w popołudniowe słońce. Jaśniało nieziemskim złotym blaskiem.

Blade zatrzymał konia przy ciele Shadracha. Poczul we wnętrzu wielką pustkę, jakby umarła jakaś jego część. Wojna nie tylko zabija ludzkie istnienia, niszczy również dusze tych, którzy ocaleli, zmieniając wspomnienia w gorycz i zmuszając do zastanowienia się nad sensem walki i jej kosztami.

- Znał go pan? - zabrzmiał tuż obok głos.

Oderwał z trudem wzrok od Shadracha i spojrzał na stojącego obok kapitana z Teksasu. Nie dostrzegł w jego szarych oczach pogardy. Zdaje się, że przed chwilą go o coś pytał.

- Tak, znałem - skinął głową.

Opierając dłonie na przednim łęku, Rans Lassiter popatrzył po ciałach zabitych, leżących na dnie wozu.

- Diabło dzielnie walczyli, choć było ich tak niewielu.

- Tak.

Jak dotąd nie znalazł nigdzie ciała Ike'a. Czyżby był wśród tej garstki jeźdźców, która próbowała się przebić przez ich kordon? Musiał w to wierzyć, ze względu na Deu.

- Wszystko w porządku, majorze?

Rans Lassiter przechylił głowę na bok, patrząc na niego z uwagą.

Blade zdał sobie sprawę, że patrzy na niego niewidzącym wzrokiem i szybko przesunął spojrzenie na zakrwawioną chustkę, którą Rans przewiązał sobie ramię.

- Lepiej niech ktoś ci opatrzy tę ranę - powiedział i dał koniowi ostrogę. Z płonących stogów siana unosił się w górę czarny dym.

Lije zsiadł z konia przy jednym z licznych tu rozlewisk powstałych po wylaniu Grand River i

pozwoił zwierzęciu zaspokoić pragnienie. Natychmiast zaczęło hałaśliwie i zachłannie chleptać. Szyję i boki pokrywał mu zaschnięty pot.

Jego pan otarł rękawem usta, wciągając w nozdrza ostry zapach potu i prochu. Spojrzał w górę i przyglądał się gęstym smugom dymu, unoszącym się nad łąką.

Od strony dawnego obozu unionistów dobiegł tętent kopyt. Po chwili pojawił się sierżant z oddziału Lijego.

- Spenetrowaliśmy cały teren wokół wąwozu - zaraportował. - Wyłapaliśmy chyba wszystkich ukrywających się.

- Wystawcie warty, a reszta niech wraca do obozu - polecił Lije.

Sierżant skinął głową i odjechał. Lije zebrał wodze z zamiarem wskoczenia na siodło. Nieprzyjemne, lecz konieczne zadanie wyłapania pozostałych przy życiu unionistów dobiegło końca. Wsiadł na konia i nagle usłyszał cichy plusk wody. Jego wierzchowiec parsknął i zastrzygł uszami, wyciągając łeb w stronę kępy sitowia porastającego przeciwległy brzeg zbiornika. Powierzchnia wody zafalowała, rozpluwając się w kręgi.

Lije nie spuszczał wzroku z trzcin, widząc, że koń również je obserwuje. Na wojnie człowiek uczy się kierować instynktem, który nierzadko ratuje mu życie. Odbezpieczył rewolwer i ruszył wzdłuż rozlewiska, starając się trzymać gęstej trawy, która tłumiała odgłos kopyt.

Kiedy zbliżył się do trzcin, nagle wychynęła z nich głowa.

- Wychodź! - rzucił ostrym głosem Lije. Mężczyzna obrócił się gwałtownie i wówczas Lije go rozpoznał. - Ike!

Syn Deu wpatrywał się w niego intensywnie. Woda spływała mu po szyi. Lije przypomniał sobie dzieciństwo i wspólne zabawy. Pomyślał o Deu i Phoebe.

Zwolnił kurek, schował broń do pochwy i spojrzał na zachodzące słońce.

- Kiedy się ściemni, będziesz miał kilka godzin, zanim wzejdzie księżyc - rzucił półgłosem. - Powodzenia, Ike.

Zawrócił konia i odjechał w stronę obozu. Przez cały czas przekonywał się, że postąpił słusznie. Do diabła, nie mógł przecież pozbawić Ike'a ostatniej szansy.

Przy krawędzi wąwozu dostrzegł Blade'a. Podjechał, by zdać mu raport.

- Zabezpieczyliśmy teren - zaczął Lije i w tym momencie spostrzegł Deu, który klęczał przy ciele czarnego żołnierza i składał mu ręce na piersi. - Kto...

- Shadrach - odpowiedział Blade, po czym westchnął ciężko i rozejrzał się po wąwozie.

Lije domyślił się, co trapi ojca.

- Nie ma tu jego ciała. - Blade spojrzał na niego z nagłą uwagą. - Powiedz Deu, że Ike żyje.

- Skąd...

- Po prostu wiem i poprzestańmy na tym.

Blade skinął wolno głową. Cień uśmiechu błysnął w jego oczach. Lije odpowiedział tym samym i ruszył do obozu.

Kiedy ciemność wchłonęła ostatnie promienie zachodzącego słońca, Ike ostrożnie wyszedł z trzcin. Ciało zdrętwiało mu z zimna i wilgoci, a rana w ramieniu boleśnie pulsowała. Mimo to starał się robić jak najmniej hałasu. Gdzieś tu musiały być punkty wartownicze. Trzeba je ominąć i spróbować dotrzeć jakoś do fortu.

Zaczął czołgać się wśród gęstej trawy, zaciskając zęby, by nie szczękały. Trzydzieści metrów dalej natknął się na pierwszy punkt wartowniczy i szczęśliwie go ominął. Czołgał się dotąd, póki się

nie upewnił, że jest poza zasięgiem ich wzroku. Wtedy wstał i ruszył w stronę fortu, kierując się na południe. Zaczynało świtać, kiedy zobaczył wreszcie palisadę Fortu Gibson. Ranny, wyczerpany i zmarznięty na kość z trudem pokonał ostatnie metry dzielące go od bramy.

- Udało mi się, wujku Shad - wyszeptał, kiedy usłyszał głos stojącego przy bramie wartownika.

Później dowiedział się, że ze stu dwudziestu pięciu ludzi z obozu Fiat Rock przeżyło dziewiętnastu. Piętnastu udało się przebić przez linię wroga w czasie szaleńczej szarży. Trzej pozostali, podobnie jak on, przeczekali ukryci w trawie lub w licznych tu rozlewiskach i omijając konfederackie posterunki przedarli się pod osłoną nocy do fortu.

Dwa dni później, nad Cabin Creek, te same siły konfederackie, które rozbiły jego oddział, zaatakowały pociąg z zaopatrzeniem. Sto wagonów spłonęło, a sto trzydzieści dostało się w ręce rebeliantów razem z półtora milionem dolarów.

Zanim Ike wrócił do zdrowia, jego pułk został przeniesiony do Arkansas, najpierw do Little Rock, potem do Fort Smith. Wczesną wiosną 1865 roku telegrafy przekazały wiadomość o podpisaniu aktu kapitulacji przez generała Lee pod Appomattox. Później przyniosły tragiczną wieść o zamordowaniu prezydenta Lincolna. Wojna dobiegała końca. Armie Konfederacji, jedna po drugiej, składały broń. Dwudziestego trzeciego czerwca 1865 roku, pod Doaksville, jako ostatni z konfederackich dowódców poddał się generał brygady Stand Watie.

Pokrywające podjazd liście uciekały spod końskich kopyt. Ike nie zwracał uwagi na nerwowe ruchy konia, zajęty obserwowaniem dworu. Z daleka Grand View wyglądało równie imponująco jak dawniej, lecz w miarę zbliżania się można było dostrzec coraz liczniejsze ślady zaniedbań.

Przed czterema dniami, pod koniec października, Ike został zwolniony z wojska i mógł wrócić do domu. Jechał, by zobaczyć się z matką. Nie był jednak pewny, jak zostanie przyjęty. Ominął dwór i zatrzymał się przy wolno stojącej kuchni. Z komina unosił się dym. Zsiadł z konia i okręcił wodze wokół gałęzi drzewa, by zwierzę mogło poszczypać soczystą trawę.

Otworzył drzwi i wszedł do środka. Przy stole kuchennym, tyłem do niego, stała kobieta. Po chwili odwróciła się, wycierając ręce w fartuch. Matka - trochę starsza, grubsza i posiwiała, lecz z takimi jak dawniej krągłymi policzkami i wielkimi łagodnymi oczami. Teraz te oczy wpatrywały się w niego z wyrazem zaskoczenia.

Pospiesznie zdjął kapelusz i trzymał go w rękach, nerwowo miętosząc rondo.

- Witaj, mamó.

- Ike? - Zrobiła krok w przód, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co widzi. - To naprawdę ty! - krzyknęła i podbiegła do niego, chwytając w objęcia. Po chwili odsunęła się i wzięła w dłonie jego twarz. - Myślałam, że mi się przywidziało, ale to naprawdę ty.

- Nie byłem pewny, czy zechcesz mnie widzieć. - Język mu się plątał, w oczach czuł wilgoć, w sercu czuł ogromną radość.

- Nie zechcę widzieć mojego chłopca? Przecież jestem twoją matką. Odchyliła głowę, by mu się przyjrzeć, wciąż jednak trzymała go w objęciach, jakby obawiając się, że może zniknąć. Uśmiechnęła się przez łzy.

- Przynajmniej nie nosisz już tego okropnego niebieskiego munduru. - Ponownie przytuliła się do niego, niezdolna zapanować nad przepełniającym ją szczęściem. - Niech no tylko zobaczy cię pani Tempie. I pani Eliza. - Wzięła go za rękę, jakby wciąż był małym chłopcem i poprowadziła do dworu, wołając już od progu: - Proszę pani! Ike wrócił do domu!

Kiedy nadbiegły Tempie, Eliza, Susannah i Sorrel, powitaniom nie było końca. Nigdy by się tego

nie spodziewał, nie po tym, jak uciekł do wojska. Zanim zdążył odetchnąć, siedział przy stole z pełnym talerzem jedzenia.

Zanim wziął do ust pierwszy kęs, spojrzął na matkę z niepokojem.

- Mamo, muszę ci powiedzieć o wujku Shadrachu. On...

- Wiemy - weszła mu w słowo Eliza. - Jed... to znaczy major Parmelee wszystko nam o nim powiedział... i o jego bohaterstwie.

- Był bardzo dzielny, mamó. Był najdzielniejszym z ludzi.

- Zawsze taki był. Boże, kiedy pomyślę, jak zakradał się do szkoły, żeby zabrać zadania, które pani Eliza mu zostawiała... - Phoebe zadrżała mimowolnie, po czym się uśmiechnęła. - Nieźle by oberwał od naszej mamy, gdyby się o tym dowiedziała. Ale to go nie powstrzymało. Postanowił zdobyć wykształcenie.

- Wiem - mruknął Ike.

Ścisnęła go za rękę.

- Szkoda, że twojego ojca tu nie ma.

- Wkrótce wrócą do domu - pocieszyła ją Tempie. Ike spojrzął na nią niepewnie.

- Nie liczyłbym na to, proszę pani.

- Dlaczego? - Spojrzała na niego ze strachem.

- Czują się dobrze - zapewnił ją pospiesznie. - Widziałem ich przed miesiącem w Fort Smith, kiedy przybyli na spotkanie z komisarzami federalnymi. Nie udało mi się z nimi porozmawiać, ale widziałem, że nic im nie dolega.

- Dlaczego nie wrócą do domu? Wojna się skończyła.

- Musi pani wiedzieć, że wiele niechęci i wrogości narosło między Czirokezami, którzy walczyli po stronie Unii, a tymi, którzy walczyli po stronie Południa... zwłaszcza po tym, jak komisarze oznajmili delegatom wszystkich indiańskich narodów, że utracili wszelkie prawa do swych ziem i rent, kiedy przyłączyli się do konfederatów. Cały naród Czirokezów musi odpowiadać za poczynania Standa Watiego i jego ludzi, mimo że połowa pozostała lojalna wobec Unii. Będą musieli podpisać nowy traktat, oddać część swoich ziem i praw i zagwarantować obywatelstwo dawnym niewolnikom.

- Chcesz powiedzieć, że... nie powinni wracać... że mogą być jakieś akcje odwetowe?

Ike skinął głową, zastanawiając się, czy ona wie, jak okrutnie wojna obeszła się z Czirokezami. Większość działań wojennych, jakie miały miejsce na Terytorium Indiańskim, rozgrywała się na terenach należących do Czirokezów. Jadąc tu, Ike widział spalone domy, zarośnięte chwastami pola i straszną nędzę tam, gdzie dotąd był dostatek. Z tego, co wiedział, tylko jeden obszar ucierpiał równie mocno jak ziemie Czirokezów - był to pas spalonej ziemi, jaki pozostawił za sobą generał Sherman w swoim zwycięskim marszu w stronę morza. Jak na ironię, były to dawne ziemie Czirokezów w Georgii.

- Tempie, nie chodzi o to, że oni nie chcą wrócić do domu... zaczęła Eliza.

- Wiem - przerwała jej szorstko, starając się stłumić w sobie uczucie rozpacz. Ta nienawiść chyba nigdy się nie skończy. Nigdy.

- Może nie powinienem tego mówić - mruknął Ike.

- Nonsens. Zawsze lepiej jest wiedzieć o takich rzeczach - odpowiedziała Eliza i złożyła ręce na stole, dając tym do zrozumienia, że uznaje temat za zamknięty. - Nie powiedziałaś jeszcze, jakie masz plany na przyszłość.

- Jeszcze nie wiem, co będę robił. - Wzruszył ramionami, po czym spojrzął na matkę. - Poznałem

w Fort Smith dziewczynę. Ma na imię Ginny. Myślę, że ci się spodoba. Jest prawie tak ładna jak ty.

- Teraz mówisz zupełnie jak ojciec - powiedziała, ale wyraźnie się rozpromieniła.
- Myślałem, że wrócę tu i znajdę sobie jakąś pracę, a kiedy zaoszczędzę trochę pieniędzy, kupię kawałek ziemi. Mam już trochę na początek, bo wojsko mi wypłaciło.
- Czemu nie przywieziesz jej tutaj?
- Nie, mam. Jestem teraz wolnym człowiekiem. Chcę pracować na własnej ziemi i mieć własny dom. Wiem, że tego nie rozumiesz, ale obiecałem wujkowi Shadowi.

Część trzecia

Domy i chaty spłonęły. Pola zarosły chwastami. Świnie i bydło, których wojsko naabiło, uciekło do lasów i zdziczało. Ludzie muszej zacząć wszystko od nowa - budować chaty, karczować pola, siać zboże, stawiać płoty.

Mary Cobb Agnew 5.

Grand View Sierpień 1866

Sorrel wyrwała następną kolbę kukurydzy i dorzuciła ją do innych leżących na wozie. Ciało piekło ją od potu. Przerwała pracę i uniosła w górę gęste długie włosy, które grzały ją w szyję. Panował nieznośny upał.

- Jak ty to wytrzymujesz, Susannah? - zapytała, patrząc, jak jej ciotka sunie wzdłuż rzędu obok, wrywa brązowe kolby i nie zwraca uwagi na upał. - Ja się po prostu rozplływam.

Susannah uśmiechnęła się do niej przyjaźnie.

- Już prawie kończymy. Zostały tylko dwa rzędy.

- Nienawidzę kukurydzy.

Sorrel popatrzyła na stos kolb na wozie i pomyślała, że chyba nigdy już nie spojrzy na kukurydzę.

- Pomyśl, jak przyjemnie będzie wziąć chłodną kąpiel, kiedy skończymy - powiedziała Susannah.

- Nie wiem, czy dotrzmam do tego czasu. - Z ciężkim westchnieniem pochyliła się nad ziemią, zaraz jednak uniosła głowę, słysząc miarowy tętent końskich kopyt. - Ktoś tu jedzie. - Zeszła z zagonu i spojrzała na podjazd. Powietrze falowało niczym ciekłe szkło, zamazując obraz jeźdźca. Po chwili dostrzegła białą gwiazdkę na czole konia. - To Alex!

Wybiegła mu na spotkanie, nie zważając na to, że budka zsunęła jej się z głowy i trzymała jedynie na wstążkach.

- Nareszcie wróciłeś.

Zaczekała aż zsiądzie z konia. Jako czternastoletnia panienska nie mogła mu się rzucić na szyję po dziecinnemu, ale musiała go dotknąć. Oparła więc mu dłonie na ramionach, stanęła na palcach i cmoknęła w policzek.

- Tak się cieszę, że wróciłeś. Stęskniłam się za tobą.

- I ja za tobą.

- Wiesz, że noszę ten medalionik, który mi podarowałeś? - Sięgnęła za dekolt i wyjęła łańcuszek. - Nigdy go nie zdejmuję.

Alex popatrzył na medalion i przypomniał sobie złote monety i biżuterię, które zdobył wraz z nim. Nie były to jedyne wartościowe przedmioty, które „skonfiskował” w różny sposób. W czasie pobytu w wojsku udało mu się zdobyć i wydać znaczną sumę pieniędzy. Spore korzyści przyniósł mu pomysł przekonania miejscowych farmerów, by sprzedali mu swoje zboże za pół darmo, które potem odsprzedał wojsku. Sporo na tym zarobił, lecz teraz nie miał już nic.

- Ładnie wygląda na twojej szyi. Czy ojciec wie, że go nosisz? Uśmiechnął się w duchu na myśl o

wściekłości Blade'a, kiedy się dowie, od kogo go dostała.

- Nie. - Schowała medalionik do środka. - On i Lije jeszcze nie wrócili. Mama spodziewa się ich w każdej chwili, skoro został już podpisany nowy traktat. Słyszałeś, że wódz John Ross zmarł w Waszyngtonie?

- Słyszałem.

- Wszyscy mówią, że na listopadowym posiedzeniu parlamentu jego kuzyn William Potter Ross zostanie wybrany nowym wodzem.

- Możliwe.

W przeciwieństwie do ojca Alex nie interesował się polityką. Dla niego ważne było tylko to, co Blade o tym sądzi, by natychmiast być przeciw.

- Byłeś już na swojej farmie? Ktoś mówił mamie, że dom jest w okropnym stanie, ma powybijane okna i dziurę w dachu. Jeśli chcesz, pomogę ci go naprawić.

- Wielkie dzięki, ale chcę ją sprzedać, jeśli znajdę dobrego kupca.

- Dlaczego? Już za późno, by coś zasiać, ale na wiosnę...

- Nie jestem stworzony na plantatora, Sorrel - powiedział. - Nie zamierzam spędzać reszty życia wpatrzony w zad muła. To nie dla mnie. Oszalałbym, gdybym musiał tu siedzieć i doglądać zbiorów.

- Ale co będziesz robić, jeśli sprzedasz farmę? Gdzie będziesz mieszkał?

- Jeszcze nie wiem. - Poklepał klacz po szyi. - Ta dama wciąż nie ma rywali. Mógłbym pojechać do Kansas albo do Missouri, gdzieś, gdzie nikt o niej nie słyszał i zgłosić ją do wyścigu.

Sorrel popatrzyła na niego z uwagą.

- Wiem, czemu chcesz wyjechać. Przede mną nie musisz udawać. To przez mojego ojca, prawda? Myślisz, że kiedy wróci, będzie chciał cię zabić, tak jak zabił twojego ojca.

- Ja nie myślę, ja to wiem.

Miał swoje plany względem Blade'a. Bardzo długo zastanawiał się nad sposobem pomszczenia śmierci ojca. Właściwie to cieszył się, że Blade wówczas nie zginął. Taka śmierć byłaby dla niego zbyt szybka i zbyt prosta. Doskonale pamiętał te wszystkie lata, które ojciec spędził na czekaniu i zastanawianiu się, kiedy Blade go zaatakuje. Zzerało to Kippa niczym rak. Przydałoby się, gdyby Blade również musiał tak czekać i zastanawiać się. Nadejdzie jednak dzień zemsty, a wówczas zabije go z zimną krwią, tak jak on zabił Kippa. Ale to on wybierze ten dzień, nie Blade.

- Nie ma to jednak nic wspólnego z moim wyjazdem - powiedział głośno. - Twój ojciec nie może mnie wypędzić. Jeszcze tu wrócę, nie obawiaj się. Najpierw jednak muszę zdobyć trochę pieniędzy.

- Nie zależy mi na tym, czy masz pieniądze. Wybuchnął śmiechem.

- Ale mnie zależy. Uważaj na siebie, Sorrel, i noś medalion.

Wskoczył na siodło, pomachał jej ręką i ruszył podjazdem ku Traktowi Tekszańskiemu. Czuł się wybornie. Rozpierało go wewnętrzne zadowolenie.

Na widok rozciągającej się przed nimi drogi, klacz niecierpliwie szarpnęła za wędzidło.

- Miałabyś ochotę pobiegać, co? - zachichotał Alex i popuścił wodze. Klacz ruszyła jak wiatr.

Po przebiegnięciu dwóch kilometrów uniosła łeb i zastrzygła uszami. Przed nimi wznosiła się chmura pyłu. Alex przyglądał się jej z ciekawością i po chwili usłyszał miarowe dudnienie. Początkowo sądził, że to pociąg z zaopatrzeniem, a potem do jego uszu dobiegło porykiwanie krów. Ktoś pędził stado bydła. Północne rynki znowu stanęły otworem.

Przejechał jeszcze pół kilometra i zobaczył jadących na czele stada poganiaczy. Usunął się z drogi i obserwował przepływającą obok rzekę rogów.

Jeden z kowbojów odłączył się od pozostałych dwóch i pocwałował drogą. Jednak Aleksa bardziej interesowało stado. Powoli powstawał w jego głowie plan. W Kansas City, Sedalii czy Saint Louis za sztukę bydła płacono od dwudziestu do trzydziestu dolarów. To morze mięsa warte było fortunę.

Przy granicy z Kansas pozbawieni skrupułów handlarze zapłacą za sztukę osiemnaście dolarów i nie będą o nic pytać. Pod koniec wojny kradzieże bydła i sprzedawanie go pośrednikom w Kansas należały do niezwykle lukratywnych przedsięwzięć, a władze stanowe patrzyły na to przez palce. Z tego, co słyszał, ten proceder trwał nadal. Można było na nim bardzo dobrze zarobić. Poza tym przecież i tak wybierał się do Kansas.

Susannah wyrwała ostatnią kolbę kukurydzy i pospieszyła do domu. Na oczyszczenie jej będzie czas wieczorem, kiedy upał zelżeje. Teraz marzyła jedynie o kąpieli i zmianie ubrania. Brzegiem fartucha otarła twarz i szyję. Starła się nie myśleć o tym, że praca poszłaby szybciej, gdyby Sorrel nie pobiegła do Aleksa, a po jego odjeździe wróciła jej pomóc. Czternaście lat to trudny wiek.

Spojrzała na podjazd i dostrzegła zbliżającego się jeźdźca.

- Mamy dziś szczęście do gości - mruknęła półgłosem. Drgające powietrze zamazywało obraz konia i jeźdźca. Nagle usłyszała gwizdanie i zatrzymała się.

Koń ruszył galopem. Stała nieruchomo, bezwiednie wstrzymując oddech i czekając, aż obraz zniknie lub stanie się wyraźniejszy. Nagle wszystkie wątpliwości zniknęły. To był Rans.

Rzuciła się biegiem w jego stronę. Zeskoczył z siodła, chwycił ją w objęcia, okręcił dokoła i zgniótł jej usta w szalonym pocałunku. Kiedy w końcu dotknęła stopami ziemi, objęła go za szyję i zaczęła całować z namiętą zachłannością.

W końcu musieli oderwać się od siebie dla zaczerpnięcia oddechu, lecz jej wciąż było mało. Chciwie przesuwiała dłońmi po jego twarzy i włosach, pieściła wargami policzki i szyję. Pachniał kurzem, potem i bydlęciem, lecz dla niej był to najwspanialszy zapach na świecie.

- Jesteś nareszcie - wyszeptała schrypniętym głosem tuż przy jego twarzy. - Zaczęłam już wątpić, że kiedykolwiek cię zobaczę.

- Nie dostałaś mojego listu?

Pieścił jej plecy niecierpliwymi dłońmi.

- Ten, w którym napisałeś, że twój ojciec ma kłopoty i wracasz do domu? - Był to jedyny list, który od niego dostała.

- Tak.

- To było w zeszłym roku, tuż po zakończeniu wojny.

- Chyba tak. Tyle się zdarzyło, że straciłem poczucie czasu. - Dotknął wargami jej czoła. - Musieliśmy sprzedać ranczo z powodu niezapłaconych podatków. Wkrótce potem zmarł mój ojciec. Myślę, że utrata ziemi go zabiła.

- Przykro mi - szepnęła.

- Boże, jakja za tobą tęskniłem. - Przytulił ją mocniej.

- Ja za tobą też. Ale jesteś i nic się już nie liczy.

- Nie mogę zostać - powiedział. - Pędzę stado do Iowy. Wrócę dopiero pod koniec listopada lub na początku grudnia. Wygląda na to, że wciąż proszę cię, byś na mnie czekała. Zaczekasz?

- Nie rozumiem, czemu w ogóle o to pytasz. Wiesz, że tak. Ponownie przywarł do jej warg.

Grand Vievc Grudzień 1866

Za oknami salonu wirowały białe płatki, połyskując w promieniach słońca. Wiatr zdmuchiwał je

z odkrytych białym puchem drzew. Diana obserwowała ich taniec, starając się zdusić w sobie uczucie zazdrości.

- Może wznieśliśmy toast za narzeczonych.

Propozycja Jeda Parmelee spotkała się z powszechnym aplauzem.

Diana westchnęła i odwróciła się do zgromadzonych w salonie, unosząc w górę kieliszek sherry i starając się przybrać na twarz promienny uśmiech.

- Za Ransa i Susannah - powiedziała.

Na szczęście nikt nie usłyszał napięcia w jej głosie.

Przełknęła łyk alkoholu, przyglądając się parze siedzącej na sofie blisko siebie. Pamiętała siebie i Lijego w podobnej sytuacji... w tym właśnie pokoju. Pamiętała również podniecenie, jakie odczuwała, kiedy tylko był w pobliżu.

Kiedy ucichły gratulacje i śmiechy, Jed zwrócił się z pytaniem do Ransa.

- Jak ci się powiódł spęd bydła, Rans?

- Nie tak dobrze, jak myślałem - przyznał. - Dostałem niezłą cenę, ale rabusie porwali mi prawie dwieście sztuk. Napadli na nas kilka kilometrów na południe od granicy z Kansas. Po opłaceniu wszystkich kosztów nie zarobiłem tyle, ile się spodziewałem. - Zakręcił kieliszkiem i spojrzał na Susannah. - Zbyt daleko trzeba pędzić bydło.

- Wschód potrzebuje wołowiny, a w Teksasie setki tysięcy krów biega samopas. To bydło to jedyne, co mamy. Gotówka w Teksasie to rzadkość. W przyszłym roku znowu będę musiał popędzić stado. - Ponownie spojrzał na Susannah. - Przyjdzie mi to zrobić jeszcze kilka razy, zanim stać mnie będzie na własny kawałek ziemi.

- Czy myślałeś o tym, żeby założyć ranczo tu, na Terytorium Indiańskim, Rans? - zapytała Eliza, na próżno starając się przydać głosowi obojętne brzmienie. - Wiem, że przemawia za mną egoizm, lecz wcale nie mam ochoty tłuc się taki szmat drogi do Teksasu, by zobaczyć moje wnuki.

- Prawdę powiedziawszy, to nie, pani Gordon.

Diana miała już dość rozmowy o domu, mężach i rodzinie. Starając się nie zwracać na siebie uwagi, podeszła do kominka i zapatrzyła się w płomienie. Właściwie to nie rozmowa ją denerwowała, lecz uczucie bliskości między młodymi.

Jakże za nim tęskniła. Przypomniła sobie, co czuła, kiedy dotykały ją wargi Lijego, a silne ręce pieściły jej ciało. Nie przypuszczała, że można tak kogoś pragnąć. Czas powinien osłabić to uczucie. Tymczasem ono wciąż było ostre i silne. Nieświadomie zadrżała pod wpływem tych pragnień.

- Zimno ci? Może dorzucić jeszcze jedno polano do ognia. Odwróciła się i zobaczyła stojącego obok ojca.

- Nie, nie trzeba. - Objęła dłońmi kieliszek i wpatrzyła się w zachłanne płomienie. - To tylko te wspomnienia z przeszłości.

- W tym samym pokoju świętowaliśmy twoje zaręczyny z Lije - powiedział cicho.

- To było dawno temu - odparła półgłosem, tak by nikt ich nie usłyszał.

- Wojna się skończyła, Diano. Pokręciła głową.

Za późno.

- Nie. To tylko zależy od ciebie. Uśmiechnęła się.

- Za późno - powtórzyła zdecydowanie.

- Proszę mi powiedzieć, majorze - odezwał się pastor Cole, po czym urwał i poprawił się: - Przepraszam... Jed. Chyba nigdy się nie przyzwyczaję, że jesteś cywilem. Przywykłeś już do życia z

dała od koszar?

- Bez względu na to, co powie, bardzo za nim tęskni. - Diana zgrabnie weszła w rolę czarującej córki oficera. - Tylko czekam, aż któregoś dnia pojawi się z trąbką w ręku w nadziei, że nauczę się na niej grać. Wtedy znowu będzie mógł się budzić na sygnał pobudki, przychodzić na obiad na sygnał do kantyny i kłaść się spać na sygnał ciszy nocnej.

- Z trąbką? - powtórzył Jed, udając, że się nad tym zastanawia. - Doskonały pomysł. Powiniennem wcześniej o tym pomyśleć.

Diana rozłożyła ręce w geście rozpaczy.

- No i widziecie?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- A mówiąc poważnie, Jed - odezwała się Tempie. - Wiem, że rada udzieliła ci zgody na osiedlenie się na Terytorium Indiańskim i na otwarcie sklepu. Wybrałeś już lokalizację?

- Tak - odparł z dumą. - Szczęśliwym trafem właściciel sklepu w Tulsey Town na terytorium Krików chce go sprzedać. Właśnie stamtąd wracamy.

- Kupiliście go - domyśliła się Tempie.

- Tak. Miejsce jest bardzo dobre i mam powody przypuszczać, że będzie wprost idealne. Nowy traktat pozwala kompaniom budowy kolei wejść na Terytorium Indiańskie. To tylko kwestia czasu, kiedy zaczną kłaść tory. Jestem pewny, że Tulsey Town znajdzie się na trasie linii łączącej Wschód z Zachodem.

Eliza westchnęła ciężko.

- Nie podoba mi się ten pomysł z koleją żelazną.

- Dlaczego nie? - zapytał Jed, wznosząc w górę brew. - Przyciągnie przedsiębiorców i zapewni rynek dla miejscowych towarów.

- Ale przyciągnie też białych osadników. Dość ich tu mamy - oświadczyła gniewnie.

- Mamo - zaprotestowała Susannah ze śmiechem. - Zaledwie przed sekundą zachęcałaś Ransa, by założył tu ranczo.

- Tak, ale on wchodzi do społeczności przez małżeństwo, podobnie jak ja.

- A co z Jedem i pastorem? Chcesz powiedzieć, że nie powinni tu być?

- Myślę, że Jed zgodzi się z tym, co teraz powiem - odezwał się Nathan. - Nie sądzę, bym czuł się szczęśliwy, mieszkając gdzie indziej. Od ponad trzydziestu lat mieszkam wśród Czirokezów. Tu jest mój dom. Tu są moi przyjaciele... i ci, których kocham.

- Zgadza się. - Jed uniósł w górę kieliszek sherry.

- Nie miałam na myśli was dwóch - upierała się przy swoim Eliza. - Tylko nie mogę zapomnieć o osadnikach z Georgii. Nie poprzestali na rzucaniu pożądlivych spojrzeń na kwitnące ziemie. Nie chciałabym, żeby ta historia się powtórzyła.

- Wszyscy jak tu jesteśmy, czujemy podobnie, Elizo - powiedział cicho Jed.

Rans spojrział w stronę okna.

- Zdaje się, że słyszałem konie. - Wstał z sofy i podszedł do okna.

- Konie? - powtórzyła Tempie i w tym momencie usłyszała skrzyp frontowych drzwi i ciężkie kroki w holu. - Kto to może być o tej porze?

Z korytarza dobiegł radosny okrzyk Phoebe.

- Deu! Wróciłeś!

Tempie gwałtownie wciągnęła powietrze, bojąc się uwierzyć, co to oznacza. Tyle razy jej

nadzieje obracały się wniwecz. Musiała to jednak sprawdzić. Zebrała suknię i wybiegła na korytarz. Zobaczyła Blade'a i zatrzymała się, zaskoczona srebrnymi nitkami błyszczącymi w jego czarnych włosach. Jej wzrok przesunął się na białą szramę na śniadym policzku i za chwilę spoglądała już w błękitne oczy. Ujrzała w nich tak wielką tęsknotę, że nie była w stanie dłużej czekać. Zapominając o wszystkich i wszystkim, padła w jego ramiona.

Wychodząc wraz z innymi do holu, Diana stanęła w drzwiach salonu, chwyciła się framugi i spojrzała w uśmiechniętą twarz Lijego. Tyle o nim myślała i tak bardzo go pragnęła, że jego widok sprawił jej ból. Stał się jeszcze silniejszy, kiedy na jej widok uśmiech zniknął mu z twarzy.

Przesunął wzrok na prawo od niej, gdzie stał jej ojciec. Oczy mu się zwięziły. Domyśliła się, że zobaczył pusty rękaw surduta. Zaraz jednak uciekł spojrzeniem w bok i uśmiechnął do Susannah.

Diana zerknęła na ojca. Obserwował rozgrywającą się w holu scenę z wyrazem bólu w oczach. Przez chwilę nie mogła pojąć dlaczego. Spróbowała więc spojrzeć na to jego oczami. Zobaczyła Tempie przytuloną do Blade'a i promieniejącą szczęściem. Zrozumiała powód jego udręki i nie zdziwiła się, kiedy wrócił do salonu.

Patrząc na Tempie i Blade'a ponownie doświadczyła uczucia zazdrości i goryczy. Ona też powinna witać Lijego z taką samą żywiołową radością. Lecz on zniweczył szansę na ich wspólne szczęście. Nienawidziła go za to.

Wszyscy ruszyli do salonu. Dobre maniery nakazywały Dianie pozostać w drzwiach i powitać przyjezdnych. Dobre maniery i duma. Lecz Blade dostrzegł najpierw swoją córkę.

- Wyrosłaś na piękną młodą pannę, Sorrel. - Uśmiechnął się do niej ciepło.
- Długo cię nie było - odparła bez cienia uśmiechu.
- Tak - skinął ze smutkiem głową.
- Zdaje się, że wróciliśmy akurat na czas, by mieć oko na młodych kawalerów, którzy zaczną ci składać wizyty - powiedział Lije.
- Nie żartuj sobie ze mnie, Lije - rzuciła gniewnie, po czym odwróciła się i weszła do salonu.
- Witamy w domu, maj orze - powiedziała szybko Diana, chcąc uniknąć niezręcznej ciszy. Zdążyła jednak zauważyć, że Lije starannie unika jej wzroku, a Tempie promienieje szczęściem. - Miło widzieć pana w dobrym zdrowiu.

- A ty jesteś jeszcze piękniejsza, Diano - powiedział, po czym przeniósł wzrok na jej ojca. - Jak widzę, znowu jesteś bez munduru, Jed.

- Tym razem już na stałe - odpowiedział.

Blade minął Dianę i wszedł do salonu pod ramię z Tempie.

Diana odwróciła się, by powitać Lijego, lecz on skinął jej głową i podążył za rodzicami. Popatrzyła za nim, zaraz jednak jej uwagę przyciągnęła Sorrel. Wpatrywała się w rodziców z mieszaniną zazdrości i niechęci. Diana ponownie spojrzała na Tempie i westchnęła.

- Coś się stało? - zapytała Eliza, dotykając jej ramienia.
- Nie pojmuję, jak Tempie może być taka szczęśliwa - przyznała po chwili wahania.
- Chyba to oczywiste... Blade wrócił do domu.
- Wiem, ale... on zabił jej brata. Jak może o tym zapominać? Eliza uśmiechnęła się. Bo go kocha. Diana rozważała przez chwilę jej słowa. Spojrzała w stronę Lijego.
- Nie - pokręciła głową. - To nie może być takie proste. Miłość to nie wszystko.
- Skoro nie miłość, to co? - zapytała Eliza z lekkim zniecierpliwieniem, po czym uśmiechnęła się i poklepała Dianę po ramieniu.

- Najważniejszą sprawą w życiu, a także w miłości, jest nauczyć się wybaczać. Tempie musiała przejść trudną drogę, by zrozumieć wagę tych dwóch cudownych słów „wybaczam ci”. Kochać, znaczy wybaczać błędy. Może powinnaś porozmawiać o tym z wielebny Cole'em - zasugerowała, po czym poklepała ją po ramieniu i odeszła, zostawiając Dianę ze swoimi myślami.

- Czy Sorrel powiedziała ci, że jest jedną z najlepszych uczennic w klasie? - zapytała, podchodząc do Blade'a.

- Nie, nie powiedziała. Gratuluję. - Uśmiechnął się do córki.

- Dziękuję.

Odpowiedziała zdawkowym uśmiechem, ale Lije zauważył niepokój w jej oczach. Nietrudno było się domyślić, kogo należy za to winić. Naturalnie Aleksa.

- Gratulacje należą się również Elizie - powiedziała Tempie. - Uczyła ją przez cały czas wojny, dopóki nie otwarto szkół. Zastanawiałam się już nad wyborem dla niej szkoły przygotowawczej. W czerwcu kończy naukę.

- W czerwcu? - powtórzył Blade zaskoczony. - To wydaje się niemożliwe.

- Odbędzie się też uroczysta ceremonia. Wszyscy mogą na nią przyjść - poinformowała Sorrel, po czym dodała unosząc hardo podbródek: - Mam zamiar zaprosić Aleksa.

Lije spojrzał na złoty medalion na jej szyi - prezent od Aleksa.

- A więc Alex tu wrócił. Ciekawe. Mieszka na farmie Kippa? - zapytał obojętnym tonem.

- Nie - powiedziała Tempie.

- Pojechał do Kansas - wyjaśniła Sorrel.

- Do Kansas? - zdziwił się Lije. - A co on tam chce robić?

- Powiedział, że tam nikt nie zna Spadającej Gwiazdy i będzie mógł wystawić ją w wyścigu i wygrać trochę pieniędzy.

- A więc wciąż ma tę szybko nogą klacz. Sorrel skinęła głową.

- I wciąż biega szybko niczym błyskawica. Nie ma drugiego takiego konia, który byłby w stanie ją pokonać.

- Może i jest - odezwał się Rans.

- Gdzie? - zapytała Sorrel z wyzwaniem w głosie.

- Jeden z bandytów, który napadli na nasze stado, miał czarnego konia. Nigdy nie widziałem równie szybkiego wierzchowca.

- Napadli na was rabusie? - zapytał Lije z napięciem w głosie. Rans skinął głową.

- Tuż pod granicą z Kansas. To była najsprawniejsza operacja, jaką w życiu widziałem. Zaatakowali koło północy, spłoszyli stado i oderwali jakieś trzysta sztuk. Kiedy opanowaliśmy stado, ruszyliśmy w kilku w pościg za złodziejami. Dopadliśmy ich o świcie, a przynajmniej tak sądziliśmy. - Uśmiechnął się krzywo. - Powinienem coś podejrzewać, kiedy nawet nie próbowali uciekać, ale nas było sześciu, a ich dwóch. Nie zdziwiłem się więc, gdy strzelili do nas bez większego przekonania i zaczęli uciekać. Pognaliśmy za nimi i myślałem, że już ich dopadniemy. Wtedy ten gość na czarnym koniu przyspieszył. Przysiągłbym, że jemu koniowi wyrosły skrzydła, tak gnał przez prerię. Ten drugi kłuł konia ostrogami i walił go batem, ale ten na czarnym koniu zostawił go daleko w tyle. Było na co popatrzeć - dodał z krzywym uśmiechem.

- A co z bydłem? - zapytał Lije.

- Dołączyliśmy je do stada. Po tym spłoszeniu przez dwa dni zbieraliśmy zabłąkane sztuki. Kiedy je przeliczyłem, okazało się, że brakuje prawie dwustu krów. Przeszukaliśmy okolicę i wtedy

odkryliśmy, że złodzieje rozdzielili skradzione sztuki na dwie grupy i pozwolili, byśmy wytropili tę mniejszą. Bardzo sprytny plan. Bardzo.

- O ile pamiętam, Alex też ma czarnego konia - powiedział pastor Cole. Uwaga była zupełnie niewinna, ale Lijemu nasunęła pewne podejrzenia.

- To prawdopodobnie zbieg okoliczności.

Nie bardzo w to wierzył, a sądząc z wyrazu twarzy Susannah, ona również nie.

- Wojna zmieniła wielu ludzi w złoczyńców, a innych nauczyła kraść i zabijać. Pamiętasz Franka Jamesa? - zwrócił się do Ransa. - Był w oddziale Quantrilla.

Rans skinął głową.

- Jego młodszy brat Jesse wstąpił do bandy Krwawego Billa Andersona.

- W lutym tego roku obrabowali bank w Libertyville w Missouri. Potem dokonali jeszcze kilku napadów. Niedawno słyszałem, że Cole Młodszy przyłączył się do jego bandy. To jeszcze jeden z ludzi Quantrilla.

Diana podeszła do ojca stojącego przy kominku. Lije natychmiast to dostrzegł, choć stąpała niezwykle cicho. Jej obecność drażniła mu zmysły.

- Niewielu opłakiwało Quantrilla, kiedy zginął w Kentucky tuż przed końcem wojny - zauważył Jed.

- Ma pan rację - przyznał Lije. - Konfederaci mogli go zrobić kapitanem, ale Unia właściwie go oceniła: jako przestępcę.

- Domyślam się, że to dzięki pracy w milicji nauczyłeś się rozpoznawać przestępcze elementy - powiedział pastor Cole.

- Takich ludzi rozpoznaje się po czynach, podobnie jak w pańskiej pracy, pastorze. Człowiek staje się grzesznikiem, kiedy zaczyna grzeszyć. Nawet dobry człowiek może zejść na złą drogę. - Popatrzył na Sorrel. - Czasami ciągnie go do tego chęć szybkiego wzbogacenia się - tak jak w przypadku bandy Jamesa, która obrabowała bank. Czasami powodem jest zemsta, czasami żądza władzy. Czasami na złą drogę schodzą ludzie, po których najmniej się tego spodziewasz.

Nie miał żadnych dowodów na Aleksa. Mógł go tylko podejrzewać. Starał się to przekazać Sorrel. Ona tak idealizowała Aleksa.

- Może się mylę - powiedziała Eliza, patrząc na niego z rozbawieniem - ale sądząc po twojej ostatniej uwadze, można by przypuszczać, że zamierzasz odnowić dawne kontakty z milicją.

- W rzeczy samej. Prawdę powiedziawszy, już to zrobiłem.

- Chyba nie mówisz poważnie - zaprotestowała Tempie. - Dopiero wróciłeś do domu...

Uniósł rękę, by ją powstrzymać.

- Muszę zameldować się dopiero po Bożym Narodzeniu.

- Dzięki Bogu - odetchnęła z ulgą Tempie.

- Mówiąc o domu, to czas nam w drogę - powiedział Jed Parmelee.

- Już? Nie zostaniecie na kolacji? Pokręcił przecząco głową.

- Chciałbym wrócić przed zmrokiem do Tahlequah. Przez następne dni będziemy bardzo zajęci pakowaniem, urządzaniem i porządkowaniem wszystkiego.

- Jed kupił sklep w Tulsey Town - wyjaśnił pastor Cole.

- Mamy nadzieję, że uda nam się go otworzyć przed Bożym Narodzeniem - powiedział Jed. - Jeśli będziecie tamtędy przejeżdżać, wpadnijcie do nas. Prowadząc sklep, niełatwo nam będzie się teraz wyrwać.

- Ale na mój ślub przyjdziecie - powiedziała Susannah tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- A kiedy to będzie? - zapytała Diana, przerywając tym swoje milczenie, co nie uszło uwagi Lijego.

Rans i Susannah odpowiedzieli na pytanie jednocześnie, tylko Rans powiedział „w czerwcu”, a Susannah „w marcu”.

- No to w końcu kiedy? W marcu czy w czerwcu? - zapytał ze śmiechem Jed.

- W marcu - odpowiedziała Susannah, rzucając Ransowi ostrzegawcze spojrzenie. - Już nie chcę na ciebie dłużej czekać. Pobierzemy się w marcu, tu, w tym domu, a wielebny Cole udzieli nam ślubu. - Traktując jego zgodę za coś oczywistego, odwróciła się z uśmiechem do Jeda i Diany. - Chciałabym, abyś była moją druhną, Diano. Zgodzisz się, prawda?

Diana zawahała się, wspominając z bólem własne plany weselne. Popatrzyła na Lijego, lecz on nie odrywał wzroku od podłogi. Jaka ogromna przepaść wyrosła między nimi. Czy zdoła przetrząść przez nią pomost?

- To dla mnie wielki zaszczyt, Susannah. Dziękuję, że mnie poprosiłaś.

Po licznych pożegnaniach Diana wyszła na mroźne grudniowe powietrze, otulona w ciepłe palto, czapkę i rękawiczki. Słońce stopiło śnieg na drzewach i na gałęziach połyskiwały kropelki wody. Mieniły się równie pięknie jak zmrożony śnieg. Diana była jednak zbyt zajęta myślami, by to dostrzec.

Jed pomógł jej wsiąść do bryczki, po czym zajął miejsce obok córki. Otulił im nogi pledem z końskiej skóry, strzelił lejcami i pojechali. Diana śledziła wzrokiem jednostajny krajobraz, nie zdając sobie sprawy z przedłużającej się ciszy i pytających spojrzeń ojca.

W końcu Jed nie wytrzymał.

- Jesteś dziwnie milcząca, Diano. Powiesz mi, co cię trapi? Pokręciła głową, po czym mruknęła:

- Obawiam się, że popełniłam straszny błąd. I nie wiem, jak go naprawić.

Nadal kochała Lijego, lecz to ona przecież zerwała zaręczyny, to ona go odepchnęła. Czy kiedykolwiek uda jej się odzyskać jego zaufanie?

Tempie leżała w łóżku kompletnie naga, osłonięta jedynie cienkim prześcieradłem, delektując się cudownym uczuciem zaspokożenia. Przysunęła się do Blade'a i potarła policzkiem o jego ramię. Uścisnął ją lekko. Uśmiechnęła się i przesunęła dłoń po płaskim brzuchu ku piersi. Ciało nadal miał sprężyste i szczupłe i nadal lubiła je pieścić.

Wysłuchując się w trzask płomieni w kominku, wspominała niedawne chwile gorącego upojenia. Pełna żaru miłość Blade'a nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Jak dawniej bardzo za nią tęsknił, pożądał i kochał. Zniknęły gdzieś ból i pustka, które tak długo odczuwała.

Poczuła pieszczotliwe ruchy dłoni na swoich plecach.

- O czym myślisz? - zapytała.

- O wieprzowinie.

- O wieprzowinie?! - Poderwała się gwałtownie i spojrzała w śmiejące się błękitne oczy. - No tak, powinnam...

Zachichotał, chwycił ją za nadgarstki i pociągnął ku sobie, pieszcząc wzrokiem pełne krągłe piersi, spoczywające teraz na jego torsie.

- O szynce, którą adłem dziś na kolację, a której tak długo nie kosztowałem.

- A co ze mną? Mnie też długo nie kosztowałeś - rzuciła zgryźliwie.

- Przysięgam, że szynka nie smakowała mi tak bardzo jak ty. Czy to cię satysfakcjonuje?

Najwyraźniej z niej żartował i to ją rozgniewało.

- Nie - rzuciła ostro. - Nie powinieneś robić takich porównań.

- Przecież to ty je zrobiłaś.

- W takim razie czemu wspomniałaś o szynce?

- Bo przypomniałem sobie, że w Teksasie brakuje wieprzowiny. Jest tam warta majątek. Czeka nas mnóstwo wydatków, lecz podobnie jak wielu innych plantatorów nie mamy gotówki. A tam za pięćdziesiąt lub sto kilogramów boczku można kupić jednego wołu, ziarno i wszystko, czego nam trzeba. Widziałem kilka świń przy stodole, kiedy najechaliśmy. Ile ich mamy?

- Do uboju nadaje się sześć.

- Wystarczy na początek.

Uśmiechnął się, otoczył ją ramionami i przytulił do siebie. Zadowolona położyła mu głowę na piersi i wsłuchiwała się w jego głos.

- Zastanawiałem się właśnie nad kilkoma sprawami, o których Lassiter mówił przy kolacji. Nie mamy dość Murzynów, ani pieniędzy, by wynająć robotników do zaorania i obsiania pól na wiosnę. Ale mamy mnóstwo trawy i wody nad Verdigris River, na północny zachód stąd. Moglibyśmy wypasać tam spore stado bydła, a w listopadzie popędzić je do Kansas. Pomyślałem, by porozmawiać o tym z Lassiterem i wziąć go na współnika. Podoba mi się. To dobry człowiek.

- Nie mam nic przeciwko temu. - Bezwiednie przesunęła palcami po bliźnie od kuli na ramieniu. Przyszły jej na myśl własne projekty, które od jakiegoś czasu chodziły jej po głowie. - W takim razie moglibyśmy wykorzystać Czarnych, których już mamy, do pracy w tartaku. Ludzie będą potrzebować budulca do odbudowy domów.

- Świetny pomysł. - W jego głosie zabrzmiało zdziwienie. - Czy Parmelee ci to zasugerował?

- Jeśli chodzi o ścisłość, to nikt mi tego nie zasugerował. Sama na to wpadłam. - Zirytowana jego zdziwieniem uniosła głowę i spojrzała na niego. - Kto według ciebie kierował Grand View przez ostatnie pięć lat? I chyba niczego nie można mi zarzucić. Przynajmniej miałeś do czego wrócić. A to chyba dużo.

- Bardzo dużo - przyznał z powagą. - Prawdę powiedziawszy, sam nie gospodarowałbym lepiej. Patrząc na to wszystko, co zdołałaś uratować, nie mogę oprzeć się bolesnej myśli, że tak naprawdę to nie jestem ci potrzebny.

- Ależ jesteś. I zawsze byłeś. - Objęła dłońmi jego twarz. - Nie sama dokonałam tego wszystkiego. Eliza bardzo mi pomogła... i Susannah i Sorrel.

Zmarszczył brwi na dźwięk imienia córki.

- Sorrel nie bardzo ucieszyła się z mojego powrotu.

Zawahała się. Tak cudownie było leżeć przy nim i rozmawiać o przyszłości. Nie chciała tego zepsuć, wyciągając całe zło przeszłości. Jednak nie miała innego wyjścia. Prędzej czy później i tak się dowie. O co chodzi? - zapytał, patrząc jej w oczy.

Położyła mu głowę na piersi i mocniej się do niego przytuliła.

- Wiemy, jak zginął Kipp.

Poczuła, jak mięśnie mu się napinają, a pierś przestaje się wznosić i opadać. W końcu westchnął głęboko.

- Alex ci powiedział. Powiniennem się domyślić. - Przyciągnął ją do siebie i dotknął wargami jej włosów. - Niech to diabli, chciałem ci tego oszczędzić. Wierz mi, nie chciałem, żeby to się stało. Próbowałem tego uniknąć. Gdyby nie wyciągnął broni... Zesztywniała i uniosła głowę.

- Alex powiedział, że Kipp nie miał broni.

- Miał... Kieszonkowy rewolwer ukryty pod bluzą. Alex nie widział go, bo stał za Kippem. - Popatrzył na nią spod zmrużonych powiek. - Kiedy Kipp wyciągnął broń, nie pozostało mi nic innego, jak strzelić. Chyba nie sądziłaś, że mógłbym zabić twego brata z zimną krwią?

- Ja... Spuściła wzrok. - Pamiętam, że Shawano też był nieuzbrojony.

Uniósł w górę jej brodę.

- Nie, mój ojciec nie był uzbrojony, ale Kipp tak.

- Wierzę ci - szepnęła. - I Sorrel też uwierzy, kiedy jej o wszystkim opowiemy.

- A niby dlaczego miałyby uwierzyć? Ona mnie nie zna. Patrzyła dziś na mnie jak na kogoś obcego. Po pięciu latach rzeczywiście mogę być dla niej obcy.

- Ale nie możemy pozwolić, by uważała cię za mordercę.

- Więc powiedz jej, jeśli chcesz. Może dla ciebie to nie ma znaczenia, Tempie, ale ja chcę zapomnieć o przeszłości. Mam dość zabijania i nienawiści. Wojna się skończyła i niech tak już zostanie.

Wziął w palce pasmo jej długich czarnych włosów i zaczął się nim bawić.

- Tak, wojna nareszcie się skończyła.

- Kipp nie żyje. Może ta nienawiść umarła razem z nim.

- Tak sądzisz? - zapytała z powątpiewaniem. - A co z Alekssem?

- Jeśli o mnie chodzi, sprawa jest zamknięta - powiedział.

- Mam nadzieję, że Alex myśli tak samo. - Miała jednak co do tego wątpliwości. - Byłaby to ulga dla nas wszystkich.

- Tak - powiedział z ciężkim westchnieniem. - Podobnie jak ty nie chciałbym, żeby Lije musiał stawiać jej czoło, kiedy ja odejdę.

Jakaś nuta w jego głosie sprawiła, że Tempie zadrżała. Spróbowała zwalczyć kpina nagły niepokój.

- A dokąd to się wybierasz tym razem?

- Nigdzie - odpowiedział. - Zostaję w domu. Wróciłem na dobre. I przyrzekam, że nigdy cię już nie zostawię.

- Nie. - Przykryła mu usta dłonią. - Niczego nie przyrzekaj. Jesteś i to wystarczy.

- Kocham cię.

Wsunął palce w jej włosy i przyciągnął jej twarz ku sobie.

Grand Vievć Marzec 1867

Słońce świeciło na kryształowobłękitnym niebie, a w powietrzu czuło się wiosnę. Dom pełen był gości, którzy krążyli po pokojach, wypełniając je śmiechem, rozmowami i nieustającymi życzeniami przekazywanymi świeżo poślubionej parze.

- Susannah jest śliczną panną młodą, prawda? - powiedziała z dumą Eliza.

- Istotnie. - Lije przytknął do ust czarkę z ponczem i popatrzył na młodą parę, natychmiast jednak stanęła mu przed oczami Diana obok Susannah podczas ceremonii. Miała na sobie błękitną suknię, która podkreślała jej szczupłą kibić i delikatną karnację.

- Ceremonia była uroczą - powiedziała Eliza. Po chwili westchnęła. - Szkoda, że Will nie mógł tego zobaczyć.

- Na pewno polubiłby Ransa.

- Tak. - Spojrzała na niego rozjaśnionym wzrokiem. - Wiem, że nie mam tu nic do gadania, ale w

pełni popieram wybór swej córki.

Lije skinął głową i przełknął kolejny łyk ponczu, zupełnie nie czując jego smaku. Gwar rozmów, tłum gości i konieczność prowadzenia uprzejmej rozmowy wprawiały go w zdenerwowanie.

- To wspaniale, że przyszło dziś tylu gości - powiedziała Eliza. - Żałuję tylko, że Jed i Diana tak późno przyjechali. Nie mieliśmy okazji złożyć im wizyty przed ślubem. Rozmawiałeś już z nią?

Wyczuł na sobie jej badawczy wzrok i utkwiał spojrzenie w szklaneczkę.

- Nie. Nie mam o czym z nią rozmawiać. - Wychylił resztę ponczu, żałując, że nie jest to whisky. Poncz nie przynosił ulgi napiętym nerwom.

- Skąd wiesz, skoro z nią nie rozmawiałeś?

- Nie wtrącaj się, Elizo - burknął, odstawiając na stół pustą czarkę. - Jeśli pozwolisz, to wyjdę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Ruszył do drzwi, omijając po drodze wazon z gałązkami forsycji rozstawione w holu i przeciskając się przez tłum gości. Od czasu do czasu kiwał głową tym, którzy go zaczepiali, lecz ani razu się nie zatrzymał. Niepokój pchnął go ku odległemu końcowi werandy. Tu zatrzymał się i powiódł wzrokiem po licznie zgromadzonych powozach i powozikach, stojących na podjeździe.

Rozluźnił jedwabny halsztuk i szarpnął za wysoki nakrochmalony kołnierzyk, rozpinając górny guzik. Wyjął z kieszeni cygaro, zapalił je, po czym oparł się o kolumnę i zapatrzył ponuro na trawnik.

Z wnętrza domu dochodził gwar rozmów i wesoły śmiech. Starał się go nie słyszeć, obawiając się, że dotrze do niego głos Diany. Delikatny wietrzyk zmienił niebieski dym z cygara w spiralę i rozjarzył końcówkę. Lije utkwiał wzrok w srebrnym słupku popiołu.

Nagle tuż obok skrzypnęła deska i przerwała jego zamyślenie. Uniósł głowę i zobaczył Dianę. Wezbrała w nim gwałtowna tęsknota.

Patrzyli na siebie przez chwilę w milczeniu. Lije pierwszy przerwał kontakt wzrokowy i odwrócił się z zamiarem odejścia.

- Nie wiedziałem, że tu jesteś.

- Bo nie byłam. - Ta kryjąca w sobie wiele znaczeń odpowiedź zatrzymała go na miej scu. - Kiedy cię tu zobaczyłam, wiedziałam, że może to być jedyna okazja do porozmawiania z tobą na osobności, zanim wyjadę.

- Czego sobie życzysz! - Z trudem panował nad kipiącymi we wnętrzu emocjami.

Spuściła wzrok. Czekał, aż uniesie powieki i rzuci mu jedno z tych swoich rozbawionych, prowokujących spojrzeń. Tymczasem wciąż stała ze spuszczoną głową. Wyglądała tak krucho i delikatnie. W końcu jednak uniosła dumnie brodę i spojrzała na niego z nieoczekiwaną otwartością i dumą.

- Miałam nadzieję, że któregoś dnia wpadniesz do sklepu zobaczyć się z... nami - powiedziała.

- Terytorium Krików nie podlega mojej jurysdykcji.

- Z Tulsey Town jest niedaleko do rancza Ransa i Susannah w Outlet. Rans często do nas przyjeżdżał po materiały, kiedy budował dla nich dom. Mogłeś też do nas zajrzeć, kiedy jechałeś ich odwiedzić.

- Po co, Diano? W jakim celu? - zapytał bez ogródek.

Chciała odpowiedzieć, lecz nagle odwróciła twarz i spojrzała na pojazdy stojące przed domem. Lije również odwrócił wzrok, lecz nie mógł nie dostrzec połyskujących w jej włosach promieni słonecznych. Uczesana była w misterny kok, który podkreślał smukłość jej szyi.

- Nie masz pojęcia, ile razy układałam sobie w myślach tę naszą rozmowę - rzuciła półgłosem. -

Tyle mądrych i dowcipnych rzeczy zamierzałam ci powiedzieć. Teraz wszystkie wydają mi się głupie i sztuczne.

Zacisnął zęby na cygarze i spróbował się zaciągnąć. Dym palił go w język.

- A więc powiedz to bez owijania w bawełnę. Zniecierpliwiony i rozdrażniony cisnął cygaro w trawę.

- A więc dobrze. Chciałabym naprawić stosunki między nami. Dość mam tej niezręcznej sytuacji. Zbyt długo się znamy... Od dzieciństwa...

- Nie mogę być twoim przyjacielem, Diano. Ten etap jest daleko za nami.

- Wiem. Ale przecież moglibyśmy zostawić przeszłość za nami. Od strony podjazdu dobiegł odgłos kopyt. Dwaj jeźdźcy zbliżali się w stronę dworu.

- Przeszłość zawsze będzie stawać między nami - powiedział Lije. - Nie można tego zmienić.

- Ale możemy inaczej na nią spojrzeć - odpowiedziała. - My sami możemy się zmienić. Ja się zmieniłam. Rozumiem teraz znacznie więcej niż...

Frontowe drzwi się otworzyły i wybiegła przez nie Sorrel. Zaraz jednak zwolniła i przybrała postawę pozującej na dorosłą czternastolatki. Za to twarz jej płonęła dziecięcym podnieceniem. Lije natychmiast zwrócił uwagę na dwóch jeźdźców, którzy właśnie zsiadali z koni. Nie widział ich twarzy, lecz był pewny, że jednym z nich jest Alex.

- Lije, nie odpychaj mnie - powiedziała Diana z rozpaczą w głosie. - Musimy porozmawiać.

- Nie teraz - uciał krótko.

Chciała zaprotestować, lecz zauważyła, jak jego ręka instynktownie dotyka boku w poszukiwaniu broni. Nie miał jej jednak przy sobie.

O co chodzi? Co się stało? - Obejrzała się przez ramię i zobaczyła Sorrel w towarzystwie dwóch mężczyzn. - To Alex, prawda? Myślisz, że przyjechał tu narobić kłopotów? - zapytała, wyczuwając wiszące w powietrzu niebezpieczeństwo.

- Już sama jego obecność jest kłopotem - odparł, po czym chwycił ją za łokieć i pchnął w stronę drzwi.

- Idź i powiedz mojemu ojcu, że Alex przyjechał.

Diana poszła spieszenie do domu, a Lije skierował się ku Sorrel rozmawiającej z Alekssem i jakimś obcym mężczyzną.

Nieznajomy był szczupły i wysoki, miał kasztanowe włosy i gładką twarz. Zbyt gładką, pomyślał Lije. Przypominała nieruchomą twarz posągu. Za to jego oczy były pełne życia. Cały czas penetrowały okolice, dostrzegając najmniejszy szczegół, podobnie jak oczy zwierzęcia, które znalazło się na obcym terytorium. Ciemnobrązowy surdut zwisał mu luźno po bokach, dlatego można było dostrzec pas z bronią. Na drewnianej kolbie rewolweru widniały inicjały MB.

Lijemu wydały się znajome. Musiał chyba o nich słyszeć lub czytać. Nie mógł jednak sobie przypomnieć kiedy i gdzie.

- Kuzyn Lije - powitał go Alex szerokim ironicznym uśmiechem. - Jak się miewasz?

Lije nie tracił czasu na powitania.

- Co cię tu sprowadza, Alex?

- Przyjechał na ślub Susannah - powiedziała Sorrel tonem obrony, patrząc na niego wyzywająco.

- Zgadza się - odparł Alex. - Sorrel właśnie mi powiedziała, że ceremonia już się odbyła. Zatem będę musiał się zadowolić złożeniem życzeń szczęśliwej małżonce.

- Susannah pewnie chciałaby wiedzieć, że przyjechałeś. Może byś poszła i zawiadomiła ją,

Sorrel - zaproponował Lije, nie spuszczać wzroku z Aleksa i jego towarzysza.

Sorrel spojrzała niepewnie na Aleksa.

- Ale wejdiesz do środka?

- Za chwilę - odpowiedział za niego Lije.

- Dobrze. Pójdę jej powiedzieć.

Obróciła się z szelestem spódnicy i ruszyła w stronę domu.

Alex przechylił głowę na bok i obrzucił Lijego drwiącym spojrzeniem.

- Cóż takiego chciałbyś mi powiedzieć, kuzynie?

- Kim jest twój przyjaciel?

- Czyżbym go nie przedstawił? Mel Brandon. Jest pośrednikiem w handlu bydłem.

W tym momencie klatka w pamięci Lijego nagle się otworzyła.

- Brandon, powiadasz? To zabawne. Któregoś dnia wpadł mi w ręce list gończy poszukujący mężczyzny nazwiskiem Morgan Bennet, który jest złodziejem bydła. Jest oskarżony o napad na bank i zamordowanie kasjera w Missouri. Ten opis pasuje do twojego przyjaciela, jak również inicjały na kolbie rewolweru.

- Czyżby? - Mężczyzna uśmiechnął się bez troski. Alex pokręcił głową z udanym zdziwieniem.

- To się nazywa zbieg okoliczności.

- Zgodnie z informacją Morgan Bennet miał dwóch współników, lecz ich opis jest nieprecyzyjny

- mówił dalej Lije. - Czyżbyś był jednym z nich, Alex?

Alex uśmiechnął się i spojrzał na niego wyzywająco.

- Jeśli nawet, to co? Ten bank obrabowano w Missouri. Nie możesz mnie za to aresztować. Nie złamałem żadnych praw na terytorium Czirokezów, więc nie możesz mnie tknąć.

- Rzeczywiście - przyznał Lije. - Za to mogę zwrócić wam obu uwagę, że nie jesteście odpowiednio ubrani na przyjęcie. Proponuję, byście zostawili broń przy koniach. Nie chciałbym was stąd wyrzucać.

Alex zawahał się, po czym wzruszył ramionami i odpiął pas. Bennet alias Brandon poszedł za jego przykładem. Kiedy broń znalazła się w sakwach przy siodle, obaj mężczyźni spojrzeli na Lijego.

- Jesteś zadowolony, kuzynie? - zapytał Alex z uśmiechem. - Sorrel pewnie się zastanawia, co się ze mną stało.

- Trzymaj się od niej z daleka, Alex. Roześmiał się w odpowiedzi.

- Cóż mogę na to poradzić? Ona mnie lubi. Byłoby jej przykro, gdybym zaczął ją ignorować. Nie mogę być tak okrutny.

- Wcale nie obchodzi cię jej uczucia.

- Ona nigdy w to nie uwierzy. - Uśmiechnął się i spojrzał na Benneta. - Gotowy? - Mężczyzna skinął głową. - A więc chodźmy na przyjęcie. Prowadź, kuzynie.

Lije pokręcił głową i usunął się na bok.

- Ty pierwszy, Alex. Wolę cię mieć przed sobą.

Na moment maska spadła z twarzy Aleksa i na Lijego spojrzwały płonące nienawiścią oczy. W tej chwili bardzo przypominał Kippa. Lije zrozumiał, że Alex nie pozwoli im zapomnieć o przeszłości.

Jedynie z czystego okrucieństwa został na przyjęciu dłużej, niż planował. Chodził, rozmawiał i śmiał się z tym i owym. Doskonale się bawił, widząc, że zarówno Lije, jak i jego ojciec ani na chwilę nie spuszczały go z oka, a czarny służący Blade'a chodzi za nim jak cień.

Kiedy Jed Parmelee i jego córka Diana odjechali, Alex wreszcie podszedł do Sorrel.

- Musimy już jechać. Odprowadzisz mnie do konia?

- Oczywiście - odparła rozpromieniona.

Podał jej ramię i kiedy Sorrel oparła na nim rękę, obejrzał się na Lijego. Omal nie wybuchnął śmiechem, widząc, jak sztywnieje.

Kiedy zatrzymali się przy koniach, Sorrel, jak prawdziwa gospodyni, zwróciła się do towarzysza Aleksa ze słowami:

- Miło mi było pana poznać, panie Brandon.

- Mnie również, panienko. Skłonił się i odwiązał wodze.

Sorrel spojrzała na Aleksa i wzięła go za rękę.

- Zanim odjedziesz, chciałabym ci coś powiedzieć - oznajmiła i spojrzała na Benneta, dając tym do zrozumienia Aleksowi, że nie chce rozmawiać przy świadku.

- Oczywiście. - Odszedł z nią na bok i uśmiechnął się, dostrzegając Lijego stojącego na werandzie. O co chodzi?

- O to, co powiedziała mi mama... Jak umarł wuj Kipp. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Cóż takiego ci powiedziała?

- Że wuj Kipp miał rewolwer ukryty pod kurtką i kiedy go wyciągnął, mój ojciec strzelił. Powiedziała, że nie mogłeś tego widzieć, bo stałeś za wujem Kippem.

Wstrząsnął nim dreszcz, kiedy przypomniał sobie kieszonkowy rewolwer, z którym ojciec nigdy się nie rozstawał. Zupełnie o nim zapomniał. Czy rzeczywiście tak było? Rzeczywiście ojciec wyciągnął broń? Spojrzał ostro na Sorrel.

- Chyba w to nie wierzysz?

- Przecież mogło się tak zdarzyć, prawda?

- Mogło, ale nie zdarzyło - odparł zdecydowanie. - Wszystko widziałem. Ojciec nie miał broni. Blade wymyślił tę historię, żeby twoja matka nie uważała go za mordercę.

- Więc... to nieprawda?

- Powiedziałem ci, byłem przy tym i wszystko widziałem. - Popatrzył na nią z wyrazem bólu i goryczy. - Nie mogę tego udowodnić, a nikt nie chce mi uwierzyć. Nawet ty.

Odwrócił się i podszedł do klaczy.

- Alex, zaczekaj. - Pobieгла za nim i złapała go za ramię. - Ja ci wierzę.

- Miałem taką nadzieję. - Spojrzał na nią ze smutkiem. - Mężczyzna czuje się bardzo samotny, jeżeli nie ma nikogo, komu na nim zależy i kto w niego wierzy.

- Mnie na tobie zależy, Alex. Zawsze możesz na mnie liczyć. Dotknął palcami złotego medalionu, wiszącego na jej szyi.

- Dbaj o siebie i noś ten medalion.

- Będę - przyrzekła Sorrel i odsunęła się. - Dokąd teraz jedziesz? Kiedy znowu cię zobaczę?

- Nie wiem. Jeśli będziesz mnie potrzebować, przekaż wiadomość staremu Joe Washburnowi z Saliny. Powie ci, gdzie mnie szukać.

- Pan Washburn z Saliny - powtórzyła z powagą.

- To będzie nasz wspólny sekret. Nie mów o tym nikomu. Wsunął stopę w strzemień i wskoczył na konia.

- Nie powiem. Możesz na mnie polegać.

Lije czekał na werandzie, coraz bardziej się denerwując. Tylko dlatego nie podszedł do nich i nie wyrzucił Aleksa, bo domyślał się, że kuzyn specjalnie zwleka z odjazdem.

W końcu obaj mężczyźni odjechali. Sorrel pomachała im na pożegnanie i ruszyła w stronę domu. Kiedy spostrzegła Lijego, zawahała się, po czym uniosła wyzywająco podbródek i poszła dalej.

- Co ty tu robisz? - zapytała gniewnie.

- Pilnuję cię. - Częściowo było to prawdą. - Cóż takiego Alex miał ci do powiedzenia? Długo ze sobą rozmawialiście.

- To osobista sprawa. Nic ci do tego.

- Sorrel, bądź z nim ostrożna. On nie jest człowiekiem, za jakiego go uważasz.

- Nie znasz go tak dobrze jak ja.

- Za to wiem o nim więcej niż ty - odparł. - Obraca się w bardzo złym towarzystwie. Ten mężczyzna, który przedstawił się jako Brandon, naprawdę nazywa się Morgan Bennet. Jest poszukiwany w Missouri za napad na bank i zastrzelenie kasjera. Miał dwóch wspólników, kiedy obrabował ten bank. Jednego z nich opisano jako wysokiego szczupłego mężczyznę, o czarnych włosach i czarnych oczach.

- Chcesz powiedzieć, że to był Alex, tak? - rzuciła oskarżycielsko. - Ale ten opis może pasować do wielu ludzi. Nigdy nie uwierzę, że mógłby to być Alex. Nie zrobiłby tego.

Zirytowała go jej ślepa wiara w tego człowieka.

- To może wiesz, czym on się trudni, Sorrel? Z czego żyje? Miał na sobie nowiutką koszulę surdut i siodło. Skąd miał na to pieniądze?

- Wygrał je na wyścigach, wystawiając Spadającą Gwiazdę - odparowała, patrząc na niego z gniewem i oburzeniem. - Na pewno ich nie ukradł.

- On cię wykorzystuje, Sorrel. Chce się zemścić na ojcu, dlatego próbuje cię z nim skłócić. Śmieje się z ciebie za twoimi plecami, bo wierzysz we wszystko, co mówi. Jemu wcale na tobie nie zależy.

- To kłamstwo! - wybuchnęła. - Właśnie że mu zależy. Tylko mnie może zaufać i tylko ja w niego wierzę. Mówisz tak, by mi go obrzydzić. Ale to kłamstwo. To wierutne kłamstwo!

Pobiegła na koniec werandy. Lije chciał za nią iść, lecz rozmyślił się i tylko westchnął. Sorrel przechodziła trudny okres. Dlatego nie słuchała starszych, starając się w ten sposób zwrócić na siebie uwagę. Im bardziej oskarżał Aleksa, tym gwałtowniej go broniła. W jej oczach stał się męczennikiem, bohaterem, którego nikt prócz niej nie rozumie.

Na werandzie pojawił się Blade.

- Alex odjechał?

- Przed kilkoma minutami - odpowiedział Lije i zerknął w stronę Sorrel. Stała na werandzie, wyprostowana i dumna, spoglądając na podjazd i zaciskając dłoń na medalionie. Zaklął cicho.

- Co się stało? - Blade przeniósł zaniepokojone spojrzenie z Lijego na Sorrel.

- Próbowałem ostrzec Sorrel przed Alekssem, ale nie chciała mnie słuchać - wyjaśnił Lije i opowiedział o swojej rozmowie z Alekssem i przestępcą Bennetem, a także co o nim wiedział i co podejrzewał.

- Nie uwierzyła ci.

- Nazwała mnie kłamcą. Nie wiem już, jak ją przekonać. Jest taka rozdrażniona... - Westchnął i pokręcił głową.

Porozmawiam z nią.

- Powodzenia - odparł Lije i wszedł do domu.

Sorrel nie spuszczała wzroku z trawnika, lecz Blade zauważył, że uniosła w górę brodę, słysząc

jego kroki. Kiedy przy niej stanął, rzuciła mu spojrzenie spod oka. W tej chwili tak bardzo przypominała Tempie, że Blade z trudem powstrzymał uśmiech.

- Pewnie przyszedłeś powiedzieć mi, jakim złym człowiekiem jest Alex? - zapytała gniewnie.

- Lije powiedział, że się zdenerwowałaś. Musisz wybaczyć bratu. Wciąż myśli, że jesteś małą dziewczynką, którą trzeba się opiekować i chronić. Zapomniał, że za kilka miesięcy skończysz piętnaście lat i staniesz się dorosłą panną, na tyle inteligentną, by mieć własne zdanie.

- Prawisz mi komplementy, bo myślisz, że dzięki temu uwierzę w te wszystkie rzeczy o Aleksie - odparowała.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Powiedziałem prawdę. Dowiodłaś jednak, że jesteś na tyle bystra, by się na tym poznać.

- Tak jak Alex - rzuciła z nutą sarkazmu w głosie.

- Nie jestem tu po to, by rozmawiać o Aleksie.

- Tak? - Odwróciła się i uniosła brew z ironicznym błyskiem w oku, z czego Tempie byłaby dumna. - W takim razie po co?

- Dwóch przyjaciół Ransa z Brygady Teksańskiej przywiozło ze sobą skrzypce i bandžo. Babcia odkurza pianino, a inni szykują miejsce w salonie do tańca. - W tym momencie rozległy się pierwsze takty muzyki. - Pomyślałem, że poproszę pewną piękną młodą damę, by ze mną zatańczyła. - Wyciągnął ramię. - Zrobisz mi ten zaszczyt i zechcesz być moją partnerką?

Zawahala się, patrząc na niego podejrzliwie.

- Wcale nie chcesz ze mną tańczyć.

- Ależ chcę.

Wsunął sobie jej rękę pod ramię. Przez ostatnie kilka lat rzadko miał okazję pełnić rolę ojca. Gdyby spędzał z nią więcej czasu, nie zwróciłaby się ku Aleksowi. Najwyższy czas to naprawić.

- Już słyszę, jak ludzie pytają: Kim jest ta urocza młoda dama, która tańczy z Blade'em Stuartem? W końcu ktoś powie: - To jego córka Sorrel. Będzie to dla mnie jeden z najwspanialszych momentów w życiu.

- Mówisz tak, żeby mi zrobić przyjemność - powiedziała, lecz jej oczy rozbłysły zadowoleniem.

- Żeby sobie zrobić przyjemność - sprostował, po czym zapytał: - Idziemy?

- Dobrze - odpowiedziała. - Ale i tak nie uwierzę w te wszystkie rzeczy, o których mówił Lije.

Blade wybuchnął szczerym śmiechem.

Ranczo spółki Stuart-Lassiter nad Verdigris River, Terytorium Czirokezów Czerwiec 1867

Ciecz w wiadrze połyskiwała na zielono. Lije zanurzył w niej palce i wyczuł lepkość. Pochylił się, powąchał i wziął odrobinę na język, po czym spojrzał na Ransa.

- Nigdy więcej nie wezmę dwóch dni wolnych, żeby ci pomóc. Nie obchodzi mnie, że nie masz ludzi do pracy, Rans.

- Nie wzięłaś urlopu, żeby mi pomagać. Przyjechałeś tu, by sprawdzić, czy rzeczywiście Alex tu jest.

- Ale zostałem, by ci pomóc. - Lije wziął ścierkę i wytarł nią palce. - To oczywiście ropa.

- Wspaniale. Po prostu świetnie - mruknął Rans. - Kopiemy głębszą studnię, żeby zwiększyć zapasy wody i patrz, co się dzieje. Co ja mam, u diabła, z tym zrobić?

- Zrób to, co ten gość z Pensylwanii po wojnie. Wypompował ropę, oddzielił od niej słoną wodę, rozlał do zbiorników i sprzedawał jako paliwo do lamp lub do mycia krów.

- Chyba nie mówisz poważnie. Wiesz, ile czasu by mi to zajęło? - zapytał Rans z niechęcią.

- Nie mówiłem poważnie.

- Jasne, że nie - stwierdził Rans, po czym westchnął i pokręcił głową. - Nie pozostaje nam nic innego, jak sobie pożartować. Do picia to się na pewno nie nadaje.

Lije kopnął wiadro końcem buta.

- Możesz napęlić tym kilka beczek do użytku w gospodarstwie.

- Mogę, lecz dopiero kiedy wykopię nową studnię.

Koń zarżał w zagrodzie. Gdzieś z oddali odpowiedział mu drugi koń. Lije zmarszczył brwi i powiódł wzrokiem po okolicy.

Od południa, jakiś kilometr stąd, dostrzegł przemykającą wśród wysokiej trawy bryczkę. Z tyłu biegł przyczepiony do niej osiodłany koń. Po bokach jechało dwóch mężczyzn na koniach.

- Wygląda na to, że będziesz miał gości - poinformował Ransa. Teraz już obaj śledzili wzrokiem zbliżający się pojazd.

- Czy to nie jedzie Blade? - zapytał Rans.

Lije skinął głową i przyjrzał się drugiemu mężczyźnie.

- I Jed Parmelee. - Zatem w bryczce musiała siedzieć Diana. Ogarnął go nagły niepokój.

Kiedy bryczka zatrzymała się przy nich, okazało się, że to Deu trzyma lejce. Rans podszedł do gości, by ich powitać. Lije miał zamiar zrobić to samo, lecz powstrzymał się.

- Jak się miewasz, Diano? - uśmiechnął się do niej Rans. - Susannah bardzo się ucieszy. Brakuje jej kobiecego towarzystwa. Dlatego tak jej pilno na jutrzejszą uroczystość zakończenia roku w szkole Sorrel.

- Wcale mnie to nie dziwi. Kobieta może czuć się tu samotna - powiedziała Diana, patrząc na Lijego. - Po naszej ostatniej rozmowie na weselu Susannah myślałam, że przyjedziesz do sklepu.

- Byłem zajęty. - Nie chciał przyznać, że wiele razy miał ochotę osiodłać konia i pojechać do Tulsey Town. Zawsze jednak twarda rzeczywistość powstrzymywała go przed tym. Odwrócił się sztywno w stronę Jeda. - Miło mi cię znów widzieć, Jed.

- I ciebie, Lije.

Zsunął się z siodła na ziemię. Rans wyciągnął do niego rękę na powitanie.

- Kto pilnuje sklepu, kiedy was nie ma?

- Mój dawny ordynans Amos Johnson i jego żona.

- Jadąc tu, wstąpiłem do sklepu i namówiłem Jeda i Dianę, by jechali ze mną. - Blade również zsiadł z konia. - Susannah przyda się towarzystwo, a my będziemy mogli wyruszyć jutro razem. - Spojrzał na syna. - Dowiedziałeś się czegoś o Aleksie?

- Nikt go tu nie widział.

- Tak przypuszczałem - powiedział. - Jak tam nowa studnia?

- Zamiast do wody dokopaliśmy się do ropy. - Rans spojrzał z głębokim obrzydzeniem na wiadro z gęstą cieczą. - Będę musiał wykopać drugą.

- Moje nowiny też nie są optymistyczne. - Blade zawahał się i spojrzał na bryczkę. - Deu, zawieź Dianę do domu. Powiedz Susannah, że zaraz będziemy.

Lije poczuł na sobie wzrok Diany, lecz Deu strzelił lejcami i bryczka odjechała. Odwrócił się i patrzył, jak zmierza ku stojącej samotnie drewnianej chacie.

- Co to za nowiny? - zapytał Rans, ściągając uwagę Lijego na Blade'a.

- Stary Johnny Scott nie żyje. Pobito go na śmierć. Jakies trzy dni temu.

- Johnny Scott, ten handlarz whisky? - zdziwił się Lije. - Wiele razy usiłowałem go dopaść. To

był szczywany lis. Nigdy nie udało mi się go podejść. - Pomyślał ze smutkiem o starym draniu. - Zawsze myślałem, że zapije się na śmierć tą swoją fałszowaną whisky. Ktoś musiał się dowiedzieć o jego złocie.

- Jakim złocie? - zapytał Rans, przenosząc wzrok z Blade'a na Lijego.

- Scott miał chatę w Arkansas, niedaleko Dutch Mills - wyjął Lije. - Jeśli wierzyć tym wszystkim opowieściom, zakopał złoto, które zbierał na szmuglu whisky. Podobno gdzieś w lesie za swoją chatą. - Spojrzał na Blade'a. - Mam dziwne wrażenie, że Alex maczał w tym palce.

- Sąsiad Scotta widział dwóch mężczyzn kręcących się w pobliżu jego chaty tuż po zmroku. Nie zdążył im się dobrze przyjrzeć, ale widział, że jeden z nich miał czarnego konia z białą gwiazdką na czole. Starego znaleziono następnego dnia rano, a wokół chaty były świeże ślady dwóch koni.

- A co z tym złotem? Znaleźli je? - zaciekawił się Rans.

- W lesie były wykopane dziury, a obok nich leżało kilka zardzewiałych garnków, oczywiście pustych.

- Zatem te opowieści o złocie mogły być prawdziwe - mruknął Lije. - Czy Sorrel o tym wie?

- Tak, ale jest przekonana, że Alex nie ma z tym nic wspólnego. Twierdzi, że w okolicy może być mnóstwo czarnych koni z białymi gwiazdkami i nie wiadomo, czy ten sąsiad widział akurat klacz Aleksa.

- Nie uwierzyłaby, nawet gdyby tak było - powiedział Lije z niechęcią.

- To prawda - przytaknął Blade. - Alex rzucił na nią jakiś urok. Jedynym sposobem, by uwolnić ją od niego, to trzymać ją z dala od tego człowieka. Nie chcę go przy niej widzieć.

- To nierozsądne - ostrzegł Lije.

- Może i tak, ale nie mam wyjścia. To złodziej i morderca i nie życzę sobie, żeby zadawał się z moją córką.

Lije nie potrafił mu się sprzeciwić, lecz Sorrel to zrobi. Był tego pewny.

- Nie rozwiążemy żadnego z problemów stojąc tutaj - powiedział Ran. - Proponuję pójść do domu i umyć się trochę przed obiadem.

- Idźcie. Za chwilę do was dołączę.

Pozostał jeszcze na dworzu, po czym ociągając się ruszył do domu i dokładnie umył twarz i ręce, przez cały czas nasłuchując głosu Diany. W końcu po raz ostatni ochlapał twarz zimną wodą i wytarł ją do sucha.

Kiedy wszedł do domu, wszyscy siedzieli już przy stole. Dwa krzesła stały puste: jedno obok Diany i drugie, nieco dalej, obok Susannah. Lije usiadł przy Susannah. Nerwy miał napięte jak postronki.

Na stole stał półmisek z pieczoną wołowiną, koszyk z domowego wypieku chlebem, talerz ze smażoną cebulą, fasolką szparagową z ogrodu Susannah, pasternakiem, marynowanymi burakami i kukurydzą, a także słoik z miodem, chrzan i masło. Lije nałożył sobie porcję na talerz. Brzęk porcelany i sztućców działał mu na nerwy. Włożył do ust porcję fasolki.

- Daj, pokroję ci - posłyszał cichy głos Diany. Spojrzał na drugi koniec stołu i zobaczył, że Diana kroi ojcu mięso na kawałki.

Nie zawstydzony tym Jed Parmelee odchylił się na oparcie, by zrobić jej miejsce.

- To ramię jest tak bezużyteczne, że czasami żałuję, iż chirurg go nie uciął. Nigdy nie przypuszczałem, że może mi dokuczać. Czasami mam go już dość. Zwłaszcza latem, kiedy robi się gorąco. Jeśli przycisnę je do boku, jak zazwyczaj robię, grzeje mnie niczym piec. Jeśli założę je na

temblak, materiał obciera mi szyję. A jak spuszcze je luźno, nie mogę nic zrobić.

Wszystko to jednak powiedział z humorem raczej niż z żalem.

- Ciągłe tylko narzekasz i narzekasz - skarciła go łagodnie Diana. - Uśmiechnął się, kiedy podała mu widelec. - No, gotowe. - Wzięła w palce własne sztuce. - Wciąż mnie zdumiewa, jak świetnie ojciec daje sobie radę z jedną ręką. Potrafi zrobić nią więcej niż większość ludzi dwiema.

- Wiem coś o tym - odezwał się Rans i zaczął opowiadać o przyjacielu z Teksasu, który stracił na wojnie nogę i oko. - Żebyście widzieli, jak daje sobie radę z bydlęm. Wciąż nie mogę zrozumieć, jak on trzyma się w siodle.

Jedzenie nagle przestało Lijemu smakować. Zmiany. Diana ciągle mówiła o zmianach. Lecz jedna rzecz nigdy się nie zmieni - Jed Parmelee nigdy nie odzyska władzy w ręce. Zawsze będzie ona przypominać dzielącą ich przepaść.

Zjadł, co miał na talerzu, wypił kawę i kiedy Susannah wstała, by sprzątnąć ze stołu, przeprosił i wyszedł z domu.

Stał na ganku i odetchnął głęboko, czując, jak drżą mu napięte mięśnie. Kiedy usłyszał skrzypienie drzwi i ciche kroki, zeszywniał, włożył kapelusz na głowę i ruszył ku schodom.

- Lije, zaczekaj.

Dźwięk głosu Diany smagnął go niczym bicz, zatrzymując w miejscu. Utkwił wzrok w zielonej trawie porastającej prerię aż po horyzont. Dalej było już tylko bezkresne niebo.

- Miałam nadzieję, że porozmawiamy - odezwała się, stając z tyłu za nim.

Zebrał się w sobie i spojrzał na nią.

- O czym? O nas.

- Nie ma już nas, Diano. Spuściła wzrok.

- Zabrzmiało to bardzo stanowczo.

- A czego oczekiwałaś?

- Nie wiem - przyznała. - Wiesz... Dostałam w zeszłym tygodniu list od Adama Clarka. W czasie wojny był lekarzem w forcie. Został zwolniony z wojska i wrócił do Abilene, by przejąć praktykę ojca. Prosi, bym za niego wyszła.

- Gratuluję.

Zbiegł po schodach i ruszył przez podwórze.

Diana wyprzedziła go i zastąpiła mu drogę. Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy z wyrazem determinacji. Była w nich mieszanina dumy i woli, które zawsze u niej podziwiał.

- Nie przyjąłem jeszcze jego propozycji - powiedziała. - Czy zastanawiałeś się nad tym, co ci powiedziałam na weselu Susannah? - zapytała po chwili.

- Zastanawiałem, lecz nie zmieniłem zdania. Nie mogę być twoim przyjacielem. To już jest poza nami.

- Wiem. Ale moglibyśmy od tego zacząć.

Pokręcił głową, wyobrażając sobie, że jest z nią i nie może wziąć jej w ramiona, patrzeć na nią i całować jej.

- Już zapomniałaś, że twój ojciec stracił rękę w bitwie z moim pułkiem? Zapomniałaś, jak daleko od siebie odeszliśmy?

- Nie zapomniałam, ale wojna się skończyła, Lije.

- Tak, wojna się skończyła, lecz nienawiść pozostała. Alex wciąż gdzieś tu krąży.

Zniecierpliwienie i niechęć błysnęły jej w oczach. Zaraz jednak je stłumiła.

- Wiem, że uważasz Aleksa za niebezpiecznego człowieka. Nic dziwnego, stał się przestępcą, zdolnym do wszystkiego.

Jej wahanie i sposób dobierania słów powiedziały mu, że tak naprawdę Diana w to nie wierzy. Nie wierzy, że zadawniona nienawiść nie poszła w zapomnienie. Zabolalo go, że nie potrafi tego pojąć.

A może to i dobrze. Stała mu przed oczami matka, którą tyle lat nęka strach o życie ojca. Nie wiadomo, jak długo będzie trwała walka z Alekssem. Nie chciał, by Diana musiała przechodzić przez to samo co ona.

- Lije? - Diana zmarszczyła brwi, zmieszana przedłużającą się ciszą. - Czy powiedziałam coś złego?

- Nie, masz zupełną słuszość, Diano. Alex jest zdolny do wszystkiego.

- Więc...

- Może powinnaś przyjąć oświadczyzny doktora. Nie mogę teraz zajmować się tym, co jest między nami. Mam zbyt dużo spraw na głowie. Nie mam czasu zastanawiać się, czy jest coś, co możemy ocalić.

- Nie ocalić - sprostowała. - Lecz stworzyć. Nie zgodziłabym się na nic innego.

- Lepiej idź i sprawdź, czy nie jesteś potrzebna ojcu - powiedział. - Mam tu coś jeszcze do zrobienia.

Odszedł, zostawiając Dianę zmieszaną, zranioną i lekko wystraszoną. Obawiała się, czy właśnie nie straciła ostatniej szansy na odbudowanie swego związku z Lije. Pozostawała jeszcze promocja Sorrel. Postanowiła więc zaczekać z podjęciem ostatecznych decyzji do tego czasu.

Grand View Czerwiec 1867

Lije podjechał powozem przed dom i zsiadł z kozła. Słońce stało wysoko na błękitnym niebie, a w powietrzu czuło się ciepło lata. Wśród drzew strzyżyk wyśpiewywał swoje trele. Obok powozu zatrzymała się bryczka.

- Paniczu, czy mógłby panicz powiedzieć Phoebe, że czekam tu na nią? - poprosił trzymający lejce Deu.

- Dobrze, powiem - odpowiedział Lije i wszedł do domu.

Do holu wbiegła Eliza i zatrzymała się na widok Lijego.

- Czy powóz stoi przed domem?

- Tak - odpowiedział Lije. - Gdzie Phoebe? Deu na nią czeka.

- Pójdę po nią. - Ruszyła przez hol do pomieszczenia kredensowego. - Deu czeka na ciebie - zwróciła się do Phoebe, wciągając jednocześnie rękawiczkę. - Jesteś gotowa?

- Tak, proszę pani. - Phoebe rozpostarła kraciastą suknię wokół wielkiego kosza, po czym ujęła go obiema rękami za drewniane uchwyty.

- Jak ładnie wyglądasz, Phoebe. Czy to nowy kapelusz? - Eliza spojrzała na zdobiący głowę służącej kapelusz z małym rondem, przybrany niebieskimi kwatkami w tym samym kolorze co suknia.

- Tak - odparła z dumą Phoebe, dotykając ręką kapelusza. - Deu mi go kupił. Powiedział, że dziś jest wyjątkowa okazja i muszę mieć coś specjalnego.

- Całkowicie się z nim zgadzam. - Eliza zaczęła wkładać drugą rękawiczkę. - Powiedz Ike'owi, że jak tylko skończy się promocja Sorrel, Nathan i ja przyjedziemy prosto do szkoły. Powinniśmy zdążyć przed uroczystym otwarciem.

- Będzie bardzo szczęśliwy, że pani przyszła.

- Nie bardziej niż ja. To wspaniałe, że postanowił nadać szkole imię Shadracha. Jako jego dawna nauczycielka za nic nie opuściłabym tej uroczystości.

Uśmiechnęła się z dumą, czując łzy zbierające pod powiekami.

- Ike powiedział, że tylko spełnia marzenie Shadracha. Shadrach zawsze chciał zbudować szkołę dla kolorowych dzieci. Dlatego powinna nosić jego imię.

- W rzeczy samej. - Eliza energicznie kiwnęła głową, po czym dodała szybko. - Nie kaź Deu tak długo czekać. Zobaczmy się w szkole.

Ruszyła za Phoebe, oddając się wspomnieniom. Nie było jednak czasu na dłuższe rozmyślenia. Poszła do salonu, gdzie już wszyscy się zebrali: Blade, wielebny Cole, Jed Parmelee, Diana i Lije, Susannah i Rans.

- Na co czekamy? - zapytała Eliza, stając w drzwiach.

- Tempie i Sorrel jeszcze nie zeszły - wyjaśniła Susannah.

- Co one robią tak długo? Spóźnimy się. Zmarszczyła brwi i spojrzała na schody.

W tej chwili na ich szczycie pojawiła się Sorrel, ubrana w białą suknię, z fioletową szarfą przewiązaną w talii i taką samą wstążką we włosach. Za nią stała Tempie.

- Już są - poinformowała zebranych Eliza. - A więc możemy jechać.

Do drzwi podeszła Diana.

- Wyglądasz prześlicznie, Sorrel.

Patrząc na nią, Eliza znowu poczuła wzruszenie. To już nie była dziewczynka, lecz młoda kobieta. Schodziła po schodach z dostojeństwem i gracją, które odziedziczyła po Tempie. Coś błysnęło na jej sukni.

- Co tak błyszczysz na twojej sukni, Sorrel? - Eliza podeszła bliżej i aż zachłysnęła się ze zdziwienia, gdy rozpoznała srebrną broszę w kształcie miecza, ozdobioną perłami i ametystem. Spojrzała na Tempie przez łzy. - A więc teraz ona ją będzie nosić.

- I tak chciałam jej dać, a dzisiejszy dzień jest doskonałą okazją.

Tempie przesunęła pieszczotliwie dłonią po ognistych włosach córki. Była to pieszczota matki, która wie, że jej dziecko właśnie stało się kobietą.

- Ta brosza jest w rodzinie Gordonów od przeszło stu lat - odezwał się Blade. - Powinnaś być dumna, że matka ci ją daje.

- Jestem - odparła Sorrel. Jednak Lije zauważył, że dotknęła złotego medalionu zdobiącego jej szyję, tego samego, który podarował jej Alex. Zaciśnął zęby z irytacji. W tej samej chwili na werandzie rozległy się kroki i drzwi stanęły otworem.

- Alex! - wykrzyknęła z radością Sorrel i rzuciła się w jego stronę. Blade zdążył ją, złapać za ramię i przytrzymać.

- Co ty tu robisz, Alex? - zapytał. Lije spokojnie podszedł do ojca.

- Puść mnie! To boli - zaprotestowała Sorrel. Blade nie zwracał na nią uwagi.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Alex.

- Przyszedłem na promocję Sorrel - odpowiedział, uśmiechając się bezczelnie. - Zostałem przez nią zaproszony.

- Sorrel popełniła błąd. Nie jesteś tu mile widziany - odezwał się Lije.

- Nie! - Na twarzy Sorrel pojawił wyraz konsternacji i przerażenia. - Poprosiłam go, żeby przyszedł.

Blade puścił to mimo uszu.

- Wyjdź stąd, Alex. I nigdy więcej nie zbliżaj się do mojej córki. Przez twarz Aleksa przemknęło zdziwienie, niedowierzanie i gniew.

Na szyi pojawiły się czerwone plamy.

- Nie każ mi tego dwa razy powtarzać - ostrzegł go Blade.

Alex zawahał się, obrzucił Blade'a pełnym nienawiści spojrzeniem, po czym odwrócił się i sięgnął do klamki.

- Nie! - Sorrel usiłowała się wyrwać, lecz on wyszedł nie patrząc na nią. Odwróciła się wściekła do Blade'a. - Jak śmiałeś go wyrzucić? To jest moja promocja. Mogę zapraszać, kogo zechcę.

- Nie jego. - Puścił jej ramię.

- Jeżeli nie pozwolisz Aleksowi przyjść na moją promocję, to ja też nie idę.

- Co ty mówisz, Sorrel? - Tempie podeszła do niej.

- To, co słyszysz. Nigdzie nie idę.

- Wszyscy na ciebie czekają. Jed i Diana przyjechali specjalnie z Tulsey...

- Alex też przybył z daleka, ale on kazał mu wyjść. - Sorrel machnęła rękaw stronę Blade'a. - Im też możesz powiedzieć, żeby sobie poszli. Nie będzie żadnej promocji.

- Sorrel - zaczęła Tempie, lecz córka wyminęła ją i wbiegła po schodach na górę. Chwilę później drzwi do jej sypialni zamknęły się z trzaskiem. Zapanowała niezręczna cisza.

- Pójdę do niej. - Tempie spojrzała w stronę schodów.

- Zostaw ją - powiedział Blade. - Jest zbyt rozgniewana, żeby kogokolwiek słuchać.

- Chyba pan nie sądzi, że ona mówiła poważnie - odezwała się Diana. Blade westchnął ciężko i pokręcił głową.

- Prawdę powiedziawszy, Diana, nie zdziwiłbym się, gdyby tak było.

Godzinę później stało się jasne, że Sorrel nie wyjdzie ze swego pokoju - w każdym razie nie żeby wziąć udział w promocji. Lije zawiózł więc Elizę i Nathana na uroczystość otwarcia szkoły Ike'a.

Uroczystość była równie skromna, jak szkoła z jedną salką, zbudowana z desek z tartaku Stuartów. Lije stał na końcu klasy i przyglądał się, jak Ike przyjmuje gratulacje i z serca płynące wyrazy uznania, składane mu przez murzyńskie rodziny. Wyglądał na zadowolonego i lekko zdenerwowanego, choć równocześnie pełnego zapału i zdeterminowanego.

Kiedy ostatni z gratulujących podszedł do stołu z poczęstunkiem, Ike zauważył Lijego na końcu klasy. Zawahał się, po czym ruszył w jego stronę, między rzędem drewnianych stołów i ławek.

- Cieszę się, że pan przyszedł - powiedział trochę sztywno. Lije również poczuł się niezręcznie.

- Ja też się cieszę. - Rozejrzał się po sali. - Wspaniale to wszystko urządziłeś.

Ike powiódł wzrokiem dokoła.

- Dość skromnie to wygląda, lecz któregoś dnia będą tu prawdziwe ławki i tyle elementarzy i tabliczek, że starczy dla wszystkich uczniów. Nie mam też...

- To dopiero początek, Ike - powiedział Lije, mając na myśli nie tylko szkołę. Patrzył na dawnego służącego zgoła innymi oczyma. - Shadrach byłby z tego dumny. Byłby dumny z ciebie. Jesteś teraz sam sobie panem.

- Tak - skinął głową Ike, a w oczach błysnął mu triumf.

- Niezły odpór daliście ty i twój oddział wtedy w wąwozie. Wielu dzielnych ludzi wówczas zginęło. Cieszę się, że nie byłeś jednym z nich.

- Ja też - odparł Ike. Rozpierała go duma.

- Któregoś dnia musimy porozmawiać o wojennych czasach. Chyba nigdy nie zapomnę, jak

atakowaliście Cabin Creek.

- Ja chyba też nie - rzucił ze śmiechem Ike. - Ten ryk tysięcy rebelianckich gardeł mógł zmrozić człowiekowi krew w żyłach. Czy był pan nad Elk Creek, gdy...

Urwał, bo w tej chwili podeszła do nich jego żona.

- Radleyowie wychodzą - powiedziała. - Chcą zapisać obu swoich chłopców. Chyba powinniście z nimi porozmawiać.

- Zaraz przyjdę - odpowiedział, po czym spojrzał z żalem na Lijego. - Chyba rzeczywiście będziemy musieli odłożyć naszą rozmowę.

- Już się nie mogę tego dnia doczekać.

Po chwili wahania Lije wyciągnął rękę. Ike popatrzył na nią przez sekundę i podał mu swoją. Uścisnęli sobie dłonie po raz pierwszy jak mężczyzna z mężczyzną.

Wracając do Grand View, Lije wrócił myślami do tej chwili. Przyjechał na otwarcie szkoły raczej z poczucia obowiązku, lecz wracał podniesiony na duchu.

Wysadził Elizę i pastora przed domem i pojechał do stajni odstawić powóz i wyprząc konie. Wracając do domu, zauważył fruującą firankę w otwartym oknie pokoju siostry. A więc wciąż siedzi zamknięta na górze i rozpamiętuje niesprawiedliwe według niej zachowanie ojca. Jej ślepa lojalność w stosunku do Aleksa działała mu na nerwy. Miał ochotę wbić jej trochę rozumu do głowy.

Centymetr po centymetrze słoneczne światło przesuwało się po podłodze i w górę ściany. Sorrel siedziała na łóżku i obserwowała jego powolny ruch. Wyczekiwała z napięciem na nadejście wieczoru. Kusiło ją, by przejść się po pokoju, nie chciała jednak, by na dole usłyszeli kroki i zaczęli coś podejrzewać.

Żołądek ostrymi skurczami upominał się o jedzenie. Przycisnęła dłoń do brzucha, by stłumić burczenie i przesunęła nią po czarnym materiale stroju do konnej jazdy. Chyba nadszedł już czas kolacji. Czemu oni nie jedzą?

Chwilę później usłyszała kroki na schodach i spojrzała z napięciem na drzwi. Stąpienie było lekkie i wolne. Nie przypominało szybkich i energicznych kroków Susannah czy Diany. To na pewno mama albo babcia. Obie były już raz pod drzwiami, próbując z nią rozmawiać.

Kroki ucichły przy jej drzwiach. Nastąpiła chwila ciszy i rozległo się pukanie.

- Sorrel - rozległ się głos matki. - Dość już tam przesiedziałaś. Kolacja czeka. Zejdź i zjedz coś.

- Nie jestem głodna.

- Przestań się upierać i wyjdź. - W głosie Tempie zabrzmiało zniecierpliwienie.

- Odejdź i zostaw mnie samą.

- Zachowujesz się jak dziecko.

Równie dobrze mogłaby powiedzieć, że to oni traktują ją jak dziecko, mówiąc jej, z kim może się widywać, a z kim nie.

- Sorrel? - Matka ponownie zapukała do drzwi.

Nie odpowiedziała i czekała na dalsze słowa. W końcu usłyszała ciężkie westchnienie i oddalające się kroki. Zaczekała, aż zupełnie ucichną, wtedy wstała z łóżka i podeszła na palcach do drzwi.

Przycisnęła do nich ucho w miejscu, gdzie łączyły się z framugą. Usłyszała stłumione głosy, nie potrafiła jednak zorientować się, z którego pokoju dochodzą.

Mijały minuty. Każda wydawała się godziną. I nagle posłyszała brzęk sztućców. Zaczekała chwilę, by mieć pewność, że wszyscy są w jadalni, po czym wolno przekręciła klucz, uchyliła drzwi

i wyjrzała na korytarz.

Upewniwszy się, że droga wolna, wyszła z pokoju, zamykając drzwi za sobą. Zerknęła w stronę głównych schodów i ruszyła w przeciwnym kierunku ku tylnym schodom. Zeszła na dół, trzymając się blisko ściany, w każdej chwili oczekując pojawienia się Phoebe. Minęła kuchnię nie zauważona przez nikogo.

Kiedy znalazła się na zewnątrz, szybko i zdecydowanie ruszyła do stajni. Jej plan był prosty. Pojedzie do Washburna do Saliny. Jeśli nie powie jej, gdzie jest Alex, to może uda jej się go przekonać, by dał znać Aleksowi, że tu jest. Skoro rodzice go wyrzucili, to ona przyjedzie do niego. Nie przeszkodzą jej w widywaniu się z nim.

Pierwsze gwiazdy rozblęły na purpurowym niebie, kiedy Alex kryjąc się wśród drzew dotarł do dworu. Tu zsiadł z konia, przywiązał wodze do pnia, poklepał klacz po szyi i podkraść się ostrożnie ku domowi.

Przykucnął przy drzewie i zlustrował wzrokiem dwór. Stała mu przed oczami scena, jak Blade go wyrzucił, i ponownie ogarnął go gniew i głębokie upokorzenie. Nie mógł nic zrobić. Ich było trzech, Blade, Lije, Lassiter, a on jeden. Tym razem Blade posunął się za daleko. Zapłaci mu za to i za wszystko inne.

W gabinecie zapłonęło światło. Alex przesunął się bardziej na prawo, by mieć lepszy widok. Ktoś tam był. Zapewne Blade. Lecz czy sam? Jeśli tak, nie będzie miał lepszej okazji.

Tempie westchnęła zgnębiona i spojrzała na męża.

- Lije uważa, że powinniśmy wyważyć drzwi i wyciągnąć Sorrel za włosy. Prawie skłonna jestem to zrobić. To zaszło już za daleko. Dlaczego ona nie rozumie, że wyrzuciłeś Aleksa dla jej własnego dobra? Przecież nie chciałeś jej dokuczyć. - Czuła, że traci już cierpliwość, tymczasem Blade wydawał się dziwnie spokojny. - Nie denerwuje cię jej postępowanie?

Wzruszył z rezygnacją ramionami.

- Może już do tego przywykłem. Przez całe życie potępiano mnie za to, że chciałem dobrze dla innych. Czemu moja córka miałaby być inna?

Tempie odwróciła się twarzą do niego, zaskoczona porównaniem i tonem zawodu w jego głosie. Dobrze rozumiała ten ból, jakby sama go doświadczyła.

- Ja nigdy cię nie potępiłam. Wiedziałam, że robisz to, co uważasz za najlepsze dla innych. I to, co zrobiłeś dzisiaj, każąc Aleksowi wyjść, również było słuszne.

- Miałem nadzieję, że Sorrel... - Urwał i wzruszył ramionami. - Zresztą to nie ma znaczenia. Faktem jest, że zamknęła się w swoim pokoju. Siedzi tam i nienawidzi mnie za to, co zrobiłem.

- Nie mów tak. - Objęła dłońmi jego twarz i zmusiła do patrzenia sobie w oczy. - To nieprawda. Może się na ciebie gniewać, ale wciąż cię kocha. Wiem, że tak jest. Pamiętasz, jak często złościłam się na ciebie? Zdarzały się chwile, że miałam ochotę rzucić coś w ciebie...

- Raz czy dwa to zrobiłaś. - Uśmiechnął się lekko.

- Bez względu na to, jak postępowałam, wciąż cię kochałam. I Sorrel też cię kocha. Muisz w to wierzyć.

Była tak przekonująca, tak nieodparcie urocza, że Blade nie mógł powstrzymać uśmiechu. Pochylił się i przycisnął usta do jej pełnych warg. Były równie słodkie i namiętne jak przed laty. Krew zaczęła mu szybciej krążyć w żyłach jak za lat młodości, kiedy zakochał się w tej dumnej, porywającej kobiecie, która potrafiła go zaspokoić jak żadna inna na świecie. W końcu oderwał się od jej warg, przytulił ją do siebie i oparł brodę na jej głowie.

- Bardzo cię kocham - powiedział, czując dziwne zadowolenie już w samym trzymaniu jej w ramionach.

- Taką miałam nadzieję.

Zaśmiał się, słysząc w jej głosie nutę wymówki.

- To dziwne - mruknął w zamyśleniu, uwalniając ją z objęć i podchodząc do biurka. - Zawsze obawiałem się, że Sorrel przysporzy nam kłopotów z powodu mężczyzny, lecz przez myśl mi nie przeszło, że tym mężczyzną będzie Alex.

- Nikt tego nie przewidział.

Rozległo się pukanie do drzwi. Blade odwrócił się z nadzieją, że to może Sorrel. Proszę.

Do gabinetu wszedł Deu, niosąc tacę z zimnym kurczakiem, marynowanymi orzechami włoskimi, szparagami i zastawą do kawy.

- Zauważyłem, że niewiele pan zjadł na kolację, pomyślałem więc, że może zechce pan coś przekąsić przed snem. - Postawił tacę na biurku. - Pomyślałem, że pewnie zechce pani dotrzymać panu towarzystwa, więc przyniosłem drugą filiżankę i sztućce.

Tempie spojrzała na tacę.

- Sorrel nic nie jadła przez cały dzień. Przygotuję jej coś i zaniosę na górę. Może namówię ją, by otworzyła drzwi. - Zerknęła na Blade'a. - To chyba lepszy sposób niż wyważanie drzwi.

Blade uważał, że pomysł Lijego ma większe szanse powodzenia, lecz zachował to dla siebie. Kiedy Deu odwrócił się, by wyjść za Tempie, przywołał go do siebie gestem ręki.

- Zostań i wypij ze mną filiżankę kawy... jeśli masz czas.

- Ja zawsze mam czas.

Deu podszedł do biurka i nalał kawy do dwóch filiżanek.

- A tak przy okazji, czy nie sądzisz, że mógłbyś już skończyć z tym tytułowaniem mnie panem? Jesteś wolnym człowiekiem, Deu. Nie jestem już twoim panem.

Blade usiadł w mahoniowym, obitym skórą fotelu.

- Wiem, ale tak się przyzwyczaiłem, że po prostu nie umiem inaczej. - Wziął filiżankę i podszedł do stojącego przy biurku krzesła. - Zabawne - powiedział siadając - ale ja nigdy nie czułem się niewolnikiem. Wiem, że nim byłem, ale...

- Tak. W którymś momencie i ja przestałem myśleć o tobie jak o niewolniku.

Blade odkroił kawałek kurczaka, lecz nie był w stanie podnieść widelca do ust. Jedzenie przypomniało mu o Tempie... i o Sorrel. Westchnął i odłożył sztućce na talerz.

- Co ja mam począć z tą dziewczyną, Deu? Jak mam ją przekonać, że źle postępuje? Nie mogę z nią porozmawiać, bo nie chce mnie słuchać.

- Tak bywa z dziećmi. Miał pan szczęście z Lije, ale... proszę wziąć na przykład Ike'a. Pamiętam, jak uciekł i wstąpił do armii Unii. Nie mogłem uwierzyć, że coś takiego zrobił. Byłem zły i zmartwiony, że nie został, by opiekować się matką i panią Tempie. - Pokręcił głową. - Staraliśmy się go dobrze wychować, ale wówczas myślałem, że na próżno. A teraz proszę. Taki byłem dziś z niego dumny w tej szkole. Któregoś dnia i pan będzie dumny z Sorrel.

- Oby tak było, jak mówisz.

- Jestem tego pewny. To dobra dziewczyna, ale trochę się zaplątała. - Słyszając kroki na korytarzu, odstawił filiżankę na biurko i wstał z krzesła. - To pewnie pani Tempie. Pomogę zanieść jej tacę i zaraz wracam.

Blade odprowadził go wzrokiem do drzwi, po czym spojrzał na talerz z kurczakiem. Odepchnął

go z westchnieniem i wziął do ręki filiżankę z kawą. Wstał z fotela i obrócił się twarzą do okna, czując chłodny powiew wiatru wpadający do wnętrza.

Kryjąc się w cieniu, Alex przeszedł wzdłuż ściany ku gabinetowi, trzymając w ręku odbezpieczony rewolwer. Zdawało mu się, że słyszy jakieś głosy, przywarł więc płasko do ściany, czując w skroniach pulsowanie krwi. Chwilę nasłuchiwał, lecz odpowiedziała mu cisza. Podeszedł do parapetu i ostrożnie zajrzał do środka.

Blade stał na wprost okna, popijając spokojnie kawę z filiżanki. Był sam. Alex wolno zmierzył się do strzału. W tym momencie Blade poruszył się i Alex natychmiast przykucnął. Wstrzymał oddech, nasłuchując kroków zbliżających się do okna. Nic takiego się nie zdarzyło. Zajrzał więc ponownie przez okno. Blade stał w tym samym miejscu, odwrócony tyłem do niego. Alex uśmiechnął się.

Lije wyszedł z salonu i posłyszał jakiś ruch na schodach. Miał nadzieję, że to Sorrel, lecz zobaczył matkę niosącą tacę.

- Pomogę ci, mamó.

- Ja to zrobię, paniczu - odezwał się Deu. - Szedłem właśnie, by wziąć tacę od pani.

- Lije, czy jest tam może Deu? - zawołała Eliza z salonu. - Poproś go, żeby Phoebe zaparzyła nam kawę.

- Idź, Deu. Ja pomogę matce. - Wziął tacę z jej rąk. - Rozumiem, że niesiesz ją Sorrel.

- Tak. - Tempie ruszyła za nim po schodach. - Nic nie jadła przez cały dzień. Może to skusi ją do otworzenia drzwi.

- Nie byłbym tego taki pewny.

Zatrzymali się przy sypialni Sorrel. Tempie zapukała.

- Sorrel? Przyniosłam ci coś do zjedzenia. Cisza.

- Sorrel, wiem, że tam jesteś. Odezwij się, proszę. - Odpowiedziała jej cisza. Zapukała jeszcze raz, tym razem głośniejsze. - To już trwa zbyt długo. Postawiłaś na swoim. Nie poszłaś na promocję. A teraz masz natychmiast otworzyć drzwi.

Lijego zaniepokoiła ta przedłużająca się cisza.

- Spróbuj przekręcić gałkę.

- To bezcelowe - powiedziała zirytowana Tempie i sięgnęła do gałki. - Ona zam... - Drzwi ustąpiły po naciskiem ręki. Tempie spojrzała zdziwiona na Lijego, po czym pchnęła drzwi i weszła do ciemnego pokoju. - Sorrel?

Lije omiół wzrokiem wnętrze sypialni. Postawił tacę na toalecie. Zanim matka zapaliła świecę, wiedział już, że Sorrel tu nie ma.

- Zniknęła - wykrztusiła zaskoczona Tempie.

- Niech ją diabli - mruknął Lije.

- Dokąd ona mogła pójść?

- Do Aleksa oczywiście - burknął, klnąc w duchu głupotę siostry. Gdzieś z dołu rozległ się stłumiony odgłos wystrzału. Lije odwrócił się w stronę drzwi.

- Co to było?

Wypadł z pokoju, nie odpowiadając na pytanie matki.

Niebieski dymek uniósł się z lufy pistoletu. Alex patrzył, jak Blade zgina się w pół i pada na podłogę, wypuszczając filiżankę z dłoni. Uśmiechnął się zimno. Nareszcie.

Ku jego zdumieniu Blade się poruszył, próbując podnieść się na rękach. Ten drań żyje. Alex ponownie pociągnął za spust, posyłając następną kulę. Blade opadł na podłogę. Lecz czy naprawdę

nie żył? Tym razem musi się upewnić. Przełożył nogę przez parapet.

W tym momencie drzwi się otworzyły i do pokoju wpadł Deu, zatrzymując się gwałtownie na widok Aleksa. Alex instynktownie oddał dwa strzały do Murzyna, po czym wycofał się i uciekł.

Lije wpadł do gabinetu razem z Ranssem. Za nimi nadbiegli pozostali. Znieruchomiał na moment na widok leżącego na podłodze ojca i Deu próbującego się do niego doczołgać. Zastłona w oknie falowała z wiatrem.

Lije ukląkł przy ojcu i sprawdził puls. Żadnego ruchu. Gwałtowny ból ścisnął mu serce, pozbawiając na chwilę oddechu. Spuścił głowę, zamknął oczy i zacisnął dłoń w pięść.

- Nie! - rozległ się rozpaczliwy krzyk matki.

Wstał i zatrzymał ją, zanim zdążyła pochylić się nad Blade'em. W jej oczach malowało się przerażenie. Pokręcił wolno głową.

- Nie żyje, mammo.

- Nie! To niemożliwe!

Wyrwała się i opadła na kolana przy ciele męża. Lije patrzył na nią wstrząśnięty, nie zwracając uwagi na Elizę, która podeszła do Tempie. Czuł wzbierającą w nim wściekłość.

- Lije! - zawołał Rans. - Deu jeszcze żyje.

Podtrzymał Murzyna, a Susannah próbowała zatamować krew płynącą z rany na piersi. Lije ukląkł przy nich. Deu miał oczy zamknięte, lecz po chwili z trudem je otworzył.

- Pan... Blade? - wyszeptał ochryple, patrząc z natężeniem na Lijego. Lije pokręcił głową, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Deu jęknął. - Powinienem... zostać z... nim. On... chciał, bym zo... stał.

- Deu, kto do ciebie strzelił? Widziałeś, kto to był?

Skinął nieznacznie głową, po czym zwilżył wargi i wyszeptał z trudem:

- Alex.

- Alex? To był Alex? - chciał się upewnić Lije. Deu ponownie skinął głową.

- Dość tego, Lije - zaprotestowała Susannah. Podeszła do niej łkająca Phoebe. - Jest zbyt słaby i wciąż krwawi. Mammo, idź po koszyk Tempie z medykamentami. Ja nie mogę się ruszyć.

Lije wiedział już wszystko. Wstał, czując w sobie dziwny spokój. Podeszedł do szafki z bronią i wyjął z niej pas z rewolwerem. Sprawdził, czy jest nabity, po czym umocował pas w talii, wziął jeszcze karabin i zapas amunicji. Kiedy odwrócił się, stała przed nim Diana.

- Nigdy tak naprawdę nie rozumiałam tej nienawiści. - Błyszczące od łez oczy płonęły gniewem.

- Musisz go dopaść. Musisz złapać Aleksa, bo to nigdy się nie skończy.

Jej słowa owiały go niczym ożywczy wiatr, dodając mu skrzydeł. Ona rozumie. Ogarnęło go dziwne uniesienie. Pragnął delektować się tym uczuciem, tymczasem nie było na to czasu. Dotknął dłonią jej policzka.

- Zostań z matką. Skinęła głową.

- Tylko wróć do mnie, Lije.

- Wrócę.

Wyszedł z gabinetu na korytarz. Dogonił go Rans i chwycił go za ramię.

- Co zamierzasz zrobić?

- Dopaść Aleksa.

- Nie możesz, do cholery. Pomyśl o matce.

- Myślę o siostrze - warknął Lije. - Uciekła... prawdopodobnie, by się z nim spotkać. Muszę go

znaleźć wcześniej niż ona.

- Pojadę z tobą.

- Nie. Zostań. - Spojrzał w stronę gabinetu. - Bardziej będziesz tu potrzebny - powiedział i wyszedł.

Z gabinetu dobiegł przeraźliwy krzyk. Rans odwrócił się i zacisnął zęby w bezsilnym gniewie. Wszedł do pokoju jednocześnie z Elizą, która niosła koszyk Tempie z medykamentami. Phoebe siedziała na podłodze, obejmując Deu i kołysała się w tył i w przód, zawodząc rozpaczliwie. Susannah odwróciła się ku nim z wyrazem rozpaczki, błagania i bezradności na twarzy.

- Nie mogłam powstrzymać krwawienia - powiedziała łamiącym się głosem. - Kula musiała przebić tętnicę.

Cała jej postawa wyrażała głęboki smutek, lecz jej oczy pozostały suche. Rans wiedział, że Susannah nie będzie płakać. Musiała być silna i opanowana, by wesprzeć innych. Otoczył ją ramieniem, starając się pocieszyć i dodać otuchy.

W tym samym czasie Nathan i Jed podnieśli z ziemi cicho płaczącą Tempie. Podeszła do niej Eliza.

- Po tylu latach, Elizo - powiedziała Tempie urywanie. - Po tylu latach w końcu to się stało.

- Wiem, Tempie, wiem - odparła Eliza drżącym ze smutku głosem. Tempie rozjerzała się po pokoju błędnym wzrokiem.

- A teraz Lije pojechał za Alekssem. O Boże. - Ścisnęła Elizę za ramię. - Wszystko zaczyna się od nowa.

- On wróci, Tempie - oświadczyła Diana z mocą. - Lije wróci. Tempie spojrzała na Phoebe, która kładła właśnie głowę męża na podłodze. Natychmiast do niej podeszła.

- Phoebe. - Popatrzyły na siebie ze łzami w oczach. - Och, Phoebe. - Tempie objęła ją i mocno przytuliła. - Tak mi przykro.

Alex galopował bez wytchnienia przez siedem kilometrów, starając się zostawić Grand View jak najdalej. Po dotarciu do małej osady skręcił w boczną drogę, która pozwalała zaoszczędzić kilka kilometrów.

Instynkt ostrzegał go, by nie zatrzymywać się i jechać aż do granicy z Kansas. Wszystkie zapasy i część skarbu odebranego staremu Scottowi zostawił w chacie na wschód stąd, ukrytej wśród poszarpanych szczytów Boston Mountains. Tam też czekał na niego Morgan Bennet.

Przez ponad kilometr prowadził kłacz wyboistym szlakiem. Kiedy wzeszedł księżyc, przyspieszył i spokojnym galopem przejechał pięć kilometrów. Potem znowu przeszedł w stęp i po kilometrze znowu pięć galopem. W ten sposób dotarł do skrzyżowania z głównym traktem. Tu stanął, zsiadł z konia i sprawdził, czy droga wolna.

Zaczął luzować popręg, kiedy usłyszał miarowy tętent kopyt. Natychmiast przykrył dłonią pysk kłaczy i utkwiał wzrok w zalanej księżycowym światłem drodze.

Po chwili ujrzał samotnego jeźdźcę. Ku swojemu zaskoczeniu rozpoznał w nim Sorrel. Jak się tu znalazła? W jakim celu? Czy wie o ojcu? Nie, nie może wiedzieć.

Stał chwilę wśród drzew, po czym wskoczył na siodło i wyjechał na drogę. Przestraszona Sorrel ściągnęła mocno wodze.

- Sorrel, to ja, Alex.

- Alex? - Zaśmiała się z ulgą. - Właśnie cię szukałam.

- Czy rodzice wiedzą, że tu jesteś? - zapytał podejrzliwie.

- Nie - odparła wojowniczo. - Myślę, że siedzę zamknięta w swoim pokoju. Kiedy wyszedłeś, oświadczyłam, że nie pójdę na promocję. Wymknęłam się z domu, kiedy jedli kolację. Zorientują się dopiero rano, że mnie nie ma.

Wiedział, że wcześniej zauważą jej zniknięcie. Nie mógł odesłać jej do domu... Jeszcze nie teraz. Nagle pożałował, że ją zatrzymał i nie pozwolił jechać dalej. Zresztą to i tak by nic nie dało. Wiedziała przecież o Washburnie, a on mógłby wydać ich kryjówkę.

- Mam chatę jakieś piętnaście kilometrów stąd. Pojedziemy tam. Wskazał na wijącą się przed nimi drogę.

- Chatę? Nie wiedziałam, że masz chatę.

Jeszcze wielu rzeczy o nim nie wiedziała. Uznał, że tak będzie najlepiej.

Sorrel stała na ganku dwuizbowej drewnianej chaty, przyklejonej do ściany stromego wzgórza. Poranne słońce ogrzewało jej twarz. Powietrze było chłodne i rześkie. Odgryzła kawałek suszonego mięsa, przyglądając się, jak Alex kończy mocować juki na grzbiecie konia.

- Nigdy nie myślałam, że suszone mięso jest takie dobre - powiedziała. - Chyba będziesz głodny.

- Chyba tak. - Uśmiechnął się do niej i poklepał konia po szyi.

- Czemu musimy tak wcześnie wyjeżdżać?

- Chcesz jechać do Kansas City, prawda? A to daleka droga i im dłużej będziemy zwlekać, tym więcej czasu nam zajmie.

- Tak, masz rację. - Spróbowała się uśmiechnąć. Wczoraj wieczorem podróż z Aleksem do Kansas City wydawała się zabawna. Wiedziała jednak, że rodzice będą się zastanawiać, gdzie ona jest i martwić o nią. Alex powiedział, że może do nich napisać, lecz...

- Alex! - zawołał Morgan Bennet z brzegu polany. - Mamy towarzystwo.

Zaciekawiona poszła za Aleksem ku stromemu brzegowi i spojrzała w dół na krętą stromą drogę. Wczoraj, kiedy tu przyjechali, było ciemno, toteż nie miała pojęcia, że widać stąd cały szlak jak na dłoni. Natychmiast rozpoznała jeźdźca.

- To Lije - mruknął Alex z ponurą miną.

- Możemy się wymknąć drugą stroną - zaproponował Morgan.

- Nie. Jest zbyt blisko nas.

Sorrel zagryzła wargę, domyślając się, że Lije przyjechał tu po nią. Musieli wczoraj odkryć jej ucieczkę. Kątem oka dostrzegła, że Morgan wyciąga rewolwer.

- Zaraz to załatwimy - powiedział, celując w Lijego.

- Nie - wyszeptała ze zgrozą. W tym samym momencie Alex przytrzymał dłoń Morgana.

- Mam lepszy pomysł. - Wycofał się z punktu obserwacyjnego i ruszył w stronę chaty. - Ukryj konie, a ty, Morgan, schowasz się w drugim pokoju. Sorrel zaczeka na Lijego w chacie i powie mu, że jest tu sama. Tylko trzymaj się prawej strony pokoju, Sorrel. Ja zakradnę się od frontu i wtedy go załatwimy. - Chwycił dziewczynę za łokieć i pociągnął w stronę chaty.

- Co zamierzacie zrobić? - zapytała niepewnie. Alex zerknął na Morgana, po czym uśmiechnął się.

- Zwiążemy go, żeby nie mógł za nami jechać. Przynajmniej, dopóki się nie uwolni. A ty co myślałaś? Że go zabijemy?

- Nie byłam pewna. - Popatrzyła na Morgana, przypominając sobie, jak celował w Lijego.

- Masz na myśli to tam na polanie? - zapytał Alex z kpina w głosie. - Morgan miał zamiar tylko spłoszyć mu konia. Na piechotę trudno się chodzi po tych górach. Zanim by tu dotarł, nabawiłby się

pęcherzy. Nie martw się, Sorrel. Wszystko będzie dobrze. Zostaw to mnie i Morganowi... I trzymaj się prawej strony izby. Dobrze?

- Dobrze - skinęła głową bez przekonania.

- Wejdź do chaty. Kiedy tu się zjawi, zawołaj go.

Patrzyła niepewnie, jak Morgan szybko i cicho znika we wnętrzu chaty. Przypomniała sobie, co Lije mówił o Bennecie. Poczula się nieswojo.

- Alex... może powinnam wrócić z Lije.

- Co?

Utkwił w niej spojrzenie czarnych jak węgiel oczu. Poczula nagły dreszcz strachu. Za chwilę jednak Alex spuścił wzrok. Kiedy ponownie na nią spojrzął, w jego oczach malował się ból.

- Myślałem, że chcesz być ze mną. Chciałem zabrać cię w różne miejsca i pokazać tyle rzeczy. Jesteś jedyną krewną, jaką mam, Sorrel, jedyną osobą, której na mnie zależy. Lecz jeśli wolisz być z nimi...

- To nie tak, Alex - zapewniła go pospiesznie. - Nie chcę tylko sprawiać ci kłopotu.

- Ale ja chcę, byś była ze mną.

- A ja chcę jechać z tobą do Kansas City. Odetchnął z ulgą.

- Lepiej wejdź do chaty, zanim Lije się tu zjawi.

- Dobrze. - Ruszyła do drzwi.

- Pamiętaj - zawołał cicho Alex. - Morgan będzie w drugim pokoju, lecz nie zdradź się z tym.

Skinęła głową i weszła do środka. Rozejrzała się po izbie, dostrzegając nierówne ściany z nieociosanych belek, kamienne palenisko, prosty drewniany stół, krzesła i wąskie łóżko, na którym spała tej nocy. Podeszła do niego i usiadła na brzegu. Gruby siennik i sznurkowe sprężyny nie dorównywały miękkością puchowemu łóżku w jej sypialni, lecz wczoraj była zbyt zmęczona, by zwracać na to uwagę. Położyła dłoń na guzłowatym materacu i zadrżała, zastanawiając się, czy są w nim wszy. Było tu brudno.

Nie mogła pojąć, po co Aleksowi chata w górach. Ziemia nie nadawała się tu do niczego. Była zbyt kamienista do uprawiania i bydło nie miałoby tu co jeść. Ta chata pasowała raczej na przestępczą kryjówkę. Nagle zaczęła się zastanawiać, czy to wszystko, o czym mówił Lije, nie jest prawdą. Dotknęła medalionu na szyi.

Posłyszała jakiś ruch na zewnątrz. To pewnie Alex prowadził konie na tyły chaty. Ogarnął ją dziwny niepokój. Spojrzała na brudny koc zasłaniający wejście do drugiej izby. Stał za nim Morgan z bronią. Przeszedł ją dreszcz strachu.

Gdzieś w lesie krzyknęła sójka. Sorrel drgnęła i zacisnęła palce na brzegu łóżka.

W tym momencie usłyszała stukot kopyt na kamienistym gruncie. Wiedziała, że Lije zobaczy chatę, dopiero kiedy minie skalny występ. Teraz powinien wjeżdżać już na polanę. Położyła się na twardym sienniku. Musi udawać, że wszystko jest w porządku, że wszystko będzie w porządku.

Leżała i nasłuchiwała, starając się wychwycić każdy najdrobniejszy ruch Lijego. Najpierw zatrzeszczało siodło, potem zaszurały buty po kamieniach, i wreszcie skrzypnął drewniany stopień na ganku. Potem nie słyszała już nic. Była pewna, że Lije jest w środku, lecz do jej uszu nie docierał żaden dźwięk. Nie przypuszczała, że brat może tak cicho się poruszać. Dlaczego jej nie zawołał? Dlaczego był taki ostrożny? Nie mogła dłużej znieść napięcia i udała, że się budzi.

Kiedy otworzyła oczy, stał w odległości metra od drzwi, podejrzliwie omiatając wzrokiem pomieszczenie. W dłoni trzymał odbezpieczony rewolwer. W tej chwili był bardzo podobny do ojca,

tylko nie miał blizny na policzku.

- Lije. - Usiadła na łóżku, udając, że przeciera zaspane oczy. - Co ty tu robisz? Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

- Gdzie jest Alex?

- Nie ma go tu - odpowiedziała szybko. Czy aby nie za szybko? - zaniepokoiła się.

- Co jest tam dalej? - zapytał, wskazując na koc.

- Nic - skłamała, nienawidząc siebie za to.

Lije musiał się tego domyślić, bo spojrzał na nią ostro, jakby wątpił w jej prawdomówność.

- Chodź tu - rozkazał. - Wychodzimy stąd.

Wstała, nie wiedząc, co ma dalej robić. Wtedy spostrzegła błyskawiczny ruch koca i pojawił się Morgan z bronią w ręku.

- Uważaj! - krzyknęła, lecz jej głos utonął w huku wystrzału.

W tej samej chwili Lije nacisnął na spust. Nastąpił ogłuszający huk. Przerazona Sorrel zobaczyła, że Morgan uderza o ścianę trafiony kulą w pierś. Spróbował ponownie unieść rewolwer i ponownie powietrze zatrzęsło się od wystrzału. Morgan zsunął się po ścianie z wyrazem przerażenia na twarzy.

- Lije. - Sorrel odwróciła się, oddychając z ulgą, że Lijemu nic się nie stało, lecz spostrzegła ze strachem, że przyciska dłoń do ramienia, a między palcami cieknie mu krew. - Jesteś ranny.

Zrobiła krok w jego stronę, lecz zatrzymał ją w miejscu, zaciskając zęby z bólu.

- Gdzie jest Alex?

- Tutaj, Lije.

Alex stał w drzwiach z bronią wycelowaną w plecy Lijego. Jego uśmiech był przerażający. Lije zeszytniał i zaczął się obracać, lecz trzask odciąganej kurka zatrzymał go w miejscu.

- O tak... Nie ruszaj się. Sorrel, zabierz mu broń.

Zawahała się, nie bardzo wiedząc, co ma robić. Spojrzała na Lijego. Dostrzegła w jego wzroku współczucie.

- Przepraszam - szepnęła i wyciągnęła rękę po broń. Podał go jej kolbą do przodu.

- A teraz odsuń się, Sorrel - polecił Alex. Usłuchała.

- Powinienem się domyślić, że jesteś z tyłu za mną, Alex.

- Sorrel, zaczekaj na mnie na zewnątrz. Alex odsunął się od drzwi, by ją przepuścić.

- Zostań, Sorrel. - Lije uniósł głowę, lecz jej nie odwrócił. - Chcę ci powiedzieć, że on skłamię, kiedy ci powie, że próbowałem sięgnąć po jego rewolwer i musiał mnie zabić.

Sorrel wpatrywała się w Aleksa, czekając, aż zaprzeczy. Zamiast tego warknął:

- Odwróć się, Stuart.

- Nie. Będziesz musiał strzelić mi w plecy, tak jak zabiłeś mojego ojca.

- Co? - Sorrel spojrzała na niego ze zgrozą. - Ojciec nie żyje?

- Nie wiem, o czym mówisz - warknął Alex. - Wyjdź stąd, Sorrel.

- Dobrze wiesz, o czym mówię - rzucił drwiąco Lije. - Popełniłeś ten sam błąd, co poprzednio.

- Zamknij się!

- Deu nie umarł od razu, Alex. Przed śmiercią zdążył wskazać sprawcę. Deu też nie żyje? Alex zabił Deu i ojca? Nie. To nie może być prawda.

- Dość już powiedziałaś - Alex wycelował rewolwer w plecy Lijego.

Dobry Boże, on chce zabić Lijego. Bez namysłu skierowała broń w Aleksa.

- Alex, nie. - Głos jej zadrżał, lecz starała się mocno trzymać rewolwer. - Odłóż ten rewolwer...

proszę.

Znieruchomiał na widok wycelowanej w niego broni. Za chwilę jednak uśmiechnął się krzywo.

- Co masz zamiar z tym zrobić? Chyba mnie nie zastrzelisz. Przełknęła nerwowo ślinę.

- Nie pozwolę ci zabić mojego brata, Alex.

Na potwierdzenie tych słów odciągnęła kurek dwoma kciukami. Uśmiechnął się szeroko.

- Przecież do mnie nie strzelisz, Sorrel - oznajmił pewnym siebie tonem i zwrócił się w stronę Lijego.

Kiedy dostrzegła nieznaczny ruch jego palca na spuście, wypaliła bez namysłu. Rewolwer drgnął jej w dłoni i donośny huk na chwilę ją ogłuszył. Uniosła powieki i zobaczyła, że Alex zachwiał się i wolno osunął na podłogę.

- Alex! - Rzuciła broń i podbiegła do niego. Popatrzył na nią z wyrazem bólu i niedowierzania.

- Dlaczego? - wyszeptał z trudem. - Dlaczego?

- Musiałam - załkała. - Nie rozumiesz? Musiałam.

- Ja... ci ufałem.

Odetchnął chrapliwie, jak człowiek, który się dusi, i znieruchomiał.

- Alex! - Opadła na niego i zanosła się łkaniem.

- Sorrel. - Gdzieś z daleka dotarł do niej głos Lijego. - Już nic nie możesz dla niego zrobić.

Wciąż płacząc, pozwoliła się podnieść z podłogi.

- Ja musiałam, Lije - powtórzyła. - Nie mogłam pozwolić, by cię zastrzelił.

Otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Wiem. - Przytulił jej głowę do piersi. - Wiem, Sorrel. Wreszcie potok łez ustał. Uniosła głowę i otarła policzki wierzchem dłoni. Spojrzała na ciało Aleksa.

- Czy to prawda, Lije? - zapytała ochryplym, łamiącym się głosem. - Naprawdę ojciec nie żyje?

- Naprawdę - odpowiedział, gładząc japo włosach.

Znowu zaczęła płakać.

- Dlaczego? Dlaczego musiał umrzeć? To niesprawiedliwe. Niesprawiedliwe.

- Wiem.

- Ty nic nie rozumiesz. Ja nigdy mu nie powiedziałam, że go kocham. Ale naprawdę go kocham.

Naprawdę - załkała.

- On o tym wiedział. Przysięgam ci - zapewnił Lije. W jego głosie brzmiała rozpacz i ból. -

Chodź. Wracamy do domu.

- Zaczekaj - powiedziała, sięgnęła za szyję, odpięła łańcuszek i cisnęła medalion na podłogę.

Upadł przy ciele Aleksa. - Już go nie chcę.

Zmierzchało już, kiedy dotarli do Grand View. Rans spostrzegł ich, jak jechali podjazdem. Wszyscy wyszli im na spotkanie. Lije zsiadł pierwszy i podszedł do Sorrel. Tempie natychmiast podeszła do niej i mocno przytuliła.

Lije odwrócił się w stronę domu. W tej samej chwili zbliżyła się do niego Diana. Jej wzrok przesunął się po nim z uwagą. Dostrzegła zakrwawioną chusteczkę wokół ramienia.

- Jesteś ranny.

- To tylko draśnięcie - odparł, po czym wziął ją w ramiona. Poczul, jak ogarnia go spokój.

Co z Alekssem? - zapytała.

- Nie żyje. - Przesunął policzkiem po jej włosach. - To koniec. Tym razem to naprawdę koniec.

Zadrżała i przytuliła się mocniej.

- Kocham cię, Lije.

- Ja też cię kocham. - Uniósł głowę i spojrzał jej w oczy. - Wyjdiesz za mnie?

Wciągnęła gwałtownie powietrze w płuca i zaśmiała się cicho.

- Myślałam, że już nigdy nie zapytasz.